



PAM JENOFF

DZIEWCZYNA KOMENDANTA

PRZEŁOŻYŁA: MONIKA LESYSZAK



Mojej rodzinie

TLR

PODZIĘKOWANIA

Od wielu lat, od czasu kiedy w 1998 roku wróciłam do Stanów Zjednoczonych, pragnęłam napisać powieść opartą na zdobytych w Polsce doświadczeniach, przede wszystkim wyniesionych ze spotkań z członkami tamtejszej społeczności żydowskiej, które wywarły na mnie głębokie wrażenie.

Urzekła mnie wizja młodej, zdenerwowanej dziewczyny, prowadzącej dziecko przez krakowski rynek w czasach hitlerowskiej okupacji, ale dopiero w 2002 roku miałam szczęście spotkać w pociągu z Waszyngtonu do Filadelfii starsze małżeństwo, które przeżyło Holocaust. Właśnie ci ludzie po raz pierwszy przedstawili mi niezwykłą historię ruchu oporu w okupowanym Krakowie. Na podstawie ich opowieści narodziła się „Dziewczyna komendanta”.

Wiele osób towarzyszyło mi w drodze od pomysłu do ukończenia powieści. Jestem winna dozgonną wdzięczność za zainteresowanie, bezgraniczną życzliwość i serdeczność mojej rodzinie, przyjaciółom, kolegom, łącznie z mamą, tatą i moim bratem, Jayem (tak, możesz to teraz przeczytać) oraz Phillipowi, Joanne, Stephanie, Barb i innym, zbyt licznym, by ich wymieniać.

Chciałabym również podziękować mojej nauczycielce sztuki pisarskiej, Janet Benton, oraz innym pisarzom, którzy służyli mi bezinteresownie radą, przyjaźnią i wsparciem na każdym kroku.

Napisanie tej książki nie byłoby możliwe bez niezmordowanej pracy mojego wspaniałego agenta, Scotta Hoffmana z Folio Literary

Management, który pierwszy dostrzegł potencjalną wartość mojej pracy. Nie ustawał w wysiłkach nad nadaniem jej ostatecznej formy, podczas gdy inni dawno daliby za wygraną. Pragnę również złożyć wyrazy szacunku znakomitemu wydawcy, pani Susan Pezzack, za jej doskonałe wyczucie i wkład pracy, dzięki której książka ujrzała światło dzienne, a marzenie stało się rzeczywistością.

W trakcie pisania uświadomiłam sobie, że pojęcie „historycznej fikcji” można uznać za oksymoron. Wymyślając postacie i wydarzenia, dokładałam wszelkich starań, aby wyrazić prawdziwy stan ducha ludzi, którzy żyli i umierali podczas II wojny światowej i Holocaustu. Starłam się w sposób rzeczywisty oddać pełen zakres siły, słabości i emocji, jakie wydobywają z człowieka niezwykle wydarzenia i okoliczności. Na koniec pragnę wyrazić bezgraniczny podziw dla żydowskich społeczności Polski oraz całej Środkowej i Wschodniej Europy w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Wasze bohaterские zmagania stanowią dla nas wszystkich nieustanną inspirację.

Pam Jenhoff

OD REDAKCJI

Powieść „Dziewczyna komendanta”, której akcja rozgrywa się w okupowanym Krakowie, święci spore triumfy na zagranicznych rynkach, wywołując przy tym liczne dyskusje, dlatego warto przedstawić ją polskim czytelnikom.

Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że publikacja w Polsce tej powieści może wywołać liczne kontrowersje. Holocaust bowiem i okupacja hitlerowska pokazane są z punktu widzenia młodej Żydówki, która ukrywając się jako Polka, zostaje kochanką hitlerowskiego dygnitarza. Poza tym realia okupowanej Polski ukazane w tej książce wymagają naszych dodatkowych komentarzy, które zawarliśmy w przypisach.

„Dziewczynę komendanta” odczytaliśmy jako powieść, która zadaje trudne pytania, i to ostatecznie przekonało nas do jej wydania. Odległą inspiracją przeżyć Emmy wydają się losy biblijnej Żydówki Estery, która łamiąc prawa religii, została żoną perskiego króla, dzięki czemu mogła uchronić swój naród przed zagładą. Pytanie, co czuła każdego dnia Estera, mając świadomość straszliwego odstępstwa od wiary przodków, wydaje się tu zasadnicze. Jej zbawienne dla Izraela czyny dobrze znamy z Biblii, Żydzi do dziś je czczą podczas święta Purim, jednak jakim kosztem swoje zwycięstwo nad groźnym wrogiem okupiła Estera, możemy sobie tylko próbować wyobrazić.

I takie właśnie pytanie, obok wielu innych, stawia Autorka w swej powieści. Bo „Dziewczyna komendanta” to powieść świetnie napi-

sana, akcja jest pasjonująca i nadzwyczaj dramatyczna, postaci znakomicie zarysowane, przy jednym bardzo ważnym zastrzeżeniu: „Dziewczyna komendanta” nie jest ani powieścią paradokumentalną ani też osadzoną w skrupulatnie zbadanych realiach okupacyjnych fikcją literacką, tylko przypowieścią o Żydówce Esterze XX wieku, czasie straszliwych wojen, zagłady i najtrudniejszych wyborów.

Mira Weber

TLR

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Minęliśmy gołębie zgromadzone nad obfitymi kałużami na rynku Starego Miasta. Z obawą spojrzałam w górę, mocniej ściskając rączkę Łukasza.

W myślach błagałam go, żeby przyspieszył kroku, lecz chłopczyk, obojętny na gęstniejące nad nami chmury, z zapalem lizał lody w waflowym rożku. Na złocistym loku zawisła pojedyncza kropla. Dziękowałam Bogu za jego jasne włosy. Ostry marcowy wiatr hulał po placu, a ja walczyłam z pokusą, żeby puścić dłoń Łukasza i ciaśniej owinąć cienki płaszcz wokół ciała.

Przeszliśmy pod centralnym lukiem Sukiennic. Chociaż jeszcze spory kawałek drogi dzielił nas od targu na Nowym Kleparzu poza dawnymi bramami, w północnej części śródmieścia Krakowa, Łukasz zwolnił kroku. Cienkie podeszwy coraz głośniej szurały po kamiennych płytach. Najchętniej bym go poniosła, ale swoje już ważył i z każdym dniem przybierał na wadze. Przy dobrym odżywianiu pewnie dałabym radę, ale tego dnia przesłabym z dzieckiem na rękę najwyżej kilka metrów. Och, żeby tak szedł trochę prędzej!

- Szybko, kochanie, chodź - poprosiłam mocno zdyszana.

Przyspieszył dopiero przy straganach z kwiatami pod kościołem Mariackim. Po opuszczeniu placu wyczułam pod stopami znajomy turkot. Przystanęłam. Prawie od roku nie jechałam trolejbusem. Marzyłam o tym, żeby wnieść Łukasza do pojazdu, a potem, siedząc

wygodnie, obserwować przez okno mijane budynki i ludzi. Dotarliśmy na targ w ciągu kilku minut. Szybko odpędziłam kuszącą wizję. Atrament na naszych nowych dokumentach ledwie wysechł, a zdziwiona mina chłopca, który nigdy wcześniej nie korzystał z tego środka lokomocji, z całą pewnością wzbudziłaby podejrzenia. Nie wolno mi było prehandlować bezpieczeństwa za wygodę. Ruszyliśmy dalej pieszo. Mimo że trzymałam głowę spuszczoną, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego ze spieszącymi rankiem na zakupy przechodniami, zachłannie chłonełam najdrobniejsze szczegóły. Ostatni raz byłam w śródmieściu ponad rok temu. Wciągnęłam głęboko w nozdrza wilgotne po roztopach powietrze. Pachniało prażonymi orzeszkami z kiosku na rogu.

Hejnał z wieży mariackiej przywitał mnie po długiej nieobecności niczym przyjaciel z dawnych lat. Zwalczyłam pokusę odwrócenia głowy w kierunku źródła dźwięku. Na końcu ulicy Floriańskiej Łukasz nagle zeszytywniał. Ścisnął mocniej moją dłoń, upuścił ostatni kawałek bezcennego lodowego rożka, lecz nawet nie zauważył straty. Jego blada po miesiącach ukrywania się w zamkniętych pomieszczeniach twarzyczka nagle poszarzała. Kucnęłam koło niego, szepcząc słowa otuchy. Nie odpowiedział. Cały drżał. Podążyłam za jego wzrokiem. Dziesięć metrów przed nami, nieopodal łuku średnio-wiecznej Bramy Floriańskiej, stali dwaj hitlerowscy żandarmi z pistoletami maszynowymi.

- Bez obawy, kochanie, wszystko w porządku.

Otoczyłam chłopca ramionami, ale go nie uspokoiłam. Oczy miał

rozbiegane, bezgłośnie poruszał ustami.

- Chodź. - Wzięłam go na rękę.

Łukasz schował głowę w moich ramionach. Szukałam wzrokiem jakiejś bocznej uliczki, ale żadnej nie było w pobliżu, a nagły odwrót wyglądałby podejrzanie. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, zepchnęłam butem upuszczony wafelek do rynsztoka. Ruszyłam dalej, wprost na hitlerowców. Nie zwrócili na nas uwagi. Kilka minut później, gdy poczułam, że chłopczyk znów spokojnie oddycha, postawiłam go na ziemi.

Wkrótce osiągnęliśmy Nowy Kleparz. Trudno mi było ukryć radość, że znów spaceruję i robię zakupy jak normalny człowiek. Torując sobie drogę w wąskim przejściu pomiędzy straganami, wysłuchiwałam narzekań klientów.

- Strasznie blada ta kapusta, do tego nadgniła.

- Cóż to za chleb? Twardy i czerstwy.

- To mięso, nie dość, że niewiadomego pochodzenia, to jeszcze niezbyt świeżo pachnie!

Jedzenie, które budziło odrazę w przyzwyczajonych do przedwojennego dostatku mieszczanach i wieśniakach, dla mnie stanowiło raj obfitości. Poczułam skurcz żołądka. Poprosiłam o dwa bochenki chleba. Ze spuszczoną głową wręczyłam sprzedawcy kartki żywnościowe. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Wytłumaczyłam sobie, że to tylko złudzenie. W zwyczajnej sukience, z jasną cerą i nienagannym akcentem, w oczach obcego niczym nie różniłam się od przeciętnej Polki. Krysia z rozmysłem wybrała bazar w pobliżu

dzielnicy robotniczej w północnej części miasta, ponieważ nikt z moich dawnych znajomych nie chodził tu na zakupy. Nikt mnie nie powinien rozpoznać.

Wędrując od straganu do straganu, przypomiinałam sobie, jakich produktów potrzebujemy: mąki, kilku jajek, kurczaka, jeśli jakiś się trafi. Nigdy nie spisywałam listy sprawunków. Teraz, w dobie niedostatku papieru, wyćwiczona pamięć dobrze mi służyła. Sprzedawcy byli uprzejmi, ale nie rozrzutni. Dbali o swój interes. Nie można było liczyć na dodatkowy plasterk sera za piękny uśmiech czy ciasteczko dla błękitnookiego malca. Chociaż szybko wykorzystałam wszystkie kartki żywnościowe, zapełniłam koszyk tylko do połowy.

W powiewach zimnego wiatru wyprowadziłam Łukasza z targu. Czekala nas daleka droga do domu, bocznymi ulicami. Kilka minut później skręciliśmy w Grodzką, elegancki bulwar, zabudowany pięknymi domami i sklepami. Zawahałam się. Nie zamierzałam tu przychodzić. Skurcz w klatce piersiowej utrudniał mi oddech.

To tylko kolejna ulica, nic łatwiejszego niż przez nią przejść, tłumaczyłam sobie. Po pokonaniu kilku metrów ponownie przystanęłam, tym razem przed jasnożółtą kamienicą z białymi drzwiami i drewnianymi skrzynkami na kwiaty w oknach. Mój wzrok powędrował na drugie piętro. Żal ścisnął mnie za gardło. Zabraniałam sobie wracać do przeszłości, ale samowolne myśli popłynęły własnym torem.

To był dom Jakuba. Nasz dom. Poznałam Jakuba jeszcze w czasach pokoju, w pewne piątkowe popołudnie, gdy pracowałam w bibliotece

uniwersyteckiej. Pamiętam dokładnie, ponieważ w pośpiechu porządkowałam katalogi, żeby zdążyć do domu na szabas.

- Przepraszam - usłyszałam przed sobą głęboki baryton.

Podniosłam wzrok znad roboty, zła, że ktoś mi przeszkodził. Przybysz, niewysokiego wzrostu, nosił małą jarmułkę oraz starannie przystrzyżoną brodę i wąsy. Miał kasztanowe włosy z lekkim rudawym połyskiem.

- Mogłaby mi pani polecić jakąś dobrą książkę?

- Dobrą książkę? - powtórzyłam, w równym stopniu zaskoczona głębokim spojrzeniem ciemnych oczu, jak niezbyt konkretną prośbą.

- Tak, chciałbym przeczytać coś lekkiego w wolnych dniach, oderwać myśli od studiów. Może „Iliadę”? - sprecyzował.

Nie powstrzymałam śmiechu.

- Uważa pan Homera za rozrywkową lekturę?

- W porównaniu z podręcznikiem fizyki jak najbardziej. - Mrugnął do mnie figlarnie.

Zaprowadziłam go do działu literatury pięknej. Wybrał komedie Szekspira. Gdy podawałam mu tom, dotknął palcami mojej dłoni. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Mimo że otrzymał, o co prosił, nadal zwlekał z odejściem. Dowiedziałam się, że ma na imię Jakub i jest o dwa lata starszy ode mnie. Skończył dwadzieścia lat.

Od tej pory odwiedzał mnie każdego dnia. Chociaż studiował z wielkim powodzeniem nauki ścisłe, jego prawdziwą pasję stanowiła polityka. Działal w wielu organizacjach. Pisał artykuły do studenckich i lokalnych gazet. Krytykował w nich nie tylko polski rząd, lecz

również to, co nazywał „nienasyconą żądzą Niemiec panowania nad sąsiadami”.

Uważałam głoszenie takich poglądów za wielce ryzykowne. O ile Żydzi z sąsiedztwa gorąco dyskutowali na schodach, w sklepach czy przed synagogą, mnie wychowano w przekonaniu, że lepiej głośno nie wyjawiać swoich przekonań.

Lecz Jakub, syn znakomitego socjologa Maksymiliana Baua, nie podzielał mych obaw. Gdy słuchałam, z jakim zapałem przemawia, gdy obserwowałam jego rozognione oczy i żywą gestykulację, zapomniałam o strachu.

Dziwiło mnie, że student z zamożnej, laickiej rodziny zainteresował się córką ortodoksyjnego żydowskiego piekarza, ale nawet jeśli dostrzegał różnicę pochodzenia, nic dla niego nie znaczyła. Zaczęliśmy razem spędzać niedzielne popołudnia na rozmowach i spacerach nad Wisłą. Pewnego dnia, w kwietniu, wędrowaliśmy ścieżką u stóp Wzgórza Wawelskiego tak pochłonięci rozmową, że zatraciłam poczucie czasu.

- Muszę już wracać - oświadczyłam, gdy spostrzegłam, że zapadał zmrok, - Rodzice będą się niepokoić.

- Wkrótce ich odwiedzę - oznajmił zdecydowanym tonem. - Należałoby przecież poprosić o zgodę na nasze spotkania.

Przystanęłam w miejscu, zaskoczona tą deklaracją. Ze zdumienia odebrało mi mowę. Chociaż w ciągu ostatnich miesięcy spędzaliśmy razem wiele czasu i nie ulegało wątpliwości, że Jakubowi odpowiada

moje towarzystwo, nawet nie przemknęło mi przez głowę, że zależy mu na tym, by nadać naszej znajomości oficjalny charakter. Ujął mnie pod brodę i po raz pierwszy delikatnie pocałował w usta. Leciutko rozchyliłam wargi. Czułam, że ziemia ucieka mi spod nóg, jakbym miała za chwilę zemdleć.

Samo wspomnienie tamtego pocałunku rozgrzało krew w mych żyłach. W moim odczuciu od naszego ostatniego spotkania minęły całe wieki. Przez długie miesiące nie widziałam, nie dotykałam męża. Usiłowałam odpędzić smutek. Na próżno. Z tęsknoty bolało mnie całe ciało.

Z zadumy wyrwało mnie skrzypienie otwieranych drzwi. Wizja znikła. Znów stałam przed żółtą kamienicą, patrząc w górę. Jakaś starsza pani wyszła przed próg. Zauważyła nas. Spojrzała podejrzliwie na mnie, potem na Łukasza. Dałabym głowę, że zastanawia się, kim jesteśmy, po co przystanęliśmy pod jej domem. Później odwróciła się od nas lekceważąco, zamknęła drzwi i zeszła po schodach. Teraz to był jej dom. Dość tego! - nakazałam sobie w duchu. Nie wolno mi zwracać na nas uwagi. Pokręciłam głową, żeby przegnać wspomnienia o Jakubie.

- Chodźmy, Łukaszu - powiedziałam głośno, ściskając delikatnie małą rączkę.

Poszliśmy dalej, przez Planty. Drzewa stały już w pąkach, które w każdej chwili mógł zwarzyć spóźniony przymrozek. Łukasz zacisnął mocniej paluszki na mojej dłoni. Rozszerzonymi z przejęcia oczami śledził igraszki wiewiórek, wesoło baraszkujących wśród zarośli,

jakby wiosna rzeczywiście już nadeszła.

Ruszyliśmy dalej, zostawiając za sobą sylwetkę miasta. Pięć minut później wkroczyliśmy w Aleje. Gdybyśmy skręcili w lewo, szeroki bulwar wyprowadziłby nas na południe, na drugą stronę rzeki. Spojrzałam w kierunku mostu. Pół kilometra za nim leżało getto. Skręciłam w tamtą stronę, myśląc o rodzicach. Może, jeśli podejść do muru, zobaczę ich, znajdę sposób, żeby przemyścić im trochę jedzenia, które właśnie kupiłam. Krysia nie miałaby nic przeciwko temu. Znowu przystanęłam. Nie powinnam ryzykować, nie w świetle dnia, nie z dzieckiem. Poczułam skurcz w żołądku, nie z głodu, lecz ze wstydu, że już go nie odczuwam, że korzystam z wolności, spacerując po ulicach, jakby wojna i okupacja nie istniały.

Pół godziny później dotarliśmy do Chełmskiej. Okolica miała wiejski charakter, i tu właśnie mieszkaliśmy. Bolały mnie nogi od długiego marszu po wyboistym trakcie i ręce od dźwigania zakupów, a przez ostatnich kilka metrów również dziecka. Przy rozwidleniu głównej drogi wciągnęłam chłodne już o tej porze, rzeńskie powietrze. Wyczułam w nim zapach ognisk. Po drugiej stronie rolnicy palili uschnięte przez zimę badyle. Gęsty dym snuł się nad łąkami niczym jezioro zielonoszarej mgły.

Skręciliśmy w lewo, w drogę pomiędzy domami rolników, która dalej prowadziła ku porośniętym Lasem Wolskim wzgórzom. Pięćdziesiąt metrów dalej, wśród sosen, stała trzykondygnacyjna, zbudowana z ciemnego drewna willa Krysi. Z daleka przywitał nas słup dymu z komina. Postawiłam Łukasza na ziemi. Ruszył pędem przed

siebie. Usłyszawszy tupot małych nóżek, Krysia wyszła ku furtce z za węgla. W starannie upiętym siwym koku wyglądała, jakby szła na koncert do opery, tylko uwalane ziemią skórzane rękawice zdradzały, że pracowała w ogrodzie. Koronkowe lepiej by do niej pasowały. Ubrudziła brzeg prześlicznej sukienki, o jakiej nie śmiałabym nawet marzyć. Na widok Łukasza jej twarz rozjaśnił uśmiech. Pochyliła proste plecy, żeby wziąć chłopczyka na ręce.

- Czy wszystko dobrze poszło? - spytała, nie odrywając uważnego spojrzenia od dziecka.

Wcale mi nie przeszkadzało, że na mnie nie patrzy. Rozumiałam ją. Martwiło nas, że Łukasz, odkąd zamieszkał z nami, ani razu się nie uśmiechnął, nie wypowiedział ani słowa.

- Mniej więcej - odrzekłam.

- Co to znaczy? - Krysia gwałtownie uniosła głowę.

- Widzieliśmy... Niemców - odpowiedziałam po chwili wahania. Wolałabym nie poruszać przy dziecku bolesnego tematu. Odwróciłam ku niemu głowę. - Przeżyliśmy chwilę grozy, ale na szczęście nie zwrócili na nas uwagi.

- To dobrze. Dostaliście wszystko na targu?

- Mniej, niż się spodziewałam. - Uniosłam koszyk, kręcąc głową z dezaprobatą.

- Nieważne. Poradzimy sobie. Właśnie skopałam ogródek. W przyszłym miesiącu jak zwykle posiejemy.

Podążyłam za nią bez słowa do środka. Podziwiałam jej siłę i wdzięk. Zdecydowane ruchy Krysi przypominały mi Jakuba. Na gó-

rze odebrała ode mnie koszyk.

Zajęła się rozpakowywaniem sprawunków, natomiast ja poszłam do salonu. Chociaż mieszkałam tu od dwóch tygodni, obite aksamitem meble i mnogość dzieł sztuki nadal robiły na mnie wielkie wrażenie. Minęłam okazały fortepian, zatrzymałam się przy kominku. Stały na nim trzy fotografie w ramkach. Pierwsza przedstawiała Marcina, zmarłego męża Krysi, w smokingu i z wiolonczelą. Druga - Jakuba jako dziecko nad jeziorem. Wzięłam do ręki trzecią - z naszego ślubu. Staliśmy na schodach przed domem państwa Bau na Grodzkiej: Jakub w ciemnym garniturze, ja w lnianej ślubnej sukni do kostek. Wcześniej nosiły ją moja mama i babcia. Chociaż kazano nam patrzeć w obiektyw, zwróciliśmy głowy ku sobie. Śmiałam się jeszcze z żarciku, który Jakub szepnął mi przed chwilą do ucha.

Z początku planowaliśmy wziąć ślub rok później, gdy Jakub skończy studia, ale w lipcu 1939 roku hitlerowskie Niemcy zagarnęły czeskie Sudety*¹ przy biernej postawie mocarstw zachodnich. Sytuacja robiła się coraz groźniejsza, gotowe do ataku wojska niemieckie stały przy polskiej granicy. Słyszeliśmy różne historie o prześladowaniach Żydów w Niemczech i Austrii. Niepewni, jaki los nas czeka, gdy wkroczy armia Hitlera, postanowiliśmy wziąć ślub jak najszybciej, żeby razem ruszyć w nieznaną, ale z pewnością niełatwą przyszłość. Pewnego popołudnia podczas przechadzki nad Wisłą Jakub

¹ * Czeskie Sudety zostały zaanektowane przez Niemców nie w lipcu 1939 roku, ale w październiku 1938 roku, po układzie monachijskim. Reszta Czech została zajęta przez Niemców w marcu 1939 roku, a Czechosłowacja rozpadła się na Protektorat Czech i Moraw bezpośrednio podległy Rzeszy oraz Słowację z faszystowskim rządem, sojusznikiem Hitlera.(przyp. red.).

przystanął, odwrócił się twarzą do mnie, następnie przyklęknął na jedno kolano i poprosił mnie o rękę.

Nawet nie byłam zaskoczona. Poprzedniego ranka poszedł do synagogi razem z moim ojcem. Spojrzenie taty po powrocie powiedziało mi, że nie dyskutowali o polityce czy religii, lecz o naszej wspólnej przyszłości. Mimo wszystko łzy napłynęły mi do oczu.

- Nadchodzą niepewne czasy - zaczął Jakub.

Nie powstrzymałam uśmiechu. Tylko on jeden potrafił nadać oświadczeniom charakter politycznego przemówienia.

- Cokolwiek nas czeka, chciałbym, żebyśmy razem przez to przeszli. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

- Tak - wyszeptałam.

Jakub włożył mi na palec srebrny pierścionek z maleńkim brylantem. Wstał i pocałował mnie, dłużej, namiętniej niż kiedykolwiek przedtem.

Wzięliśmy ślub pod baldachimem w eleganckim salonie teściów, tylko w obecności najbliższych członków rodziny. Po weselu przenieśliśmy mój skromny dobytek do wolnego pokoju w ich mieszkaniu, który odtąd mieliśmy zajmować. Wkrótce profesor Bau wyjechał wraz z żoną na wykłady do Genewy. Zostaliśmy sami. Wychowana w skromnym, trzypokojowym mieszkanku, nie przywykłam do takiego przepychu. Wysokie pomieszczenia z wyfroterowanymi do połysku parkietami przypominały mi muzeum. Z początku czułam się obco w przestronnych wnętrzach, wypełnionych muzyką, sztuką i książkami. Leżeliśmy z mężem do późna w nocy, szeptem snując plany na

przyszły rok. Liczyliśmy na to, że gdy Jakub ukończy studia, stać nas będzie na kupno własnego domu.

Mniej więcej trzy tygodnie po ślubie, w pewne piątkowe popołudnie, postanowiłam odwiedzić żydowską dzielnicę, Kazimierz, żeby przynieść na szabas chałę z piekarni naszego ojca. Gdy weszłam do sklepiku, zastałam w nim sporo kupujących. Ponieważ klienci się spieszyli, żeby zdążyć ze świąteczną kolacją, stanęłam za ladą, by pomóc ojcu zrealizować liczne zamówienia. Właśnie wydawałam jakiemuś klientowi resztę, gdy do środka wbiegł młody chłopak i krzyknął od progu:

- Niemcy zaatakowali!

Zamarłam w bezruchu, jakby poraził mnie piorun. Wszyscy zamilkli. Ojciec przyniósł radio z zaplecza. Obecni zgromadzili się przy ladzie, żeby wysłuchać komunikatu. Niemcy uderzyli na Westerplatte, polską placówkę wojskową leżącą na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Było oczywiste, że to początek wojny z hitlerowską potęgą. Kilka kobiet histerycznie zapłakało. Spiker zamilkł. Zagrano polski hymn. Parę osób zaczęło śpiewać.

- Polskie wojsko nas obroni - zapewnił pan Kłopowicz, zasuszony weteran pierwszej wojny światowej.

Ale ja wiedziałam, że polska armia, złożona głównie z piechoty i konnej kawalerii, nie odeprze niemieckich czołgów ani żołnierzy z karabinami maszynowymi. Popatrzyłam na ojca. Napotkałam jego wzrok. Zacisnął palce na modlitewnym szalu, aż mu kostki zbieleły. Wiedziałam, że oczekuje najgorszego.

- Idź już - rozkazał, gdy wszyscy klienci opuścili sklep.

Nie poszłam do biblioteki, tylko prosto do domu. Jakub już na mnie czekał z poszarzałą twarzą. Bez słowa wziął mnie w objęcia.

W ciągu dwóch tygodni Niemcy rozgromili polską armię². Nagle na ulicach Krakowa pojawiły się czołgi i mężczyźni o kwadratowych szczękach, ubrani w brązowe mundury. Gdy szli, tłum ustępował im z drogi. Zwolniono mnie z pracy. Wkrótce dziekan oznajmił Jakubowi, że Żydom nie wolno już studiować na uniwersytecie. Cały nasz świat niespodziewanie legł w gruzach. Liczyłam przynajmniej na to, że teraz, gdy Jakub już nie będzie uczęszczał na zajęcia, zaczniesz spędzać ze mną więcej czasu. Próżne nadzieje!

Polityczne zebrania w rozrzuconych po mieście prywatnych mieszkaniach przybrały gorączkowy charakter. Chociaż mąż nie zdradzał ich treści, przypuszczałam, że dotyczą oporu przeciw faszystom. Chciałam go poprosić, żeby zaprzestał tej ryzykownej działalności. Groziło mu aresztowanie albo coś jeszcze gorszego. Zdawałam sobie jednak sprawę, że moje obawy nie ostudzą jego zapału.

Pewnej wtorkowej nocy zasnąłam, czekając na niego. Obudziłam się o północy, nadal sama. Dawno powinien był wrócić, obowiązywała przecież godzina policyjna i za jej nieprzestrzeganie groziło aresztowanie czy też śmierć na miejscu od kuli niemieckiego żołnierza. Wstałam z łóżka. W mieszkaniu panowała cisza. Nie słyszałam żadnych dźwięków, prócz plaskania moich bosych stóp po podłodze,

² * Kampania wrześniowa trwała nie dwa tygodnie, ale ponad miesiąc. Warszawa skapitulowała 28 września, ostatnia bitwa (pod Kockiem) zakończyła się 5 października 1939 roku; do Krakowa wojska niemieckie wkroczyły 6 września (przyp. red.).

gdy nerwowo przemierzałam pokój. Co pięć minut biegłam do okna jak w gorączce, patrząc, czy Jakub nie nadchodzi.

Wkrótce po wpół do drugiej usłyszałam hałas w kuchni. Mąż wszedł na górę tylnymi schodami. Włosy i broda, które zawsze starannie pielęgnował, były zmierzwione. Nad górną wargą dostrzegłam kropelki potu. Cała drżąca, otoczyłam go ramionami. Jakub bez słowa wziął mnie za rękę i zaprowadził do sypialni. Nie próbowałam nawet nawiązać rozmowy. Przewrócił mnie na łóżko i kochał z taką gwałtownością, jak nigdy dotąd.

- Muszę cię opuścić, Emmo - wyznał później, jeszcze tej samej nocy.

Zimne jesienne powietrze osuszyło moją spoconą skórę. Poczułam chłód i nagły skurcz serca.

- Z powodu twoich zajęć?

- Tak.

Doskonale wiedziałam, że nie ma na myśli przerwanych studiów.

- Kiedy? - spytałam niespokojnie.

- Wkrótce. Pewnie w najbliższych dniach.

Wychwyciłam wahanie w jego głosie, które świadczyło o tym, że nie wyznał wszystkiego. Odwrócił się na bok. Przycisnął brzuch do moich pleców.

- Zostawię ci pieniądze. Będziesz ich potrzebować.

- Nie chcę ich. - Machnęłam lekceważąco ręką. Łzy napłynęły mi do oczu. Gdybym miała choć cień nadziei, że mnie wysłucha, błagałabym, żeby został.

- Emmo... Powinnaś zamieszkać u rodziców.
- Dobrze. - Kiedy odejdziesz, dodałam w myślach.
- Jeszcze jedno. - Sięgnął do szuflady w nocnej szafce i podał mi zwój papieru, opatrzony woskową pieczęcią. Był to *kittubach*, napisane po hebrajsku świadectwo ślubu. W natłoku dramatycznych wydarzeń nie zdążyliśmy zarejestrować naszego związku w urzędzie. - Spal to.

- Nigdy. - Oddałam mu dokument.
- Zdejmij obrączkę. Udawaj, że nigdy nie byliśmy małżeństwem. Poproś swoją rodzinę, żeby dochowała tajemnicy. Kiedy odejdę, nikt nie powinien wiedzieć o naszym związku. Jako mojej żonie grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? - powtórzyłam z niedowierzaniem. - Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niebezpiecznego niż być Żydówką w okupowanym przez hitlerowskie Niemcy kraju. Co jeszcze może mi zaszkodzić?

- Zrób, o co proszę, Emmo.
- Dobrze - obiecałam, wsuwając akt małżeństwa pod materac. Nie zamierzałam dotrzymać obietnicy. Za nic w świecie nie zniszczyłabym jedyne ogniwo, które połączyło nas na zawsze.

Leżałam jeszcze długo, słuchając jego równego oddechu, kiedy usnął. Gładziłam go delikatnie po głowie, wtuliłam nos w jego szyję, wdychałam jego zapach. Nakryłam dłoń męża swoją, żeby zachować w pamięci jej kształt.

Jakub drgnął. Uniósł głowę i krzyknął. Pewnie we śnie już bił się z

wrogiem. Chociaż opadały mi powieki, zawzięcie walczyłam z sennością. Szkoda mi było każdej chwili, przecież czekało mnie wiele samotnych nocy.

W końcu zmoгло mnie zmęczenie. Kilka godzin później obudziło mnie szuranie zamiataczy ulic i stukot końskich kopyt. Mimo ciemności kupcy już ciągnęli z towarem do miasta. Poglądziłam ciepłe jeszcze prześcieradło w miejscu, gdzie niedawno leżał mój mąż. Wiedziałam, że plecak i rzeczy Jakuba znikły. On też.

- Głodna? - Głos Krysi wyrwał mnie z zamyślenia.

Uświadomiłam sobie, że już od jakiegoś czasu stoi w salonie i mówi do mnie. Nie słyszałam ani słowa. Z ociąganiem odwróciłam ku niej twarz, obudzona z pięknego snu na jawie.

Kryśia wyciągnęła ku mnie talerz z chlebem i serem.

- Nie, dziękuję. - Pokręciłam głową, nadal na pograniczu rzeczywistości i marzeń.

Kryśia postawiła talerz na stoliku do kawy, podeszła do mnie.

- Piękne zdjęcie. - Wskazała fotografię, którą trzymałam w ręce.

Nie odpowiedziałam. Wzięła w rękę drugą, tę z dzieciństwa Jakuba.

- Trzeba je schować. Nikt nie może ich widzieć.

- Któż miałby je oglądać? - zaprotestowałam.

- Mieszkamy tu tylko we trójkę.

Kryśia zwolniła pokojówkę i ogrodnika, zanim sprowadziła mnie i Łukasza. W ciągu tych dwóch tygodni nikt nas nie odwiedzał.

- Nigdy nic nie wiadomo - odrzekła dziwnym, jakby nie swoim głosem. - Ostrożność nigdy nie zawadzi. Wyciągnęła rękę w moją

stronę.

Nie chciałam oddawać najdroższej pamiątki, ale nie miałam wyjścia. Z ciężkim westchnieniem wręczyłam jej ślubną fotografię.

A potem patrzyłam półprzytomnym wzrokiem, jak wynosi ją z pokoju.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Tego ranka, gdy Jakub zniknął, nie odważywszy się na choćby jedno słowo pożegnania, siedziałam na łóżku przez kilka minut. Rozglądałam się po pokoju, mrugając powiekami.

- Nie wrócił - powiedziałam głośno do siebie, zbyt oszołomiona, żeby zapłakać. Automatycznie ubrałam się. Tak szybko, jak to możliwe, spakowałam torby, jakbym wcześniej wielokrotnie przećwicyła każdy ruch. Obrączki i świadectwo ślubu włożyłam na dno. W ostatniej chwili, już w drzwiach sypialni, zawahałam się. Na regale, pomiędzy podręcznikami fizyki a politycznymi rozprawami Jakuba, leżało kilka powieści, przeważnie zagranicznych pisarzy: „Ivanhoe”, „Duma i uprzedzenie” i parę innych. Przesunęłam palcami po grzbietach. Jakub podarował mi je na początku znajomości. Kiedy odwiedzał mnie w bibliotece, zawsze przynosił pomarańcze, kwiatek lub inny drobny upominek. Gdy ofiarował mi pierwszą książkę, parsknęłam śmiechem.

- Co to za pomysł przynosić bibliotekarce książki? - zażartowałam, przeglądając oprawione w skórę tłumaczenie „Wielkich nadziei” Karola Dickensa.

- Tej na pewno nie masz - zaprotestował z powagą, choć w ciemnych oczach błyszczały wesołe iskierki.

Rzeczywiście, chociaż dużo czytałam, jeszcze nigdy w życiu nie posiadałam żadnej książki na własność. Rodzice zachęcali mnie do nauki, posyłali do żydowskiej szkoły dla dziewcząt, póki mogli sobie

na to pozwolić, ale nie było nas stać na nic innego prócz rodzinnej Biblii i modlitewnika. Dlatego ceniłam każdy tomik od Jakuba jak bezcenny skarb. Nigdy nie zdradziłam, że większość tych powieści już przeczytałam, niektóre tyle razy, że znałam je niemalże na pamięć. Wracałam do nich z przyjemnością, a znane historie nabierały nowych odcieni, odkąd należały do mnie. Przechowywałam je w szufladzie komody, a po ślubie zabrałam z sobą do domu męża.

Na wspomnienie pierwszego podarunku od Jakuba zapiekły mnie oczy. Otarłam łzę. Gdzie jesteś, kochany, kiedy wrócisz? - spytałam go w myślach ze wzrokiem wbitym w półkę. Nie mogłam zabrać wszystkich książek, bo były za ciężkie, ale chciałam jakieś wziąć na pamiątkę. W końcu wsunęłam dwie do torby.

Wychodząc z domu państwa Bau z torbami w obu rękach, zerknęłam na różowe jedwabne zasłony w wysokich oknach, przewiązane eleganckim, brązowym sznurem, na porcelanę ze złoconymi brzegami w kredensie w holu. Pomyślałam, że gdy opuszczę ten dom, nikt nie powstrzyma włóczęgów czy nazistów przed jego splądrowaniem. Przez chwilę rozważałam możliwość pozostania, jednak w końcu uznałam argumenty Jakuba, że zbyt wiele bym ryzykowała, mieszkając tu sama.

Gestapo coraz częściej dokonywało rewizji. Wielu żydowskich właścicieli już wywłaszczono, zrabowano dobytek, a mieszkania przyznano niemieckim oficerom wysokiej rangi. Miałam ochotę zabrać z sobą kilka cenniejszych przedmiotów, mniejszych obrazów lub też srebrnych lichtarzy, ale nawet gdybym je udźwignęła, u moich

rodziców też nie byłyby bezpieczne.

Przystanąwszy w holu, rozejrzałam się po raz ostatni, zanim zamknęłam za sobą drzwi.

Ruszyłam Grodzką w stronę dzielnicy żydowskiej. W miarę oddalania się od centrum, ulice stawały się coraz węższe, budynki coraz bardziej zaniedbane. Mimo woli wspomniałam dzień, kiedy Jakub po raz pierwszy odprowadził mnie pod dom. Nalegał od paru miesięcy, ale zawsze odmawiałam, w obawie, że widok naszego ubóstwa unacznia mu różnice między biedną, ortodoksyjną rodziną a jego zamożną i oświeconą. Bałam się, że mnie porzuci. Bacznie obserwowałam jego reakcję, gdy mijaliśmy odrapane kamienice i nędznie ubranych sąsiadów. Nie usłyszałam ani słowa komentarza. Tylko sposób, w jaki przygryzł wargę, powiedział mi, że przeżył wstrząs. Otoczył mnie opiekuńczym ramieniem. Od tej pory okazywał mi jeszcze więcej czułości. Chyba tego właśnie dnia zdecydował, że wyrwie mnie z niedostatku. Teraz zniknął, a ja wracałam sama na Kazimierz z oczami pełnymi łez.

Wkrótce dotarłam do Szerokiej, głównej ulicy dzielnicy żydowskiej. Przystanąłam. Popatrzyłam na domy i synagogi. Coś mi nie pasowało. Coś się zmieniło od mojej ostatniej wizyty. Zwykle o tej porze, w powszedni dzień rano, sąsiedzi nawoływali się przez otwarte okna, mężczyźni dyskutowali przed sklepami, kobiety w szalach dźwigały tobołki z żywnością i opałem. Teraz panowały tu pustki. Niezwykła cisza aż dzwoniła w uszach, jakby wszyscy mieszkańcy wymarli w ciągu jednej nocy.

Postanowiłam odwiedzić ojca w piekarni, zanim pójde do domu. Otworzył ją w latach młodości, przed trzydziestu laty. Złożona z małego sklepiku i przyległej kuchni, stanowiła źródło utrzymania rodziny. Pracował tu codziennie. Nawet podczas okupacji nie zwinął interesu mimo kłopotów z zaopatrzeniem i małej liczby wypłacalnych klientów. Zaopatrywał rodzinę, sąsiadów i przyjaciół w niewielkie ilości zabronionych obecnie tradycyjnych żydowskich wypieków: chleba, chały na szabas i macy na Paschę.

Pomyślałam, że z pewnością zechce, żebym włożyła jeden z obszernych fartuchów i pomogła mu przy pracy. Po przeprowadzce z Kazimierza najbardziej brakowało mi właśnie wspólnego pieczenia. Zwykle gawędziliśmy godzinami przy zagniataniu ciasta. Tata często wspominał dzieciństwo, dziadków, których nie znałam, ich wielki sklep przy granicy niemieckiej. Czasami milkł nagle albo mruczał coś pod nosem. Nie musiałam na niego patrzeć, by wiedzieć, że się uśmiecha. Ciemną brodę miał zwykle przyprószoną mąką.

Skreśliłam w lewo w ulicę Józefa, przystanąłam przed piekarnią, spróbowałam otworzyć drzwi. Były zamknięte. Z początku pomyślałam, że pomyliłam dni, że to szabas, kiedy nikt nie pracuje. Mój ojciec tylko raz nie otworzył piekarni w dzień powszedni: kiedy się urodziłam. Przycisnęłam nos do szyby. W środku panowały ciemności. Poczułam dziwny niepokój. Minęła ósma, więc ojciec powinien pracować od paru godzin. Czyżby mama zachorowała? Natychmiast pospieszyłam do mieszkania na Miodowej. Kilka minut później wchodziłam do mrocznej kamienicy, w której mieszkałam do

ślubu z Jakubem. Na klatce schodowej wciągnęłam ciężkie, przesycone odorem cebuli i kapusty powietrze. Popędziłam na górę. Ciężko dysząc, postawiłam torby na korytarzu. Chwyciłam za klamkę.

- Dzień dobry! - zawołałam od progu.

Rozejrzałam się dookoła. Promienie słońca wpadały do saloniku przez wielkie okna. Jako dziewczynka bardzo lubiłam to nieduże, przytulne pomieszczenie i dopiero po ślubie, po przeprowadzce do domu państwa Bau, zaczęłam dostrzegać jego ubóstwo. Podczas pierwszej wizyty po miodowym miesiącu patrzyłam z niesmakiem na pożółkłe firanki i wytartą tapicerkę. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że zostawiłam rodziców w starym, zaniedbanym domu, podczas gdy sama korzystałam z luksusów, ale oni nie widzieli powodu do zmartwień. Mieszkali tu od niepamiętnych czasów, innego domu nie znali. Teraz ja także muszę żyć w tej nędzy, pomyślałam z niechęcią. Jednocześnie gardziłam sobą za snobizm.

- Dzień dobry! - zawołałam ponownie, tym razem głośniej. Odpowiedziała mi cisza. Zerknęłam na zegar przy kominku. Minęło wpół do dziewiątej.

Ojciec dawno powinien wyjść do piekarni, ale gdzie jest mama? Nigdy nie wychodziła tak wcześnie. Pociągnęłam nosem. Brakowało zapachu jajek i cebuli, które zawsze przyrządzała na śniadanie. Zaniepokojona pobiegłam do pokoju rodziców. Kilka szuflad komody było otwartych. Zwisały z nich sztuki odzieży. Mama nigdy nie zostawiłaby takiego bałaganu. Zniknął też szary, wełniany koc po dziadkach, który zawsze leżał w nogach łóżka. Wpadłam w popłoch.

- Mamo! - zawołałam. Popędziłam z powrotem przez salon na korytarz, wyrzałam na klatkę schodową. W całym budynku panowała martwa cisza, słyszałam tylko echo własnych kroków. Zwykle przez cienkie jak papier ściany dochodził gwar rozmów, brzęk naczyń, szum ciekącej wody. Teraz wszystko zamilkło. Serce waliło mi jak młotem. Mieszkańcy znikli. Zamarłam w bezruchu, nie wiedząc, co robić. Nagle usłyszałam łoskot piętro wyżej.

- Halo? - zawołałam, ruszając na górę. Poprzez poręcz schodów mignęło gdzieś na górze niebieskie ubranie. - Jestem Emma Gershmann - wymieniłam swoje panieńskie nazwisko. - Kto tam jest? - zapytałam bez lęku. Nawet mi do głowy nie przyszło, że coś złego może mnie spotkać.

Ten ktoś na górze zrobił jeden krok, potem drugi. Mały, najwyżej dwunastoletni chłopiec wyszedł mi na spotkanie. Rozpoznałam jedno z licznych dzieci Rosenkrantzów z czwartego piętra.

- Jonasz, prawda? - zapytałam.

Chłopiec skinął głową.

- A gdzie pozostali?

Milczał przez dobrych kilka minut.

- Bawiłem się na podwórku, gdy nadeszli - zaczął prawie szeptem.

- Kto, Jonaszu? - dociekałam dalej, chociaż truchlałam ze strachu w przewidywaniu odpowiedzi.

- Mężczyźni w mundurach - odrzekł cichutko. - Całe mnóstwo.

- Niemcy?

Pokiwał głową. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Oparłam się o poręcz.

- Kiedy?

- Dwa dni temu. Wypędzili wszystkich, w wielkim pośpiechu. Całą moją rodzinę. Twoją również.

- Dokąd? - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

- Na południe, w kierunku Wisły. Każdy zabrał walizkę.

Do getta*³, pomyślałam. Usiadłam na ostatnim schodku. Hitle- rowcy odgradzili murem Podgórze, osiedle na południowym brzegu, i zmusili Żydów z sąsiednich wiosek do przeprowadzki. Nigdy nie przypuszczałam, że moja rodzina też tam trafi. Mieszkaliśmy już przecież w żydowskiej dzielnicy.

- Przeczekałem w ukryciu, aż odejdą - dodał Jonasz.

Nie odpowiedziałam. Wstałam i wróciłam do mieszkania. Przy- stanęłam jeszcze przed drzwiami. Zerwano z nich mezuzę, metalowe pudełeczko z odręcznie napisanym werselem z Pięcioksięgu, który

³ Niemcy rozpoczęli akcję przesiedlania Żydów krakowskich do dzielnicy Podgórze w grudniu 1939 roku; w marcu 1941 roku utworzono tam getto; na początku kwietnia przystąpiono do wznoszenia wysokiego muru. Od 15 października 1941 roku dzielnica stała się formalnie dzielnicą zamkniętą; za jej opuszczenie bez stosownej przepustki groziła kara śmierci (przyp. red.).

miał zapewniać mieszkańcom długie, szczęśliwe życie. Wisiało tu od dziesięcioleci. Dotknęłam jaśniejszego śladu na futrynie. Przypuszczałam, że mezuzę zabrał ojciec. Przewidywał, że już tu nie wróci. Musiałam ich odnaleźć. Zabrałam torby, zamknęłam za sobą drzwi i zwróciłam się do Jonasza, który zszedł za mną:

- Nie możesz tu zostać, Jonaszu. Nie będziesz bezpieczny. Czy masz dokąd pójść?

Pokręcił głową. Nie mogłam go zabrać ze sobą. Wyciągnęłam z torebki garść monet, które zostawił mi Jakub.

- Weź, kup sobie jedzenie.

Chłopiec schował pieniądze do kieszeni.

- Dokąd idziesz?

- Odnaleźć rodziców - odparłam po długiej chwili wahania.

- Do getta?

Zaskoczył mnie. Nie przypuszczałam, że zdaje sobie sprawę, dokąd zabrano jego rodzinę.

- Tak.

- Jeśli tam wejdiesz, nie będzie ci wolno wyjść.

Podziwiałam jego dziecięcą logikę. Sama w nerwach i pośpiechu nie wzięłam pod uwagę, że dobrowolnie idę do więzienia. Znów się zawahałam.

- Muszę. Uważaj na siebie. Lepiej, żeby nikt cię nie zobaczył. - Położyłam mu rękę na ramieniu. - Jeżeli spotkam twoją mamę, powiem, że jesteś cały i zdrowy. - Nie czekając na odpowiedź, odwró-

ciłam się i zeszłam po schodach.

Przystanęłam na chodniku, rozejrzałam się po wyludnionej ulicy. Hitlerowcy wygnali stąd wszystkich mieszkańców. Stałam bez ruchu, usiłując podjąć najważniejszą decyzję. Jeśli przekroczę bramę getta, nie będę miała odwrotu. Z drugiej strony, jakie miałam wyjście? Nie mogłam zostać w mieszkaniu. Nawet na ulicy nie byłam bezpieczna. Z całego serca żałowałam, że nie ma przy mnie Jakuba. On z pewnością wiedziałby, co robić. Gdyby ze mną został, siedziałabym teraz spokojnie w mieszkaniu, zamiast stać bezradnie na rogu ulicy. Czy w ogóle by odszedł, gdyby wiedział, co dalej nastąpi?

W końcu zdecydowałam, że pójdę do getta. Musiałam sprawdzić, czy przebywają tam moi rodzice i jak się czują. Obładowana ponad miarę, pospieszyłam pustymi ulicami żydowskiej dzielnicy na południe, w kierunku Wisły. Tylko stukanie moich obcasów i szuranie torby o płyty chodnika przerywały martwą ciszę tego wczesnego poranka. Spociłam się, ręce mnie bolały od dźwigania ciężkich bagaży.

Wkrótce dotarłam na brzeg Wisły, na granicę pomiędzy naszym starym a nowym światem. Przystanęłam przed mostem kolejowym. Popatrzyłam na przeciwległy brzeg. Nie znałam Podgórze, tłocznej, gwarnej dzielnicy handlowej. Wśród brudnych, zapuszczonych budynków wypatrzyłam zwieńczenie muru getta. Całe moje ciało przeszedł zimny dreszcz. Powiedziałam sobie, że zamieszkać zaledwie kilka kilometrów od domu, co mnie wcale nie uspokoiło. Getto to nie Kazimierz ani nie dom. To inny świat, równie daleki jak odległe

planety. Przez chwilę rozważałam, czy nie lepiej zawrócić. Tylko dokąd? Nie znalazłam odpowiedzi. Z ciężkim westchnieniem wkroczyłam na most kolejowy. Nogi ciążyły mi niczym bryły ołowiu. W ciszy słyszałam plusk wiślanych fal o brzeg, który opuściłam. Czułam zapach wody. Zabroniłam sobie patrzeć wstecz. Gdy dotarłam na drugą stronę, gdzieś za moimi plecami zakwilił szpak. Mimo woli odwróciłam głowę. Mój wzrok bezwiednie powędrował ku skąpanym w słońcu dachom Wawelu i wieżom katedry. Od najmłodszych lat wzrastałam, bawiłam się, a potem pracowałam w ich cieniu. Sąsiedztwo starego zamku, dawnej siedziby polskich królów, dawało mi zawsze poczucie bezpieczeństwa. Teraz odbierałam jego przepych jak zdradę. Wypędzono mnie. Szłam do więzienia, podczas gdy kamienne mury stały jak

zawsze niewzruszone, obojętne na mój los. Kraków, dawna stolica polskiej monarchii, przestał być moim miastem. Zostałam cudzoziemką w miejscu, które od urodzenia nazywałam domem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przeszłam kilkaset metrów od mostu wzdłuż granitowego muru getta. Wyrzeźbione na szczycie, szerokie na sześćdziesiąt centymetrów łuki, złowrogo przypominały płyty nagrobne. Serce podeszło mi do gardła. Przystanąłam przy żelaznej bramie, nabrałam powietrza w płuca przed spotkaniem z hitlerowskim strażnikiem.

- Nazwisko? - zapytał, zanim zdążyłam otworzyć usta.

- Ja... - wyjąkałam.

Podniósł wzrok znad notatnika.

- Nazwisko! - ryknął.

- Gershmann Emma - wykrztusiłam.

Sprawdził na liście.

- Nie ma.

- Nie, ale sądzę, że są tu moi rodzice, Chaim i Reisa Gershmann.

Zerknął jeszcze raz, odwrócił stronę.

- Tak, Limanowskiego 21 mieszkania 6.

- Wobec tego chciałabym do nich dołączyć.

Strażnik obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem. Pomyślałam, że zabroni mi wstępu. Z początku niemalże poczułam ulgę, lecz on po chwili namysłu dopisał moje nazwisko obok rodziców, potem odstąpił na bok, żebym mogła przejść. Zawahałam się. Popatrzyłam na prawo, później na lewo. Wkrótce usłyszałam szcęk zamykanej za sobą bramy. Po drugiej stronie muru owionął mnie silny ludzki odór. Walczyłam z mdłościami. Oddychałam płytko, przez same usta. Za-

pytałam o drogę jakiegoś przechodnia. Pokazał mi kierunek. Przemierzając getto, starałam się nie patrzeć na obdarte, wymizerowane postacie, które nie kryły zdumienia na widok nowo przybyłej. Skreśliłam w Limanowskiego, przystanąłam pod wskazanym domem. Budynek wyglądał jak przeznaczona do wyburzenia ruderka. Weszłam na klatkę schodową. Na ostatnim piętrze postawiłam bagaże, wytarłam spocone dłonie o spódnicę. Przez zbutwiałe drzwi jednego z mieszkań dobiegł moich uszu głos mamy. Łzy napłynęły mi do oczu. Do tej pory nie chciałam wierzyć, że naprawdę ich tu zastanę. Zapukałam.

- Nu? - usłyszałam wołanie ojca, później odgłos kroków, wreszcie skrzypienie otwieranych drzwi. Na mój widok zrobił wielkie oczy. - Emmala! - wykrzyknął, zarzucając mi na szyję potężne ramiona. Tulił mnie do siebie tak mocno, że omal nie padliśmy na ziemię.

- Co ty tu robisz? - zawołała zza jego pleców mama, która właśnie nadeszła. Oczy jej pociemniały, w rękach miętoszyła rąbek fartucha. Gdy tato wreszcie wypuścił mnie z objęć, wciągnęła mnie do środka.

Kiedy zobaczyłam, w jak nędznych warunkach przyszło im żyć, mimo woli zadrżałam. W porównaniu z jedynym, ciasnym, ciemnym, cuchnącym stęchlizną pokojem nasze skromne mieszkanko na Kazimierzu było pałacem. Przyznaję, że mama zrobiła, co w jej mocy, żeby uczynić wnętrze zdatnym do zamieszkania, ale niewiele to dało. W ponurym oknie z potrząskaną szybą zawiesiła jasnożółte zasłony, przedzieliła prześcieradłami pomieszczenie na część sypialną i mieszkalną, tak małą, że pomieściła zaledwie mały stół i trzy krzesła.

Mimo wszelkich wysiłków ich nowa kwatery nadal wyglądała koszmarne.

- Wróciłam na Kazimierz, żeby z wami zamieszkać, ale was nie zastałam. - W moim głosie mimo woli zabrzmiała oskarżycielska nuta. Czemu mnie nie uprzedzili albo przynajmniej nie zostawili wiadomości?

- Dali nam pół godziny na spakowanie - wyjaśnił ojciec, podsuwając mnie i mamie krzesła. - Nie starczyło czasu, żeby cię zawiadomić. Gdzie Jakub?

- Pracuje - odrzekłam.

Pokiwali głowami. Nie zaskoczyłam ich. Doskonale wiedzieli o jego politycznej aktywności. Tylko tej jednej pasji w nim nie akceptowali, prócz tego, że nie był ortodoksyjnie religijny.

- Nie powinnaś tu przychodzić - wytknął ojciec, nerwowo przemierzając pomieszczenie. - My jesteśmy już starzy, nikt nie będzie sobie nami głowy zawracał. Gorzej z młodymi...

Nie musiał kończyć. Młodych ludzi deportowano z Krakowa. Ci, którzy otrzymali nakaz wyprowadzki do getta, wpadali w pułapkę bez wyjścia.

- Nie miałam dokąd pójść.
- Cóż, najważniejsze, że jesteśmy znów razem
- stwierdziła mama, ujmując moją dłoń. - Chodź, pomożemy ci się rozlokować.

Następnego ranka poszłam do Judenratu, założonego przez okupanta żydowskiego organu administracyjnego, żeby się zameldować. Oddelegowano mnie do pracy w sierocińcu. Rodzice już otrzymali przydział. Im również dopisało szczęście. Ojciec pracował w komunalnej kuchni jako piekarz, mama w lecznicy jako pomoc pielęgniarki. Uniknęliśmy najgorszego, to znaczy ciężkich robót poza terenem getta pod okiem brutalnych faszystowskich nadzorców. Tego samego popołudnia rozpoczęłam pracę. Judenrat przeznaczył na sierociniec niewielki, dwukondygnacyjny budynek przy ulicy Józefińskiej. W środku było ciemno, ciasno, tłoczno, lecz niewielki trawiasty placzyk z tyłu stwarzał dzieciom możliwość zabawy na dworze. Mieszkało tam około trzydziestu maluchów. Prawdopodobnie wszystkie straciły rodziców podczas wojny. Lubiłam je obserwować. Chociaż wychudły na głodowych racjach żywnościowych, zachowały dziecięcą psychikę. Nie zdawały sobie sprawy z koszmaru okupacji, okropnego otoczenia ani z tego, że zostały same, bez rodziców, w okrutnym, nieczułym świecie.

Mimo że odczuwałam satysfakcję z pracy, bardzo brakowało mi Jakuba. Przebywając stale w towarzystwie dzieci, często myślałam o tym, jaką rodzinę stworzylibyśmy, gdyby wojna nie wybuchła. Wciąż na nowo odtwarzałam w pamięci nasz ślub i następne dni, a zwłaszcza

noce. Niewiele ich razem spędziliśmy. Pamiętałam każdą. Gdy patrzyłam w niski sufit w nędznej ruderze, w której przyszło mi zamieszkać, dręczyło mnie poczucie winy, że w tak rozpaczliwej sytuacji najbardziej brakuje mi pieśczoć, nagłych uniesień, cudownego świata erotyki, w który na krótko wprowadził mnie Jakub. Gdzie teraz jest?

- pytałam samą siebie każdej nocy, leżąc samotnie w ciemnościach. I z kim? W ruchu oporu na pewno działają również kobiety, a jednak Jakub nie poprosił, żebym do niego dołączyła. Czy jakaś dzielna, śmiała bojowniczką nie skradnie mu serca? Ze wstydem przyznawałam, że bardziej niepokoi mnie, czy dochowuje mi wierności, niż czy nie został ranny albo czy nie marznie.

Brakowało mi nie tylko męża, ale także towarzystwa. Po dwunastogodzinnym dniu pracy, wciąż na nogach, rodzicom ledwie starczało sił, żeby zjeść swoje racje żywnościowe. Zaraz potem szli spać. Getto już odcisnęło na nich swe straszliwe piętno. W krótkim czasie postarzelili się o wiele lat. Ojciec, niegdyś postawny, krzepki mężczyzna, teraz ledwie powłóczył nogami. Mama poruszała się z jeszcze większym trudem. Miała ciemne cienie pod oczami. Gęste, kasztanowe niegdyś włosy zrzędyły i posiwiały. Niewiele spała. Często słyszałam w nocy stłumione łkania z za zaimprovizowanego przepierzenia.

- Reiso, Reiso - szeptał jej imię tato, żeby ją uspokoić. Bez skutku.

Jej płacz bardzo innie martwił. Wychowała się w małej wiosce na wschód od Przemyśla, należącej przed pierwszą wojną światową do

Rosji. Dochodziło tam często do nagłych aktów przemocy przeciwko żydowskiej społeczności. Widziała splądrowane, spalone domy, rozkradzony dobytek, zwłoki tych, którzy śmiercią przypłacili opór. W obawie przed kolejnymi pogromami po śmierci rodziców uciekła na zachód, do Krakowa. Jej rodzice zmarli od chorób, nędzy i zgrzyoty, w okropnych warunkach. Ona przeżyła, ale zdawała sobie sprawę, co nam grozi.

Praca w ochronce także nie rozpraszała mojego poczucia osamotnienia. Pracowały tam głównie starsze kobiety, najczęściej ze wsi, bardzo miłe, ale zaharowane, wiecznie przemęczone. Karmienie, kąpanie i uspokajanie licznej gromadki sierot nie zostawiało wiele czasu na rozmowy. Najbardziej zaprzyjaźniłam się z Hadassą Nederman, tęgą wdową

o okrągłej twarzy. Pochodziła z wioski w okolicach Bochni. Zawsze uśmiechnięta, dla każdego znajdowała miłe słowo czy żarcik. Gdy już ułożyłyśmy maluchy na popołudniową drzemkę, prawie codziennie zamieniałyśmy parę słów przy filiżance wodnistej herbaty. Chociaż nie mogłam jej opowiedzieć o Jakubie, wyczuła, że doskwiera mi samotność. Pewnego dnia, po dwóch miesiącach mojej pracy w sierocińcu, pani Nederman przyprowadziła do mnie ciemnowłosą dziewczynę o podobnej do niej, grubokościstej budowie.

- To moja córka, Marta.

- Cześć! - zawołała Marta tak radośnie, jakby znała mnie od lat.

Natychmiast ją polubiłam. Młodsza o kilka lat ode mnie, uśmiechnięta, spoglądała bystro zza ogromnych okularów. Jej głowę otaczała

niesforna burza ciemnych loków. Paplała nieustannie. Pracowała dla Judenratu jako goniec. Nosiła paczki i listy wewnątrz getta, a czasami również poza obręb murów.

- Musisz do nas przyjść na szabasową kolację
- zaproponowała po kilku minutach rozmowy.
- Do waszego domu? - spytałam zaskoczona. Niewielu mieszkańców getta przyznawało się do świętowania szabasu, jeszcze mniej zapraszało gości.

Marta pokręciła głową.

- Nie. Spotykamy się z przyjaciółmi w każdy piątek wieczorem niedaleko stąd. - Wskazała budynek po przeciwnej stronie ulicy. - Gdy mama opowiedziała mi o tobie, od razu spytałam, czy mogę cię przyprowadzić. Moi koledzy też wyrazili zgodę.

Pomyślałam o rodzicach. Chociaż w getcie jadaliśmy świąteczną kolację tylko we trójkę, nie miałabym sumienia zostawić ich samych. Ojciec przemycał z komunalnej kuchni maleńki bochenek zakazanej chały, mama zapalała na spodeczku bezcenne ogarki świec. Świeczniki zostały na Kazimierzu. Zmęczeni po całym tygodniu harówki rodzice w piątek wieczorem jakby nagle odzyskiwali siły, prostowali zgarbione plecy. Gdy odmawiali modlitwy przyciszonymi, lecz pewnymi głosami, na policzki występował rumieniec. Siedzieliśmy godzinami, wymieniając anegdoty z całego tygodnia. W dni powszednie byliśmy zbyt zmęczeni na pogawędki. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym ich opuścić choćby na jeden wieczór.

- Spróbuję przyjść - odrzekłam bez przekonania, właściwie pewna,

że odmówię. Prócz przywiązania do rodzinnej tradycji przeszkadzała mi nieśmiałość.

Przerażała mnie perspektywa wejścia do pełnego obcych ludzi pokoju.

Lecz pod koniec tygodnia ku własnemu zdziwieniu stwierdziłam, że chciałabym dołączyć do towarzystwa Marty. Wreszcie w czwartek wieczorem przedstawiłam rodzicom jej propozycję.

- Idź koniecznie - odpowiedzieli jednocześnie. Ich twarze rozjaśnił uśmiech. - Jesteś młoda, potrzebujesz towarzystwa rówieśników.

Następnego popołudnia pod koniec zmiany, gdy już nakarmiłam wszystkie dzieci, Marta bez zapowiedzi stanęła w drzwiach.

- Gotowa? - spytała, jakby ani przez chwilę nie wątpiła, że wezmę udział w spotkaniu.

Przeszliśmy przez ulicę na Józefińską 13. Marta poprowadziła mnie słabo oświetloną klatką schodową ku otwartym drzwiom. Wkroczyliśmy do wąskiego, długiego pokoju z kuchnią po prawej stronie

i jeszcze jednymi drzwiami na końcu. Wyblakłe, postrzępione zasłony były zaciągnięte. Większą część pokoju zajmował stół. Otaczało go mnóstwo niepasujących do siebie krzeseł. Marta przedstawiła mnie co najmniej kilkunastu zgromadzonym. Jedni siedzieli przy stole, inni stali obok w grupkach. Większości imion nie zapamiętałam, ale nie miało to znaczenia. Wyglądało na to, że wszyscy przywykli do widoku nowych twarzy. Widocznie co jakiś czas przybywał ktoś, kogo jeszcze nie znali. Serdeczna atmosfera pomogła mi prze-

łamać zahamowania i zapomniałam o wcześniejszych obawach. Rozpoznałam kilka osób z sąsiedztwa. Teraz w niczym nie przypominały posępnych postaci, które widywałam na ulicach. Wszyscy gawędzili, żartowali z przyjaciółmi, jakby wstąpiły w nich nowe siły, jak gdyby tysiące kilometrów dzieliły ich od ponurej rzeczywistości getta.

Kilka minut później ktoś zadzwonił małym dzwoneczkiem. Wszyscy umilkli i jak na komendę podeszli do stołu, żeby zająć miejsca. Marta zaprowadziła mnie na sam koniec, do dwóch wolnych krzeseł przy drzwiach wejściowych. Naliczyłam co najmniej osiemnaście osób. Wbrew moim obawom, jakoś się pomieściliśmy. Staliśmy ramię w ramię w milczeniu, jedno przy drugim. Ktoś otworzył drugie drzwi. Weszło przez nie dwóch mężczyzn, jeden krępy, miał około dwudziestu lat, drugi, nieco wyższy i starszy, z kozią bródką. Przystanęli przy dwóch wolnych krzesłach u szczytu stołu. Młoda kobieta, stojąca obok starszego z nowo przybyłych, zapaliła świecę. Zgromadzeni patrzyli w skupieniu, jak trzykrotnie zatacza rękami kręgi wokół płomieni, odmawiając szabasową modlitwę.

- To Alek Landesberg - szepnęła Marta, wskazując starszego z mężczyzn. - Przewodzi tej grupie.

- *Szalom aleichem* - zaintonował głębokim barytonem. Pozostali mu zawtórowali. Razem odśpiewaliśmy tradycyjne szabasowe pozdrowienie. Popatrzyłam po twarzach obecnych. Jeszcze przed godziną nie znałam tu nikogo, lecz teraz, w świetle świec, wydawali mi się bliscy jak rodzina. Gdy śpiewali, odnosiłam wrażenie, że ich głosy

tkają gobelin, który odgradza nas od straszliwego, zrujnowanego świata na zewnątrz. Łzy napłynęły mi do oczu. Widząc moje wzruszenie, Marta uścisnęła mi dłoń.

Gdy pieśń przebrzmiała, usiedliśmy. Alek uniósł zardzewiały kielich z winem. Wypowiedział błogosławieństwo *kidusz*. Następnie odmówił *motze* nad chałą, zanim posypał ją solą, pokroił i podał zgromadzonym. Chrupiące, miękkie w środku pieczywo nie pochodziło z kuchni getta, przypominało to, które mój ojciec wypiekał niegdyś w swojej piekarni. Gdy talerz krążył wokół stołu, żalowałam, że nie mogę wziąć dodatkowej kromki dla rodziców. Później kilka dziewcząt wyszło do kuchni, po chwili wróciły z dymiącymi garnkami. Nalewały z nich do misek solidne porcje wywaru z kurczaka, ziemniaków i marchwi. Poczulałam ssanie w żołądku. Te produkty również z całą pewnością pochodziły spoza getta.

Podczas posiłku zebrani gawędzili bez przerwy, całkowicie zaabsorbowani sobą nawzajem. Padało wiele imion, przezwisk, anegdot o nieznanym mi osobach, których nikt mi nie objaśniał. Słuchałam z zainteresowaniem, jak Marta ponad moją głowę plotkuje o chłopakach z przyjaciółką po mojej prawej stronie. Później dyskutowała z dwoma młodzieńcami z lewej, czy Stany Zjednoczone przystąpią do wojny. Wcale mi nie przeszkadzało, że nikt nie próbuje nawiązać ze mną rozmowy ani nie zadaje pytań. Zauważyłam, że mężczyzna, który zaintonował modlitwę, patrzy na mnie. Szepnął coś do krępego towarzysza z lewej. Czulałam, że w tym dusznym, zatłoczonym pomieszczeniu płoną mi policzki.

Po kolacji dziewczęta podały mocną, czarną kawę w wyszczerbionych filiżankach na spodeczkach od różnych kompletów. Jakiś młodzieniec przyniósł gitarę i zaczął grać. Wszyscy odeszli od stołu, porozsiadali się wygodnie, odprężeni, weseli, jak na wczasach w Krynicy. Przez kilka godzin śpiewaliśmy piosenki w jidysz i po hebrajsku, nawet te, których nie słyszałam od lat. Dopiero strach przed godziną policyjną zmusił nas do opuszczenia zgromadzenia. Podziękowałyśmy za gościnę i wyszłyśmy.

Począwszy od tego wieczoru wracałam na Józefińską co piątek. Tłumiłam poczucie winy, że nie świętuję szabasu z rodzicami. W ciągu tych kilku godzin zapominałam, gdzie jestem, co mnie otacza. Świąteczne wieczery stanowiły jedyny jasny punkt pośród mrocznej rzeczywistości tamtych dni.

Pod koniec pewnego piątkowego spotkania, po około sześciu tygodniach moich wizyt na Józefińskiej, wkładałyśmy z Martą płaszcze, żeby wyjść. Wtem podeszła do nas Helga, kobieta, która co tydzień przyrządzała dla nas kolację.

- Alek chciałby z tobą porozmawiać - zwróciła się do mnie.

Marta posłała mi pytające spojrzenie.

- Nie musisz na mnie czekać - powiedziałam z udaną swobodą, choć słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte z emocji gardło.

Helga wskazała drzwi na końcu pokoju. Podeszłam, cała w nerwach, robiąc po drodze rachunek sumienia, czy czymś nie uraziłam Alka, lecz kiedy zapukałam, zaprosił mnie do środka szerokim, serdecznym gestem. W niewielkim pomieszczeniu stał mały, zarzucony

papierami stolik, kilka krzeseł i łóżko. Gospodarz wyciągnął do mnie rękę.

- Jestem Alek, Emmo - powiedział ciepło na przywitanie. - A to Marek - przedstawił kolegę.

Zdziwiło mnie, że zna moje imię. Jego towarzysz skinął głową, zabrał stertę papierów ze stołu, przeprosił i wyszedł.

- Usiądź. - Alek wskazał mi krzesło.

Przycupnęłam na samym brzegu. Z bliska widziałam ciemne cienie i cieniutkie zmarszczki wokół jego oczu.

- Przepraszam, że nie przedstawiłem się wcześniej, ale absorbowały mnie pilne sprawy.

Byłam ciekawa, co też można załatwiać w getcie.

- Mówmy wprost, Emmo. - Ściszył głos. - Mamy wspólnego znajomego. - Uniósł brwi. - Bliskiego przyjaciela z uniwersytetu.

Moje serce przyspieszyło do galopu. Znał Jakuba. Nie od razu opanowałam emocje, dopiero po dłuższych wysiłkach udało mi się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Ja... nie wiem, o kogo chodzi - skłamałam.

- Bez obawy - uspokoił mnie, unosząc rękę.

- Tylko ja jeden wiem. Mówił mi o tobie jakiś czas temu. Widziałem twoje zdjęcie.

Poczułam, że się rumienię. Chodziło o ślubną fotografię, tę samą, którą schowała Krycia. Wiedziałam, że Jakub ma odbitkę, ale nie przyszło mi do głowy, by miał ją komukolwiek pokazywać. Czy zachował zdjęcie do tej pory? Kiedy Alek je oglądał?

- pytałam w myślach samą siebie.

- Prosił mnie, żebym miał oko na ciebie, gdybyś tu trafiła. Nie wiedziałem, kim jesteś, póki do nas nie dołączyłaś. Wykonuję tę samą pracę co twój przyjaciel.

- Czy... - Zabrakło mi odwagi, żeby dokończyć pytanie.

- Czasami przesyła nam wiadomość, przeważnie przez posłańca, jako że sam z oczywistych względów nie odwiedza getta. Zawiadomimy go, że nawiązaliśmy z tobą kontakt, że jesteś cała i zdrowa.

- Proszę, bardzo mi na tym zależy. - Gdy Alek przytaknął, dodałam nieśmiało: - Może i ja mogłabym w czymś pomóc.

Zdecydowanie pokręcił głową.

- Niestety nie. Nasz przyjaciel przewidział, że o to poprosisz, i surowo zabronił angażowania cię w jakąkolwiek działalność. Nie chce cię narażać.

- Wolałabym, żeby bardziej dbał o własne bezpieczeństwo - wypaliłam z urazą i zamilkłam, przerażona własną śmiałością.

- Twój mąż to dzielny bojownik. - Alek popatrzył na mnie z dezaprobatą. - Powinnaś być z niego dumna.

- Jestem - odrzekłam ze skruchą.

- To dobrze. Na razie uszanuję jego życzenie. Nie wyznaczam ci żadnych zadań, ale... - Przesunął palcami po brodzie. - Masz własną wolę. Jeżeli chcesz nam pomóc, być może nadejdzie czas, kiedy będziemy cię potrzebować. Jak widzisz, wiele kobiet dla nas pracuje. - Wskazał gestem sąsiedni pokój.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że szabasowe spotkania gro-

madziły działaczy ruchu oporu, do którego i Marta należała.

- Zawsze jesteś tu mile widziana. Oczywiście nikt nie może wiedzieć, czyją jesteś żoną. Musisz trzymać swoje małżeństwo w tajemnicy. Chciałem nawiązać z tobą kontakt, żebyś poznała nasze powiązania.

- Dziękuję. - Uścisnęłam ramię Alka z wdzięcznością i ulgą. Posłał mi ciepły uśmiech, po czym pochylił głowę nad papierami, dając mi w dyskretny sposób do zrozumienia, że posłuchanie skończone.

Opuszczałam lokal niemalże tanecznym krokiem. Alek znał Jakuba, wiedział o naszym małżeństwie. Po raz pierwszy od chwili zniknięcia męża nie czułam się tak beznadziejnie samotna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W poniedziałek po spotkaniu z Alkiem Marta odwiedziła mnie w sierocińcu pod koniec zmiany. Nie zaskoczyła mnie. Odkąd ją poznałam, wpadała prawie codziennie.

- Muszę jeszcze oddać kocioł do kuchni - powiedziałam.

Każdego ranka centralna kuchnia getta dostarczała sierotom sagan zupy, a raczej wodnistej polewki ze skrawkami ziemniaków albo kapusty. Dzieci dostawały dwa chude, niewystarczające do zaspokojenia głodu posiłki dziennie. Pani Nederman, ja i inne pracownice dzieliłyśmy pomiędzy nie w miarę możliwości własne racje żywnościowe.

- Pójdę z tobą - zaproponowała Marta.

- Dobrze. - Zdjęłam płaszcz z wieszaka, pożegnałyśmy jej mamę i ruszyłyśmy pokrytą śniegiem ulicą. Mróz nadal trzymał, ale przynajmniej ustał ostry, przenikający chłodem na wskroś wiatr, który wiał rano, kiedy szłam do pracy.

- O czym rozmawialiście z Alkiem w piątek wieczorem? - spytała Marta, kiedy skręciłyśmy w lewo, w ulicę Lwowską, prowadzącą wzdłuż muru. Wychwyciłam w jej głosie nutę zazdrości, że ja zostałam wybrana, podczas gdy ją odsunięto na boczny tor.

- Wspominaliśmy wspólnych znajomych - odrzekłam wymijająco, unikając jej wzroku.

- Aha... rozumiem. - Przetrawiała moją odpowiedź co najmniej

kilka minut. Wyglądało na to, że ją uspokoiłam. - Miałaś chłopaka przed wojną? - spytała po dość długim milczeniu, już przy dawnym magazynie z cegieł, który obecnie pełnił funkcję kuchni.

Zbiła mnie z tropu. Gorączkowo szukałam właściwej odpowiedzi. Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki od serca, z którą mogłabym dzielić osobiste zwierzenia. Rozpaczliwie pragnęłam opowiedzieć jej o Jakubie, ożywić najpiękniejsze wspomnienia. Być może spotkała go podczas swojej konspiracyjnej działalności. Nie wolno mi jednak było tego zrobić. Przyrzekłam mężowi, że zataję nasz związek przed całym światem. Musiałam dotrzymać słowa, tym bardziej że Alek również nalegał na zachowanie tajemnicy ze względów bezpieczeństwa.

- Nie, nikt mnie specjalnie nie interesował - skłamałam wreszcie po długiej wewnętrznej walce. Żal ścisnął mi serce, że byłam zmuszona wyprzeć się Jakuba i naszej miłości.

- Z tego wniosek, że otaczało cię co najmniej kilku adoratorów - zachichotała Marta.

Pokręciłam głową. Z trudem powstrzymywałam śmiech. Podczas gdy ona wyobrażała sobie tłum wielbicieli wokół mnie, w rzeczywistości nikt przed Jakubem nie zwrócił na mnie uwagi.

- Odnoszę wrażenie, że wpadłaś Alkowi w oko - szepnęła mi do ucha, gdy odniosłam pusty kocioł na zaplecze.

- Ależ Marto, on jest żonaty! - A ja zamężna, dodałam w myślach. Och, gdyby znała prawdę! Oczywiście polubiłam Alka, ale głównie z tego powodu, że stanowił jedyne ogniwo łączące mnie z Jakubem.

Wyruszyliśmy w drogę powrotną.

- A ty? Poznałaś kogoś ciekawego, kiedy tak wszędzie latasz jako posłaniec? - spytałam, żeby odwrócić jej uwagę od siebie.

Marta odwróciła wzrok, poczerwieniała.

- Tak - przyznała w końcu prawie bezgłośnie.

- Tak też myślałam! - wykrzyknęłam. - Opowiedz mi o nim.

- To jeden z naszych - zaczęła tęsknym, rozmarzonym głosem. - Ale niestety on mnie wcale nie zauważa.

- Nie trać nadziei, może z czasem coś z tej znajomości wyniknie. - Pocieszająco uściśnęłam jej ramię.

Zaczęło padać. Grube, ciężkie krople zwiastowały nadchodzącą burzę. Wróciliśmy biegiem do sierocińca. Nie poruszałyśmy więcej osobistych tematów.

Kilka tygodni później przypomniałam sobie tamtą rozmowę. Pewnego wtorkowego popołudnia prałam bieliznę w naszym ciasnym, niewygodnym zlewie. Zostałam w mieszkaniu sama. Z przyjemnością skorzystałam z rzadkich chwil samotności, żeby uporządkować myśli. Zwykle o tej porze jeszcze pracowałam, ale jedna z koleżanek z sierocińca poprosiła mnie o zamianę. Za ten wolny dzień obiecałam zastąpić ją w niedzielę. Wspomniałam pytanie Marty o sympatie sprzed wojny. Nie mogłam wykluczyć, że wiedziała o Jakubie, ale chciała, żebym sama jej o nim powiedziała.

Nagle głośny stukot na chodniku zakłócił ciszę. Podskoczyłam jak oparzona, aż rozchlapałam mydliny. Wytarłam mokrą sukienkę. Wyjrzałam przez okno nad zlewem. Usłyszałam wysoki głos zawo-

dzącej rozpaczliwie kobiety i drugi, niski, męski, wściekły. Stałam z boku, wciśnięta w ścianę, żeby móc obserwować ulicę, sama nie będąc widzianą. Ujrzałam dwie postacie. Na widok mężczyzny w mundurze w drzwiach kamienicy naprzeciwko wpadłam w popłoch. Hitlerowcy rzadko przekraczali bramę z obawy przed chorobami zakaźnymi, dlatego powołali Judenrat, żeby załatwiał wszystkie sprawy wewnątrz getta. Niemiec robił o coś awanturę chudej blondynce z zaokrąglonym brzuchem, której nigdy wcześniej nie widziałam. Nawet z mojego niezbyt dogodnego punktu obserwacyjnego dostrzegłam, że jest w dość zaawansowanej ciąży.

- Proszę - zawodziła błagalnie kobieta. Pojęłam, że usiłuje powstrzymać gestapowca przed wtargnięciem do środka. Podziwiałam jej odwagę. Przypuszczałam, że ukrywa coś ważnego. Nic nie wskórała. Niemiec jeszcze podniósł głos, wreszcie brutalnie odepchnął ją na bok. Uderzyła o futrynę, po czym padła z głuchym łoskotem bez czucia na ziemię. Gestapowiec przeszedł nad nieruchomym ciałem i wszedł do kamienicy. Przez jakiś czas dobiegały stamtąd hałasy, jakby ktoś przesuwał meble. Wreszcie żołdak wywlókł na dwór za kołnierz niskiego mężczyznę o wyglądzie duchownego.

Kobieta na chodniku nagle ożyła i chwyciła oprawcę za kostki.

- Proszę go nie zabierać! - błagała, nie bacząc, że ryzykuje własne życie. Gestapowiec próbował ją strząsnąć kopniakiem, ale nie puściła. Raz po raz ponawiała swe prośby. Wywleczony z mieszkania mężczyzna rozglądał się dookoła rozszerzonymi z przerażenia oczami

niczym schwyte zwierzę, które szuka drogi ucieczki. Gdy spojrzał w górę, odeszłam od okna, żeby mnie nie zauważył.

Wrzaski przybrały na sile, następnie padł strzał. Zdrętwiałam. Teraz krzyczał mężczyzna. Zawodził piskliwym, niemalże kobiecym głosem. Musiałam jeszcze raz zobaczyć, co się wydarzyło, więc wróciłam do okna. Ciężarna leżała na chodniku z otwartymi oczami i z głową w kałuży krwi. W ostatnim odruchu osłoniła rękami zaokrąglony brzuch. Oprawca ciągnął skamłającego mężczyznę. Zemdliło mnie. Potężne fale skurczu targały moimi trzewiami. Zwymiotowałam do zlewu. W końcu, gdy ataki nudności ustały, otarłam usta i ponownie spojrzałam w okno. Drzwi mieszkania po drugiej stronie ulicy pozostały otwarte. Dostrzegłam w nich niewielki kształt. Wyteżyłam wzrok. Maleńki chłopczyk o równie jasnych jak u kobiety włosach stał w bezruchu w progu. Patrzył na nieruchome ciało na chodniku wielkimi, błękitnymi oczami.

Po chwili para rąk wciągnęła go do środka. Ktoś zamknął drzwi. Zwłoki zostały na ulicy jak nikomu niepotrzebny śmieć.

Upadłam na podłogę, drżąc, bliska omdlenia. Nadal czułam gorzki smak w ustach. Uprzytomniłam sobie, że do tej pory chowałam głowę w piasek. Wmówiłam sobie, że getto to nic innego jak nowe otoczenie, nowe sąsiedztwo, oddzielone murem od zewnętrznego świata, w którym panują przemoc i gwałt. Chociaż słyszeliśmy o brutalnych egzekucjach w lasach, a nawet na ulicach, wygodniej nam było uważać relacje o aktach przemocy za mocno przesadzone. Tym razem dotarły do nas już nie pogłoski z Kielc czy Tamowa, lecz śmierć sama

przyszła pod nasze drzwi. Przez pozostałą część dnia usiłowałam dojść do siebie, zepchnąć potworny obraz na dno podświadomości. Nie chciałam martwić rodziców, życie dostarczało im dość strapień, lecz inni mieszkańcy kamienicy również obserwowali tamto wydarzenie albo przynajmniej o nim słyszeli, dlatego wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Gdy rodzice wrócili do domu, nie byli w stanie rozmawiać o niczym innym jak tylko o morderstwie. Przy kolacji powtarzali uzyskany z trzeciej ręki opis zdarzenia. W końcu nie wytrzymałam napięcia.

- Ja to wszystko widziałam - wyznałam z płaczem. - Od początku do końca.

Patrzyli na mnie bez słowa z bezgranicznym zdumieniem. Później ojciec usiadł przy mnie. Mama wyszła do kuchni, wróciła z filiżanką gorącej herbaty. Odebrałam ją od niej drżącymi rękami. Następnie zdałam im pełną relację.

- Kobieta oczekiwała dziecka - dodałam na koniec.

Ojciec zbladł. Tego szczegółu nie znał z plotek.

- Czym zasłużyła na śmierć, tato? - spytałam bezradnie. - Czy zginęła tylko dlatego, że była Żydówką?

- Jej mąż, ten, którego zabrali, to Aaron Izakowicz, rabin z Lublina. Pochodzi ze znanej rabinackiej rodziny. Jego przodkowie pełnili tę funkcję od wieków. Pan Halkowski mówił, że przywieziono go kilka dni temu z żoną i dzieckiem. Nie wiedziałem, że zamieszkali tak blisko nas. Widocznie faszyci uznali, że jego obecność obudzi ducha oporu w mieszkańcach getta. Co za strata! - pokręcił bezradnie głową,

jakby Aaron Izakowicz już nie żył.

- Sądzę, że nie zabiją tak szanowanego, słynnego człowieka - próbowałam go pocieszyć. Nie zabrzmiało to przekonująco. Sama czułam, że nie mogłam powiedzieć nic dalszego od prawdy.

- Zamordowali jego żonę - przypomniała mama oschłym tonem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam.

Ciężarną, dodałam w myślach. W nocy długo nie mogłam zasnąć. W ciemności wciąż widziałam przed sobą puste oczy jasnowłosego chłopczyka.

W następny piątek Marta po mnie nie przyszła.

- Jest przeziębiona - poinformowała mnie pani Nederman kilka godzin wcześniej.

Gdy tego popołudnia kąpałam i karmiłam maluchy, zastanawiałam się, czy powinnam iść bez niej na szabasową kolację. Przerazała mnie ta perspektywa. Chociaż od miesiący brałam udział w piątkowych spotkaniach, uważałam się raczej za gościa Marty niż za pełnoprawną uczestniczkę. O piątej wzięłam płaszcz i wyszłam na ulicę. Kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam przyćmione światło, przenikające przez żółte zasłony na Józefińskiej 13. Żal ścisnął mi serce na myśl, że mogłabym spędzić ten wieczór w naszym zimnym, cichym mieszkaniu zamiast w towarzystwie rówieśników. W mgnieniu oka podjęłam decyzję i weszłam na klatkę schodową, potem schodami na piętro. Wzięłam głęboki oddech, zanim nieśmiało zapukałam. Ponieważ nie usłyszałam odpowiedzi, nacisnęłam klamkę.

- Dobry wieczór, Emmo - powitała mnie Helga z kuchni.

- Dobry wieczór. Potrzebujesz pomocy?

- Na razie nie, ale będę wdzięczna, jeśli później pomożesz posprzątać. Katia złapała grypę.

- Chętnie zostanę. Marta też zachorowała.

W pokoju zastałam co najmniej dwanaście osób. Po tygodniach regularnych wizyt znałam już wszystkie twarze.

- Chodź do nas, Emmo - zawołał chłopak, który miał na imię Piotrek.

Po chwili słuchałam opowieści o jednonogim sprzedawcy butów. Nie brzmiała wiarygodnie, co mi wcale nie przeszkadzało. Najważniejsze, że traktowali mnie jak swoją. Kilka minut później zadzwonił dzwonek. Do pokoju wkroczyli Alek i Marek. Rozpoczęła się cotygodniowa ceremonia. Byłam szczęśliwa w otoczeniu znajomych, chociaż brakowało mi Marty. Wolałabym wymieniać z nią szeptem najnowsze ploteczki. Po deserze większość gości wyszła, została nas tylko garstka do sprzątania. Alek i Marek w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny wyszli do ostatniego pomieszczenia. Zauważyłam, że nie zamknęli za sobą drzwi. Dochodziły stamtąd odgłosy kłótni. Nie powstrzymałam ciekawości i podczas zbierania talerzy z tamtego końca stołu podeszłam bliżej. Wyteżyłam słuch.

- Linia kolejowa za Płaszowem - powiedział Marek.

- Za wcześnie - zaprotestował Alek. - Najpierw trzeba zorganizować zaopatrzenie.

- Mamy dwadzieścia cztery karabiny, sto pocisków, parę granatów - wyliczał Marek.

- Za mało.
- W Warszawie trwają przygotowania - wtrącił nieznajomy.
- Warszawa to co innego. Getto jest większe, organizacja liczniejsza
- zauważył Alek.
- Gdyby tylko Minka mógł zdobyć...
- Emmo! - zawołała Helga za moimi plecami. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie, dziękuję... sama sobie poradzę - wyjąkałam, przerażona, że przyłapała mnie na podsłuchiwanie. Chwyciłam stos talerzy i ruszyłam w stronę kuchni. Gdy umieściłam wszystko w zlewie, usłyszałam skrzypienie drzwi ostatniego pokoju.

Trzej mężczyźni wyszli, nadal pograżeni w rozmowie. Alek przystanął przy wejściu do kuchni i szepnął coś Heldze do ucha, po czym cała trójka opuściła mieszkanie. Kilka minut później, gdy już wycierałam naczynia, Helga podeszła do zlewu i wyjęła mi z rąk ściereczkę.

- Ja to skończę. Mogłabyś zabrać śmieci, schodząc na dół? - Wskazała dwie torby przy drzwiach.

Podziękowałam jej, pożegnałam pozostałych i wyszłam. Na partezie panowały całkowite ciemności. Znalazłam tylne wyjście. Zamrugałam, żeby oczy przywykły do zmiany oświetlenia, zanim wyjdę na podwórko. Usiłowałam wymacać stopą stopień. Leżał niżej, niż przypuszczałam, i był oblodzony. Straciłam równowagę. Walcząc o jej odzyskanie, omal nie upuściłam toreb z odpadkami.

- Ostrożnie - ostrzegł mnie niski głos z cienia.

Aż podskoczyłam ze strachu. Dopiero później

rozpoznałam, kto do mnie przemówił.

- Alek! - wydyszałam. - Co ty tu robisz? Wystraszyłeś mnie.

- Ciii - wyszeptał. Odebrał ode mnie worki i umieścił je w pojemniku. - Chodź tutaj - pociągnął mnie za rękaw w kąt podwórza. Zrozumiałam, że celowo poprosił Helgę, żeby mnie wysłała ze śmieciami, ponieważ chciał ze mną porozmawiać na osobności. O co mu chodzi? Czy go czymś rozgniewałam? - myślałam gorączkowo. Zastanawiałam się, czy widział, jak podsłuchiwałam pod drzwiami.

- Mam dla ciebie wiadomość - oznajmił bez gniewu, wciskając mi w rękę zwitek papieru. Moje serce przyspieszyło.

- Od Jakuba? - Z emocji bezwiednie podniosłam głos.

- Cicho! - upomniał mnie ponownie i zapalił zapałkę. - Czytaj szybko.

Rozwinęłam kartkę.

Moja ukochana!

Jestem zdrów. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tęsknię. Dbaj o siebie i nie trać nadziei. Wkrótce nadejdzie pomoc.

Emmeth

Zamiast podpisu Jakub użył hebrajskiego słowa, oznaczającego prawdę. Ustaliliśmy to hasło, zanim odszedł w nieznane. Czytałam list wciąż na nowo, póki zapałka nie oparzyła Alka w palce. Musiał ją zdmuchnąć.

- Nic nie rozumiem. Przebywa gdzieś w pobliżu? - spytałam z nadzieją.

- Wręcz przeciwnie, ta kartka przewędrowała kilkaset kilometrów, zanim do ciebie dotarła.

- Gdzie on jest?

- Nie pytaj. W bezpiecznym miejscu. To ci musi wystarczyć - zakończył szorstkim tonem.

- Ale... - Tysiące pytań chodziło mi o głowie.

- Pełni... ważną misję - dodał z wyraźnym ociąganiem Alek. - Zdobywa potrzebne rzeczy. Więcej nie mogę powiedzieć.

Nagle skojarzyłam, że trzech mężczyzn w ostatnim pokoju mówili o moim mężu.

- Minka? - spytałam, wbrew woli zdradzając, że ich szpiegowałam.

- Tak. Poza gettem dla bezpieczeństwa używamy pseudonimów. Ale ta rozmowa nie była przeznaczona dla twoich uszu. Im mniej wiesz, tym lepiej.

- Rozumiem. - W rzeczywistości miałam zamęt w głowie. - Czy zdrów? I co znaczy ten list?

- Twój mąż ma wielkie zdolności organizacyjne i dar przekonywania. Potrafi zdobywać zarówno niezbędne rzeczy, jak i sojuszników. Z wielkim talentem pozyskuje ludzi, żeby nas wspierali.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie imponującego daru wymowy Jakuba. Sama nie umiałam mu niczego odmówić. Umiejętnie szafował argumentami i pochlebstwami. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stopniało mi serce.

- Wie wszystko o broni i amunicji.

Uświadomiłam sobie, jak słabo znam własnego

męża. Alek wyjął mi kartkę z ręki.

- Wystarczy. Przykro mi, ale nie możesz tego zatrzymać.

Patrzyłam ze smutkiem, jak przystawia zapaloną zapałkę do brzegu listu. Chciałam zaprotestować, ale zrezygnowałam. Przyznałam mu w duchu rację. Nie wolno mi było przechowywać wiadomości, która mogłaby naprowadzić na jego ślad. Pomyślałam oświadczenie ślubu i obrączkach, ukrytych w książce pod materacem w naszym mieszkaniu. Nikomu nie zdradziłam, że je zachowałam.

- Wiem, że jest ci ciężko - powiedział Alek, gdy płomień zgasł, a po skrawku papieru nie pozostał ślad. Znow otoczyły nas chłodne ciemności. - Nie trać wiary. Jakub miewa się dobrze, a ty nie jesteś sama. Masz przecież rodzinę.

Gdy wypowiadał ostatnie zdanie, słyszałam w jego głosie przygnębienie.

- A ty, Alku? - spytałam mimo woli. Marta wspomniała, że miał żonę gdzieś poza gettem.

- Przed wojną mieszkaliśmy w Tarnowie - zaczął bezbarwnym głosem. - Rodzice nie byli bohaterami. Dzień przed tym, zanim hitlerowcy po nas przyszli, wzięli truciznę. Rano zastałem ich w łóżku martwych.

- Bardzo ci współczuję - wykrztusiłam. Nic więcej nie przyszło mi do głowy wobec ogromu tej tragedii.

- Moja żona nie mieszka w getcie - dodał.

Nie wywnioskowałam z tonu jego głosu, czy to jego zdaniem dobrze, czy źle.

- A więc jesteś tu sam?

- Tak, nie licząc kuzynki, Helgi.

Zaskoczył mnie. Odtworzyłam w wyobraźni okrągłą twarz kucharki. Nigdy bym nie odgadła, że łączy ich jakiegokolwiek pokrewieństwo.

- Naprawdę rozumiem, jak trudno ci znieść rozłąkę, ale musimy się uzbroić w cierpliwość.

Skinęłam głową.

- No dobrze, a teraz biegnij do domu. Przyrzekam, że jeśli otrzymam następną wiadomość o twoim mężu, przekażę ci ją.

Jeśli, powtórzyłam w myślach. Nie „kiedy”.

- Dziękuję, Alku. - Stałam na palcach, pocałowałam go nieśmiało w policzek, po czym odeszłam szybkim krokiem. W drodze powrotnej przetrawiałam uzyskane informacje. Jakub podróżował w nie wiadomym kierunku, zdobywał broń dla partyzantów. Brzmiało to złowieszczo. Dobrze, że przynajmniej żyje, tłumaczyłam sobie. Żył wtedy, gdy pisał, sprostowałam natychmiast. Wróciłam myślami do Alka. Jego również los rozdzielił z ukochaną. Stał na czele organizacji podziemnej, podczas gdy jego rodzice zrezygnowali z walki. Woleli umrzeć. W świetle usłyszanej historii codzienne zmagania taty i mamy urosły w moich oczach do rangi bohaterstwa. Byłam im wdzięczna, że zostali ze mną, że wstawali każdego ranka. To dla mnie z dnia na dzień na nowo podejmowali zmagania o przetrwanie. Gdy dotarłam do mieszkania, z trudem odparłam pokusę, żeby odchylić zasłonę i uściskać śpiących rodziców.

Rozebrałam się i położyłam. Długo myślałam o Jakubie i liście od niego. Alek nie chciał zdradzić, skąd go wysłał, ale kątem oka dostrzegłam na kopercie pieczętkę z Warszawy, co wcale nie oznaczało, że tam właśnie przebywa. Ale jeśli... Nie dookończyłam myśli. Za bardzo mnie przeraziła. W stolicy zagrażało mu większe niebezpieczeństwo niż w Krakowie. Nie potrafiłam odgadnąć znaczenia ostatniego zdania: „Wkrótce nadejdzie pomoc”. Powtarzałam te słowa raz po raz, w nieskończoność, póki nie opadły mi powieki.

Zapadłam w głęboki sen. W marzeniach sennych przebywałam z Jakubem w górach. Sfora wilków ściagała nas po śniegu wśród przejmującego chłodu. Opadłam z sił. Mimo nadludzkiego wysiłku ledwie powłóczyłam nogami. Jakub nie zauważył, że zostałam kilkaset metrów z tyłu. Wołałam, ale nie słyszał mnie z daleka. Jedna z bestii mnie dopadła. Z jękiem padłam na ziemię. Obudziłam się.

Zaskrzypiała podłoga. To tylko sen, powiedziałam sobie, owijając ciaśniej koc wokół ciała. Nie mogłam ponownie zasnąć. Za przepieplenieniem chrapała mama. Znowu usłyszałam skrzypienie, tym razem głośniejsze. Ujrzałam nad sobą ciemny cień. Usiadłam, lecz zanim zdążyłam zareagować, ktoś zasłonił mi ręką usta.

- Cicho - szepnął obcy głos. - Nie zrobię ci krzywdy.

Zawzięcie walczyłam, żeby się wyswobodzić, ale trzymał mnie mocno.

- Przestań! Alek mnie przysłał.

Rozpoznałam w ciemności twarz trzeciego mężczyzny, który dys-

kutował z Alkiem i Markiem po kolacji.

- Emmeth - wypowiedział prawie bezgłośnie. - Emmeth.

Na dźwięk naszego hasła odczułam pewną ulgę. Doszłam do wniosku, że to raczej Jakub, a nie Alek przysłał go do mnie.

- Kto...? - zaczęłam, gdy odjął dłoń od moich ust.

- Cicho - przerwał mi. - Nie mamy czasu. Ubieraj się.

Skoczyłam na równe nogi. Pomyślałam, że Alek znalazł sposób, żeby nam pomóc. Pospiesznie narzuciłam sukienkę na koszulę nocną, włożyłam buty i płaszcz, następnie podążyłam za nieznajomym do drzwi wejściowych. Przystanąłam przy zasłonie, oddzielającej moje posłanie od „sypialni” rodziców. Odchyliłam ją. Spali spokojnie. Ojciec czule obejmował mamę ramieniem.

Pociągnął mnie za ramię.

Opuściłam zasłonę, wyszłam za nim z mieszkania. Na klatce schodowej panowały ciemności, stopnie skrzypiały pod naszym ciężarem. Opuściliśmy kamienicę tylnym wyjściem.

Mężczyzna wziął mnie za rękę, poprowadził w stronę muru. Śliskie od gołoledzi ulice były puste, wyjąwszy kilka szczerów przy rynsztoku. Kilka minut później dotarliśmy do nieznanego mi zakątka. Ujrzałam przed sobą szczelinę, rozdzielającą dwie części muru, szerokości najwyżej czterdziestu centymetrów. Rozejrzawszy się nerwowo na wszystkie strony, nieznajomy pchnął mnie w jej kierunku. Pojęłam, że chce, żebym przeszła na drugą stronę. Wypuściłam z płuc powietrze. Spróbowałam się przecisnąć przez wąski otwór, ale uwięzłam w połowie.

- Utknęłam - wyszeptałam w panice.

Wyobraziłam sobie, co mnie czeka, gdy znajdą mnie hitlerowcy. Poczułam, że silne ręce wypychają mnie na zewnątrz, ostre krawędzie kamiennych ciosów raniły mi skórę, groziły podarciem ubrania. Wreszcie wydostałam się z pułapki. Nieznajomy, stękając z wysiłku, poszedł w moje ślady. Gdy tylko do mnie dołączył, wepchnął mnie w jakiś zaułek. Popatrzył w jedną i drugą stronę.

- Chodź - rozkazał prawie bezgłośnie, odwracając głowę w prawo.

Stawialiśmy drobne, szybkie kroczki, przez cały czas pozostając w cieniu budynków. Podążałam za nim posłusznie tak prędko i cicho, jak potrafiłam. Dopiero wtedy dotarło do mojej świadomości, że właśnie uciekłam z getta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nieznajomy w milczeniu prowadził mnie bocznymi ulicami Podgórze. Usiłowałam naśladować jego spieszny, cichy krok. Miotają mną sprzeczne uczucia: oszołomienie, zdumienie, wreszcie strach, że zostaniemy złapani. Mogły nas zdradzić nawet obłoczki pary z ust w mroźnym powietrzu. W końcu minęliśmy domy i dotarliśmy do magazynów fabrycznych. Zeszliśmy z chodnika na błotnistą drogę, później na pokrytą śniegiem ścieżkę, wiodącą do lasu.

- Jestem przyjacielem Alka - wyjaśnił obcy, już pod osłoną drzew. - I Jakuba - dodał po krótkiej przerwie, nie zwalniając kroku. Ani razu nie odwrócił ku mnie głowy. - Wysłali mnie, żebym cię stamtąd zabrał.

- Do Jakuba? - spytałam zbyt głośno, zapominając o zasadach ostrożności.

- Cicho! Nie do niego. Niestety - dodał na widok mojej rozczarowanej miny i przystanął, rozejrzał się dookoła. - Chciał sam przyjść po ciebie, ale to zbyt wielkie ryzyko.

Ryzyko, powtórzyłam w myślach. Wiadomo, nigdzie nie jest bezpiecznie.

- W takim razie dokąd mnie prowadzisz?

- Nie pytaj o nic więcej. Zaufaj mi. Emmeth - powtórzył, jakby wierzył, że sekretne hasło skłoni mnie do absolutnego posłuszeństwa niczym magiczne zaklęcie. - Wybacz, że musimy przemierzyć kawał

drogi piechotą. To jedyny sposób, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

- Wędrowanie po lesie sprawia mi przyjemność

- zapewniłam, chociaż już przemarzły mi palce u nóg.

W pewnym momencie przystanęłam, porażona nagłą myślą.

- Już nie wrócę do getta, prawda?

- Nie.

Żal ścisnął mi serce.

- Ale moi rodzice...

- Zawiadomimy ich, że jesteś bezpieczna. Im mniej wiedzą, tym lepiej.

Oczami wyobraźni ujrzałam ich śpiących spokojnie, tak jak ich zostawiłam. Później wyobraziłam sobie ich reakcję na moje zniknięcie. Nawet się z nimi nie pożegnałam. Otworzyłam usta, by powiedzieć, że za nic w świecie ich nie opuszczę, ale mój przewodnik ruszył dalej przed siebie. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko podążyć za nim, żeby nie zostać samej w nieznannej gęstwinie. Zaczynało świtać. Pierwsze promienie brzasku rozproszyły nieco ciemności. Wyteżyłam wzrok, wypatrzyłam znajomą sylwetkę drewnianego kościółka. Zorientowałam się, że idziemy przez Las Wolski, położony na zachód od miasta. Już wiedziałam, dokąd zmierzamy.

- Pani Smok? - spytałam dla pewności. Po drugiej stronie lasu mieszkała ciocia Jakuba, Krystyna Smok.

Mężczyzna skinął głową, nie zwalniając kroku.

- Czy jej nie narażamy?

- Dostaniesz nowe dokumenty. Będiesz teraz kimś innym.

Otumaniona niespodziewanym biegiem wydarzeń, nie zadawałam więcej pytań. Nieznajomy nie zostawił mi czasu na rozmyślenia. Ledwie za nim nadażalam, skupiałam więc całą uwagę, żeby nie potknąć się o korzeń lub kamień. Przywołałam w pamięci postać Krysi. Poznałam ją kilka tygodni przed ślubem w mieszkaniu przyszłych teściów. Szykowałam się na tę wizytę jak na spotkanie z królową. Zona znanego wiolonczelisty była legendą Krakowa, zarówno z powodu sławy męża, jak i własnych przymiotów. Sądziłam, że wielka dama przywita mnie trzema zdawkowymi pocałunkami w powietrze, lecz ta nieprzewidywalna osoba pochwyciła mnie z entuzjazmem w objęcia.

- Teraz rozumiem, czemu tak bardzo ją pokochałeś - zawołała do Jakuba, który spłonął rumieńcem.

Jej serdeczność zaskoczyła mnie tym bardziej, że nie była Żydówką, lecz głęboko wierzącą katoliczką. Jej ślub z bratem pani Bau, Marcinem, wywołał skandal w rodzinie. Nawet laickie żydowskie rodziny nie akceptowały mieszanych małżeństw.

Krysia i Marcin uciekli do Paryża. Państwo Bau jeszcze przez kilka lat nie utrzymywali z nimi kontaktów. Dopiero gdy Jakub przyszedł na świat, jego matka, której rodzice wcześniej zmarli z powodu chorób, wybaczyła bratu z uwagi na dobro synka.

Szybko spostrzegłam, że Jakub uwielbia Krysię za jej nieodparty urok osobisty i elegancję, zaprawioną sporą szczyptą fantazji. Podzielałam jego zachwyty. Córka dyplomatów już w bardzo młodych latach wykazała zdecydowany charakter, mianowicie odmówiła

uczęszczania do szkoły z internatem. Dorastała w miastach, które znałam jedynie z lektury, w Rzymie, Londynie, Paryżu. Po ślubie z Marcinem zamieszkała w Krakowie. Podczas gdy on wyjeżdżał w trasy koncertowe, ona urządzała mieszkanie na Basztowej, w centrum miasta. Wkrótce ich dom stał się ośrodkiem życia kulturalnego krakowskiej elity. Krysia wydawała wystawne przyjęcia, wprowadziła w wielki świat wielu artystów i muzyków, przedstawiając ich przyszłym mecenasom. Mimo wysokiej pozycji społecznej z upodobaniem łamała konwenanse. Bywała zarówno w operze, na balach dobroczynnych, jak i w mrocznych piwnicznych spelunkach, gdzie przy dobrze zmrożonej wódce dyskutowała do późna w nocy o polityce.

Krysia i Marcin nie mieli dzieci. Jakub nie wiedział, czy z wyboru, czy wskutek zrzędzenia losu. Marcin zmarł w 1932 roku po dwóch latach walki z rakiem. Po jego śmierci Krysia sprzedała mieszkanie w centrum i przeprowadziła się na stałe do letniej willi na Chełmską. W dni powszednie korzystała z uroków wiejskiego życia, a pod koniec tygodnia nadal wydawała przyjęcia. Do tego właśnie domu prowadził mnie nieznajomy.

Ścieżka wiodła teraz w dół, zarośla zrzędyły. Pięć minut później wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Przed nami leżały wiejskie domy Chełmskiej. Ciszę wczesnego poranka zakłócało tylko pianie kogutów. Nagle rozległo się głośne szczekanie. Mój towarzysz położył mi rękę na ramieniu. W obawie, żeby pies nie zdradził naszej obecności, przycupnęliśmy za krzakiem, póki ujadanie nie ucichło. Nieznajomy rozejrzył się dookoła. Gdy stwierdził, że nic nam nie grozi, bezsze-

lestnie poprowadził mnie okreśną drogą wokół domu. Sekundę później w tylnym wejściu stanęła Krysia Smok. Na widok jej nienaganej prezencji poczułam zażenowanie z powodu znoszonych ubrań i rozczochranych włosów, lecz ona szybko wciągnęła mnie do środka i serdecznie uściskała.

- Kochana - wyszeptała czule, gładząc mnie po głowie. Trzymała mnie w objęciach przez co najmniej kilka sekund.

Nagle przypomniałam sobie o nieznanym. Odwróciłam głowę, ale już go nie było. Krysia zamknęła drzwi.

- Jesteś zmęczona? - zapytała.

- Zaraz dojdę do siebie - zapewniłam.

Zaprowadziła mnie po schodach do salonu na piętrze i posadziła przy kominku. Sama weszła na piętro. Po chwili usłyszałam szum nalewanej wody. W oszołomieniu rozglądałam się dookoła. Wstałam i podeszłam bliżej do kominka. Na jego gzymsie stały trzy fotografie: Jakub w dzieciństwie, Jakub ze mną w dniu ślubu. Jakub. Czuję się tu bez niego nieswojo. Kilka minut później wróciła Krysia.

- Potrzebujesz gorącej kąpieli - stwierdziła, stawiając przede mną duży dzbanek herbaty. - Wybacz, że zorganizowałam wszystko w taki właśnie sposób, ale nie miałam wyboru.

Złapałam się za głowę.

- Moi rodzice...

- Wiem. - Stanęła obok mnie. Znów owionął mnie znajomy, świeży zapach. - Nie mogliśmy wydostać was wszystkich. Zrobimy, co w

naszej mocy, żeby im jakoś pomóc z zewnątrz. Będą szczęśliwi, że przebywasz w bezpiecznym miejscu.

Załkałam. Po wielu miesiącach rozpacz wreszcie doszła do głosu.

- Przepraszam - szepnęłam, zawstydzona.

Krysia bez słowa otoczyła mnie ramieniem, zaprowadziła do łazienki. Czekala tam pełna wanna i świeża koszula nocna. Gdy wyszła, zdjęłam ubranie. Po raz pierwszy od miesiący brałam prawdziwą kąpiel. Wyszorowałam całe ciało od stóp do głów, dwa razy umyłam włosy. Siedziałam w wannie tak długo, póki brunatna od brudu woda nie wystygła.

Wyszłam odprężona, lecz tak wyczerpana, że ledwie stałam na nogach. Krysia zaprowadziła mnie do sypialni. Patrzyłam rozszereżonymi ze zdumienia oczami na bukiet świeżych gardenii na nocnym stoliku. Nie wierzyłam, że takie rzeczy jeszcze istnieją na tym okrutnym świecie.

- Teraz śpij, kochanie - powiedziała, sięgając do komody po świeże prześcieradła. - Rano ci wszystko wyjaśnię.

Po miesiącach spania na twardej prycy po raz pierwszy leżałam na grubym materacu, w miękkiej jak marzenie pościeli. Mimo natłoku wrażeń natychmiast zapadłam w głęboki sen.

Gdy rano otworzyłam oczy, nie od razu skojarzyłam, gdzie jestem. Z początku myślałam, że leżę w naszej małżeńskiej sypialni w domu państwa Bau, dopiero po chwili przypomniałam sobie nocną przeprawę przez las. Spojrzałam przez okno. Chyba długo spałam, bo słońce stało już wysoko nad drzewami. Zeszłam do kuchni, gdzie

zastałam gospodynię. Przeprosiłam, że tak późno wstałam.

- Potrzebowałam wypoczynku. No i dobrego jedzenia. - Wskazała talerz świeżo pokrojonych owoców na stole. - Siadaj.

Spełniłam polecenie. Miałam nadzieję, że nie słyszy, jak burczy mi w brzuchu. Postawiła przede mną szklanekę soku pomarańczowego*⁴

- Twoi rodzice zostali już powiadomieni. Znalezione też dziewczynę na twoje miejsce w sierocińcu - poinformowała.

Odczułam jednocześnie ulgę i zaciekawienie, skąd ona to wszystko wie. Chciałam zapytać o Jakuba, ale zabrakło mi odwagi. Kryśka postawiła przede mną talerz z jajkami. Kiedy zajęła miejsce obok, spytałam o państwa Bau.

- Ostatnią wiadomość otrzymałam dwa miesiące temu. Od tej pory ani słowa. Mają się dobrze, chociaż oczywiście nie żyją na poziomie, do jakiego przywykła Fania.

Wychwyciłam w jej głosie cierpką nutę. Polskie złotówki nic w Szwajcarii nie znaczyły, a wybuch wojny odciął teściom dostęp do ich majątku.

- Zamierzali się z tobą skontaktować, ale zrezygnowali, żeby cię nie narażać.

- Co z ich domem?

- Zajął go hitlerowski urzędnik wysokiej rangi. Nie można było temu zapobiec. Wiedzą o tym albo się domyślili. A teraz jedz.

Zapomniałam o zasadach dobrego wychowania. Łapczywie po-

⁴ Pomarańcze, jak i mnóstwo innych produktów, które bohaterowie powieści bez trudu nabywają w sklepach, w okupowanej Polsce były praktycznie niedostępne (przyp. tłum.).

chłaniałam olbrzymie ilości jajek i owoców, popijając dużymi łykami soku. Dopiero gdy nasyciłam głód, poczułam skurcz w żołądku na myśl, że korzystam z tych obfitości, podczas gdy moim rodzicom wszystkiego brakuje.

- Nazywasz się teraz Anna Lipowska - oświadczyła Krysia, gdy skończyłam jeść. - Od dziecka mieszkałaś w północnej części Gdańska. Ponieważ twoi rodzice zginęli w pierwszych dniach wojny, ciocia Krysia zabrała cię do siebie.

- Nie rozumiem - wymamrotałam zaskoczona.

- Nie możesz zdradzić, że jesteś Żydówką. Nie ma możliwości ukrywania Żydów w mieście ani tym bardziej na wsi. Ze swoją jasną cerą z powodzeniem możesz uchodzić za Polkę. Unikaj tylko dawnych współpracowników z uniwersytetu, a nikt nie odgadnie twojego pochodzenia.

Ostatnie zdanie bardzo długo brzmiało mi w uszach. Kraków bardzo się zmienił. Przyszło mi udawać przyjezdną w rodzinnym mieście.

- Oto twoje papiery. - Pchnęła w moim kierunku przez stół brązową kopertę. W środku znalazłam kenkartę*⁵ z moim nowym nazwiskiem oraz dwa świadectwa urodzenia.

- Łukasz Lipowski - przeczytałam na drugim z nich. - Urodzony...

- Tak - przerwała mi. - O ile wiem, wyraziłaś chęć pomocy. Właśnie otrzymałaś szansę. Chłopczyk stracił rodziców. Ukrywano go w getcie, teraz zamieszka z nami jako twój młodszy braciszek. Przyjedzie

⁵ Dowód tożsamości, tzw. karta rozpoznawcza, wydawana Polakom przez hitlerowskie władze (przyp. tłum.).

dzisiaj.

W milczeniu skinęłam głową, kompletnie oszołomiona. W ciągu doby w moim życiu zaszły radykalne zmiany. Z dnia na dzień po niespodziewanym rozstaniu z rodzicami zyskałam wolność, schronienie u Krysi, w dodatku powierzono mi opiekę nad dzieckiem.

- Jeszcze jedno. - Krysia podsunęła mi drugą, mniejszą kopertę. Gdy ją otworzyłam, na stół wypadł cieniutki, złoty łańcuszek z krzyżykiem. Moja ręka zastygła w bezruchu.

- Rozumiem, ale to konieczne. Nie masz wyjścia. - Krysia wzięła naszyjnik, stanęła za mną i zapięła mi go na szyi.

W ten sposób rozpoczęłam nowe życie jako chrześcijanka.

Po śniadaniu Krysia zaprowadziła mnie do swojej sypialni i wyrzuciła z szafy ubrania, odsłaniając schodki na strych. Weszła po cichu na górę, wręczyła mi metalowe ramy i dziecienny materacyk. Zaniosłyśmy to wszystko do gościnnego pokoju, który przeznaczyła dla dziecka.

- Jakub sypiał w tym łóżeczku - oznajmiła, gdy już zmontowałyśmy mebelek. - Zachowałam je, gdy z niego wyrósł. Liczyłam na to, że kiedyś położę do niego własne maleństwo.

Zrozumiałam, że nie była bezdzielna z własnej woli. Oczami wyobraźni ujrzałam leżącego w łóżeczku małego Jakuba. Pogładziłam drewnianą poręcz.

W południe Krysia postawiła na stole talerz z wędlinami, chlebem i serem. Nie od razu sięgnęłam po jedzenie, bo religia zabrania mi łączenia mięsa z produktami mlecznymi. Krysia dostrzegła moje wa-

hanie.

- Wybacz, usiłowałam zdobyć koszerne produkty, ale...

- Koszerne jatki pozamykano - dokończyłam za nią. - Nic nie szkodzi.

Wy tłumaczyłam sobie, że w domu teściów także nie przestrzegano religijnych nakazów, a o zachowaniu jakichkolwiek zasad w getcie nie warto było nawet marzyć. Jedliśmy wszystko, co wpadło w rękę, o ile w ogóle wpadło. Rodzice na pewno by mnie zrozumieli. Byłam winna Krysi wdzięczność za troskę. Jak na zawołanie, zaczęło mi burczeć w brzuchu. Już bez wahania nałożyłam sobie na talerz solidną porcję mięsa i sera. Dostrzegłam ulgę na twarzy Krysi.

- Wiesz, nigdy wcześniej nie opiekowałam się dzieckiem - wyznała później tego popołudnia podczas wieszania świeżo upranych dziecięcych ubranek na balkonie salonu. Twierdziła, że dostała je od przyjaciółki. Trzymając w ręku mokrą koszulkę, patrzyła na mnie bezradnie, wyraźnie zdenerwowana.

- Ja też, póki nie przydzielono mnie do pracy w sierocińcu. Ale tobie nie brak doświadczenia. Jakub często tu bywał jako mały chłopiec - pocieszałam.

- Być ciocią na kilka godzin to nie to samo.

- Poradzimy sobie. Obiecuję. - Odebrałam od niej koszulkę i zawiesiłam na sznurze.

Krysią poinformowała mnie, że dziecko przybędzie nocą, tak jak ja. Wyglądała na przemęczoną.

- Odpocznij trochę - poradziłam.

Pokręciła głową. Wskazówki zabytkowego orzechowego zegara w holu dawno minęły północ, a Krysia nadal krążyła po domu, układając i szykując niezliczone drobiazgi. Wygasila wszystkie światła, zostawiła tylko jedną słabą żarówkę w kuchni. Nasze postacie rzucały długie cienie. Co pięć minut odchyłała nieco ciężkie zasłony w oknach salonu, żeby sprawdzić, czy gość nie nadchodzi. Wreszcie około drugiej w nocy zasiadłyśmy w kuchni przy gorącej kawie. Wahałam się kilka minut, zanim zadałam nurtujące mnie pytanie:

- W jaki sposób...?

- Nawiązałam kontakt z ruchem oporu? - dokończyła za mnie. Zamieszała kawę, odłożyła łyżeczkę na brzeg spodka, zanim odpowiedziała: - Od dawna wiedziałam o konspiracyjnej działalności Jakuba. Po prostu od małego zawsze powierzał mi swoje sekrety. Oczywiście martwię się o niego, ale wiem, że żadne argumenty do niego nie trafią - dodała, upijając łyk kawy.

Podzielałam jej zdanie.

- Przyszedł kiedyś późno w nocy. Poprosił, żebym o ciebie zadbała, gdyby spotkało go coś złego. Nie wyjaśnił, co ma na myśli. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że mój dom stanowiłby dobrą kryjówkę. Moje znajomości też mogły się przydać. Skontaktował mnie z różnymi osobami. Dopiero po jego zniknięciu uzyskałam bardziej konkretne informacje.

- Ależ to bardzo niebezpieczne. Nie boisz się?

- Prawdę mówiąc, tak. Nawet stara, bezdzietna wdowa chce żyć - dodała z gorzkim uśmiechem, lecz zaraz spoważniała. - Ale ta woj-

na... to hańba dla mojego narodu. Jeżeli przechowam ciebie i dziecko, przynajmniej zrobię coś dobrego.

- Nie Polacy wywołali tę wojnę - natychmiast zaprotestowałam.

- Nie, ale... - Przerwała na dźwięk cichego skrobania do tylnych drzwi. - Poczekaj tutaj. - Zeszła na palcach. Usłyszałam szepty, jakieś szmery, wreszcie ciche szcęknięcie zamykanych drzwi. Wróciła na górę wolniejszym, cięższym krokiem, z tobołkiem w rękach. Pomogłam jej zanieść śpiące dziecko do łóżeczka na drugie piętro. W sypialni Krysia odwinęła go z kocyka. Na widok buzi chłopca zabrakło mi tchu. Widziałam go już. To jego matka została zastrzelona na naszej ulicy.

- Co z tobą?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, chłopczyk zaczął kwilić. Obudziliśmy go. Krysia nakazała mi milczenie. Gładziła malca po plecach, aż ponownie zapadł w sen. Na palcach opuściliśmy pokój.

- To dziecko... - zaczęłam.

- Rabina Izakowicza, wielkiego męża z Lublina. Sierota. Jego matkę zamordowano.

- Wiem. Widziałam tę zbrodnię przez okno na własne oczy.

- Moje biedactwo! - Krysia poklepała mnie po plecach.

- Powiedziałaś, że jest sierotą. Co z jego ojcem?

- Nie wiemy. Albo zastrzelili go w lesie koło Czernichowa, albo zabrali do obozu. Tak czy inaczej nic dobrego.

- Jego matka była w ciąży... - Zacisnęłam powieki. Ponownie ujrzałam potworną scenę za oknem. Szczypały mnie załzawione oczy.

- Słyszałam. - Krysia skinęła głową. - Właśnie dlatego za wszelką cenę musimy go uratować. To ostatni potomek wielkiej rabinackiej rodziny.

Czuwałyśmy na zmianę przez całą noc, żeby chłopczyk miał kogoś przy sobie, gdyby się obudził w obcym otoczeniu, ale przespał spokojnie całą noc. Dopiero następnego ranka wyjęłam go z łóżeczka. Jasne loki przyłgnęły do spoconego czoła. Patrzył na mnie w milczeniu, gdy brałam go na kolana. Później też nie powiedział ani słowa, za to od razu zarzucił mi ręce na szyję, jakbym piastowała go od urodzenia. Zniosłam go do kuchni. Krysia już szykowała śniadanie. Na nasz widok jej twarz rozjaśnił ciepły uśmiech, w oczach zamigotały iskiereki radości.

Tydzień później po raz pierwszy wędrowaliśmy z Łukaszem przez miasto jako polskie rodzeństwo. Oczy mu zapłonęły na widok wózka lodziarza. Nie oparłam się pokusie, uszczupliłam nasz skromny budżet, żeby spełnić niewypowiedziane marzenie. W ten sposób syn wielkiego rabina wraz z córką ubogiego piekarza z Kazimierza rozpoczęli nowe życie w wytwornej willi Krysi Smok. Czułam się tam jak w pałacu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mieszkaliśmy u Krysi już ponad miesiąc. Choć dokładałam wszelkich starań, żeby ją odciążyć, widziałam, że wyczerpywał ją nadmiar zajęć. Ciężko pracowała w domu i w ogrodzie. Delikatne dłonie twardniały z każdym dniem, powstały na nich odciski, roboczą sukienkę rozdarła i uwalala ziemią. Jednak mimo nawału pracy wyglądało na to, że cieszy ją nasza obecność, bo od śmierci Marcina doskwierała jej samotność. Szybko znalazłyśmy wspólny język. Równie chętnie gawędziłyśmy w trakcie codziennej krzątaniny, jak i pracowałyśmy ramię w ramię w milczeniu. Rozumiałyśmy się bez słów. Dobrze wiedziałam, że, podobnie jak ja, niepokoi się o Jakuba, o naszą przyszłość, o to, żeby nikt nie odkrył naszej prawdziwej tożsamości. Jednak opieka nad dzieckiem nie zostawiała wiele czasu na rozmyślanie. Łukasz, śliczny, grzeczny, niewymagający chłopczyk, od dnia przybycia nie wypowiedział ani słowa, co nas bardzo martwiło. Wychodziłyśmy ze skóry, żeby go rozbawić. Krysia grała na fortepianie skoczne piosenki, ja brałam go na ręce i tańczyłam w rytm melodii. Na próżno. Chłopczyk oglądał nasze występy bez cienia uśmiechu, najwyraźniej tylko po to, żeby nie sprawić nam zawodu. Gdy milkła muzyka, zabierał wytarty kocyk, w którym go przywieziono, i bez słowa wracał do swego kąta.

- W sobotę wydajemy proszoną kolację - oznajmiła Krysia pewnego dnia niedbałym tonem podczas plewienia grządek. Nieopodal Łukasz

grzebał w milczeniu patykami w ziemi.

- Proszoną kolację? - Ze zdumienia upuściłam na ziemię świeżo wyprany, biały ręcznik, który właśnie wieszałam.

- Tak. Przed wojną często wydawałam przyjęcia. Nadal to robię od czasu do czasu, ale już bez przyjemności. - Jej usta wykrzywił ironiczny grymas. - Teraz przychodzą inni goście. Cóż, nastały nowe czasy. Ale znajomości trzeba podtrzymywać.

Skinęłam głową ze zrozumieniem. W czasach pokoju Krysia przyjmowała artystów i intelektualistów. Większość z nich zdołała opuścić kraj podczas kampanii wrześniowej lub została uwięziona przez Niemców z powodu niaryjskiego pochodzenia czy przekonań politycznych albo z obydwu naraz. Przypuszczałam, że zastąpiły ich przy stole osobistości zupełnie innego pokroju. Krysia wytarła ręce o fartuch i wyliczyła na palcach zaproszone osoby:

- Poseł major Baran - zaanonsowała z gryzącą ironią w głosie. Władysław Baran, znany kolaborant, marionetka faszystowskiego reżimu, piastował wysokie stanowisko we władzach miasta. - Nowy wicedyrektor.

- Faszysta. - Odwróciłam głowę z niesmakiem. Miałam ochotę splunąć.

- Cóż, należy trzymać z władzami.

- Przypuszczam... - Zemdliło mnie na samą myśl o przebywaniu z kimś takim pod jednym dachem.

- Zjawiłaś się tu kilka tygodni temu. Gdybym nie przedstawiła kuzynki znajomym, wzbudziłabym podejrzenia.

- Ale... - Nie przyszło mi do głowy, że Krysia życzy sobie, abym usiadła z nimi do stołu. Myślałam, że umknę na górę, co najwyżej pomogę w kuchni.

- Twoja obecność jest absolutnie konieczna
- stwierdziła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Wróciła do tematu dopiero wtedy, gdy rozpoczęliśmy przygotowania. Trwały okrągły tydzień. Z tej okazji zatrudniła ponownie Elżbietę, rumianą gospozię, którą zwolniła przed moim przybyciem. Teraz bez urazy przyjęła ofertę. Z uśmiechem na ustach i niespożytą energią wypucowała cały dom od piwnicy po strych. W porównaniu z efektami jej pracy, rezultaty naszych wysiłków wyglądały raczej mizernie.

Krysia powitała ją z radością nie tylko ze względu na jej umiejętności kulinarne czy sprzątanie. Adorator Elżbiety, Mirosław, potrafił spod ziemi wytrzasnąć rarytasy, których próżno było szukać w sklepach. W ciągu dwóch dni wyczarował wędzonego łososa, delikatne sery i gorzką czekoladę.

- Nie widziałam takich specjałów od początku wojny! - zawołała Krysia na widok tych skarbów.

Pokiwałam tylko głową. Ja przez całe życie rzadko widywałam podobne smakołyki. W celu przygotowania kolacji spustoszyliśmy warzywnik, wyrwałyśmy co do jednej główki młodej sałaty. Wyciągnęłyśmy z piwnicy resztki cebuli i ziemniaków z zimowych zapasów. Resztę potrzebnych warzyw dokupiłyśmy od sąsiadów.

Rano w dniu przyjęcia Krysia pomogła Elżbiecie prasować wy-

tworne, lniane obrusy. Wyczyściły srebrne sztuce, podczas gdy ja piekłam bułeczki i placki. Ugniatając ciasto, wspominałam wspólną pracę z ojcem. Gdy byłam dzieckiem, zawsze złościł mnie opór materii. Mimo wszelkich moich wysiłków zamiast kulek czy placuszków wychodziły mi nieforemne buły. Zaledwie część moich koślawych wyrobów trafiała na półki. Kupowano je tylko wtedy, gdy już nic innego nie pozostało. Lecz teraz z przyjemnością podjęłam wyzwanie. Wspominałam, z jaką łatwością ojciec kształtował piękne bochny chleba. Jego grube, zręczne palce tworzyły z najbardziej opornego ciasta prześliczne chały, ciasteczka zwane hamantaszami na święto Purim*⁶ lub chrupiące obwarzanki, lubiane zarówno przez Żydów, jak i przez Polaków.

- Popatrz - powiedziała Krysia, wręczając mi paczkę w brązowym papierze podczas odpoczynku w kuchni po zakończeniu przygotowań.

W środku znalazłam nową, jasnobłękitną sukienkę w drobne kwiatuszki. Zaparło mi dech z zachwytu. Do tej pory nosiłam przerobione sukienki po Krysi. Jako dziecko zawsze donaszałam cudze stroje, czasami mama mi coś szyła. Teraz dostałam pierwszą w życiu sukienkę prosto ze sklepu.

- Jaka piękna - wyszeptałam. - Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. - Krysia machnęła lekceważąco ręką. - Przygotuj się.

Kilka godzin później wróciłam na dół. Dom zmienił wygląd jak za

⁶ Święto upamiętniające zwycięstwo Żydów, dzięki interwencji Estery, nad dworskim dostojnikiem Hamanem, który uzyskał pozwolenie króla perskiego na wymordowanie wszystkich Żydów w królestwie. Do ulubionych potraw należały trójkątne rożki z rodzynkami, orzechami, makiem, powidłami lub marcepanem (przyp. tłum.).

dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wszędzie migotały świece, w garnkach pod czujnym okiem Elżbiety bulgotały aromatyczne potrawy, z gramofonu płynęła klasyczna muzyka. Rozpoznałam nagrania z koncertów Marcina.

Za piętnaście siódma Krysia zeszła z drugiego piętra w satynowej spódnicy do kostek koloru czerwonego wina i białej, jedwabnej bluzce. Włosy związała w prosty węzeł na karku. Długą szyję ozdobił pojedynczy sznur pereł. Wyglądała na odprężoną i wypoczętą, jakby nie harowała niczym niewolnica przez kilka ostatnich miesięcy.

- Ślicznie wyglądasz - pochwaliła, zanim zdążyłam wyrazić swój zachwyt. Strzepnęła pyłek z mojego kołnierzyka, potem odeszła kilka kroków, żeby sprawdzić, jak leży sukienka.

Jeszcze raz z wypiekami podziękowałam za prezent. W życiu nie miałam piękniejszej rzeczy. Zakrecone gorącym żelazkiem włosy spływały falami na ramiona.

- Szkoda... - Nie dokończyłam zdania. Żałowałam oczywiście tylko tego, że Jakub mnie nie widzi, ale nie chciałam psuć Krysi nastroju, jednak ona zrozumiała bez słów.

- Podziwiałby cię jeszcze bardziej niż do tej pory.

Promieniałam ze szczęścia. Razem weszliśmy do jadalni.

- Zawsze najwięcej roboty zostaje na koniec, choćbym każdy szczegół drobiazgowo zaplanowała - narzekała Krysia. - Nie wszystkie potrawy można przygotować zawnazu.

Skinęłam głową ze zrozumieniem, chociaż nie miałam w tych

sprawach doświadczenia, bo nigdy nie wydawałam przyjęcia, zaledwie parę razy zostałam gdzieś zaproszona z Jakubem. Tego dnia oficjalnie debiutowałam jako Anna Lipowska, chrześcijańska sierota z Gdańska. Przerazała mnie ta perspektywa, bo po wyjściu z getta właściwie z nikim prócz domowników nie rozmawiałam. Raz po raz powtarzałam w myślach wyuczoną rolę. Krysia poświęciła całe tygodnie, żeby oszlifować moje maniery i sposób wysławiania. Korygowała błędy, poprawiała wymowę, żebym bezbłędnie naśladowała akcent mieszkańców północnej Polski. Nauczyła mnie zasad wiary katolickiej. Pewnie wiedziałam już o świętych i tajemnicach różańca tyle, co młoda Polka, wyjąwszy zakonnice. Mimo wszystko nadal paraliżował mnie strach, że jakiś gest czy wyraz twarzy zdradzi moje żydowskie pochodzenie. Na szczęście nie zostało mi wiele czasu na rozmyślanie. Gdy wkroczyłyśmy do jadalni, zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Gotowa? - spytała Krysia.

Kiwnęłam głową. Goście przybyli prawie w tym samym czasie, z typową dla Polaków i Niemców punktualnością. Elżbieta witała ich w drzwiach, odbierała płaszcze, ja czekałam na parterze. Krysia przedstawiła mnie nowo przybyłym. Zaprowadziłam ich do salonu i poczęstowałam napojami. Wszyscy chwalili grzeczne zachowanie Łukasza, podziwiali jego jasne loczki. Później położyliśmy go spać.

Dziesięć po siódmej pięcioro z sześciu zaproszonych gości było już obecnych, major Baran z żoną i trójka Niemców: generał Dietrich, starszy wdowiec, odznaczony za zasługi w pierwszej wojnie świa-

towej, pełniący jedynie reprezentacyjną funkcję w faszystowskich władzach, oraz tłusty, łysy, zezowaty generał brygady Ludwig wraz z żoną Hildą.

Minęło dziesięć, potem dwadzieścia minut, a wciąż brakowało jednej osoby. Wiedziałam, że bez niej nie zasiądziemy do stołu. Krysia powiedziała mi wcześniej, że Georg Richwalder, druga w hierarchii osoba po generalnym gubernatorze, jest najważniejszym gościem wieczoru.

- Jak ci się podoba Kraków, Anno? - spytała pani Baran, popijając cherry.

- Przepiękny. Niestety nie starcza mi czasu na zwiedzanie - odpowiedziałam, starannie kryjąc zaprawione szczyptą goryczy rozbarwienie, że odgrywam turystkę w rodzinnym mieście.

- Chętnie oprowadzę cię i Łukasza. Dziwne, że dotąd nie spotkałam cię w kościele.

- Rzeczywiście, dotychczas nie chodziliśmy

- wtrąciła pospiesznie Krysia na widok mojego bezradnego spojrzenia. - Od przyjazdu Anny i Łukasza sama ani razu nie byłam na mszy. Zorganizowanie ich pobytu pochłonęło wiele czasu, a jeszcze w zeszłym tygodniu mały się przeziębili.

Z największym trudem ukryłam zdumienie. Łukasz od dnia przybycia nawet nie kichnął. Po raz pierwszy usłyszałam kłamstwo z ust Krysi.

- W niedzielę po mszy mogłybyśmy razem wypić herbatę - zaproponowała pani Baran.

Uśmiechnęłam się uprzejmie. Nietrudno zachować pozory przy błażej pogawędce.

- Z przyjemnością... - Urwałam w pół zdania, ponieważ oczekiwany gość właśnie stanął w drzwiach.

- Komendant Richwalder - obwieściła pani Baran z przejęciem.

Skinęłam głową bez słowa. Nie mogłam od niego oderwać oczu. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, strzelistą sylwetkę, potężny tors. Mundur niemalże pękał w szwach na muskularnych ramionach. Mocna, kwadratowa szczęka oraz prosty nos wyglądały jak wyrzeźbione z granitu. Pożerałam go wzrokiem. Nigdy nie widziałam w realnym świecie tak imponującej postaci, jakby żywcem wyjętej z ekranu lub ze stronic bohaterskiego eposu. To nie bohater, to faszysta - strofowałam siebie w duchu.

Krysia wyszła mu naprzeciw.

- To dla mnie zaszczyt, komendancie, że wstąpił pan w me skromne progi - powitała go tak przyjaźnie, że nie sposób było wychwycić żadnej fałszywej nuty.

- Proszę wybaczyć, że kazałem na siebie czekać - przeprosił niskim, dźwięcznym głosem. Rozejrzał się stalowoszarymi oczami po pokoju, jakby brał go we władanie. Zatrzymał wzrok na mnie. Umknęłam spojrzeniem w bok. Czułam, że płoną mi policzki. - Piękny dom - zakończył uprzejmie.

- Dziękuję. Przyszedł pan w samą porę. Właśnie podajemy do stołu. Proszę nazywać mnie Krysią. - Wzięła go pod ramię i przyprowadziła do mnie.

- Pozwoli pan, że przedstawię moją siostrzenicę, Annę Lipowską.

Wstałam, bardziej oszołomiona niż powinnam po dwóch łykach alkoholu. Komendant był jeszcze wyższy, niż oceniłam na początku. Czubek mojej głowy ledwie sięgał jego ramienia. Ujął moją dłoń w swoją, mocną i dużą. Przeszedł mnie dziwny dreszcz. Miałam nadzieję, że nie spostrzegł tej reakcji. Pochylił głowę, uniósł moją rękę i musnął ją pełnymi wargami, nie spuszczać oczu z twarzy.

- Miło mi poznać - powiedział wprawdzie z obcym, twardym akcentem, lecz nie kalecząc języka polskiego.

- *Sehr angenehm, Sie kennen zu lernen*^{*7} - odpowiedziałam po niemiecku.

Zaskoczony komendant uniósł brwi.

- Pani mówi...

- Tak.

Ojciec uczył mnie niemieckiego w dzieciństwie. Nauka przychodziła mi łatwo ze względu na podobieństwo do jidysz. Gdy zamieszkałam u Krysi, zasugerowała, żebym ćwiczyła ten język. Gdańszczanka powinna go znać.

- *Herr Kommandant*^{*8} - przerwała Krysia.

Odszedł z ociąganiem. Krysia przedstawiła go pozostałym. Wdzięczna za wybawienie z opresji, wyszłam do kuchni, żeby nieco ochłonać. Drżącymi rękami nalałam sobie wody do szklanki i wypijałam ją małymi łykami. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje.

⁷ Bardzo mi miło pana poznać (przyp. tłum.).

⁸ Panie komendancie (przyp. tłum.).

Tłumaczyłam sobie, że to tylko nerwy. Oszukiwałam samą siebie. Żaden inny gość nie wprowadził mnie w takie zakłopotanie, ale też żaden nie dorównywał mu prezencją. Zadrzałam na wspomnienie stalowego spojrzenia podczas pocałunku w rękę, aż rozlałam wodę.

- Ostrożnie! - Elżbieta przerwała nalewanie zupy, żeby wytrzeć moką sukienkę.

Dość tego, powiedziałam sobie stanowczo. To przecież hitlerowiec, a ja mam męża. Nikt inny nie powinien mnie interesować.

Po chwili Elżbieta zadzwoniła małym dzwoneczkiem, przeszliśmy więc do jadalni. Modliłam się, żeby Krysia posadziła mnie obok starego generała czy choćby koło gderliwej pani Ludwig, byle nie przy Georgu Richwalderze. Ledwie zdążyłam sformułować w myślach życzenie, dostrzegłam na stole kartkę ze swoim nazwiskiem pomiędzy nakryciami generała Ludwiga i komendanta. Rozpaczliwie błagałam Kysię o pomoc spojrzeniem, ale nie zwracała na mnie uwagi, całkowicie pochłonięta rozmową z majorem Baranem. Gdy komendant odsunął dla mnie krzesło, owiał mnie żywiczny zapach jego wody kolońskiej.

Elżbieta podała pierwsze danie, czyli zawieszistą zupę grzybową. Ręka drżała mi tak, że łyżka dzwoniła o brzeg miseczki. Krysia rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Miałam nadzieję, że nikt poza nią nie zauważył mojego zdenerwowania.

- Co nowego w Berlinie? - spytał generał Ludwig ponad moją głową.

Odetchnęłam z ulgą, że uwolnił mnie od obowiązku podtrzymy-

wania konwersacji.

- Odnosimy sukcesy na wszystkich frontach - oznajmił komendant.

Nazistowska propaganda wciąż o tym trąbiła, więc nawet ja, żyjąca w izolacji, o tym wiedziałam, ale i tak skuliłam się z przerażenia.

- To samo mówił generał Hochberg. - Ludwig wyraźnie zaakcentował nazwisko. Najwidoczniej chciał zaimponować komendantowi znajomościami na wysokich szczeblach władzy. - Słyszałem pogłoski o oficjalnej delegacji z Berlina. - Ostatnie zdanie wypowiedział z pytającą intonacją, jakby oczekiwał potwierdzenia lub zaprzeczenia.

- Niewykluczone - odrzekł komendant z kamienną twarzą. Dopiero teraz dostrzegłam dwie blizny: jasną linię od nasady włosów do skroni i drugą, dłuższą, lecz mniej wyraźną po lewej stronie, wzdłuż żuchwy. Ciekawa byłam, czy wyniósł je z wypadku, czy z jakiejś bójki. Po namyśle uznałam obie wersje za równie mało prawdopodobne. - ***Fraulein Anna***⁹ - zwrócił się do mnie.

Uświadomiłam sobie, że przez cały czas nie odrywałam od niego wzroku. Znów się zarumieniłam. Z trudem wydobyłam głos ze ściśniętego gardła:

- ***Ja, Herr Kommandant?***

- Proszę mi opowiedzieć, jak się pani żyło w Gdańsku.

Podczas gdy Elżbieta zbierała talerze, odtworzyłam z pamięci zmyślony życiorys. Byłam nauczycielką, lecz kiedy rodzice zginęli w pożarze, musiałam porzucić pracę i zamieszkać z małym braciszkiem u cici. Włożyłam w swoją opowieść tyle uczucia, że prawie sama w

⁹ Panno Anno. (przyp. tłum.)

nią uwierzyłam. Komendant słuchał z uwagą. Pewnie taki ma zwyczaj, tłumaczyłam sobie, chociaż gdy rozmawiał z innymi osobami, nie dostrzegłam u niego takiego zaangażowania. Nie widziałam nikogo innego, jakbyśmy siedzieli sami przy stole. Napięcie stawało się trudne do wytrzymania.

- A pan skąd pochodzi? - spróbowałam odwrócić jego uwagę od siebie.

- Z północy Niemiec, z okolic Hamburga. Moja rodzina prowadzi przedsiębiorstwo żeglugowe. - Cały czas patrzył mi w oczy.

Ledwie go słyszałam. Jego bliskość przyprawiała mnie o zawroty głowy.

- Mnie także rodzice wcześniej osierocili - wyznał, jakby uważał, że wspólne doświadczenia tworzą między ludźmi jakąś więź. - Lecz zmarli z przyczyn naturalnych.

- Jaką funkcję pan tu pełni? - spytałam bez zastanowienia, po czym gwałtownie zamilkłam, przerażona własną śmiałością.

Komendant wyglądał na zaskoczonego. Chyba wszyscy prócz mnie wiedzieli, co robi.

- Pan komendant jest zastępcą gubernatora Franka, drugą osobą w Generalnym Gubernatorstwie - wtrącił Ludwig, - Wprowadza w życie jego rozporządzenia, pilnuje, żebyśmy wykonywali rozkazy.

Komendant poprawił się na krześle, wyraźnie zakłopotany.

- Trochę pan przesadził, generale. Jestem tylko właścicielem przedsiębiorstwa żeglugowego w służbie Rzeszy. - Umknął wzrokiem w bok.

- Wcale nie - obstawał przy swoim Ludwig z twarzą purpurową od nadmiaru wina. - Jest pan zbyt skromny. - Odwrócił ku mnie głowę. - Komendant Richwalder został odznaczony za odwagę podczas służby w marynarce w czasie pierwszej wojny. Był ciężko ranny. Poniósł ogromne ofiary dla ojczyzny.

Pokiwałam głową. Dopiero teraz zauważyłam, że jego ciemne włosy siwieją na skroniach. W myślach obliczyłam, że musi mieć co najmniej czterdzieści pięć lat, co mnie bardzo zdziwiło. Uważałam go za znacznie młodszego. Nareszcie się dowiedziałam, skąd pochodzą szramy. Pochwyciwszy moje spojrzenie, dotknął skroni, jakby czytał w moich myślach. Poprosiłam o sól, żeby choć na chwilę oderwał ode mnie wzrok.

Jednak Ludwig jeszcze nie zakończył swych hymnów pochwalnych.

- Ostatnio przeprowadzał inspekcję w Sachsenhausen, z doskonałym wynikiem - dodał.

Nigdy nie słyszałam tej nazwy, ale ponieważ wypowiedział ją z taką swobodą, jakby chodziło o rzecz oczywistą, nie śmiałam prosić o wyjaśnienie. Usiłowałam zachować trzeźwość umysłu. Piłam wino z umiarem, maleńkimi łyżkami, lecz komendant wciąż mi dolewał. Głowa zaczęła mi ciążyć.

- Świetnie mówi pani po niemiecku - zauważył po drugim daniu, złożonym z bażanta, ziemniaków i marchewki.

Uważałam swoją znajomość niemieckiego za równie naturalną jak

znajomość jidysz. Niemalże zapomniałam, że nie mówimy po polsku.

- *Ich habe in der Schule Deutsch gelernt. In Gdańsk wohnen viele Deutschen**.¹⁰

- *In Danzig!* - natychmiast z oburzeniem poprawił mnie Ludwig. Wszyscy nagle zamilkli.

- Proszę wybaczyć. Od dziecka używałam polskiej nazwy - wyjaśniłam pospiesznie.

Nie udobruchałam go.

- Najwyższy czas przyzwyczać się do nowej rzeczywistości - odparował butnie.

- Szkoda psuć nastrój sporami politycznymi - upomniał go komendant spokojnie, ale stanowczo. - To piękne miasto, niezależnie od tego, jak je nazywamy - dodał już znacznie łagodniejszym tonem. Skarcony generał odwrócił głowę i skupił całą uwagę na pani Baran.

- Racja. - Wdzięczna za wybawienie z opresji, posłałam komendantowi serdeczny uśmiech. Z ulgą sięgnęłam po szklanekę z wodą.

Komendant zrobił to samo, dotykając przy tym mojej ręki. Cofnęłam ją pospiesznie, zarumieniona z zakłopotania. Jego dłoń znieruchomiała w powietrzu. Zażenowani milczeliśmy, według mojej oceny co najmniej kilka minut. Gorączkowo szukałam bezpiecznego tematu, aż wreszcie go znalazłam.

- Uwielbiam niemieckich pisarzy, szczególnie romantyków - powiedziałam.

- Naprawdę? - komendant wreszcie odstawił szklanekę.

¹⁰ Uczyłam się niemieckiego w szkole. W Gdańsku mieszka wielu Niemców (przyp. tłum.).

Elżbieta zaczęła zbierać naczynia. Gdy odchyliłam się na bok, żeby mogła wziąć mój talerz, poczułam z bliska zapach wody kolońskiej komendanta, zmieszany z jego własnym, bardzo męskim, przyjemnym.

- Tak. Moim zdaniem Goethego trzeba czytać w oryginale. Tłumaczenie nie oddaje całego piękna jego poezji - dokończyłam, gdy Elżbieta odeszła, a ja wyprostowałam plecy.

- Jestem tego samego zdania - przytaknął komendant, uśmiechając się przy tym, po raz pierwszy tego wieczoru.

Sięgnął po kieliszek wina, uniósł go. Wykonałam ten sam gest.

- Za niemiecką literaturę.

Nie od razu spełniłam toast. Miałam zamęt w głowie. Komendant wypił do dna, nie spuszczać ze mnie wzroku. Nie pozostawił mi wyboru, poszłam w jego ślady.

Po deserze Kryśia zaprosiła gości do salonu. Elżbieta wręczyła mężczyznom oraz gospodyni po kieliszeczkę koniaku, a pozostałym paniom herbatę. Przystanąłam w drzwiach, ściskając gorącą filiżankę. Nadmiar wina i obfite jedzenie sprawiły, że trudno mi było zebrać myśli. Uciekłam do kuchni, gdzie zastałam Elżbietę przy myciu naczyń.

- Może w czymś pomóc? - zaproponowałam.

Gospośia pokręciła głową. Czułam, że przesadziłam z alkoholem. Patrzyłam bezmyślnie na bąbelki na powierzchni mydlin. W całym dorosłym życiu nie próbowałam innych trunków prócz koszernego wina w szabas, zbyt słodkiego, żeby wypić więcej niż kilka łyków.

Raz czy dwa nalaliśmy sobie z Jakubem do kolacji po szklaneczce whisky. Rozgrzała mnie, ale nie uderzyła do głowy. Teraz zdrętwiał mi język, w gardle wyschło, czoło pokrył zimny pot, a podłoga tańczyła pod stopami.

- Pani Elżbieto! - zawołałam słabym głosem.

Odwróciła głowę. Widząc, że pobladałam, podała mi szklankę wody. Wypiłam z wdzięcznością i opadłam na krzesło. Oddychałam głęboko. Żałowałam własnej lekkomyślności.

Elżbieta dotknęła mojego ramienia, ruchem głowy wskazała drzwi salonu.

- Chodź tu. - Krysia kiwnęła na mnie ręką z obszernej sofy. Poklepała obicie pomiędzy sobą a komendantem. - Usiądź z nami.

Niezręcznie usiadłam na samym brzeżku, zaledwie parę centymetrów od niego, unikając jego wzroku.

- Pan komendant ma dla ciebie propozycję, Aniu
- oznajmiła Krysia.

Wstrzymałam oddech. Nie wiedziałam, co dalej nastąpi, ale przeczuwałam, że nic przyjemnego.

- Szukam sekretarki, a raczej osobistej asystentki do prac biurowych. Pani ciocia uważa, że chętnie przyjmie pani taką posadę.

Serce podeszło mi do gardła.

- To wielki zaszczyt - poparła go Krysia, dając mi dyskretnie do zrozumienia, że nie powinnam odmówić.

- Ja? - spytałam, żeby zyskać na czasie.

- Tak - odpowiedział komendant.

- To niemożliwe - zaprotestowałam, mimo woli nieco za głośno, przerażona zarówno perspektywą służenia hitlerowcom, jak i codziennej bliskości tego niebezpiecznego człowieka. Ponieważ wszyscy na mnie patrzyli, z największym wysiłkiem opanowałam emocje.

- Nie mam odpowiednich kwalifikacji. Do tej pory tylko uczyłam w szkole - tłumaczyłam z pozornym spokojem.

- Mówi pani świetnie po niemiecku - nie dawał za wygraną komendant, wcale niezrażony odmową.

- Krysia twierdzi, że pisze pani na maszynie, a ja potrzebuję zdolnej osoby z dobrą prezencją.

- Nie pogodzę pracy z opieką nad Łukaszem. Muszę pomóc Krysi. - Błagałam ją wzrokiem o wsparcie, lecz posłała mi karcące spojrzenie.

- Jestem pewien, że pani sobie poradzi - odpowiedział stanowczo.

- No... - Rozpaczliwie szukałam przekonujących argumentów.

- To śmieszne, żeby odrzucać tak świetną ofertę! - ryknął oburzony Ludwig.

Komendant zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Pani Anno, nie zamierzam do niczego pani zmuszać. Proszę tylko przemyśleć moją propozycję. Zaczekam na odpowiedź - zwrócił się do mnie łagodnym tonem.

Nie ulegało wątpliwości, że Krysi bardzo zależy na mojej zgodzie. Chociaż nie rozumiałam, dlaczego tak jest, nie mogłam jej zawieść. Odetchnęłam głęboko.

- Nie trzeba, już podjęłam decyzję. Z przyjemnością przyjmę tę pracę.

- A zatem sprawa załatwiona. - Krysia wstała. - A teraz zagram coś państwu, tak jak obiecałam pani Baran.

Siadła do fortepianu. Dyplomatycznie wybrała najpierw utwór Wagnera, dopiero później Chopina. Podziwiałam jej talent. Smukłe palce lekko szybowwały nad klawiaturą, gdy odtwarzała z pamięci klasyczny repertuar.

Kilka godzin później, po wyjściu gości, wycierałyśmy przy zlewie ostatnie filiżanki.

- Przypuszczałam, że komendant zaproponuje ci tę posadę - powiedziała Krysia półgłosem, żeby Elżbieta, która sprzątała pokój, nie usłyszała. - Wiedziałam, że szuka asystentki. Od razu zauważyłam, że zwrócił na ciebie uwagę.

- Skoro przewidziałś taki scenariusz, to po co mnie przy nim posadziłaś? - Gwałtownie odgarnęłam z czoła niesforny lok.

Krysia zastygła w bezruchu z miseczką w dłoni.

- Nic podobnego! Prosiłam Elżbietę, żeby umieściła jego nazwisko obok mojego, bo miałam nadzieję, że po paru kieliszkach powie coś użytecznego. - Podeszła do drzwi, żeby zawołać gospozię.

Elżbieta przybiegła z jadalni z miotłą w ręce.

- Słucham panią.

- Czy to ty zamieniłaś wizytówki?

- Skądże! Zgodnie z poleceniem umieściłam pani nazwisko pomiędzy nakryciami komendanta i generała Ludwiga. Sama byłam zaskoczona zamianą.

- Dziękuję, Elżbieto.

Po jej wyjściu Krysia zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, jak do tego doszło.

- Pewnie przez niedopatrzenie - podsunęłam, zawzięcie szorując ze spuszczoną głową osmalony garnek. Nie wierzyłam w przypadek. Czulałam dławienie w piersiach. Byłam pewna, że to komendant zamienił kartki, żeby usiąść przy mnie.

- Chyba tak. W każdym razie dobrze, że cię zatrudnił.

- Jak możesz?! - wykrzyknęłam, przestając panować nad sobą. - Rozszyfruje naszą tajemnicę.

- Najciemniej pod latarnią, Aniu - uspokajała mnie Krysia. Nawet w domu używała mojego pseudonimu, żebym przywykła. - Nikt nie będzie szukał Żydówki w głównej kwaterze nazistów, a komendant jest jedną z najważniejszych osobistości w obecnych władzach. Jeżeli zdobędziesz jego zaufanie, być może kiedyś udzielisz nam pomocy.

- Niby jakiej? Zrozum, Krysiu, nie mogę pracować dla hitlerowców!

- wykrzyknęłam w rozpacz.

Położyła palec na ustach, skinęła w stronę pokoju.

- Wybacz - szepnęłam zawstydzona, a zarazem bliska omdlenia ze strachu. Uważałam, że wkroczyliśmy na wyjątkowo grząski grunt. Zwłaszcza ja. Nie wyobrażałam sobie, jak wytrzymam w biurze pod czujnym okiem komendanta Richwaldera.

W nocy nie mogłam zasnąć, tylko słuchałam ujadania psów za oknem ze wzrokiem wbitym w dębowe belki stropu. Po raz trzeci od początku wojny, po przeprowadzce do getta i późniejszej ucieczce, stałam u progu radykalnej zmiany. Tym razem podejmowałam pracę

u hitlerowców. Mimo ciepłej majowej nocy po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

Wróciłam pamięcią do końcowych minut przyjęcia. Komendant Richwalder wyszedł ostatni. Długo zwlekał, przystanął w drzwiach w szarym, wojskowym płaszczu i skórzanych rękawiczkach. Pocałował mnie w rękę. Jeszcze długo po jego wyjściu brzmiało mi w uszach ostatnie zdanie:

- Skontaktuję się z panią za kilka dni, kiedy skompletujemy dokumentację.

Ledwie wyjąkałam podziękowanie. Kiedy puścił moją rękę, spostrzegłam jej drżenie.

- To ja dziękuję, panno Anno - powiedział na koniec. Patrzył przy tym jak pajak na muchę.

Przeczuwałam, że niebawem wpadnę w jego sieć. Moim ciałem wstrząsnął potężny dreszcz.

Psy nadal ujadały w oddali.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Komendant Richwalder nie dał znaku życia przez następnych kilka dni. W końcu spytałam Krysię, dlaczego.

- Pewnie sprawdza twoje pochodzenie - wyjaśniła.

Wpadłam w popłoch. Nie wątpiłam, że hitlerowcy szybko odkryją moją prawdziwą tożsamość. Krysia daremnie dokładała wszelkich starań, żeby mnie uspokoić. Dopiero kilka dni później okazało się, że to ona miała rację. Działacze ruchu oporu znaleźli w Gdańsku odpowiednich ludzi, którzy potwierdzili, że znali Annę Lipowską, sąsiadowali z nią, chodzili do tej samej szkoły. Wyrazili szczere współczucie z powodu tragicznej śmierci rodziców. Najwyraźniej organizacja działała w całej Polsce.

W następny piątek po przyjęciu posłaniec przyniósł mi wiadomość, że zostałam zakwalifikowana na stanowisko asystentki. W poniedziałek miałam się zgłosić do biura komendanta.

- Jutro wychodzimy do miasta - zarządziła Krysia w sobotę wieczorem po ułożeniu Łukasza do snu.

- Po co? - spytałam zdziwiona. Sklepy są w niedzielę zamknięte.

- Na mszę - wyjaśniła Krysia, pochwyciwszy moje zdumione spojrzenie. - Żona majora głośno komentowała fakt, że nie chodzimy do kościoła.

Krysia, jak zwykle, pomyślała o wszystkim. Głęboko wierząca osoba powinna mieć równie pobożnych krewnych i gdyby nagle za-

przestała praktyk religijnych z powodu naszego przyjazdu, wzbudzi-
łaby podejrzenia. Mimo że uznawałam jej argumenty, przerażała mnie
myśl o przekroczeniu progu katolickiej świątyni.

- Przykro mi, nie mamy wyjścia. Należy zachować pozory.

Bez słowa wyszłam do sypialni i otworzyłam szafę w poszukiwaniu
niedzielnej sukienki, zbliżonej do tych, jakie noszą moje polskie rów-
wieśnice.

- Weź różową - usłyszałam za sobą głos Krysi.

- Tę? - Wyciągnęłam sukienkę z rękawami trzy czwarte.

- Tak. Robię kawę. Wypijesz ze mną?

Kiwnąwszy głową, podążyłam za nią do kuchni.

Kilka minut później wniosłyśmy parujący dzbanek do salonu. Na
niskim stoliku leżały druty i kłębek błękitnej włóczki.

- Robię dla Łukasza sweterek na zimę - wyjaśniła Krysia.

Najwyraźniej sądziła, że zostaniemy u niej przez dłuższy czas, co
nie wiedzieć czemu mnie zdziwiło. Przecież hitlerowski terror w
Polsce nie osłabł, nic nie zapowiadało końca wojny, a my nie mie-
liśmy dokąd pójść. Ale do zimy pozostało jeszcze pół roku. Bolało
mnie serce, że tak długo nie zobaczę Jakuba. Obejrzałam robótkę,
żeby ukryć przygnębienie. Chociaż wydziergała zaledwie kilka rów-
niutkich rzędów, widziałam, że włożyła w tę pracę wiele serca. Po
pofałdowanej nitce poznałam, że spruła na ten cel jakąś własną rzecz.
Podziwiałam jej poświęcenie.

- Pasuje do koloru jego oczu - zauważyłam.

- O tym samym pomyślałam. Umiesz robić na drutach?

Pokręciłam głową.

- Chodź, pokażę ci. - Nie czekając na odpowiedź, posadziła mnie na sofie, wcisnęła w rękę druty, stanęła za mną i ujęła moje dłonie w swoje, znacznie większe. Jej delikatny dotyk przypominał mi Jakuba. Wróciły najpiękniejsze wspomnienia, odwracając moją uwagę od wykonywanych czynności. Pograżona w marzeniach, przestałam śledzić ruchy Krysi.

- To wszystko - stwierdziła po kilku minutach, pewna, że dalej poradzę sobie sama.

Lecz ja bezwładnie opuściłam ręce.

- Przepraszam. Nie mam zdolności do robótek ręcznych - wyznałam, odkładając druty na stół.

Nie kłamałam. Mama zrezygnowała z nauczania mnie szycia na widok mojego paskudnego, koślawego ściegu, gdy miałam dwanaście lat. Wiedziałam, że Krysia też musi spruć niezdarne, krzywe oczka, które zrobiłam.

- Bzdura! Praktyka czyni mistrza. - Odebrała ode mnie robótkę. - Jak trochę poćwiczysz, może coś wydziergasz dla Jakuba.

- Dla Jakuba - powtórzyłam w rozmarzeniu ukochane imię. Ujrzałam przed sobą jego twarz. Chętnie zrobiłabym mu brązowy sweter w odcieniu jego oczu. Wyobrażałam sobie, jak wkłada go przez głowę. Odtworzyłam w pamięci jego smukłą, niemalże chłopięcą, zbyt kruchą jak na bojownika sylwetkę. Zastanawiałam się, czy zabrał z sobą dość ciepłych rzeczy, czy nie marznie.

- Tęsknisz, prawda? - spytała Krysia cichutko, jakby czytała w

moich myślach.

- Bardzo.

Usiłowałam przegnać smutek, skupić całą uwagę na nowym wyzwaniu, przygotować się na poniedziałek. Zadałam jeszcze pytanie, które nurtowało mnie od dnia przyjęcia:

- Co to jest Sachsenhausen?

Krysia zastygła w bezruchu z drutami w dłoni.

- Czemu pytasz?

- Ludwig wspominał, że komendant wizytował Sachsenhausen.

Krysia przygryzła wargę.

- To hitlerowskie więzienie, obóz pracy w Niemczech, koło Monachium.

- Dla Żydów?

- Nie, dla więźniów politycznych i kryminalistów.

Chociaż bardzo chciałam jej uwierzyć, intuicja podpowiadała, że ukryła część prawdy. Usiadła koło mnie, wzięła za rękę.

- Nie martw się, tobie nic nie grozi. Richwalder cię polubił.

- To dobrze - odrzekłam, chociaż wcale mnie nie uspokoiła.

- Coś podobnego, już prawie wpół do jedenastej!

- wykrzyknęła Krysia, spojrzawszy na zegar. - Straciłam rachubę czasu, a rano wcześnie wstajemy. Musisz wypocząć, nabrać sił na jutro.

I na następne dni - dokończyłam w myślach. Upiłam jeszcze jeden łyk gorącej kawy, po czym wstałam z krzesła. Krysia znów zaczęła robić na drutach.

- Dobranoc - powiedziałam.

Nie spytałam, czy nie idzie spać. Zwykle kładła się późno, a wstawała wcześnie. Niewiele sypiała, podobnie jak Jakub w czasie studiów. Często czytał do późna. Czasami zastawałam go rano, śpiącego nad książką lub artykułem. Jednak on przynajmniej nadrabiał zaległości następnego dnia, w przeciwieństwie do Krysi. Byłam pewna, że jutro wstanie o świcie, żeby przygotować nas na nadchodzący dzień. Uważałam, że wzięła na siebie zbyt wielki ciężar, przyjmując nas pod swój dach. Teraz dojdą obowiązkowe wizyty w kościele, a przede wszystkim ogromny niepokój związany z moją pracą u komendanta Richwaldera.

Nie wypoczęłam tej nocy. We śnie wędrowałam po jakimś ciemnym zaułku, w oddali słyszałam rozmowy, czyjeś śmiechy. Wyteżyłam wzrok. Pięćdziesiąt metrów przed sobą ujrzałam grupkę młodych ludzi, ubranych w coś, co przypominało wojskowe mundury. Rozpoznałam znajomy baryton, głośniejszy od innych.

- Jakubie! - krzyknęłam. Zaczęłam biec. Chciałam go dogonić, ale straciłam równowagę na śliskim, mokrym chodniku. Upadłam. Wstałam i ruszyłam pędem za nimi. Wreszcie ich dopędziłam. Powtórzyłam imię męża prawie bez tchu. Nie słyszał mnie.

Rozmawiał z kobietą, której nie znałam. Nie zrozumiałam ani słowa. Chciałam go złapać za rękaw, dotknąć, ale rozdzielił nas tłum. Ktoś mnie popchnął. Znowu upadłam na kolana. Rozgadane towarzystwo odeszło, a ja zostałam sama na zimnym, mokrym chodniku. Obudził mnie mój krzyk:

- Jakubie!

Zamrugałam. Nawet kiedy wreszcie pojęłam, że to tylko sen, jeszcze przez kilka minut wpatrywałam się w ciemność w złudnej nadziei, że go zobaczę. Tęskniłam za nim rozpaczliwie. Raz po raz odtwarzałam wizję w pamięci, aż uległam złudzeniu, że zawierała ziarno prawdy. Goniłam za mężem w każdym śnie, lecz nigdy go nie doganiałam. W końcu zaczęłam przeżywać nocne rozterki na jawie: czy działalność konspiracyjna tak go pochłonęła, że o mnie zapomniał? Czy inna kobieta zawładnęła jego sercem? Albo... lęk, że spotkało go coś złego, że straciłam go na zawsze, nie pozwolił mi sformułować myśli do końca. Nie wyparłam jej jednak z podświadomości. Nie mogłam wykluczyć, że zginął, że więcej go nie zobaczę. Wtuliłam twarz w poduszkę, zmoczyłam ją łzami.

Następnego ranka Krysia zapukała do mnie o siódmej. W pośpiechu włożyłam ubranie.

Na dole zastałam już wykapanego, ubranego do wyjścia Łukasza. Do tej pory miałam cichą nadzieję, że ominie nas konieczność zabrania go do kościoła, ale przecież nie mogliśmy zostawić trzylatka samego w domu.

W milczeniu doszliśmy do przystanku na rogu. Wkrótce nadjechał autobus pełen wieśniaków. Po odprasowanych ubraniach i wyczyszczonych paznokciach poznałam, że mieszkańcy okolicznych wsi również spieszyli do kościoła. Usiłowałam obojętnie patrzeć przez okno, jakbym pokonywała tę trasę co tydzień, ale napięcie nie mijało. Po raz pierwszy w życiu miałam wejść do katolickiej świątyni. Jako

młoda dziewczyna często widywałam rozmodlony tłum na placach przed rozsianymi po całym Krakowie kościołami. Ludzie pochylali głowy, śpiewali nabożne pieśni, lecz spoza ich pleców nie widziałam, co odbywa się w mrocznych wnętrzach. Wyobrażałam sobie jakieś bliżej nieokreślone, tajemnicze misterium. Tego dnia po raz pierwszy miałam wziąć w nim udział. Gdyby ojciec mnie zobaczył, patrzyłby na mnie z przygnębieniem, mama pewnie tylko pokręciłaby z niedowierzaniem głową.

Wysiadłyśmy na końcu Plant, wzięłyśmy pomiędzy siebie Łukasza. Wkrótce zamajaczyły przed nami wieże kościoła Mariackiego. Spośród setek krakowskich kościołów Krysia wybrała najślynniejszy i najpiękniejszy. Przystanęłam niepewnie przed drzwiami. Krysia pociągnęła mnie za rękaw.

- Chodźmy.

Z drzeniem serca przekroczyłam próg i zamrugałam, żeby przyzwyczaić oczy do półmroku. Poczułam chłód starych murów. Krysia puściła moją rękę, żeby się przeżegnać. Chyba oczekiwała, że pójdę w jej ślady. Pokręciłam głową. Na coś takiego nie byłam jeszcze gotowa.

Podążyłam za nią główną nawą, odwracając wzrok od kilkumetrowego krucyfiksu na ścianie. Zauważyłam, że zgromadzeni uważnie nas obserwują, szepczą między sobą na nasz widok. Ogarnął mnie lęk, że odkryli moje pochodzenie, chociaż zdawałam sobie sprawę, że tylko zaciekawili ich nowe twarze. Pewnie niektórzy znajomi Krysi słyszeli już, że przyjęła pod swój dach osieroconych krewnych. Po-

zdrowiała przyjaciół skinieniem głowy lub uściskiem dłoni, niby nie dostrzegając, że wzbudziliśmy sensację. Posadziła nas w twardej, drewnianej ławie.

Zagrały organy. Zdziwiło mnie, że tak wielu ludzi przychodzi na mszę. Faszyści zwalczali religię, aresztowali wielu duchownych. Wprawdzie w katolickiej Polsce nie wazyli się zakazać praktyk religijnych, ale i tak podziwiałam odwagę krakowian, że zachowali wiarę, nie bacząc na groźbę represji.

Nadszedł ksiądz i zaintonował pieśń po łacinie. Kilka minut później jak na komendę wszyscy uklękli. Powinnam zrobić to samo, ale trudno mi było przełamać wewnętrzne opory, bo Żydom nie wolno klęczeć. Jednak Krysia nie pozostawiła mi wyboru i szarpnęła mnie w dół za rękaw. Ugięłam kolana, ciągnąc za sobą Łukasza. Patrzył w górę rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Pozostaliśmy w tej pozycji przez kilka minut. Nie przywykłam do niej. Od twardej posadzki rozboleły mnie kolana. W ślad za Krysią pochyliłam głowę. Ksiądz znów zaśpiewał, wierni powtarzali za nim niektóre wersy. Nie rozumiałam znaczenia tych obrzędów. Gdy wszyscy się zegnali, wykonałam nieokreślony ruch ręką przy twarzy tylko dla zachowania pozorów. Zerknęłam kątem oka na Łukasza. Synek rabina dokładał wszelkich starań, żeby wiernie odtworzyć gesty Krysi. Naprawdę się przeżegnał. Włosy na karku stanęły mi dęba ze zgrozy. Rzuciłam okiem na Krysię. Szeptala coś prawie bezgłośnie. Modliła się. Zastanawiałam się, czy gdybym się tu pomodliła po swojemu, zostałabym wysłuchana. Dawno tego nie robiłam. Po namyśle wybrałam

Shemę, najważniejszą z żydowskich modlitw:

„Słuchaj, Izraelu, Bóg jest naszym Panem, Pan jest jeden” - powtórzyłam w myślach. Później przerwałam. Słowa nie brzmiały przekonująco w tym miejscu.

Spróbowałam od nowa:

- Proszę cię, Boże...

Znów chwila namysłu, pustka w głowie, a potem słowa same popłynęły wartkim strumieniem. Poprosiłam o ocalenie rodziców, o zdrowie dla Łukasza i Krysi, o siłę dla siebie, bym nieopatrznym słowem czy gestem nie zdradziła naszej tajemnicy, o wybaczenie, że klęczę w katolickiej świątyni, wreszcie o to, żeby Łukasz zapomniał, gdzie go przyprowadziłam.

Kiedy wszyscy usiedli, wzięłam dziecko na kolana i przytuliłam twarz do jego chłodnego policzka. Ksiądz odśpiewał coś jeszcze, później wyszedł zza ołtarza ze srebrnym kielichem i tacą w dłoniach. Ludzie wyszli z ławek. Krysia również.

- Komunia - szepnęła.

Skinęłam głową. Już słyszałam o tym sakramencie. Dotknęła mego ramienia. Najwyraźniej oczekiwała, że pójdę za nią razem z Łukaszem, chociaż podejrzewałam, że jest jeszcze za mały. Usłuchałam jej niemej prośby. Uważnie obserwowałam, co robi. Kiedy dotarła na początek szeregu, uklękła i otworzyła usta. Po przyjęciu opłatka wstała i odebrała ode mnie Łukasza.

Nadeszła moja kolej. Uklękłam. Ksiądz umieścił opłatek na moim języku ze słowami:

- Ciało Chrystusa.

Zamknęłam usta, spuściłam głowę, pewna, że za karę zostanę razona piorunem, lecz nic takiego nie nastąpiło. Wróciłyśmy do ławki.

Podczas zbierania ofiary dotarła do nas prawie pusta taca. Krysia położyła na niej kilka monet, bez wątpienia mniej niż przed wojną i przypuszczalnie więcej, niż mogła sobie pozwolić.

Po wyjściu z kościoła miałam ochotę umknąć jak najdalej, lecz Krysia przystanęła jeszcze na pogawędkę ze znajomymi. Zmobilizowałam całą siłę woli, żeby przy niej pozostać.

- Chyba nie było tak źle? - spytała, kiedy odeszłyśmy na bezpieczną odległość.

Pokręciłam głową bez słowa. Nawet ona mimo najlepszych intencji nie zrozumiałaby, że przeraża mnie myśl o następnej wizycie w obcej świątyni.

Gdy wróciłyśmy do domu, ugotowałam barszcz dla Łukasza na obiad, przygotowałam mu ubranie na następny dzień. Dokładałam wszelkich starań, żeby zapomnieć, że niebawem zacznę pracę w biurze komendanta Richwaldera.

- Mogłabym to sama jutro zrobić - zaprotestowała Krysia.

- Potrzebuję zajęcia. Pewnie w nocy nie zmruję oka - odrzekłam, składając, już chyba po raz czwarty, upraną dziecięcą koszulkę.

Poszłam do łóżka dopiero po północy. Tak jak przewidywałam, sen nie nadchodził. Wspominałam getto, rodziców, wszystkie problemy, które dotąd spychałam do podświadomości, byle nie myśleć o jutrze. Spróbowałam nawet ułożyć list do Jakuba. Od czego zacząć? To

akurat łatwe: „Mój ukochany”. A potem? „Twoja żona została chrześcijanką. Ma dziecko. Jutro rozpoczyna pracę u hitlerowca”. Roześmiałam się na głos, choć wcale nie było mi do śmiechu. Sytuacja wyglądała poważnie. Wiele ryzykowałam, wkraczając wprost do jaskini lwa. W razie wpadki narażałam nie tylko siebie, lecz również Łukasza, rodziców i Krysę. Nie ulegało wątpliwości, że była świadoma ryzyka od chwili, kiedy zmusiła mnie do przyjęcia oferty. Musiała mieć ważne powody.

Zmęczona długimi rozmyślaniami, zapadłam w głęboki sen.

Około piątej nad ranem obudziło mnie pianie koguta sąsiadów. Słońce jeszcze nie wzeszło ponad koronę klonu, lecz rolnicy już wieźli swe produkty na targ. Poleżałam jeszcze chwilę, słuchając stukotu końskich kopyt o bruk. Podobnie jak w dzieciństwie, gdy czekały mnie przykre obowiązki, zwlekałam ze wstawaniem, co oczywiście nie rozwiązywało problemów. Co się odwlecze, to nie uciecze, powiedziałam sobie w końcu. Spóźnienie w pierwszym dniu pracy podważyłoby moją wiarygodność.

Wstałam, umyłam się, następnie zeszłam do kuchni na palcach, jak najciszej, żeby nie obudzić domowników. Zostałam Krysę przy stole nad gazetą, piła herbatę. Nie potrafiłam odgadnąć, czy w ogóle się kładła. Przy powitaniu jej głos brzmiał świeżo, dźwięcznie, jakby dobrze wypoczęła. Obejrzała uważnie moje ubranie. Wybrałam szarą spódnicę po niej, która jej pewnie sięgała za kolana, mnie zaś prawie do kostek. Zbyt obszerną białą bluzkę ściągnęłam szerokim paskiem w talii.

- Bardzo stosowny strój. - Podsunęła mi talerz z gorącą jajecznicą. -
A teraz jedz.

Nie skorzystałam z zaproszenia. Skurczony ze strachu żołądek nie przyjąłby pokarmu. Już sam zapach jedzenia przyprawiał mnie o mdłości.

- Dziękuję, jestem zbyt zdenerwowana, no i nie chcę się spóźnić.

Wręczyła mi kanapkę, zarzuciła na ramiona wełniany płaszcz.

- Musisz zachować spokój, inaczej popełnisz jakiś błąd. Nie mów za wiele, uważnie obserwuj otoczenie i nikomu nie ufaj. - Poklepała mnie po ramieniu. - Głowa do góry. Poradzisz sobie. Będziemy czekać na twój powrót.

Wyszłam przed siódmą rano. Prawie przed każdym domem na naszej ulicy ktoś już pracował w ogródku albo zamykał chodnik. Sąsiedzi zerkali na mnie z zaciekawieniem. Pozdrawiałam ich skinieniem głowy lub, w miarę możliwości, uśmiechem, jakbym codziennie wychodziła o tej porze. Dopiero za zakrętem odetchnęłam z ulgą, wyczerpana tą wścibską obserwacją. Wciągnęłam w nozdrza rześkie, chłodne powietrze. Pachniało rosą. Odkąd zamieszkałam u Krysi, zaczęłam doceniać urodę brzasku. Podziwiałam krajobraz, osnuty cienkim welonem mgiełki, którą o świcie rozpraszało słońce. Sielska sceneria przyniosła mi ukojenie.

Na przystanku oprócz mnie czekała starsza kobieta z koszem nowalijek. Weszłam za nią do autobusu. Podskakiwał na wybojach, co pół kilometra przystawał. Nisko położone gałęzie okrytych bujnym listowiem drzew szorowały o dach. Gdy wsiadło więcej osób, usta-

piłam miejsca staruszkowi. Uśmiechnął się do mnie bezzębnymi ustami.

Dwadzieścia minut później wysiadłam i szybko dotarłam pieszo pod Wawel. Na widok potężnych murów westchnęłam głęboko. Nie oglądałam zamku od jesieni, od dnia, w którym wyruszyłam w drogę do getta. Teraz jego wieże i kopuły wydały mi się jeszcze potężniejsze. Hitlerowcy wybrali dawną rezydencję polskich królów na siedzibę władz Generalnego Gubernatorstwa. Półprzytomna ze zdenerwowania, podeszłam do bramy.

- Anna Lipowska - przedstawiłam się wartownikowi.

Nawet na mnie nie spojrzał, tylko sprawdził nazwisko na liście. Zawołał strażnika, który wprowadził mnie do środka pod łukiem bramy.

Podążyłam za nim po marmurowych schodach, pod wysokimi sklepieniami korytarzy. Zapach starych murów przypomniiał mi lata szkolne, kiedy zwiedzałam wawelskie muzeum. Lecz to już nie był ten sam zamek. Ogołoco go z portretów polskich królów, które zastąpiły niezliczone czerwone flagi ze swastyką w białym kółku. Wszyscy nosili hitlerowskie mundury.

- ***Heil Hitler!*** - wołali na powitanie.

Odpowiadałam jedynie skinieniem głowy, bo faszystowskie pozdrowienie nie przeszło mi przez usta. Mój przewodnik pewnie wziął moje milczenie za objaw zdenerwowania, bo głośno odpowiadał za mnie. Wreszcie po długiej wędrówce przystanął, chyba na ostatnim piętrze, przed solidnymi, dębowymi drzwiami z wizytówką komen-

danta Richwaldera. Zapukał krótko, dwa razy, po czym otworzył drzwi, nie czekając na zaproszenie. Pokazał gestem, żebym weszła. Mały, duszny pokój bez okna służył za recepcję. Na środku, za biurkiem, siedziała potężna kobieta z fatalną cerą i szerokim nosem. Z pochyloną głową wypełniała jakiś grafik, kiwając rytmicznie obrzymym, brunatnym kokiem.

Skoro już jedna sekretarka tu pracuje, to co ja tu robię? - zapytałam samą siebie w nadziei, że zaszła pomyłka i zaraz odeślą mnie do domu. Sama w to nie wierzyłam. Komendant Richwalder wcale nie sprawiał wrażenia roztargnionego. Stałam kilka minut w milczeniu, coraz bardziej zakłopotana, bo sekretarka nie zwróciła na mnie uwagi. Odwróciłam głowę, ale strażnik już odszedł.

- Przepraszam - wykrztusiłam w końcu.

- *Ja?*

Z jej akcentu wywnioskowałam, że słabiej ode mnie zna niemiecki.

- Nazywam się Anna Lipowska.

Żadnej reakcji.

- Komendant Richwalder kazał mi się tu zgłosić.

- Ach, tak. - Wstała, zmierzyła mnie niechętnym wzrokiem od stóp do głów. - Nowa osobista asystentka - stwierdziła z wyraźnym niesmakiem. Pokazała gestem drugie drzwi za biurkiem. Przeszła przez nie pierwsza.

Mniejszy od sekretariatu pokój był ładniej umeblowany. Przez dwa wysokie, otwarte okna wpadało świeże powietrze.

- To poczekalnia, pani miejsce pracy. Gabinet komendanta jest za

tymi drzwiami. - Wskazała je głową. - Pan komendant kazał przeprosić, że nie powita pani osobiście, ale uczestniczy w ważnym posiedzeniu.

Nie wyobrażałam sobie niemieckiego oficera, który przeproszałby za cokolwiek.

- Mamy zaszczyt pracować w biurze gubernatora. Na Wawelu rezydują tylko najwyższe władze. Pomniejsze urzędy mieszczą się na Pomorskiej.

Kiwnęłam głową w milczeniu. Nie widziałam nic wzniosłego w służeniu okupantom.

- Komendant jest pierwszym zastępcą gubernatora. Podlegają mu dyrektorzy wszystkich oddziałów w południowej Polsce - tłumaczyła dalej uroczystym tonem. - Po powrocie oczywiście zapozna panią z obowiązkami. Na razie będzie pani prowadzić terminarz i korespondencję. - Ostatnie słowo wypowiedziała z namaszczeniem. - Nazywam się Małgorzata Tuma. Jeżeli będzie pani potrzebowała pomocy, proszę dać mi znać.

Podziękowałam za wyjaśnienia. Jej zawistne spojrzenie powiedziało mi, że zajmuje podrzędne wobec mojego stanowisko. Przypuszczałam, że moje przybycie rozwiało jej nadzieję na awans. Nie współczułam jej. Zraziła mnie do siebie czołobitnym stosunkiem do faszystowskich władz. Podejrzewałam, że zrobiłaby wszystko, by zaskarbić sobie względy komendanta. Nie wątpiłam, że ta Polka popierała faszystowski reżim. Z pewnością to przed takimi jak ona ostrzegała Krysią. Przeczynałam, że będzie śledzić moje poczynania, czekając

na jakiegokolwiek potknięcie. Podeszła do biurka po prawej stronie pod oknem.

- Oto korespondencja komendanta. - Wręczyła mi skoroszyt. - Proszę otworzyć każdy list i posegregować według nadawcy, daty i rodzaju sprawy.

- Pokazała mi, jak podzielić listy na trzy pliki: pierwszy do rąk własnych komendanta, drugi niewymagający osobistego czytania, trzeci do przekazania innym oficerom. - Tylko pod żadnym pozorem proszę nie otwierać kopert z nadrukiem „Geheime Reichssache”^{*11} - zaznaczyła na koniec, po czym wróciła do siebie, głośno zatrzęsawszy drzwiami.

Po jej wyjściu odetchnęłam z ulgą i usiadłam za biurkiem. Prócz listów znalazłam na nim komplet przeznaczonych dla mnie przyborów. Posortowałam je i włożyłam do szuflady. Później obejrzałam miejsce pracy. Pokoik miał około trzech metrów na pięć. Okna nad biurkiem i ustawioną przy przeciwległej ścianie sofą umieszczone były tak wysoko, że musiałam stanąć na palcach, by popatrzeć na Wisłę, która płynęła u stóp Wawelu.

Wróciłam do stosu papierów. Pomna uwag Krysi, czytałam uważnie, niestety nie znalazłam nic ciekawego, bo były to głównie prośby o honorowy patronat różnych organizacji i techniczne opisy niemieckiego uzbrojenia, dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Trzecią kopertę od końca przecinał po przekątnej czerwony stempel: „Tajna sprawa państwowa”.

¹¹ Tajna sprawa państwowa (przyp. tłum.).

Uniosłam ją do światła, ale nic nie mogłam odczytać przez grubą kopertę. Postanowiłam ostrożnie odkleić brzeg, a po przeczytaniu zakleić z powrotem. Ledwie zaczęłam wprowadzać zamiar w czyn, usłyszałam skrzypienie otwieranych drzwi. Uniosłam głowę. Do pokoju wkroczył komendant z płaszczem przerzuconym przez ramię. Wyglądał jeszcze bardziej imponująco, niż zapamiętałam. Towarzyszył mu niższy mężczyzna z dwoma teczkami.

- Dzień dobry, Anno. - Komendant podszedł do mnie z uśmiechem, pochwycił moją dłoń. Podświadomie oczekiwałam, że złoży na niej pocałunek jak podczas przyjęcia u Krysi, ale on tylko lekko, w oficjalny sposób nią potrząsnął. - To pułkownik Diedrichson, mój zastępca do spraw wojskowych.

Diedrichson postawił teczki na podłodze i z groźną miną wskazał moją lewą rękę. Trzymałam w niej jeszcze kopertę z częściowo odklejonym brzegiem.

- Co pani robi? - zapytał oskarżycielskim tonem.

Wpadłam w popłoch.

- Pani Małgorzata kazała mi posegregować korespondencję - wyjąkałam przerażona.

- Nie mówiła, że nie wolno otwierać poufnych listów?

Niepewnie pokręciłam głową, modląc się, żeby nie doszło do konfrontacji.

- To pewnie tylko przeoczenie - spokojnie powiedział komendant.

- Właśnie dlatego chciałem sprowadzić zaufany personel z Berlina.

- Diedrichson wyrwał mi z ręki kopertę.

- Dziękuję, pułkowniku, to wszystko - przerwał komendant.

Pułkownik uniósł prawą rękę.

- *Heil Hitler!* - wykrzyknął, następnie zabrał teczkę i zniknął.

Po jego wyjściu komendant wskazał mi drzwi swojego gabinetu. Drżącymi rękami pochwyciłam notatnik i podążyłam za nim.

Olbrzymie biuro nie przypominało żadnego z pomieszczeń, które wcześniej widziałam. Zajmowało co najmniej taką powierzchnię, jak całe piętro w willi Krysi. Przy drzwiach była sofa i sześć krzeseł ustawionych wokół niskiego stołu, jakie widuje się w salonach, a w przeciwległym końcu pokoju był drugi stół, konferencyjny, z co najmniej czternastoma krzesłami, na środku zaś olbrzymie, mahoniowe biurko. Na jego brzegu ustawiono fotografię w ramkach. Naprzeciwko biurka ujrzałam zabytkowy zegar szafkowy. W oknie wisiały grube, aksamitne zasłony, przewiązane złotymi sznurami. Za oknem rozciągała się przepiękna panorama Wisły.

- Proszę usiąść. - Komendant wskazał mi miejsce na sofie przy drzwiach, a sam podszedł do biurka i zaczął czegoś szukać w papierach. Cierpliwie czekałam, aż skończy. Wkrótce podniósł na mnie wzrok.

- Myślę, że Małgorzata przedstawiła ci zakres obowiązków.

Skinęłam głową.

- Może je wykonywać każdy, łącznie z Małgorzatą, Anno - powiedział, idąc w moim kierunku. Kiedy zadrzałam mimo woli, spytał:

- Zimno ci?

- Nie, panie komendancie - wyszeptałam, zła na siebie, że nie

opanovałam zdenerwowania. Postanowiłam popracować nad sobą.

- To dobrze. - Usiadł na krześle naprzeciwko.

Dopiero teraz zobaczyłam wpięty w kołnierz znaczek ze swastyką. Czy zawsze go nosił? Wcześniej nie zwróciłam na niego uwagi, ale też wcześniej nie wiedziałam, co to jest Sachsenhausen.

- Jestem pierwszym zastępcą gubernatora, Anno

- oznajmił. - Ten głupiec Ludwig nie przesadził. Rzeczywiście ciąży na mnie obowiązek dopilnowania, żeby wykonywano wszystkie rozkazy gubernatora. Wszystkie. - Ostatnie słowo powtórzył ze szczególnym naciskiem, unosząc brwi. - W Generalnym Gubernatorstwie nie brakuje żmij. Mają pełne usta patriotycznych frazesów, ale wielu najchętniej wbiłoby mi nóż w plecy, dlatego szukałem dyskretnej, bystrej, a przede wszystkim lojalnej osoby- dodał już spokojniejszym tonem. Podszedł do mnie. - Będiesz nie tylko moją asystentką, ale również moim okiem i uchem. Zrozumiałaś?

Przytaknęłam, zdziwiona, że z góry mi zaufał.

- Wybrałem cię nie tylko z powodu znajomości języka, lecz przede wszystkim dlatego, że intuicja podpowiada mi, że zasługujesz na zaufanie.

- Dziękuję, panie komendancie - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

- Każdego ranka przedstawię ci plan dnia i określę bieżące zadania. Na razie posortujesz korespondencję. Ponad miesiąc nie miałem osobistej asystentki i nie wyobrażam sobie w tej roli nikogo innego prócz ciebie.

W tym momencie zaczęłam się zastanawiać, co się stało z moją poprzedniczką.

- Pułkownik Diedrichson już cię pouczył, żebyś nie otwierała kopert z nadrukiem „Geheime Reichssache”. Chociaż dokładnie sprawdziliśmy twoje pochodzenie, istnieją pewne granice zaufania. Rozumiesz, Anno?

Skinęłam głową bez słowa, pewna, że właśnie poufna korespondencja zawiera istotne dla ruchu oporu informacje.

- Poproszę później pułkownika Diedrichsona, żeby dostarczył ci to wszystko, czego będziesz potrzebować, a także służył pomocą w czasie mojej nieobecności.

Wrócił za biurko. Uznałam posłuchanie za zakończone. Ruszyłam ku drzwiom.

- Anno!

Przystanęłam z ręką na klamce, odwróciłam ku niemu głowę. Popatrzył mi poważnie prosto w oczy.

- Moje drzwi będą zawsze dla ciebie otwarte.

- Dziękuję, panie komendancie.

Wróciłam do siebie. Cała drżąca, opadłam bez sił na krzesło.

Pierwszy dzień w biurze szybko minął. Sortowałam i otwierałam listy, póki nie przyszedł po mnie Diedrichson, który oprowadził mnie po gabinetach i przedstawił pracownikom. Sekretarki i pomocnice biurowe spoglądały na mnie z zaciekawieniem. Było oczywiste, że wzbudziłam sensację. Wreszcie zabrał mnie do biura ochrony, gdzie otrzymałam przepustkę pracowniczą. W drodze powrotnej minęliśmy

potężne dębowe drzwi z mosiężną pieczęcią.

- Gabinet gubernatora - wyjaśnił pułkownik z niemalże nabożną czcią, nie zwalniając kroku.

Pozostałą część popołudnia spędziłam na sprzątaniu w szufladach. Panował w nich taki nieład, jakby nikt nie robił porządków nie od miesiąca, lecz co najmniej od kilku. Dzięki zdobytym w bibliotece doświadczeniom bez trudu podzieliłam akta według klucza geograficznego, na krakowskie i zamiejskowe. Chociaż zajęło mi to dwie godziny, nie znalazłam nic godnego uwagi. Przypuszczałam, że najważniejszą korespondencję komendant otrzymuje inną drogą.

Tego dnia nie spotkałam już szefa. O piątej zebrałam swoje rzeczy i wyszłam na przystanek. W autobusie opadłam bezwładnie na siedzenie, wyczerpana nie tyle obowiązkami, ile nieustannym napięciem. Oparłam głowę o szybę. Jakoś przetrwałam pierwszy dzień w pracy.

Ledwie zdążyłam wejść do domu, Łukasz przypadł mi do nóg.

- Tęsknił za tobą przez cały dzień. Zabrałam go do parku, próbowałam zabawiać, ale nic go nie interesowało. Przez cały czas wypatrywał za tobą oczy - powiedziała Krysia, gdy niosłam go po schodach na górę.

W salonie posadziłam sobie małego na kolanach. Gdy odsunęłam go odrobinę od siebie, żeby odgarnąć lok z jego czoła, oczy mu pociemniały. Pochwycił mnie kurczowo, pewnie w obawie, żebym go znów nie opuściła. Biedactwo straciło już zbyt wielu bliskich w swym krótkim życiu.

- Spokojnie, kochanie. W dzień muszę wychodzić do pracy, ale każdego wieczoru wrócę. Obiecuję - tłumaczyłam.

Nie uspokoiliam go. Nie rozluźnił uścisku, wtulił głowę w moje ramiona. Nadal nie wydał żadnego dźwięku. Podczas kolacji cały czas trzymał mnie za szyję. Zaniosiłam go do łóżka, dopiero gdy zasnął mi na kolanach.

Zasiadliśmy przy kawie.

- Jak poszło? - spytała Krysia.

- Nie najgorzej - odrzekłam dość enigmatycznie, po czym speszona zamilkłam. Targały mną sprzeczne uczucia, których nie mogłam zdradzić: lęk, zaciekawienie, wstręt do hitlerowców. W dodatku nadal pozostawałam pod wrażeniem zabytkowych murów Wawelu, a przede wszystkim, wstyd przyznać, imponującej postaci przełożonego. Wyrzucałam sobie, że nie czuję do niego odrazy, ale gdy do mnie podchodził, całe moje ciało odczuwało dziwne emocje. Żeby przerwać długie, kłopotliwe milczenie, pokazałam Krysi przepustkę pracowniczą.

- To najlepsze z możliwych świadectwo polskości. Otwiera przed tobą wszystkie drzwi. Nasi przyjaciele z Gdańska wykonali świetną robotę, w wiarygodny sposób potwierdzając twoje polskie pochodzenie.

- Mimo wszystko nie wolno mi otwierać tajnej korespondencji. Przez moje ręce przechodzą tylko pisma bez większego znaczenia.

- Cierpliwości, kochana. Kiedy komendant lepiej cię pozna, z pewnością pozyskasz jego zaufanie, a wtedy powierzy ci niejedną

tajemnicę. Jak najprędzej muszę zawiadomić Alka.

- Alka? - Popatrzyłam na Krysię ze zdumieniem. Ciekawa byłam, czy Alek nadal przebywa w getcie i w jaki sposób utrzymuje kontakt z Krysią. Czy z Jakubem również? Nie śmiałam o to zapytać. Nie wątpiłam, że gdyby Krysią otrzymała jakąkolwiek wiadomość o moim mężu, natychmiast by mi ją przekazała.

- Tak. Już go poinformowałam, że otrzymałaś świetną posadę na Wawelu. Uważa, że możesz być dla nas użyteczna. - Upiła łyk kawy, popatrzyła przez okno na zachodzące nad Lasem Wolskim słońce.

- Nie od razu, oczywiście. Hitlerowcy będą cię uważnie obserwować przez co najmniej kilka tygodni. Mają polskich szpiegów. - Wykrzywiła usta z niesmakiem.

- Chyba nawet poznałam kogoś takiego.

Kiedy opowiadałam jej o Małgorzacie, miałam przed oczami jej jastrzębi profil. Krysią poklepała moją dłoń dla dodania otuchy.

- Nie martw się. Rób dobrą minę do złej gry, zdobywaj zaufanie komendanta, a ja przez ten czas wybadam zamiary Alka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zabytkowy zegar w pokoju komendanta wybił piątą. Zabrałam swoje rzeczy i wyszłam do sekretariatu. Zastałam Małgorzatę jak zwykle pochyloną nad dokumentami.

- Wychodzę - oznajmiłam.

- Do widzenia - mruknęła, nie odrywając wzroku od papierów.

Na korytarzu pokręciłam głową z niedowierzaniem. Nie rozumiałam, czemu wkłada tyle serca w pracę dla okupanta.

Słońce stało jeszcze wysoko nad katedrą wawelską, gdy mijałam budkę strażnika. Zamiast jak zwykle wsiąść do autobusu, ruszyłam pieszo w kierunku centrum, na Grodzką. Dostałam pierwszą pensję od czasu, kiedy zwolniono mnie z biblioteki, postanowiłam więc kupić za własne pieniądze słodycze dla Łukasza i jakiś drobny upominek dla Krysi.

Był poniedziałek, początek trzeciego tygodnia mojej pracy. Trudno mi było uwierzyć, że poprzednie dwa tak szybko minęły. W pierwszych dniach umierałam ze strachu, ręce tak mi drżały, że z trudem trafiałam w klawisze maszyny, podskakiwałam na krześle na każde skrzypnięcie drzwi, a na Chełmską wracałam roztrzęsiona i zielona z przerażenia.

- Wykończysz się, jeśli nie opanujesz strachu - ostrzegała Krysia.

Łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Trudno mi było zachować spokój pod czujnym okiem zawistnej Małgorzaty. W pierwszym tygodniu

pracy kilkakrotnie zauważyła, że pobladłam, ale wzięłam sobie uwagi Krysi do serca. W trudnych chwilach uciekałam w marzenia o szczęśliwej przyszłości z Jakubem

i moją rodziną i w końcu jakoś opanowałam lęk. Już nie drżałam ze strachu, przechodząc obok wartowni na Wawelu, jednak do pewnych rzeczy nigdy nie przywykłam. Z odrazą odwracałam wzrok od długich szeregów flag ze swastyką na korytarzach, nie opuszczałam pokoju bez potrzeby, żeby nie wysłuchiwać entuzjastycznych okrzyków „Heil Hitler”. Gdy ktoś witał mnie w drodze do łazienki czy na przerwę śniadaniową hitlerowskim pozdrowieniem, unosiłam rękę i mamrotałam niewyraźnie „Cham Hitler” lub inną, jeszcze gorszą obelgę, jaka rok wcześniej nie przeszłaby mi przez usta. Przerwę obiadową spędzałam nad Wisłą, czytając pożyczoną z biura gazetę. Czasami tylko patrzyłam na nurt pod mostem kolejowym. Na tym nadbrzeżu bawiłam się w dzieciństwie, tu odbywałam romantyczne spacerzy z Jakubem, lecz po powrocie z getta oglądałam znajomy widok zupełnie innymi oczami. Nie miałam do niego prawa. Powinnam była pozostać uwięziona za murem wraz z rodzicami i sąsiadami, dzielić z nimi nędzę i głód.

Zamiast tego korzystałam z wolności, pałaszowałam przygotowane przez Krysię kanapki z solidnym plastrem pieczeni z indyka albo świeże owoce. Często spoglądając na drugi brzeg, na Podgórze, fantazjowałam, że pewnego dnia wkradnę się do getta i przemycę rodzicom trochę jedzenia.

Wolałabym jeść drugie śniadanie w samotności, ale często dołączały do mnie inne młode sekretarki z Wawelu. Wcale im nie przeszkadzało, że pracują dla okupanta. Były zadowolone ze stałej posady, która zapewniała im poczucie bezpieczeństwa i regularne dochody.

„Nie obwiniaj ich. Takie czasy, każdy robi wszystko, żeby przeżyć” - powiedziałby pewnie mój ojciec. W ten właśnie sposób tłumaczył postępowanie żydowskich urzędników powołanej przez hitlerowców administracji czy policjantów z getta.

Mimo wszystko gardziłam panienkami, które plotkowały jak bez troskie uczennice o ciuchach, kinie i mężczyznach. Bez skrupułów korzystały ze wszystkich przywilejów, związanych z zajmowanym stanowiskiem, i nie kryły fascynacji faszystowskimi oficerami. Zwłaszcza na mojego szefa zerkały łakomym wzrokiem. Nieustannie zameęczały mnie pytaniami: czy był żonaty, czy ma dziewczynę, skąd pochodzą blizny na jego twarzy?

- Nie wiem. To bardzo skryty człowiek - odpowiadałam, starannie tłumiąc irytację, żeby nie narobić sobie wrogów w miejscu pracy.

Zdawałam sobie sprawę, że mi nie wierzą. Pewnie nawet mnie nie lubiły. Nie należałam do ich grona. Bez wątpienia zazdrościły mi, podobnie jak Małgorzata. Pracowały dla Niemców od miesięcy na podrzędnych stanowiskach, podczas gdy ja przybyłam nie wiadomo skąd i od razu sprzątnęłam im sprzed nosa lukratywną posadę. Byłam pewna, że podejrzewają mnie o romans z komendantem. Pewnego dnia jedna z nich nazwała mnie „dziewczyną komendanta”, nie wie-

dząc, że stoję za zakrętem korytarza. Przypuszczałam, że to Małgorzata celowo rozsiewa plotki na mój temat. Mimo wewnętrznej niechęci rozmawiałam z nimi uprzejmie podczas przerwy, udając, że nie słyszę szeptów za plecami. Czasami, słuchając ich bezsensownej paplaniny, miałam ochotę wykrzyknąć: „Czy wy nie wiecie, że tam, za mostem, za murami getta cierpią, głodują i konają w męce i poniżeniu wasi sąsiedzi, których znałyście od urodzenia?”. Oczywiście nigdy nie wypowiedziałam tych słów, bo ściągnęłabym na siebie podejrzenia. I bez tego umierałam ze strachu, że pewnego dnia odkryją moją prawdziwą tożsamość, chociaż mogło mnie zdradzić jedynie przypadkowo wtrącone słowo w jidysz czy spotkanie ze starym znajomym.

Przystanęłam na końcu Grodzkiej, niedaleko rynku, przed niewielkim sklepem z zabawkami. Obejrzałam modele kolejek i lalki na wystawie w poszukiwaniu prezentu dla Łukasza. Nie potrafiłam odgadnąć, co sam by wybrał. Nigdy niczego się nie domagał, o nic nie prosił, tylko przyjmował z wdzięcznością wszystko, co otrzymywał. Nawet jeśli dawałyśmy mu najzwyklejszy garnek, traktował go jak bezcenny dar i zachwycony bawił się nim całymi godzinami. W środku zastałam bardzo ubogi asortyment. Z góry wykluczyłam zabawki militarne jak karabiny czy żołnierzyki. Nie marudziłam za długo, żeby nie wrócić do domu zbyt późno. Po krótkim namyśle wybrałam zestaw klocków i drewnianego konika.

Po wyjściu ze sklepu poczułam dziwny niepokój. Odniosłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Strach zjeżył mi włosy na karku.

Zerknęłam kątem oka przez ramię, ale nie dostrzegłam w tłumie nikogo podejrzanego. Pospieszyłam dalej, kupiłam na stoisku ze słodyczami czekoladki z likierem. W drodze do przystanku przeliczyłam w palcach pozostałe w kieszeni monety. Powinnam coś zaoszczędzić, ale pragnęłam kupić dla Krysi choćby drobiazg w dowód wdzięczności za jej starania. Pomyślałam o pomarańczach. Gdy je oglądałam, przystanęła za mną niewysoka kobieta. Poczułam jej oddech na karku.

- Te ciemne mają najwięcej soku - powiedziała tak głośno, żeby sprzedawca usłyszał. Zabrzmiało to jak szyfr, jakby czekała na odzew z mojej strony. Znałam ten głos, tylko nie mogłam sobie przypomnieć skąd.

- Tak, ale te czerwone są słodsze - odrzekłam.

- Chodź ze mną - szepnęła mi do ucha nieznajoma, gdy już zapłaciłam sprzedawcy.

Dopiero po kilku krokach odważyłam się jej przyjrzeć. To była Marta! Rozpoznałam ją tylko po błyszczących źrenicach za grubymi okularami. Rozprostowała i rozjaśniła włosy, w niebieskiej spódnicy i chusteczce na głowie wyglądała jak przeciętna młoda Polka. Przez tych kilka miesięcy od naszego ostatniego spotkania wyrosła, wydołała, dziewczęcą pulchność zastąpiły kobiece krągłości.

- Marto, co ty tu...

- Cicho... Chodźmy na spacer. - Ujęła mnie za rękę, jakby odbywała beztruską przechadzkę z przyjaciółką. Chętnie spełniłam jej prośbę. Ciekawiło mnie, jak żyje, jakim sposobem wyszła z getta, jak mnie znalazła. Zdawałam sobie sprawę, że zadawanie takich pytań na ru-

chliwej ulicy niesie z sobą wielkie ryzyko, nie zdołałam jednak powstrzymać ciekawości.

- Jak... - zaczęłam z wypiekami na policzkach.

- Patrz przed siebie - upomniała mnie z pozornie beztroskim uśmiechem.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że pochyliłam ku niej głowę. Ten konspiracyjny gest mógł nas zdradzić.

- Wykorzystałam swoją przepustkę posłańca, żeby uciec z getta tuż przed jego zamknięciem - wyjaśniła tylko odrobinę ściszym głosem w tonie swobodnej pogawędki. - Wielu z nas mieszka teraz w lesie albo w okolicznych wioskach.

Ponad wszystko pragnęłam zapytać, czy spotkała Jakuba albo czy otrzymała jakąś wiadomość na jego temat, ale nie mogłam. Zgodnie z daną mu obietnicą nie zdradziłam przecież nawet jej, że mam męża. Zadałam inne pytanie:

- Dokąd idziemy?

- Alek chce cię zobaczyć.

Wstrzymałam oddech. Miałam nadzieję, że coś wie o Jakubie. Po-
dążyłam za Martą. Wbrew oczekiwaniom nie zaprowadziła mnie w kierunku getta czy też jakiegoś opuszczonego budynku na peryferiach, tylko pewnym krokiem wkroczyła na rynek. W ten ciepły, letni wieczór we wszystkich kawiarnianych ogródkach siedziało mnóstwo Polaków i Niemców przy piwie lub kawie. Marta zabrała mnie do jednego z najbardziej zatłoczonych lokali.

- Tutaj? - Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Tu najbezpieczniej.

Po namyśle przyznałam jej w duchu rację. Hitlerowcy nie tropili Żydów w miejscach publicznych w biały dzień, podobnie jak nie przyszło im do głowy, żeby podejrzewać asystentkę faszystowskiego oficera o żydowskie pochodzenie. Mimo wszystko na miękkich nogach wkroczyłam pomiędzy rzędy stolików. Przy ostatnim, pod ścianą, siedziało dwóch mężczyzn. Z trudem ich rozpoznałam. Alek ostrzygł włosy na jeża, tak że przeświecała goła skóra. Marek bez brody wyglądał na gimnazjalistę. Na nasz widok wstali, pocałowali każdą z nas trzy razy w policzek jak podczas zwykłego spotkania towarzyskiego.

- Cześć, Anka! - rzucił Alek od niechcienia, jakby nie widział mnie zaledwie od wczoraj.

Z trudem ukryłam podniecenie. Przez głowę mknęły mi setki pytań, głównie o Jakuba, lecz interesowało mnie również, w jaki sposób zorganizował moją ucieczkę.

Zamówił cztery kawy.

- Jak leci? - zadał pytanie pierwszy, już po odejściu kelnerki.

- W... porządku - wykrztusiłam, zbita z tropu jego swobodnym tonem.

- Spotkałem we wtorek twojego wujka ze Lwowa.

Już otwierałam usta, żeby zaprotestować, że nie mam tam żadnej rodziny, gdy nagle pojęłam, że używa szyfru. Mówił o Jakubie. Serce podskoczyło mi do gardła.

- Jak się miewa?

- Doskonale. Ciężko pracuje. No i bardzo tęskni za ulubioną siostrzenicą.

Odetchnęłam z ulgą. Nie ulegało wątpliwości, że chodzi o mnie. Posłałam mu pełen wdzięczności uśmiech.

Gdy kelnerka przyniosła nam kawę, Marek z Martą zaczęli głośno gawędzić o błahostkach, natomiast Alek zwrócił się do mnie znacznie ciszej:

- Na tym samym piętrze, po przeciwnej stronie budynku niż twój pokój, znajdziesz biuro dyrektora administracji, pułkownika Kricha. Wydaje przepustki, które uprawniają do swobodnego poruszania się po mieście.

Skinęłam głową. Na moim fałszywym dowodzie tożsamości również widniał jego podpis.

- W każdy wtorek Krich uczestniczy wraz z innymi urzędnikami w długiej naradzie na Pomorskiej, wtedy jego sekretarka zwykle wykorzystuje nieobecność szefa na wizytę w salonie fryzjerskim albo załatwia swoje sprawy w mieście. Jeśli wyjdzie, możesz niepostrzeżenie wślizgnąć się do jego biura. Klucz wisi pod biurkiem sekretarki.

- Chwycił moją rękę pod stołem i wcisnął w nią kartkę. - Masz tu kombinację do sejfów. Zapamiętaj i zniszcz. W środku znajdziesz ponumerowane kolejno przepustki in blanco. Weź nie więcej niż sześć na tydzień. Wyciągaj na chybił trafił po jednej, nie po kolei, żeby nie zauważyli braków. We wtorki po pracy Marek albo inny znajomy będzie tu na ciebie czekał. Wypijesz z nim herbatę. Postawisz teczkę koło krzesła, a odchodząc, zabierzesz nową. Jeżeli w danym tygodniu

nic nie załatwisz lub będziesz podejrzewała, że ktoś cię śledzi, nie przychodź. Jeżeli my dostrzeżemy zagrożenie, nikt nie będzie na ciebie czekał. Zrozumiałaś?

Skinęłam głową. Żądał ode mnie kradzieży dokumentów dla ruchu oporu.

Marek przerwał pogawędkę z Martą.

- Koniecznie zdobądź blankiety w tym tygodniu. Potrzebujemy...

Alek gestem nakazał mu milczenie.

- Tylko wtedy, jeśli uznasz, że nie grozi wpadka. Nie wolno nam niepotrzebnie ryzykować.

Skarcony Marek zacisnął usta, Alek uścisnął moją dłoń.

- Nie chcę cię okłamywać, Aniu. To bardzo niebezpieczne zadanie, jak każde w konspiracji, ale przecież deklarowałaś chęć pomocy. Los dał ci szansę.

- Rozumiem - odrzekłam szybko. Naprawdę z trudem przyjąłam do wiadomości, czego ode mnie oczekuje.

- Zrobisz to dwa, najwyżej trzy razy - dodał na pocieszenie.

Ponownie skinęłam głową. Alek wstał. Marek również.

- Miło było was spotkać, dziewczyny, ale na nas już czas.

Marek włożył kapelusz, po czym obydwaj odeszli żwawym krokiem.

- Czy on naprawdę wierzy, że dokonam czegoś takiego? Przecież to czyste szaleństwo - szepnęłam do Marty, gdy znikli z zasięgu wzroku.

Zamrugnęła, jakby nie dowierzała, że ktokolwiek śmie kwestionować rozkazy dowódcy.

- Sama słyszałaś. Tylko ty masz taką możliwość.

- Ale ja jestem... - nie dokończyłam. Nie znalazłam żadnego sensownego argumentu, który mógłby ją przekonać, że wybrali zupełnie nieodpowiednią osobę.

- Dziewczyną? No to co? - odparowała ze złością.

Już otwierałam usta, ale w porę uświadomiłam sobie, że żadna wymówka nie zabrzmiałaby wiarygodnie. Wyszłabym tylko na tchórza wobec dzielnej łączniczki, której śmierć codziennie zaglądała w oczy. Zawstydzona przygryzłam wargę.

- Przepraszam, po prostu brak mi doświadczenia

- wyjaśniłam straszliwie zakłopotana, bawiąc się łyżeczką do kawy.

- Nikt się tego nie uczył - odrzekła bezbarwnym głosem, odwracając wzrok.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Bez słowa dopiłyśmy kawę. Po radosnym powitaniu nasza przyjaźń nagle zawisła na włosku, choć żadna z nas nie chciała jej zrywać. Rozpaczliwie szukałam bezpiecznego tematu. Miałam Marcie bardzo wiele do powiedzenia, ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

- A więc... - przerwałam. Całkiem zabrakło mi pomysłu.

- Ładnie wyglądasz - wybawiła mnie z opresji.

- To dzięki Krysi - powiedziałam. Bardzo wiele jej zawdzięczam.

Znowu zamilkłam, uświadomiłam sobie bowiem, że podczas gdy ja przytyłam i nabrałam kolorów, Marta zmizerniała. Wyglądała na przemęczoną. Zaczęłam się zastanawiać, z czego żyją tam w lesie.

- Nie jest tak źle - odpowiedziała na niezadane pytanie. Czytała w

moich myślach, podobnie jak Alek. Postanowiłam popracować nad sobą. Najwyraźniej miałam uczucia wypisane na twarzy, co mogło mnie zgubić w gnieździe żmij na Wawelu.

Marta wstała, ja też.

- Co słyhać u twojej mamy? - spytałam w drodze powrotnej, chociaż nie wiedziałam, czy jakiegokolwiek wiadomości jeszcze przenikają zza murów getta.

Marta spuściła głowę.

- O nie! Co się stało?

- Zmarła na tyfus. Dwa tygodnie temu. - Zacisnęła usta. Rysy jej stwardniały.

Nie wierzyłam własnym uszom. Pani Nederman zawsze była zdrowa i silna. Łzy napłynęły mi do oczu. Miałam ochotę mocno przytulić strapioną przyjaciółkę, ale zrezygnowałam, żeby nie zwracać uwagi przechodniów.

- W getcie brakuje teraz wszystkiego. - Przerwała na widok mojej przerażonej miny. Odgadła, że martwię się o rodziców. Później wzruszyła ramionami. Chyba nie widziała powodów, żeby mnie oszczędzać, bo dokończyła bez ogródek: - Brudna woda, głód i przeludnienie sprzyjają rozprzestrzenianiu się zarazków. Mieszka tam teraz znacznie więcej osób niż na początku. Umierają młodzi, rodzice małych dzieci, z dnia na dzień przybywa sierot. Opiekunowie stosują kwarantannę, ale to nic nie daje, bo maluchy przychodzą do sierocińca już zarażone.

- To straszne - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło. Cierpiałam ra-

zem z Martą. Żadne słowa nie mogły oddać moich uczuć. Oczami wyobraźni ujrzałam uśmiechniętą twarz pani Nederman. Tak wiele jej zawdzięczałam. Gdyby nie ona, nigdy nie poznałabym Marty, Alka i pozostałych, nie wyprowadzono by mnie z getta. Wróciłam myślami do rodziców. Gdy widziałam ich po raz ostatni, wojna już wysssała z nich siły. Nie ulegało wątpliwości, że teraz wiodło im się jeszcze gorzej.

Minęłyśmy kościół Świętej Anny. Mojej nowej patronki, pomyślałam z gorzką ironią. Dawniej codziennie chodziłam tędy do biblioteki. Starszy mężczyzna, który co rano mył schody, zawsze mnie pozdrawiał. Jeszcze pamiętałam zapach mokrych kamieni.

- Jak konkretnie działa ruch oporu?
- Pewnie chciałaś spytać dlaczego - sprostowała.

Dostrzegłam w jej oczach bezgraniczne zdumienie. Miałam nadzieję, że znowu jej nie rozgniewałam.

- Właśnie.
- Dlatego że trzeba działać. Nie wolno biernie czekać, aż nas wszystkich wymordują.

Tyle to i ja rozumiałam. Już wcześniej słyszałam podobne argumenty z ust Jakuba.

- Ale w jakim celu?

Marta milczała przez chwilę, jakby rozważała odpowiedź.

- Różne frakcje stawiają sobie różne cele.

I tym razem nie powiedziała nic nowego. Sama wywnioskowałam z podsłuchanej rozmowy w lokalu na Józefińskiej, że pomiędzy dzia-

łaczami istnieją różnice poglądów.

- Niektórzy uważają, że należy po kryjomu uratować jak najwięcej naszych, inni chcą jak najszybciej uderzyć na wroga.

- Chyba ci drudzy zdają sobie sprawę, że niewiele mogą osiągnąć, prawda, Marto? - spytałam dyplomatycznie. Uważałam atak na doskonale uzbrojonych Niemców za akt samobójczy, jednak pomna poprzedniej reakcji Marty nie kwestionowałam otwarcie racji jej przełożonych. Zastanawiałam się, do którego odłamu należy Jakub. Uświadomiłam sobie, że nie znam zapatrywań własnego męża.

Marta przystanęła w miejscu. Zwróciła ku mnie twarz.

- Jeżeli przestaniemy wierzyć w sens naszych działań, stracimy wszelką nadzieję.

Ruszyliśmy dalej w milczeniu. Na rogu ulicy Świętej Anny i Plant Marta znów przystanęła. Odgadłam, że nadeszła pora pożegnania. Pochyliłam się, żeby ucałować ją w policzek, ale ona się odsunęła. Zastygłam w bezruchu w nienaturalnej pozycji.

- Jeszcze jedno, Aniu.

- Słucham?

- Chodzi o twojego wuja ze Lwowa. - Ściszyła głos. - Poznałam Jakuba.

Zaparło mi dech. Odwróciłam wzrok. Nawet wobec Marty nie śmiałam złamać danej Jakubowi obietnicy.

- Nie wiem, o kim mówisz.

- Znam prawdę. To twój mąż. Ukrywał to przede mną, ale sama odgadłam ze sposobu, w jaki cię opisał.

Zażenowana spuściłam wzrok.

- Wybacz, że ci nie powiedziałam. Surowo nakazał mi zachowanie tajemnicy, żeby nikogo nie narażać.

- Rozumiem. To wspaniały człowiek. I bardzo cię kocha - dodała nieco ciszej.

Wyczuwałam w niej silne emocje, ale nie potrafiłam odgadnąć jakiego rodzaju.

- Jeśli znów go spotkasz, powiedz mu, proszę, że i ja go bardzo kocham.

- Obiecuję.

Głęboko poruszona, chwyciłam jej rękę, jakbym w ten sposób nawiązywała z moim mężem bezpośrednią łączność.

- Cześć, Aniu.

Odeszła. W⁷ drodze do przystanku na Plantach rozpatrywałam bez końca jej słowa. Znała Jakuba, co w gruncie rzeczy nie powinno mnie dziwić. Według mojej oceny ruch oporu nie był zbyt liczny. Widocznie mój mąż darzył ją wielkim zaufaniem, skoro zdradził nasz sekret. Chyba że... Usiłowałam odpędzić okropną myśl, ale wciąż krążyła mi po głowie. Czyżby to o nim mówiła, gdy wyznała w getcie, że ukochany nie zwraca na nią uwagi? Tak bezpośrednia osoba jak Marta mogła w jakiś sposób okazać mu uczucie, może nawet spróbowała go pocałować. Pewnie zdradził, że jest żonaty, tylko z konieczności, by delikatnie odsunąć ją od siebie, nie raniąc jej uczuć. Wyobraziłam sobie tę scenę. Serce we mnie zamarło. Zabroniłam sobie zbyt daleko idących rozważań, ale wizja nie zniknęła. Jeszcze w autobusie myśla-

łam z przygnębieniem, że Marta wkrótce go zobaczy, a ja nie.

Nie zamierzałam opowiadać Krysi o popołudniowym spotkaniu, ale z jej badawczego spojrzenia przy powitaniu wywnioskowałam, że już wie.

- Widziałam dzisiaj Alka - wyznałam wieczorem po rozdaniu upominków, kiedy Łukasz z zachwytem oglądał nowe zabawki.

- Tak? - Nie słyszałam w jej głosie zdziwienia.

- Powierzył mi pewne... zadanie. - Opisałam jej, czego ode mnie oczekują.

- Boisz się, Emmo? - spytała po długim milczeniu. Z wrażenia zapomniała użyć mojego nowego imienia. Wyczytałam z jej oczu, że toczy wewnętrzną walkę. Znała Alka na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie narażałby nikogo bez potrzeby, i jeżeli o coś prosił, nie ulegało wątpliwości, że musi tak postąpić. Z drugiej strony martwiła się o mnie.

- Okropnie - wyznałam szczerze to, czego nie mogłam zdradzić Marcie. - Nie tylko o siebie. O ciebie, Łukasza, Jakuba, rodziców... o wszystkich.

- Obawiasz się wpadki...

- Wtedy wszyscy poniesiemy konsekwencje.

Podświadomie oczekiwałam pocieszenia, jak zwykle gdy dręczyły mnie rozterki, lecz po raz pierwszy go nie usłyszałam. Krysia milczała co najmniej przez kilka minut ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

- Wszystko pójdzie dobrze, na pewno - przemówiłam pierwsza.

- Będzie, co ma być, kochanie. Nie musisz mydlić oczu starej kobiecie. Żyjemy w niebezpiecznych czasach, ale jedno wiem na pewno.

- Ujęła moją dłoń tak jakoś uroczyście, oczy jej rozbliły, rysy złagodniały. - Tylko odwaga młodych ludzi, takich jak ty, podtrzymuje w moim sercu nadzieję.

Dopiero po tych słowach naprawdę poczułam, jak wielki ciężar odpowiedzialności spoczywa na moich barkach.

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego ranka obudziłam się wcześniej niż zwykle. Zostałam Krysię śpiącą na sofie, gdzie ją zostawiłam wieczorem. Delikatnie wyjęłam jej druty z ręki i okryłam kocem, następnie wyszłam na palcach do kuchni, zrobiłam herbatę i śniadanie. Ledwie zwalczyłam pokusę, żeby wyjść wcześniej do pracy. Nadgorliwość wzbudziłaby podejrzenia, mogłaby mnie zgubić. Nie wolno mi było zmieniać zwyczajów, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Dotarłam na Wawel punktualnie o ósmej. Sortowałam poranną pocztę, póki po kwadransie nie nadszedł komendant. Po kilku minutach zawołał mnie do siebie.

Poranna odprawa wyglądała każdego dnia tak samo. Na początku zwykle ustalaliśmy wspólnie terminarz spotkań, później przekazywałam mu korespondencję, która wymagała osobistego przeczytania, listy od wysokich oficerów oraz pisma o niezrozumiałej dla mnie treści. Następnie dyktował mi odpowiedzi, wyznaczał zadania na cały dzień, informował o naradach i jakich raportów oczekuje. Zależnie od rodzaju i natłoku spraw nasze poranne spotkania trwały od piętnastu minut do niespełna godziny. Traktował je bardzo serio, nie pozwalał przeszkadzać. W trakcie ich trwania Małgorzata odbierała telefony i przyjmowała interesantów. Tylko niecierpiące zwłoki sprawy mogły zakłócić stały rytuał.

Tego dnia skończył wyjątkowo szybko.

- O dziewiątej muszę być na Pomorskiej - wyjaśnił na wstępie.

Skinęłam głową, zajęłam zwykle miejsce na sofie z notatnikiem i piórem w pogotowiu. Komendant wstał.

- Napisz, proszę, notatkę dla gubernatora.

Podyktował mi kilka zdań na temat zmiany harmonogramu posiedzeń, przemierzając pokój tam i z powrotem. Od czasu do czasu przeczesywał ręką krótko ostrzyżone włosy. Próbowałam sobie wyobrazić, jak by wyglądał w dłuższych. Nagle przerwał w połowie zdania i z roztargnieniem wyjrzał przez okno. Najwyraźniej coś go trapiło. Ogarnął mnie strach, że w czymś podpadłam. Z początku pomyślałam o planowanej kradzieży przepustek. Chociaż szybko wytłumaczyłam sobie, że nie zna przecież moich zamiarów, niepokój nie ustępował. W końcu nie wytrzymałam napięcia.

- Jakieś kłopoty, pani komendancie? - spytałam ostrożnie.

Odwrócił się do mnie z zażenowaniem, jakby zapomniał o mojej obecności.

- Przepraszam, rano dostałem ważny telegram z Berlina.

Odetchnęłam z ulgą. Najważniejsze, że nie dałam mu powodów do zdenerwowania.

- Jakieś złe wieści? - spróbowałam go dyplomatycznie wybadać w nadziei, że usłyszę ważne dla ruchu oporu informacje.

- Trudno powiedzieć... Żądają ode mnie...

- Urwał. Najwyraźniej w ostatniej chwili przypomniał sobie o zasadzie ograniczonego zaufania.

- W każdym razie to nie twój problem. Wracajmy do pracy.

Podyktował mi do końca rozpoczęte wcześniej pismo.

- To wszystko? - spytałam.

- Tak. Weź jeszcze to. - Wyciągnął w moją stronę plik papierów.

Gdy po nie podeszłam, rzuciłam dyskretnie okiem na fotografię na rogu biurka, która przedstawiała komendanta z młodszą od niego kobietą o ciemnych włosach. Mimo woli popatrzyłam mu w oczy. Myślałam, że są szare, dopiero teraz, z bliska, stwierdziłam, że niebieskie. Podczas odbierania papierów przez nieuwagę dotknęłam jego dłoni. Poczułam, że drżą mi kolana, podobnie jak po przypadkowym dotknięciu na kolacji u Krysi. Szybko pochwyliłam dokumenty i umknęłam w kierunku drzwi z wypiekami na policzkach.

- Zaczekaj, Anno.

- Słucham? - Odwróciłam się, zastygłam z ręką na klamce. Dostrzegłam wahanie w jego oczach, jakby coś w duchu rozważał.

- Niczego ci nie brakuje? Czy Małgorzata i inni dostarczają ci wszystkich potrzebnych materiałów? - sprecyzował po krótkiej przerwie na widok mojej zdziwionej miny.

- Tak, panie komendancie. Wszyscy służą mi radą i pomocą.

- A co z dojazdami? Masz daleko do pracy. Mój kierowca mógłby cię podwozić - zaproponował ku mojemu zaskoczeniu dość niepewnym tonem, jakby moja obecność go onieśmiałą.

- Dziękuję, nie trzeba. Autobusy kursują dość regularnie. Szybko dojeżdżam na miejsce - wykrztusiłam z trudem. Serce waliło mi jak młotem.

- To dobrze.

Zamilkł, wciąż patrząc mi w oczy. W ciszy słyszałam tylko tykanie zabytkowego zegara. Przerwało ją pukanie do drzwi. W progu stanął pułkownik Diedrichson.

- Pora wyjść na naradę, panie komendancie - przypomniał.

- Oczywiście. - Minał mnie bez słowa, jakby nagle zapomniał o moim istnieniu, i podążył w ślad za Diedrichsonem.

Wróciłam do siebie. Ręce nadal mi drżały, jak po każdym spotkaniu z przełożonym, tym razem nawet bardziej niż zwykle. Po raz pierwszy widziałam go zbitego z tropu, lecz zabroniłam sobie wyciągania zbyt daleko idących wniosków. Z korytarza dobiegał tupot ciężkich butów i męskie głosy. Pozostali oficerowie również spieszyli na naradę, ale wkrótce wszystko ucichło. Uznałam, że czas zacząć działać. Wyszłam do recepcji z notesem i plikiem dokumentów w ręku.

- Muszę załatwić sprawy w paru biurach - poinformowałam Małgorzatę możliwie obojętnym tonem.

- Chętnie pomogę.

- Dziękuję, nie trzeba - przerwałam władczym tonem, unosząc rękę. Z doświadczenia wiedziałam, że to najlepszy sposób na nią. - Zesztywniałam za biurkiem. Z przyjemnością rozprostuję kości - dodałam już uprzejmiej na widok jej niezadowolonej miny.

Małgorzata wzruszyła obojętnie ramionami i wróciła do swojej roboty.

Ruszyłam korytarzem, pozdrawiając po drodze napotkanych pracowników. Biuro pułkownika Kricha mieściło się na tym samym piętrze po przeciwnej stronie zamku. Gdy tam dotarłam, zamarłam z

przerażenia. Sekretarka w najlepsze siedziała za biurkiem. Nie potrafiłam odgadnąć, czy Alek otrzymał od kogoś nieprawdziwą informację, czy też ważne obowiązki zatrzymały ją w pracy. Ruszyłam dalej z drżeniem serca, przybrawszy możliwie obojętny wyraz twarzy. Okrążając piętro, gorączkowo myślałam, co dalej robić. Gdy wróciłam, urzędniczka nadal tkwiła na swym stanowisku. Po namyśle postanowiłam zacząć od załatwienia powierzonych spraw, żeby stworzyć sobie alibi i zyskać na czasie. Zbyt długi spacer po korytarzach wzbudziłby podejrzenia.

Zesłam piętro niżej, by poprosić zaopatrzeniowca o zapas papieru. Nie okazał zdziwienia, że zjawiłam się sama w tak błahej sprawie, zamiast zadzwonić albo kogoś przysłać, tylko sprawdził druk zapotrzebowania. Tak właśnie działała hitlerowska biurokracja. Nawet gdyby Hitler osobiście złożył zamówienie na gumkę do ścierania, nie wzbudziłby sensacji, byle tylko papiery były w porządku.

Wróciłam na górę. Po sprawdzeniu, czy droga wolna, ruszyłam ponownie korytarzem w kierunku biura Kricha zamiast do siebie na prawo. Przez szklane drzwi zobaczyłam, że sekretarka wyszła. Miałam nadzieję, że do fryzjera, a nie do sąsiedniego pokoju. Z duszą na ramieniu chwyciłam za klamkę i weszłam do środka. Zgodnie z instrukcją Alka pomacałam od spodu blat biurka w poszukiwaniu klucza, truchlejąc ze strachu, że ktoś mnie zobaczy z korytarza przez szybę.

Szybko znalazłam kluczyk i otworzyłam drzwi biura Kricha.

Urzędnik niższego szczebla nie miał poczekalni ani pięknej panoramy z okna, jak komendant Richwalder, gabinet był trzykrotnie mniejszy. W⁷ prawym rogu przy przeciwległej ścianie stał olbrzymi, metalowy sejf. Wybrałam szyfr: 74-39-19. Przekreśliłam zamek w prawo, w lewo i znów w prawo, następnie pociągnęłam. Ani drgnął. Cały wysiłek na nic, pomyślałam z rozpaczą. Wtem wewnętrzny głos, jakby nie mój, podpowiedział, żeby spróbować jeszcze raz. Posłuchałam. Powtórzyłam całą procedurę wolniej, z przerwą po każdej cyfrze, modląc się o pozytywny rezultat.

Usłyszałam trzask, drzwi się otworzyły. W środku znalazłam trzy sterty pustych blankietów. Odłożyłam na bok górną warstwę pierwszej, jak przykazał Alek i wyjęłam dwie kartki z różnych miejsc ze środka. Gdy zaczęłam układać odłożone blankiety z powrotem na miejsce, usłyszałam hałas za drzwiami. Podskoczyłam ze strachu. W panice upuściłam papiery, które rozsypały się po podłodze. Drżącymi rękami układałam je kolejno, według numerów, coraz bardziej przerażona. Straciłam mnóstwo czasu. Sekretarka mogła nadejść w każdej chwili. Nie pozostało mi nic innego, jak ułożyć resztę równo na wierzchu w przypadkowej kolejności. Ponieważ oceniłam, że nie zdążę powtórzyć wszystkich czynności przy dwóch pozostałych stertach, pospiesznie wysunęłam po jednej przepustce z wierzchu i od spodu, potem ostrożnie zamknęłam sejf. Po umieszczeniu kradzionych dokumentów pomiędzy swoimi, już w sekretariacie stanęłam jak wryta. Przypomniałam sobie, że zapomniałam własnej przepustki, którą położyłam na regale z aktami. Ładna ze mnie konspiratorka!

Zawróciłam, pochwytiłam ją w biegu, przy okazji sprawdzając, czy nie zostawiłam więcej śladów. Gdy stwierdziłam, że biuro wygląda tak samo jak przed moim przyjściem, odwiesiłam klucz na swoje miejsce i chyłkiem wyśliznęłam się na korytarz. Na szczęście nikogo nie spotkałam po drodze. Gdy wróciłam, Małgorzata rzuciła mi jedynie przelotne spojrzenie.

- Załatwiłaś wszystko?

- Tak, dziękuję. - Minęłam ją, dokładając wszelkich starań, żeby nie okazać zdenerwowania.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, zawinęłam kradzione blankiety w gazetę i wsunęłam do torebki. Na Wawelu często poddawano rewizjom wychodzących z pracy urzędników. Mimo że mnie jeszcze dotąd nie zatrzymano, prawdopodobnie ze względu na zajmowaną pozycję, zrobiłam, co mogłam, żeby ograniczyć ryzyko do minimum. Przez pozostałą część dnia nie mogłam skupić uwagi na pracy, śledziłam tylko ruch wskazówek zegara nad biurkiem, w moim odczuciu wyjątkowo powolny tego dnia. Chwilami odnosiłam wrażenie, że stanął. Wreszcie wybiła piąta. Możliwie spokojnym krokiem przeszłam obok wartowni do przystanku autobusowego.

Zamierzałam dostarczyć przepustki w następny wtorek, lecz akurat, po wyjątkowo suchym początku lata, jak na ironię zaczęło padać. Wcześniej przez kilka tygodni nie spadła ani kropla deszczu. Trawa na Błoniach za miastem wyschła tak bardzo, że rolnicy nie mogli już tam paść koni. Poziom Wisły spadł tak, że nikt nie pływał łodziami w obawie przed utknięciem na mieliźnie. Faszystowskie władze wpro-

wadziły rygorystyczne ograniczenia zużycia wody, lecz mimo zakazu krakowianie podlewali warzywniki pod osłoną nocy. Bardziej bali się głodu niż więzienia.

Lecz w dzień po kradzieży dokumentów niebiosa spuściły na wypalony suszą, spustoszony przez wroga kraj życiodajny deszcz. Grube krople bębniły o dachy i szyby, woda wystąpiła z rynsztoków, płynęła po chodnikach i jezdniach. Żaden parasol ani płaszcz nie chronił przed przemoknięciem. Przychodziłam do pracy mokra, w pełnych błota butach. Ogródki kawiarniane opustoszały, co uniemożliwiało dostarczenie przepustek w umówione miejsce, a ja nie odważyłam się nosić do pracy kradzionych papierów w oczekiwaniu na nagłą poprawę pogody. Trzymałam je pod materacem. Spałam na nich niespokojnie, jak księżniczka na ziarnku grochu.

Pewnego dnia, gdy, przeklinając ulewę, wyciskałam w łazience wodę z przemoczonych pończoch, wyobraziłam sobie Jakuba, jak śpi gdzieś w lesie pod gołym niebem. Zrobiło mi się wstyd, że korzystam z wszelkich wygód, podczas gdy on moknie w dzień i w nocy. Wreszcie, po prawie dwóch tygodniach, deszcze ustały, słońce wyjrzało zza chmur.

- Piękna pogoda na wypad do kawiarni - zauważyła Krysia we wtorek rano, wyciskając sok z pomarańczy.

Nerwowo przełknęłam kęs pieczywa. Od dnia spotkania z Alkiem nie zamieniłyśmy nawet jednego zdania na temat mojej tajnej misji.

- Tak.

Krysia bez słowa wyszła z kuchni, wróciła po kilku minutach.

- Mogłabyś coś dla mnie załatwić?

- Z przyjemnością - odrzekłam bez zastanowienia, rada z rzadkiej okazji do rewanzu za jej bezinteresowną troskę. Było mi wszystko jedno, o co poprosi, spełniłabym bez wahania każde jej życzenie.

- Świetnie. Daj to Alkowi. Niech kupi, co trzeba.

- Wyjęła z kieszeni fartucha niewielkie płócienne zawiniątko.

Gdy je odbierałam, poczułam znaczny ciężar. Zarysy krążków świadczyły o tym, że tobolek zawierał monety, prawdopodobnie srebrne. Ich wartość w czasie wojny znacznie wzrosła. Pokiwałam głową ze zdumieniem. Chociaż wiedziałam o jej powiązaniach z ruchem oporu, nie przyszło mi do głowy, że wspiera go finansowo. Ale nic w tym dziwnego, przecież dobrze znałam jej wielkie serce.

Z niecierpliwością oczekiwałam spotkania z Alkiem. Dzień pracy włókł się w nieskończoność. Gdy wreszcie wybiła piąta, wyruszyłam w kierunku rynku z kradzionymi dokumentami i pieniędzmi w torbce, pozornie lekkim krokiem, lecz z ciężkim sercem. Rewizja oznaczałaby dla mnie wyrok śmierci.

W kawiarni czekali tylko Marek i Alek, bez Marty. Przemknęło mi przez głowę, że mnie unika po ostatniej rozmowie o Jakubie lub też że zamiast ze mną spotkała się z moim mężem. Poczulałam ukłucie zazdrości.

Marek wyrwał mi teczkę, zanim zdążyłam usiąść.

- Potrzebowaliśmy ich wiele dni temu - warknął.

Alek zerknął dyskretnie przez ramię, czy gwałtowne zachowanie

Marka nie ściągnęło na nas uwagi gości.

- Nie moja wina, że cały czas lało - odburknęłam, urażona.

- Oczywiście, że nie. Wykonałaś kawał dobrej roboty - usiłował załagodzić napiętą sytuację Alek.

- Tylko zależało nam na czasie, ponieważ chcieliśmy uratować paru ludzi przed planowaną akcją.

Na dźwięk ostatniego słowa zamarłam z przerażenia. Wielokrotnie słyszałam to słowo. Powiadano, że w innych miastach hitlerowcy niespodziewanie wkraczali do getta, wypędzali wszystkich mieszkańców na ulicę, wybierali losowo setki Żydów, których następnie wywozili do obozów pracy. Tych, którzy stawiali opór, rozstrzeliwali.

- Nie napotkałam żadnej informacji na ten temat w biurze komendanta.

- Nic dziwnego. Decyzje dotyczące Żydów zapadają w Sztabie Operacyjnym na Pomorskiej. Komendant otrzymuje tylko część dokumentów.

- Ach tak...

- Następnym razem, gdy wejdiesz do biura Kricha... - zaczął Marek gniewnie.

Zmarszczyłam brwi. Alek zauważył mój niepokój i powstrzymał kolegę ruchem ręki.

- Co cię dręczy, Aniu?

- Moi rodzice nadal mieszkają w getcie... - Poraziła mnie potworna myśl, że po „akcji” już ich tam nie ma. - Czy możecie im jakoś pomóc?

Alek zaczerpnął powietrza.

- Musisz zrozumieć...

- Wszyscy mamy rodziców - przerwał mu gwałtownie Marek, niezupełnie zgodnie z prawdą. Z tego, co słyszałam, jego ojciec został zastrzelony w Nowym Sączu na samym początku wojny.

- Sytuacja w getcie bardzo się pogorszyła. Uzupełniono luki w murze, wzmocniono strażę. Obecnie tylko przepustka pracownicza, tranzytowa lub legitymacja gońca umożliwiają wyjście poza mury. Właśnie z tego powodu prosiliśmy cię o dostarczenie czystych blankietów, Emmo - wyjaśnił Alek.

Tak przywykłam do pseudonimu, że prawdziwe imię zabrzmiało obco w moich uszach.

- Czy nie można by przeznaczyć dwóch z nich dla mamy i taty? - nalegałam.

- To trudna sprawa... - zaczął Alek niepewnie.

- Widzisz, Jakub po twojej ucieczce poprosił mnie, żebym ich czasami odwiedzał. Zgodnie z obietnicą wpadłem do nich ostatnio. Twoja mama zachorowała, Emmo.

- Na co? - Mimo woli podniosłam głos ze zdenerwowania.

- Ciii. Trudno powiedzieć, w getcie ciągle wybuchają epidemie: tyfus, dyzenteria, grypa. W każdym razie leży w łóżku z wysoką gorączką, która od wielu dni nie spada.

Zabolało mnie serce. Umierałam ze strachu, że podzieli los mamy Marty.

- Nie można jej wystawić karty pracowniczej. Nawet gdyby wstała,

wartownicy od razu zauważą, że jest za słaba do pracy. Zaszkodzilibyśmy jej, zamiast pomóc. Nie możemy w tej sytuacji ryzykować zde-maskowania.

Nawet nie poprosiłam, żeby wydostali ojca. Za nic w świecie nie opuściłby mamy.

- W takim razie powinnam do nich wrócić - oświadczyłam.

- Nie gadaj bzdur. Nie po to włożyliśmy tyle trudu, żeby cię stamtąd wyciągnąć! - Wzburzony Marek podniósł głos, aż para przy sąsiednim stoliku odwróciła głowy. Marek zamilkł, po chwili dokończył ciszej: - Nie zdajesz sobie sprawy, jak fatalne warunki teraz tam panują. To istne piekło.

- Nie ma mowy o powrocie do getta - poparł go Alek.

- Ale jeśli mama wyzdrowieje... - nie dawałam za wygraną.

- Zrobimy wszystko, co możliwe, nic więcej nie mogę obiecać. - Alek ujął moją dłoń. - Sytuacja pogarsza się z każdym dniem. Dokładamy wszelkich starań, żeby uratować jak najwięcej osób, i to możliwie najszybciej. Tylko w ten sposób możemy pomóc, w tym również naszym rodzinom. Dlatego bardzo nam zależy na twojej współpracy. Odgrywasz ważną rolę w naszym planie. Zrozumiałaś?

Cofnęłam rękę bez słowa.

- W przyszłym tygodniu o tej samej porze, zgoda?

Skinęłam głową i wstałam. Bardzo pragnęłam zapytać o Jakuba, ale wyczytałam z ich twarzy, że nic więcej nie powiedzą.

- Zgoda - powiedziałam w końcu.

- Doskonale. - Alek wstał z krzesła, ale pozostał na miejscu, póki nie odeszłam.

Przystanąłam po przeciwnej stronie placu. Na wspomnienie ostatniej nocy w getcie, widoku śpiących rodziców, łzy napłynęły mi do oczu. Źle zrobiłam, że ich opuściłam. Mama chorowała, mogli ich deportować, z zewnątrz nie potrafiłam w żaden sposób pomóc, a koledzy nie chcieli. W poczuciu bezsilności zwątpiłam w sens działania osób, którym dotąd bezgranicznie ufałam: Alka, Krysi, nawet Jakuba. Po co ta zabawa w konspirację, skoro nawet nie daje szansy ocalenia najbliższych? - myślałam z goryczą.

Nagle pierwszą wizję przesłoniła druga: łagodnego spojrzenia komendanta, gdy do mnie przemawiał. Przyszło mi do głowy, żeby poprosić go o interwencję. Już w następnej sekundzie klełam w żywy kamień własną głupotę. Gdyby podejrzewał, że w moich żyłach płynie choćby kropla żydowskiej krwi, zniechęciłby mnie. Skazałabym na śmierć nie tylko siebie, lecz także rodziców i wszystkie osoby, które mi pomagały i które kochałam. Ze wstydu, że choćby przez chwilę potraktowałam nazistę jak przyjaciela, zasłoniłam ręką oczy.

Godzinę później weszłam przez furtkę do ogrodu Krysi. Plewiła razem z Łukaszem grządki. Na widok moich zaczerwienionych od płaczu oczu wzięła chłopca na ręce i zabrała mnie do domu. Dopiero za zamkniętymi drzwiami spytała, co się stało. W drodze na piętro opowiedziałam jej o chorobie mamy.

- Moje biedactwo! - Objęła mnie i ukołysała jak strapione dziecko. Łukasz tkwił między nami, spoglądając rozszerzonymi ze zdziwienia

oczami to na jedną, to na drugą z nas.

- Alek twierdzi, że nie mogą nic zrobić.

- Gdyby mieli jakąkolwiek możliwość, na pewno udzieliliby im pomocy - stwierdziła Krysia z pełnym przekonaniem. Wierzyła działaczom ruchu oporu bez zastrzeżeń, nigdy nie podważała ich decyzji. Zaprowadziła mnie na sofę. - Spróbuj spojrzeć na sytuację z punktu widzenia Alka. Niełatwo mu działać w obecnych warunkach. Ratuje tysiące Żydów, więc nie wolno mu podejmować zbyt wielkiego ryzyka dla jednej czy dwóch osób.

Pomyślałam o pani Nederman. Marta działała w ruchu oporu dłużej niż ja, a mimo to przyjaciele pozwolili umrzeć jej mamie.

- Nigdy, przenigdy nie powinnam była ich opuścić! - wykrzyknęłam w rozpaczy.

- Naprawdę tak myślisz? - Krysia ujęła mnie pod brodę. - Posłuchaj, Emmo, to nie twoja wina. Gdybyś została, również nie uchroniłabyś mamy przed chorobą, najwyżej sama byś się zaraziła. Zaczekaj trochę, zobaczę, co mogę zrobić.

Nie wierzyłam własnym uszom. Skoro Alek ze swymi kontaktami i przepustką nie widział żadnej możliwości, nie miałam cienia nadziei, że ona z zewnątrz cokolwiek zdoła.

Kilka dni później, gdy kąpałam Łukasza, Krysia stanęła w drzwiach łazienki.

- Pan Pankiewicz jest moim starym przyjacielem
- oznajmiła.

Zastygłam bez ruchu z ręcznikiem w dłoni. Niemal zapomniałam o szlachetnym polskim farmaceucie, który z własnej woli został w swojej aptece na Podgórzu, gdy wokół niej rosły mury getta.

- Badał twoją mamę dziś rano. Jest bardzo chora, a jemu już brakuje leków, ale zrobi wszystko, żeby ją uratować.

Zarzuciłam Krysi ręce na szyję. Nawet jeżeli pan Pankiewicz niewiele mógł zrobić, ktoś wreszcie zadeklarował chęć pomocy.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję - powtarzałam bez końca.

- Kuję - zawtórował mi Łukasz z wanny. Z zadowolenia machał rączkami na wszystkie strony, rozchlapując wodę po całej łazience.

Obydwie z Krysią otworzyłyśmy szeroko oczy. Wypowiedział pierwsze słowo od dnia, kiedy do nas zawitał. Dwadzieścia minut później, gdy wycierałam go po kąpieli, nadal gaworzył po swojemu. Wypowiadał bezładne zlepki słów, jakby chciał naraz wyrzucić wszystko, co tkwiło w malej główce przez wiele miesięcy milczenia. Ubrałam go w piżamę.

Dopiero gdy trochę ochłonęłam, wróciłam myślami do mamy. Z sekundy na sekundę traciłam resztki świeżo rozbudzonej nadziei. Zdawałam sobie sprawę, że dobra wola Krysi czy pana Pankiewicza nie powstrzyma epidemii, nie zwalczy głodu, brudu, nędzy, nie zapobiegnie następnej „akcji”, czyli deportacji. Siłą woli odpędziłam posępne myśli. Jak tonący, który chwyta się brzytwy, usiłowałam zatrzymać pobłysk nadziei, którą w odmętach wojny podarował mi los.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kilka dni po rozmowie o panu Pankiewiczu układałam akta w regale. Odkąd wprowadziłam własny system, odnajdywałam wszystko bez trudu, niemniej porządkowałam je co tydzień. Otarłam pot z czoła. W połowie lipca, nawet o dziesiątej rano i przy otwartych oknach, było gorąco. Nagle do mojego pokoju wszedł komendant, tuż za nim Małgorzata.

- Proszę do mojego pokoju - rzucił w biegu, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Serce podeszło mi do gardła. Czego chciał? Dwie godziny wcześniej ustaliliśmy plan dnia. Rzadko wzywał mnie po raz drugi, no i nigdy nie towarzyszyła nam Małgorzata. A jeśli doniosła, że w dniu zniknięcia blankietów z biura Kricha długo wędrowałam po różnych gabinetach? Może nawet któraś z sekretarek dostrzegła mnie w pobliżu. Bliska omdlenia oparłam się o regał.

- Anno?

Podskoczyłam ze strachu. Odwróciłam głowę. Pułkownik Diedrichson stał w progu i patrzył na mnie wyczekująco.

- Już idę. - Wzięłam notatnik, usiłując opanować drżenie rąk.

Diedrichson podążył w ślad za mną do gabinetu komendanta.

- Siadajcie - rozkazał mój przełożony z chmurną miną. Trudno mi było określić, czyjego twarz wyraża gniew, czy potępienie, ponieważ na mnie nie patrzył.

Pułkownik usiadł sztywno na krześle, Małgorzata na sofie, jak najbliżej komendanta. Dla mnie zostawiła miejsce z drugiego końca. Gorączkowo szukałam wiarygodnej wymówki na wypadek, gdyby mnie zapytano, co robiłam w pobliżu biura pułkownika Kricha w dniu kradzieży.

Komendant nabrał powietrza w płuca i oznajmił:

- Oczekujemy oficjalnej delegacji z Berlina.

Odetchnęłam z ulgą. Nie ja go zdenerwowałam.

Byłam uratowana.

- Delegacji, pani komendancie? - powtórzył Diedrichson z niedowierzaniem. Po raz pierwszy okazał jakiegokolwiek emocje.

Mimo że generał Ludwig wspominał o tej wizycie na przyjęciu u Krysi, w pracy nie padło ani jedno słowo na ten temat.

- Tak. Decyzja zapadła wczoraj. Trzech wysokiej rangi dowódców SS przybędzie w czwartek. - Wziął z biurka plik papierów i rozdzielił je pomiędzy nas.

- Pozostały tylko trzy dni na przygotowania. Czeka nas mnóstwo pracy. Oczywiście przyjadą do gubernatora, ale na nas spoczywa obowiązek zorganizowania ich pobytu w Krakowie. Pułkownik dopilnuje realizacji planu podróży, a ty, Anno, będziesz mu asystować. Zadbasz, żeby w biurze wszystko przebiegało jak należy.

Skinęłam głową, chociaż nie sprecyzowałam, czego konkretnie ode mnie oczekuje.

- Ty, Małgorzato, zaprowadzisz tu idealny porządek.

- *Jawohl, Herr Kommandant!**¹² - wykrzyknęła entuzjastycznie sekretarka, jakby powierzono jej sprawę wagi państwowej.

- Na razie to wszystko.

Pułkownik Diedrichson ruszył ku drzwiom, ja wraz z Małgorzatą za nim.

- Zaczekaj, Anno. - Komendant skinął na mnie ręką.

- Słucham, panie komendancie. - Podeszłam bliżej. Spostrzegłam, że pobladł, oczy nabiegły mu krwią.

Odczekał, aż pozostali wyjdą.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, jakie znaczenie ma ta wizyta dla mnie, w ogóle dla nas wszystkich w Generalnym Gubernatorstwie. Wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Liczę na ciebie.

- Na mnie? - spytałam, nadal niepewna, na czym ma polegać moje zadanie.

- Tak. Jesteś bystra, dokładna, spostrzegawcza. Patrz na ręce pułkownikowi Diedrichsonowi i innym, żeby niczego nie przeoczyli. Jeśli spostrzeżesz jakiegokolwiek uchybienia, natychmiast daj mi znać. Zrozumiałaś?

- Tak, panie komendancie.

- Doskonale. - Spuścił głowę, przycisnął dłońmi skronie.

- Dobrze się pan czuje?

- Od czasu do czasu dokuczają mi bóle głowy, ale ostatnio, przez to nieustanne napięcie, powtarzają się częściej i trwają dłużej.

- Może aspirynę - podsunęłam.

¹² Oczywiście, panie komendancie (przyp. tłum.).

- Za słaba. Lekarz przepisał mi bardziej skuteczne lekarstwo.
- Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś?
- Na razie nie. Dziękuję, Anno. - Powoli uniósł głowę i popatrzył mi w oczy. - Dobrze, że tu jesteś. Twoja obecność podnosi mnie na duchu.

Pospiesznie, w milczeniu, ogromnie zażenowana, opuściłam gabinet.

Wiść o przyjeździe delegacji obiegła Wawel lotem błyskawicy. Przygotowania ruszyły pełną parą. Sprzątaczkę czyściły marmury i okna do połysku, wyprano i wyprasowano hitlerowskie flagi. Małgorzata osobiście sprzątała nasze pokoje, jakby nie dowierzała, że ktokolwiek prócz niej zrobi to należycie, i spędzała pół dnia na kolanach, szorując podłogi. Ode mnie na razie wiele nie wymagano. Nazajutrz po zebraniu w gabinecie komendanta przepisałam dla pułkownika Diedrichsona ostateczną, podobno utajnioną ze względów bezpieczeństwa, wersję programu wizyty. Trzej dygnitarze SS i ich adiutanci mieli spędzić wieczór w Krakowie, następnie zwiedzić obozy pracy w Płaszowie, Auschwitz oraz getto.

Zadrżałam, czytając ostatni punkt. Chociaż praktycznie nie istniało prawdopodobieństwo, że spotkają moich rodziców, ogarnął mnie paniczny strach. Co będzie, jeśli jednak tak się stanie, a ja będę wraz z hitlerowcami? Pracowałam jak szalona, żeby o tym zapomnieć.

W piątek komendant poprosił mnie i pułkownika do siebie, żeby jeszcze raz prześledzić plan wizyty. Po drobiazgowym sprawdzeniu każdego punktu uznał przygotowania za zakończone.

- Gdybym tak mogła jutro zachorować - westchnęłam tego wieczoru po kolacji, sprząając naczynia ze stołu. - Nigdy nie bałam się tak bardzo jak dzisiaj.

Krysia siedziała przy stole i karmiła Łukasza groszkiem.

- Tylko spokojnie. Przecież codziennie widzisz hitlerowców - usiłowała podtrzymać mnie na duchu.

- To co innego... - Byłam niemal pewna, że wysocy dowódcy SS odkryją moje prawdziwe pochodzenie.

Krysia oddała mi pusty talerz.

- Znając ich butę, z pewnością nawet nie dostrzegą twojego istnienia - zauważyła z szelmowskim uśmiechem.

Na widok jej rozbawionej miny i ja zachichotałam. Miała rację. Wszystkie wysoko postawione osobistości, począwszy od oficerów, a na profesorach kończąc, no, może z wyjątkiem komendanta Richwaldera, noszą głowy tak wysoko, że nie dostrzegają nędznych istot jak jakaś tam sekretarka czy asystentka. Nagle, jak na komendę, parsknęliśmy histerycznym śmiechem, nie tylko z zabawnej i wielce trafnej uwagi. Podświadomie rozładowywaaliśmy w ten sposób trwające od wielu miesięcy napięcie.

Łukasz wytrzeszczył na nas błękitne oczka. Pierwszy raz w życiu widział tak szaleńczy wybuch niepohamowanej wesołości. Po chwili zawtórował nam, rytmicznie uderzając łyżeczką o blat stołu. Groszek fruwał po całej kuchni, co nas jeszcze bardziej rozśmieszyło. Wieczorem stwierdziłam, że ochryłam. Nic dziwnego, dawno nie miałam okazji do śmiechu.

Następnego dnia wcześniej wyszłam z domu i dotarłam do biura pół godziny przed czasem. Zostałam komendanta, pułkownika Diedrichsona i Małgorzatę w stanie pełnej gotowości, jakby delegacja miała przyjechać za chwilę, a nie po południu.

Tego dnia nie jadłyśmy drugiego śniadania. Nawet zwykle opanowany komendant przemierzał tam i z powrotem gabinet, poczekalnię i recepcję. Prawie mnie nie dostrzegął. Punktualnie za kwadrans pierwsza zadzwonił telefon. Małgorzata rzuciła się do słuchawki.

- Już przyjechali, panie komendancie! - wykrzyknęła.
- Za wcześnie - mruknął do siebie, jakby tknięty złym przeczuciem.
- Proszę, by panie były w pełnej gotowości. Pułkowniku, idziemy.

Gdy wyszli, zerknęłam na Małgorzatę. Siedziała wyprostowana jak struna, z wypiekami na twarzy. Od czasu do czasu przyglądała ręką włosy. Nigdy bardziej nią nie gardziłam.

Wróciłam do siebie, zamknęłam drzwi, usiadłam za biurkiem w profesjonalnej pozie z piórem i bloczkiem do notowania w rękę. Kilka minut później usłyszałam ciężkie kroki i niskie głosy z korytarza. Skrzypnęły jakieś drzwi. Odgłosy dochodziły teraz z sekretariatu. Wzięłam głęboki oddech. Nakazałam sobie naturalne zachowanie. Wszedł komendant. Chociaż pochyliłam głowę nad notatkami, naliczyłam prócz niego siedmiu mężczyzn: trzech oficerów w brązowych mundurach, obwieszonych orderami, i trzech młodszych, przypuszczalnie ich adiutantów. Zgodnie z przewidywaniami Krysi minęli mnie, jakby w ogóle nie dostrzegli mojego

istnienia. Pochód zamykał pułkownik Diedrichson.

- Zaparz osiem kaw, Anno - polecił, nie zwalniając kroku. - Tylko szybko.

- Tak jest, panie pułkowniku - odpowiedziałam z pewnym ociąganiem. Nikt mnie nie uprzedził, że będę obsługiwać gości. Miałam ochotę poprosić Małgorzatę, żeby mnie wyręczyła, ale po krótkim namyśle zrezygnowałam. Komendant najwyraźniej życzył sobie, żebym ja to zrobiła.

Wyszłam do niewielkiej kuchenki po tej samej stronie korytarza. Po paru minutach wróciłam z pełnym dzbankiem i ośmioma filiżankami. Małgorzata z własnej inicjatywy otworzyła mi drzwi pokoju komendanta. Widziałam, że ma ochotę wejść razem ze mną do środka.

- Dziękuję, Małgorzato - szepnęłam zdecydowanie.

Wycofała się, wyraźnie rozczarowana.

Liczyłam na to, że zostawię tacę na stoliku i wyjdę, ale ponieważ goście już zajęli miejsca w różnych częściach gabinetu, należało każdemu podać filiżankę. Zaczęłam od najdalszego końca pokoju, od komendanta i dwóch wysokich oficerów. Stali pochyleni nad jakąś mapą. Ze spuszczoną głową zaczęłam nalewać kawę. Ręce mi drżały tak, że przy napełnianiu ostatniego naczynia wylałam sobie trochę gorącego napoju na rękę. Gwałtownie odstawiłam filiżankę, na tyle głośno, że jeden z oficerów posłał mi karcące spojrzenie.

- Anno! - zwrócił się do mnie komendant.

Oczekiwałam ostrej reprymendy, ale nie wyglądał na rozgniewanego, tylko spojrzał na mnie z troską. Uderzył mnie dziwny wyraz

jego twarzy, ale nie potrafiłam określić, w jakim jest nastroju. Nie odrywał ode mnie oczu. Wstrzymałam oddech.

- Dziękuję.

- Komendancie Richwalder! - usłyszałam za sobą zniecierpliwiony męski głos.

Raptownie odwróciłam głowę. Patrząc w oczy komendanta, zapomniałam o obecności pozostałych. Dopiero teraz spostrzegłam, że wszelkie rozmowy umilkły. Obserwowali nas. Oficer, którego rozgniewał brzęk naczyń, spoglądał z niedowierzaniem na mojego szefa. Widocznie w jego środowisku nie traktowano tak uprzejmie podwładnych, nie pobłażano uchybieniom.

- Dziękuję, Anno, to wszystko - powtórzył komendant. Ułożył papiery na stole, po czym zwrócił się do gości: - Spójrzmy na następną część mapy.

Ostrożnie, żeby uniknąć kolejnej wpadki, podeszłam do trzeciego gościa, który właśnie rozmawiał przez telefon. Nawet na mnie nie spojrzął. Zauważyłam, że z biurka znikła fotografia brunetki. Szybko obsłużyłam Diedrichsona i młodszych członków delegacji, którzy siedzieli przy stoliku przy drzwiach. Ci z kolei spoglądali na mnie z zainteresowaniem. Poczułam, że płoną mi policzki. Pospiesznie wróciłam do siebie i roztrzęsiona usiadłam za biurkiem. Zaraz wyjadą, pocieszałam się. Harmonogram wizyty zakładał jedynie krótki pobyt w biurze komendanta.

Dwadzieścia minut później otwarto drzwi gabinetu. Komendant wyprowadził gości, nie przerywając rozmowy. Minał mnie, nie

spojrzawszy nawet przelotnie w moim kierunku. Pomyślałam, że rozgniewała go moja niezdarność przy nalewaniu kawy. W końcu jednak przystanął przy drzwiach.

- Zatelefonuję do ciebie.

Skinęłam głową. Poprzedniego dnia uprzedził mnie, że zostanę w pracy dłużej, bo delegaci mogą potrzebować jakichś dokumentów. Obiecał, że kiedy zakończą wizytę, da mi znać, że mogę iść do domu. Kiedy usłyszałam trzaśnięcie drzwi recepcji, odetchnęłam z ulgą. Nareszcie sobie poszli.

Kilka minut później wróciłam do gabinetu, żeby sprzątnąć naczynia. Mogłam powierzyć to zadanie sprzątaczkom czy choćby Małgorzacie, ale chciałam sprawdzić, czy nie zostawili na wierzchu jakichś dokumentów, jednak nie znalazłam ani na biurku, ani na podręcznym stoliku niczego prócz brudnych filiżanek. Za to przy stole konferencyjnym stanęłam jak wryta. Leżała na nim mapa, nad którą uprzednio dyskutowali. To nic trudnego, dodawałam sobie odwagi, to przecież tylko mapa. Pewnie nie zaznaczyli na niej nic istotnego, inaczej by ją schowali.

Zerknęłam przez ramię, czy Małgorzata mnie nie śledzi, ale drzwi były zamknięte. Ostrożnie podeszłam do stołu z tacą i pustą filiżanką w rękę. Gdyby ktoś wszedł, zobaczyłby tylko, że sprzątam. Rozpoznałam plan Krakowa, lecz z niemieckimi nazwami. Kilka obiektów zakreślono czerwonym atramentem: Wawel, budynek administracji na Pomorskiej, Kazimierz, getto. Z Kazimierza do getta prowadziły czerwone strzałki. W pierwszej chwili pomyślałam, że wskazują

kierunek zwiedzania, lecz tknęło mnie jakieś przeczucie. Zerknęłam jeszcze raz. Prowadziły jeszcze dalej, z getta do Płaszowa, a samo getto przekreślono ołówkiem na krzyż w kształcie olbrzymiej litery X. Usiłowałam odgadnąć, co oznaczają te znaki. Pewnie kolejną deportację wszystkich mieszkańców do obozu pracy... Jednak zabroniłam sobie wyciągania zbyt daleko idących wniosków i zdecydowałam, że we wtorek przedstawię Alkowi tylko to, co zobaczyłam na własne oczy, bez żadnych komentarzy. Odniosłam naczynia do kuchni, po czym wróciłam do siebie.

Pozostała część dnia minęła w spokoju. Prócz jednego wyjścia do łazienki nie opuszczałam stanowiska pracy, czekając na telefon od komendanta. O piątej zajrzała do mnie Małgorzata.

- Możesz iść do domu, chętnie zostanę.

Pokręciłam głową. Prawdę mówiąc, nie pociągała mnie perspektywa spędzenia następnych paru godzin samotnie w sekretariacie, ale z dwojga złego wolałam to niż jej wścibskie towarzystwo.

- Dziękuję, nie trzeba. Nie ma już nic do roboty.

Wyszła z ociąganiem, wyraźnie rozczarowana.

Widocznie liczyła na to, że zdam jej relację z przebiegu wizyty. Po chwili usłyszałam w korytarzu kroki innych sekretarek, spieszących po pracy do domu. W ciągu godziny ukończyłam porządkowanie akt z minionego tygodnia i wpisałam daty nowych spotkań do kalendarza. Wokoło panowała absolutna cisza, nie licząc tykania zegara nad biurkiem. Gdy nie pozostało już nic do zrobienia, znów zerknęłam na

zegar. Dochodziło wpół do siódmej. Goście pewnie właśnie zaczęli pierwsze danie w Wierzyńku. Sama poleciłam Diedrichsonowi naj-słynniejszą, zabytkową restaurację. Oszacowałam, że prędko nie wrócą, więc wyjęłam kanapkę z grubym plastrem pozostałej z kolacji pieczeni. Krysia z Łukaszem pewnie także zasiedli już do stołu, po-myślałam. Mały będzie marudził, że tak długo nie wracam.

Minęła kolejna godzina, lecz komendant nie zadzwonił. Czyżby o mnie zapomniał? Znużona długim oczekiwaniem, wyszłam do ła-zienki. W drodze powrotnej usłyszałam zza drzwi dzwonek telefonu. Popędziłam do pokoju na złamanie karku.

- Tak? - powiedziałam po polsku ze zdenerwowania.

Lecz po drugiej stronie zamiast komendanta usłyszałam zniecier-pliwiony głos Diedrichsona.

- Wrócił?

- Kto?

- Komendant, oczywiście - odburknął gniewnie. - Mówił, że musi po drodze wstąpić do biura. Poprosił, żebym sam odwiózł gości do ho-telu.

- Nie sądzę... - zaczęłam, lecz na wszelki wypadek zerknęłam na drzwi gabinetu. Przez szparę przy podłodze wpadała smuga żółtego światła. - Rzeczywiście, jest u siebie. Chyba przyszedł, kiedy wy-szłam na parę minut. Poprosić go do telefonu?

- Nie, chciałem tylko sprawdzić, czy szczęśliwie dotarł na miejsce - odparł dziwnym, jakby obcym głosem. - Kiedy załatwi wszystkie sprawy, samochód będzie czekał na dole.

- Przekażę mu wiadomość.

Odwiesiłam słuchawkę i pomyślałam, że wypada zapytać, czy szef czegoś nie potrzebuje. Niepewnie podeszłam do drzwi, lecz po namyśle postanowiłam zaczekać i zawrócić. Po drodze przejrzałam się w szybie, poprawiłam zmierzwiłone włosy i usiadłam za biurkiem. Nie wiedziałam, co robić i co znaczy to nietypowe zachowanie. Komendant nigdy nie przesiadywał w biurze po godzinach. Minęło dziesięć, potem dwadzieścia minut. Z gabinetu nadal nie dobiegał żaden dźwięk. Czyżby usnął? Zapukałam delikatnie. Odpowiedziały mi cisza. Gdy uchyliłam drzwi, ujrzałam go przy mapie. Stał tyłem do mnie z pochyloną, przekrzywioną na bok głową.

- Panie komendancie?

Nie zareagował. Odczekałam kilka sekund.

- Potrzebuje pan czegoś?

Komendant odszedł chwiejnym krokiem, jak pijany, od stołu konferencyjnego w kierunku okna. Gdy zbliżyłam się do niego, ostry odór brandy i potu potwierdził moje podejrzenia. Musiał dużo wypić, co mnie bardzo zdziwiło. Nigdy nie tracił miary, z rzadka nalewał sobie kropelkę brunatnego trunku z butelki na biurku.

- Panie komendancie? - znów zagadnęłam nieśmiało.

Gdy nie odpowiedział, wskazałam folder, który trzymał w ręku.

- Czy to dla mnie?

Pokręcił głową, wrzucił teczkę do szuflady. Postanowiłam zajrzeć do niej po kryjomu przy najbliższej okazji.

- Co mam robić jutro w czasie, gdy będzie pan oprowadzał delega-

cję? - spytałam.

Nadal patrzył w niebo za oknem. Podchodząc bliżej, spostrzegłam nieogolony zarost i roztargnione spojrzenie. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie.

- Oglądałem dzisiaj Auschwitz - oświadczył nieoczekiwanie.

Na dźwięk tego słowa po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Słyszałam tę nazwę jeszcze przed przeprowadzką do getta. Najwięcej mówili na ten temat przesiedleni ze wsi do Krakowa Żydzi. Z początku nazywano Auschwitz obozem pracy dla więźniów politycznych. W getcie poznałam inną, przerażającą wersję: zwożono tam w ogromnej liczbie Żydów nie do pracy, lecz na śmierć. Odkąd zamieszkałam u Krysi, nie usłyszałam ani jednego zdania o obozie, również nikt na Wawelu nie poruszył tego tematu aż do czasu rozpoczęcia przygotowań do przyjęcia delegacji z Berlina. Nagle pojęłam, z jakiego powodu komendant się upił. Gorączkowo szukałam sposobu, żeby zachęcić go do zdradzenia jakichś istotnych dla ruchu oporu szczegółów, lecz nie znalazłam odpowiednich słów.

- Tak? - powiedziała tylko z pytającą intonacją w nadziei, że usłyszę coś więcej.

Spotkał mnie zawód. Komendant milczał co najmniej przez kilka minut.

- Nigdy bym nie przypuszczał... - zaczął, lecz urwał gwałtownie.

Wiedziała jednak, dlaczego był taki roztrzęsiony. Uważał się za kulturalnego człowieka, wielbiciela sztuki i muzyki, a służbę dla Rzeszy traktował jako patriotyczny, szlachetny obowiązek. Z wyso-

kości swego stanowiska rządził, wydawał rozkazy, wykonywał polecenia, lecz nie parał się tym, co było niżej. Nikogo nie zabił, nie torturował. Tak zwana kwestia żydowska nie obciążała jego sumienia. Rozwiązanie tego przykrego problemu należało do innych. Łatwo sobie wytłumaczył, że getto to tylko zamknięta dzielnica żydowska, a w Płaszowie istnieje jedynie obóz pracy. Pewnie uważał także, że więźniowie Sachsenhausen to kryminaliści, którzy w pełni zasłużyli na karę. Ten pokrętny sposób rozumowania pozwalał mu zachować spokój sumienia. Wolał nie dostrzegać głodu, chorób, nędzy, zbrodni popełnianych na niewinnych cywilach i dopiero gdy ujrzał na własne oczy fabrykę śmierci w Auschwitz, doznał tak wielkiego wstrząsu, że znieczulił wzburzony umysł uderzeniową dawką alkoholu. Przeraził mnie jego stan. Skoro nawet faszystowski dygnitarz nie mógł znieść tego widoku, nie potrafiłam sobie wyobrazić bezmiaru panującego tam okrucieństwa.

- Okropne, prawda? - spytałam ostrożnie, by wydobyć choć trochę szczegółów. Wygodniej byłoby schować głowę w piasek jak wcześniej, w getcie, ale zależało mi na uzyskaniu jak najbardziej wyczerpujących informacji dla Alka, dla mchu oporu, dla dobra moich rodziców.

Lecz komendant w milczeniu patrzył w ścianę. Gdy zagadnęłam go jeszcze raz, również nic nie zyskałam. Odwrócił ku mnie głowę, jakby zapomniał, co tu robię.

- Wygląda pan na przemęczonego. Odprowadzę pana do samochodu - zaproponowałam.

Kiedy skinął głową, wzięłam z sofy rzuconą niedbale kurtkę od munduru i pomogłam mu ją włożyć. Wyciągnął rękę jak dziecko, jak Łukasz, gdy go ubierałam. Czułam przez materiał ciepło jego ciała. Ujęłam go pod ramię i wyprowadziłam na korytarz. Dopiero po opuszczeniu biura odzyskał koordynację mchów i samodzielnie zszedł ze schodów. Za bramą przy czterodrzwiowym samochodzie z wymalowaną na boku swastyką czekał jego kierowca, Stanisław.

- Dobry wieczór - pozdrowił nas głębokim barytonem.

Komendant nie pochylił się odpowiednio nisko przy wsiadaniu, więc delikatnie przygięłam mu kark, żeby nie uderzył głową o dach. Opadł bezwładnie na siedzenie, pociągając mnie za sobą. Wpadłam na niego siłą bezwładności. Czerwona z zażenowania, wyprostowałam się pospiesznie.

- Chyba już pójdę... - zaczęłam, lecz zanim zdążyłam dokończyć zdanie, Stanisław zatrzaskał za mną drzwi. Zerknęłam na komendanta w nadziei, że wybawi mnie z kłopotliwej sytuacji, ale spotkał mnie zawód. Siedział z zamkniętymi oczami, z odchyłoną do tyłu głową, nieobecny duchem.

- No dobrze, do domu też pana zaprowadzę - zdecydowałam w końcu.

W odpowiedzi usłyszałam chrapanie. Komendant mieszkał na Plantach, niedaleko Wawelu. Gdy Stanisław ruszył, obejrzałam wnętrze samochodu, pomacałam obicie z miękkiej skóry. Wcześniej tylko kilka razy jechałam autem, ale nigdy tak okazałym. Wyjrzałam przez okno. Spieszący ulicą przechodnie przystawali, przerażeni wi-

dokiem swastyki na drzwiach sedana. Kilka minut później kierowca zaparkował przed okazałą kamienicą. Wspólnymi siłami wywelekliśmy pijanego komendanta na chodnik. Portier otworzył nam bramę i ustąpił z drogi. Wprowadziliśmy komendanta po marmurowych schodach na górę. Doszedł wprawdzie o własnych siłach do sofy, jednak gdy tylko usiadł, natychmiast opadła mu głowa.

Zupełnie nieoczekiwanie Stanisław wyszedł. Usłyszałam trzaśnięcie zamykanych drzwi. Zostawił mnie. Rozejrzałam się bezradnie po otoczeniu. Cuchnące brandy i dymem z cygar, dawno niewietrzone pomieszczenie miało typowo męski, bezosobowy charakter. Jedyne wyposażenie stanowiło kilka solidnych, dębowych mebli i obita kasztanowym aksamitem sofa. Przesępowałam niezręcznie z nogi na nogę, czekając na jakiegokolwiek słowo, lecz na próżno. Spróbowałam zwrócić na siebie uwagę komendanta.

- Już późno, panie komendancie. Jeżeli mnie pan nie potrzebuje... - zaczęłam.

- Zaczekaj, Anno - wybełkotał, unosząc nieznacznie głowę - Nie odchodź, proszę. - Skinął na mnie ręką.

Z ociąganiem podeszłam nieco bliżej.

- Czego pan sobie życzy?

- Właściwie niczego - odrzekł po chwili wahania. - Chciałbym tylko, żebyś jeszcze trochę ze mną została.

Zrozumiałam, że nie chce być sam, co mnie bardzo zdziwiło. Ogromnie speszona usiadłam na drugim końcu kanapy.

- Mogę kilka minut posiedzieć - odrzekłam.

Zanim zdążyłam zareagować, chwycił moją lewą dłoń i odwrócił grzbietem do dołu.

- Nie boli? Oparzyłaś ją kawą, prawda?

Zaskoczył mnie. Przez chwilę nie byłam zdolna wykrztusić słowa, lecz zdołałam wziąć się w garść i uwolniłam rękę.

- Nie tę, ale drugą - powiedziałam po chwili wahania.

- Pokaż - poprosił znacznie już wyraźniej.

Spełniłam jego prośbę, chociaż ten dzień dostarczył mi tak wielu emocji, że całkiem zapomniałam o drobnym wypadku. Mimo że nie czułam bólu, okolica kciuka była zaczerwieniona, pojawiły się też pęcherze. Komendant dokładnie obejrzał poparzone miejsce, tym razem oburącz przytrzymując moją dłoń, żebym jej nie wyrwała.

- Zaczekaj tutaj - rozkazał.

Próbowałam protestować, ale nie słuchał, tylko wyszedł do kuchni. Zostałam sama w wielkim pokoju. Gorączkowo myślałam, jak się stamtąd wydostać. Najprościej byłoby umknąć chyłkiem, zanim wróci, lecz po krótkim namyśle oparłam się pokusie. Wolałam nie ryzykować, że go rozgniewam. Jeszcze raz obejrzałam nieprzytulne wnętrze, pozbawione jakichkolwiek osobistych akcentów z wyjątkiem zdjęcia w ramach na gzymsie kominka. Aż dziwne, że w tak nadzwyczaj kłopotliwej sytuacji zwyciężyła u mnie ciekawość. Podszłam bliżej. Fotografia przedstawiała tę samą piękną ciemnowłosą kobietę o regularnych, wysoko uniesionych brwiach, której wizerunek wcześniej widziałam na biurku komendanta.

- Usiądź - usłyszałam za sobą jego głos.

Odwróciłam głowę. Trzymał w ręku mały słoiczek i bandaż. Niechętnie wróciłam na sofę. Po oczyszczeniu i opatrzeniu oparzonego miejsca długo jeszcze przytrzymał moją rękę. Napotkałam jego wzrok. Z trudem wykrztusiłam podziękowanie, dyskretnie cofając dłoń.

- Nie mogłem pozwolić, żeby moja asystentka pracowała z chora ręką - odrzekł, nie spuszczać ze mnie oczu.

Onieśmielona, wstałam i podeszłam do kominka. Delikatnie uniosłam fotografię.

- Piękna kobieta.
- Margot - odpowiedział prawie szeptem.
- Czy to pana żona, panie komendancie?
- Tak, była moją żoną.

Podszedł do mnie, odebrał mi fotografię i wbił w nią wzrok, jakby chciał ożywić sportretowaną osobę.

Czekałam, aż powie coś więcej, ale z jego ust nie padło ani jedno słowo. Stał długo, w milczeniu, wpatrzony w zdjęcie, jakby zapomniał o moim istnieniu. Postanowiłam skorzystać z okazji, żeby odejść. Podeszłam do drzwi i chwyciłam za klamkę.

- Już późno, panie komendancie. Czas na mnie.

Nie odpowiedział. Nawet nie oderwał wzroku od portretu żony.

- Dobranoc - powiedziałam i wyszłam.

Na ulicy Stanisław czekał na mnie przy otwartych drzwiach samochodu. Wsiadłam, a on zamknął je za mną bez słowa komentarza. Gdy wjechaliśmy w krętą drogę, prowadzącą do domu Krysi, uprzy-

tomniłam sobie, że nie zapytał o adres, a mimo to trafił bezbłędnie na miejsce. Przypuszczałam, że to on przywiózł komendanta na pamiętne przyjęcie. Oparłam głowę o szybę. Wciąż miałam przed oczami pograżoną w smutku twarz szefa. W domu robił wrażenie jeszcze bardziej przygnębionego niż w biurze. Nie ulegało wątpliwości, że prosił, bym została, nie tyle z powodu złego samopoczucia po nadużyciu alkoholu, co ze strachu przed samotnością. Rozumiałam go. W dniu zniknięcia Jakuba, a później rodziców, czułam taką samą pustkę, ogarnął mnie ten sam lęk. Inni doskonale sobie radzą z samotnością, jak Krysia przed naszym przyjazdem, lecz widać było, że komendant wyjątkowo źle ją znosił. Wyobraziłam sobie, jak smutne muszą być samotne wieczory w olbrzymim, pustym mieszkaniu. Na pewno prześladowały go wspomnienia o Margot. Nie wiedziałam, co się z nią stało. Na Wawelu słyszałam jedynie plotki, że był kiedyś żonaty, lecz on nigdy nie wspominał o rodzinie. Jednak tego dnia wyglądał, jakby zobaczył ducha. Albo nadmiar alkoholu wprowadził go w zły nastrój, albo też pobyt w Auschwitz wyprowadził go z równowagi.

Ledwie wymieniłam w myślach nazwę obozu, całym moim ciałem wstrząsnął zimny dreszcz. Koniecznie musiałam powiadomić Alka o wizycie niemieckich oficerów w Auschwitz, a przede wszystkim o znakach na mapie. Puste, zrozpaczone oczy komendanta powiedziały mi, że te informacje mogą mieć kluczowe znaczenie dla działaczy ruchu oporu. Cała drżąca, patrzyłam na ostatnie promienie zachodzącego nad miastem słońca.

Gdy wróciłam do domu, Krysia i Łukasz już spali. Weszłam na

palcach na górę, żeby ich nie obudzić. Po wielu dniach ciężkiej pracy, a zwłaszcza po ostatnich przeżyciach, szybko dopadło mnie zmęczenie. Ledwie przyłożyłam głowę do poduszki, natychmiast zasnęłam.

We śnie jechałam pociągiem w góry. Byłam pewna, że Jakub wsiadł do innego wagonu, ale nie mogłam go odnaleźć w tłumie pasażerów, mimo że sprawdziłam po kolei wszystkie przedziały. Wreszcie ujrzałam z daleka znajomą, szczupłą sylwetkę mężczyzny o tym samym kolorze włosów. Pewna, że to on, przyspieszyłam kroku, wreszcie zaczęłam biec. Dogoniłam go, złapałam za ramię, zawołałam po imieniu. Odwrócił głowę.

Ujrzałam przed sobą twarz komendanta.

Krzyknęłam. Gwałtownie usiadłam na łóżku, przerażona z trudem łapałam powietrze. Z tęsknoty za Jakubem przez całe miesiące goniłam za nim w snach. Nic dziwnego, ale dlaczego dogoniłam komendanta? Mozolnie tłumaczyłam sobie, że to tylko skutek nerwowej atmosfery na Wawelu podczas wizyty oficerów SS, przebywania w jego towarzystwie długo po godzinach pracy albo też wrażenia, jakie wywarło na mnie dziwne zachowanie szefa, jednak żaden z argumentów nie trafiał mi do przekonania. Położyłam się, naciągnęłam koc pod brodę. Wewnętrzny głos nadal szeptał, że sama siebie oszukuję. Zignorowałam go. Świadomie przywołałam najmiłsze wspomnienia z okresu małżeństwa z Jakubem. Dopiero one pomogły mi usnąć.

Następnego ranka nie zastałam szefa w biurze. Zgodnie z harmonogramem po odebraniu gości z hotelu powinien zawieźć ich

do getta przed planowanym powrotem do Berlina. Nie wyszłam na przerwę śniadaniową, żeby ktoś mnie znowu nie przyłapał na samowolnym opuszczeniu stanowiska pracy. Piętnaście po dwunastej komendant wrócił.

- Proszę do mojego gabinetu, Anno - polecił oschłym tonem, przechodząc obok mnie.

Podążyłam za nim. Podszedł do swojego biurka i wziął plik papierów, które mu zostawiłam. Przystanąłam kilka kroków od niego. Zastanawiałam się, czy wspomni o wydarzeniach ostatniego wieczoru, ale nie usłyszałam ani słowa komentarza. Nie okazał też śladu zażenowania, jakby nic nie pamiętał. Wyglądał tak jak zawsze, nie licząc cieni pod oczami. Po chwili podniósł głowę znad dokumentów.

- Jutro wyjeżdżam do Berlina - oświadczył.

- Jutro? - Nie zdołałam ukryć zaskoczenia.

- Tak. Podczas wizyty wynikły pewne sprawy, które muszę osobiście załatwić. - Wręczył mi kilka kartek. - Oto program mojej podróży. - Przemierzył pokój, wskazując mi miejsce na sofie.

Usiadłam. Podświadomie oczekiwałam, że będzie 'chodził tam i z powrotem, jak zwykle podczas dyktowania, jednak ku mojemu zaskoczeniu zajął miejsce na krześle obok. Żywczyzny zapach jego wody kolońskiej przyprawił mnie o zawrót głowy.

- Jak widzisz, pułkownik Diedrichson wszystko przygotował. Wrócę za osiem dni - zakończył po przestudiowaniu planu.

Oszołomiona jego nieoczekiwanym pojawieniem się, bliskością i świeżym, bardzo męskim zapachem, nie zapamiętałam ani słowa.

Gdy uniósł głowę i popatrzył mi w oczy, gwałtownie zamrugałam.

- Pobladłaś, Anno. Dobrze się czujesz? - zapytał z troską.

- Tak. Ale czy taka podróż nie jest niebezpieczna w tych niepewnych czasach? - spytałam bez zastanowienia.

- Masz rację, żyjemy w trudnych czasach... Zresztą to nieistotne. Muszę jechać. Zostałem wezwany na ważną naradę. - Gdy skinęłam głową, niezdolna oderwać od niego oczu, dodał: - Na razie to wszystko.

Spróbowałam wstać. Ponieważ zdrewniała mi noga, zachwiałam się lekko. Komendant podtrzymał mnie za ramię.

- Ostrożnie - ostrzegł łagodnym tonem.

- Przepraszam - wykrztusiłam, gdy odzyskałam równowagę, patrząc w niego jak zahipnotyzowana. Czułam ciepło jego dłoni przez materiał sukienki. -To tylko... - Nie przyszło mi do głowy żadne sensowne usprawiedliwienie.

- Przemęczenie - podsunął. - Za wiele ostatnio pracowałaś.

- Tak, rzeczywiście, jestem trochę zmęczona - potwierdziłam, wdzięczna za wybawienie z niezręcznej sytuacji.

- Dzisiaj jeszcze będę potrzebował twojej pomocy, ale po moim wyjeździe weź sobie wolny dzień.

- Dziękuję, panie komendancie.

Idąc ku drzwiom, czułam na plecach jego wzrok. Wróciłam za biurko i drżącymi dłońmi zaczęłam przerzucać otrzymane papiery. W duchu przyznałam Krysi rację. Chyba komendant Richwalder rzeczywiście się mną interesował. Lecz nie tylko to spostrzeżenie mnie

zaniepokoiło. Gorzej, że ja martwiłam się o jego bezpieczeństwo. Tłumaczenie, że takie zachowanie wynikało z granej przeze mnie roli, nie brzmiało przekonująco. Anna Lipowska powinna wprawdzie wykazać troskę o szefa, aleja, Emma Bau, nie zadałam tego pytania z premedytacją. Padło spontanicznie, mimo woli. A już marzeń sennych z całą pewnością nie zaplanowałam. Dobrze przynajmniej, że komendant wyjeżdżał. Liczyłam na to, że w czasie jego nieobecności odzyskam równowagę.

Pozostała część dnia pracy szybko minęła. Po piątej komendant nie opuścił gabinetu. Czterdzieści pięć minut później poczułam ogromne zmęczenie. Miał rację, zbyt długo ostatnio przesiadywałam w biurze. Tęskniłam za Krysią i Łukaszem, jakbym nie widziała ich od miesiąca. Kilka minut później komendant stanął w progu z teczkami w obu rękach. Gdy podniosłam się z krzesła, postawił je na podłodze.

- Wyjeżdżam.

- Szczęśliwej podróży - wykrztusiłam. Dopiero teraz ta informacja naprawdę dotarła do mnie.

- Dziękuję. Jeżeli zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności, bez wahania przyślij mi telegram. Albo jeśli będziesz czegoś potrzebowała - dodał.

Skinęłam głową. Komendant niespiesznie ruszył ku drzwiom, nie odrywając ode mnie oczu. Gdy mnie mijał, podświadomie oczekiwałam, że mnie dotknie. Działo się ze mną coś niedobrego. Tłumaczyłam sobie, że to tylko skutek nerwowej atmosfery w czasie wizyty oficerów z Berlina albo świadomość, że długo go nie zobaczę.

- A więc... - zaczął po dość długim milczeniu.

- Wszystkiego dobrego - powiedziałam, ku własnemu zaskoczeniu naprawdę szczerze. Palił mnie wstyd. Powinnam przecież życzyć hitlerowcowi śmierci, a nie powodzenia.

Komendant skinął głową, podniósł teczki z podłogi.

- Do zobaczenia, Anno. - Nie odszedł od razu. Stał jeszcze chwilę koło mojego biurka, zanim opuścił pokój.

TLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pięć dni po wyjeździe komendanta segregowałam na jego biurku korespondencję. Według planu powinien wrócić za trzy dni, ale w napływających telegramach wyczytałam, że powódź unieruchomiła kolej, co opóźniało transport amunicji, prowiantu i leków dla niemieckiej armii, paraliżując ruchy wojsk. Podczas czytania takich raportów błogosławiłam ulewy, które kilka tygodni wcześniej przeklinałam. Wykorzystałam nieobecność komendanta na kolejne włamanie do sejfu Kricha, lecz gdy w poprzedni wtorek przyniosłam blankiety do kawiarni, Alek poinformował mnie, że to już ostatnia dostawa. Kazał mi czekać na dalsze instrukcje.

Odetchnęłam z ulgą, że zakończyłam śmiertelnie niebezpieczną misję, lecz zarazem poczułam wewnętrzną pustkę. Nagle zabrakło mi dreszczyku emocji, świadomości, że jestem potrzebna. Czekają mnie nudne, jałowe dni biurowej rutyny bez celu, bez komendanta. Usiłowałam opanować przygnębienie, żeby nikt w pracy nie zauważył nagłej zmiany nastroju.

Podczas sortowania listów ponownie rzuciłam okiem na zdjęcie komendanta z żoną. Po wyjeździe delegacji fotografia wróciła na swoje miejsce. Przedstawiała ich w swobodnych, letnich strojach, pewnie na wakacjach nad morzem. Uśmiechnięci, wpatrzeni w siebie, robili wrażenie odprężonych i bardzo szczęśliwych. Porównując z bliska ich twarze, zauważyłam, że Margot miała ciemne oczy i

ciemniejszą od męża cerę. Nie wyglądała na typową Niemkę. Ściera-
jąc kurz z ramki, szukałam w jej twarzy odpowiedzi na nurtujące mnie
pytania.

- Dzień dobry, Anno - usłyszałam za plecami znajomy głos.

Drgnęłam. Fotografia wypadła mi z ręki, wylądowała na dywanie,
na szczęście w całości.

- Dzień dobry, panie komendancie - wyjąkałam zaskoczona i pod-
niosłam zdjęcie z podłogi. - Właśnie porządkowałam dokumenty
przed pana powrotem - dodałam z wypiekami na twarzy.

Nawet jeśli zauważył moje zakłopotanie, nie okazał tego. Odstąpi-
łam o krok, żeby umożliwić mu dojście do biurka. Z bliska dostrze-
głam zmiany w wyglądzie. Włosy mu posiwiały, zmarszczki wokół
oczu pogłębiły się, jakby w ciągu tych paru dni przybyło mu kilka lat.
Na widok nieogolonej twarzy pomyślałam, że to tylko skutek zmę-
czenia podróżą.

- Oczekiwaliśmy pana najwcześniej w piątek

- powiedziałałam, gdy usiadł za biurkiem.

- Postanowiłem wrócić wcześniej. Powierzono mi wiele zadań.
Ponieważ powódź sparaliżowała kolej, dowództwo zorganizowało dla
mnie lot.

- Samolotem? - spytałam bezgranicznie zdumiona.

Znałam ten środek lokomocji jedynie z filmów i prasy. Podczas
wojny widywałam na naszym niebie jedynie niemieckie bom-
bowce.

- Tak. To fascynujące przeżycie.

- Z całą pewnością. W każdym razie dobrze, że pan wrócił.

Ostatnie zdanie wypowiedziałam bez zastanowienia, dopiero później dotarł do mnie jego sens. Zabrakło mi tchu. Napotkałam wzrok komendanta.

- O tak. Tęskniłem... za Krakowem. Wykończyła mnie nerwowa atmosfera w Berlinie, ta cała polityka... Tu jest znacznie spokojniej.

- Oczywiście - potwierdziłam.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa przez kilka nieskończenie długich sekund.

- Chciałby pan teraz przejrzeć korespondencję? - zapytałam w końcu, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

Komendant spojrział na zegar, który wskazywał wpół do czwartej.

- Nie. Wolałbym najpierw się rozpakować. - Przygryzł dolną wargę, jakby coś w duchu rozważał. - Mogłabyś dzisiaj zostać trochę dłużej? Chciałbym, żebyś o piątej przedstawiła mi najważniejsze dokumenty, które napłynęły podczas mojej nieobecności.

- Oczywiście.

Pospiesznie wróciłam do pokoju. Drżały mi ręce. Niezapowiedziany powrót komendanta wyprowadził mnie z równowagi. Wciąż brzmiało mi w uszach haniebne stwierdzenie: „Dobrze, że pan już wrócił”. Nie mogłam go przed sobą usprawiedliwić odgrywaniem roli lojalnej Anny. Nie przeciwiczyłam tej kwestii, słowa bezwiednie popłynęły z moich ust. Przez następną godzinę usiłowałam skupić uwagę na bieżących zadaniach, żeby zagłuszyć

wyrzuty sumienia. Bez skutku. Wciąż widziałam przed sobą bardziej błękitne niż kiedykolwiek oczy komendanta.

Gdy zegar na wieży katedry wawelskiej wybił piątą, usłyszałam, że Małgorzata zamyka za sobą drzwi. Zabrałam pocztę i inne nagromadzone podczas nieobecności komendanta papiery. Z zewnątrz dochodził przez otwarte okno stukot obcasów wychodzących z pracy sekretarek. Zapukałam w lekko uchylone drzwi gabinetu. Ponieważ nie usłyszałam odpowiedzi, pchnęłam je mocniej i przystanąłam w progu.

Pokój wypełniały dźwięki sonaty Mozarta z gramofonu. Ku mojemu zdumieniu nie zastałam szefa pochylonego nad papierami. Siedział tyłem do biurka i patrzył przez okno w kierunku Podgórze. Często zastanawiałam się, czy oglądając ten widok, słyszy płacz Żydów z getta po drugiej stronie Wisły. Czy też przebywa myślami zupełnie gdzie indziej, przy żonie albo w innym, równie odległym miejscu i czasie?

Stałam tak, pogrążona w rozmyślaniach przez co najmniej kilka sekund. Już otwierałam usta, żeby go zagadnąć, gdy odwrócił się do mnie. Patrzył niezbyt przytomnie, jakby nie pamiętał, kim jestem i po co przyszedłam.

- Prosił pan, żebym przedstawiła bieżące sprawy - przypominałam.

Oprzytomniał w mgnieniu oka.

- Tak, oczywiście. Wejdz, proszę.

Usiadłam na sofie. W krótkich słowach streściłam zawartość ostatnio nadesłanych listów, zaproszeń, wycinków z gazet i raportów.

Podczas czytania notatki z zebrania na Pomorskiej z ostatniego wtorku pochwyciłam jego natarczywe spojrzenie.

- Coś nie tak, panie komendancie? - spytałam.

- Nie, wszystko w porządku. Czytaj dalej.

Aleja nie pamiętałam, na czym skończyłam. Zbita z tropu sięgnęłam po kolejną kartkę.

- Na następny piątek wieczorem został pan zaproszony na bankiet dla dyrektorów, ale wcześniej obiecał pan zjawić się na tę samą godzinę na kolację do państwa Baranów - przypomniałam.

Czekałam na jego decyzję. Bez skutku. Patrzył na mnie, jakby me dotarło do niego ani jedno słowo.

- Panie komendancie?

- Słucham? - Zamrugął gwałtownie.

- Muszę wiedzieć, czy pójdzie pan na bankiet, czy do majora.

- A co, twoim zdaniem, powinienem wybrać?

- spytał, jakbym przedstawiła mu do rozstrzygnięcia wyjątkowo trudny dylemat.

Zaskoczył mnie. Do tej pory nigdy nie pytał mnie o zdanie.

- Uważam, że wypada wziąć udział w oficjalnej imprezie. Na pana miejscu wysłałabym majorowi liścik z przeprosinami, najlepiej wraz z kwiatami dla żony.

- Doskonale! - wykrzyknął, jakbym podsunęła mu genialną myśl. - Tak właśnie zrobię - dodał, nie odrywając ode mnie oczu.

- Załatwię to - obiecałam pospiesznie. Nagle odniosłam wrażenie, że w przestronnym, dobrze przewietrzonym gabinecie zrobiło się bardzo

gorąco. Brakowało mi powietrza. Marzyłam tylko o tym, żeby jak najprędzej opuścić gabinet.

- Coś jeszcze, panie komendancie?

- Nie, dziękuję, to na dzisiaj wszystko. - Odwrócił się do okna.

Pozbierałam papiery z podręcznego stolika. Gdy wstałam, usłyszałam cichy trzask igły gramofonu. Popłynęła z niego posępna muzyka - długi, przygnębiający kawałek, ulubiony utwór mojego ojca. Zawsze go słuchał, gdy było mu smutno. Raz czy dwa zanucił go w getcie. Grana na wiolonczeli melodia poruszyła czułą strunę w mojej duszy.

- Wagner — powiedziałam mimo woli.

- Lubisz niemieckich kompozytorów? - Patrzył na mnie z takim zdumieniem, jak na przyjęciu u Krysi, kiedy zacytowałam Goethego w oryginale.

- Tak.

Czułam, że płoną mi policzki. Komendant podszedł do mnie. Stał pół kroku przede mną, położył mi rękę na ramieniu. Zadrżałam.

- Zaczekaj, Anno. Czy zechciałabyś... - Przerwał, poprawił kołnierzyk. - Czy poszłabyś ze mną na koncert Wagnera w piątek wieczorem? Akurat mam bilety.

- Bardzo miło z pana strony - odpowiedziałam, żeby zyskać na czasie. Nie wiedziałam, jak powinnam postąpić. Najwyraźniej proponował mi randkę.

- Powiedz, że się zgadzasz - nalegał.

Gorączkowo szukałam wyjścia z sytuacji. Nie powinnam dotrzy-

mywać towarzystwa obcemu mężczyźnie, byłam przecież mężatką. Ale Anna nie. Nie mogłam podać prawdziwego powodu odrzucenia propozycji, a żadna sensowna wymówka nie przyszła mi do głowy.

- Jeżeli ten piątek ci nie odpowiada, pójdziemy kiedy indziej - podsunął, widząc moje wahanie.

Po namyśle doszłam do wniosku, że gdybym odmówiła przełożonemu, ściągnęłabym na siebie jeśli nie gniew, to przynajmniej podejrzenia. Z trudem przełamywałam wewnętrzne opory. Wreszcie po długiej walce z sobą podjęłam decyzję.

- Dziękuję, panie komendancie. Będzie mi bardzo miło panu towarzyszyć.

- A zatem ustalone. W piątek odbiorę cię z domu o siódmej wieczorem.

Pochyliłam głowę. Wychodząc, czułam na plecach natarczywe spojrzenie.

Podczas długiej drogi powrotnej dokładałam wszelkich starań, żeby zachować spokój, lecz po przekroczeniu furtki nie wytrzymałam napięcia. Wpadłam do salonu, ciężko dysząc, purpurowa na twarzy, jakby mnie ktoś gonił. Zastałam Krysię na balkonie.

- Sytuacja z komendantem wymknęła się spod kontroli! - wykrzyknęłam bez żadnych wstępów.

- Co się stało?

- Zaprosił mnie na randkę - wyjaśniłam ciszej, żeby nie obudzić Łukasza.

Krysią wskazała mi krzesło. Wcale nie wyglądała na zaskoczoną.

- Opowiedz wszystko po kolei.

Spełniłam jej prośbę.

- Na koniec oznajmił, że akurat ma bilety do filharmonii - zakończyłam.

- Akurat? Mało prawdopodobne. Nie było go przecież przez cały tydzień - zauważyła Krysia.

- Właśnie. Gdyby przyszedł pocztą podczas jego nieobecności, pierwsza bym je zobaczyła.

Krysia pokiwała głową. Zrozumiałam ją bez słów. Doszła do tych samych wniosków co ja. Nie dostał ich przypadkiem, załatwił je specjalnie dla nas.

- Georg Richwalder jest pierwszym zastępcą gubernatora, atrakcyjnym mężczyzną na wysokim stanowisku. Anna Lipowska byłaby zachwycona

- stwierdziła Krysia.

Miała rację. Niejedna sekretarka na moim miejscu z rozkoszą przyjęłaby zaproszenie od przystojnego oficera.

- Ale ja jestem mężatką! - wykrzyknęłam ze łzami w oczach. - I Żydówką - dodałam. Po raz pierwszy od miesiący głośno wymówiłam swoją prawdziwą narodowość. Zabrzmiała obco w moich ustach.

- Rozumiem twoje rozterki. - Ujęła moją dłoń.

- Jednak spróbuj spojrzeć na całą sprawę z szerszej perspektywy. Niewykluczone, że osobiste zainteresowanie komendanta otworzy przed tobą nowe możliwości. Samym honorem nie pomożesz rodakom. Jeżeli pozyskasz jego zaufanie, możesz zrobić dla swoich

jeszcze więcej niż do tej pory.

Jej argumentacja trafiała mi do przekonania, lecz przełamanie wewnętrznego oporu przychodziło mi z wielkim trudem. Wcześniej nie dostrzegałam tak szerokiego aspektu tej sprawy. Wojna to sytuacja skrajna i wymaga podejmowanie nadzwyczajnych decyzji, ale...

Z trudem chwytalam powietrze.

- A Jakub?

- Zrozumiałby - ucięła zdecydowanym tonem.

Miała rację. Kochał mnie, a mimo to odszedł, żeby walczyć dla dobra ogółu. Przypuszczałam, że uznałby moją randkę z hitlerowcem za akt poświęcenia dla wspólnej sprawy i z pewnością by mi wybaczył. Nie potrafiłam natomiast powiedzieć, czy wykazałabym równie wiele tolerancji, gdyby to jemu przypadło w udziale tego rodzaju zadanie.

- Rozumiem, tylko... - Zamilkłam w pół zdania, zawstydzona własnym egoizmem.

- Tęsknisz za Jakubem - dokończyła za mnie Krysia.

Naprawdę czytała w moich myślach. Ona także straciła męża, tylko, w przeciwieństwie do mnie, na zawsze. Ja przynajmniej miałam nadzieję na przyszłe, wspólne szczęście. Tak naprawdę nie dopuszczałam innej możliwości.

- Wybacz, nie pomyślałam, że tobie również brakuje męża - przyznałam ze wstydem.

- Czas leczy rany, moja droga. Teraz, po latach, brak mi już tylko drobiazgów: wspólnych nocnych wypadów, herbaty i tabletki aspi-

ryny podanej do łóżka następnego ranka. Przynosił mi je z własnej inicjatywy, zanim zdążyłam poprosić. Wymawiał moje imię w charakterystyczny sposób: „Kreesia”, przez długie „e”. Nie miał mi za złe, gdy wyrywałam go ze snu o dziwnych porach, żeby opowiedzieć jakiś fascynujący sen. Do tej pory czasami się budzę, jakby nadal koło mnie leżał - wspominała ze wzrokiem zapatrzonym w odległą przeszłość. W kącikach oczu błyszczały łzy.

- Bardzo go kochałaś - szepnęłam.

- Nadal Kocham. Taka miłość nigdy nie wygasa. Do tej pory traktuję go jak najlepszego przyjaciela. - Zamilkła, pogrążona we wspomnieniach.

- Ale ty masz za sobą długi, trudny dzień. Potrzebujesz gorącej kąpieli

- wróciła wreszcie do rzeczywistości.

Posłuchałam jej rady. Głęboko poruszona, weszłam po schodach na górę. Podczas napełniania wanny wytarłam zaporowane lustro. Ujrzałam w nim zatroskaną, zmęczoną twarz z cieniami pod oczyma i opuszczonymi kącikami ust. Twarz doświadczony kobiety, nie moja.

- Kim pani jest? - spytałam głośno wizerunku. - Na pewno nie Emmą Bau, córką ortodoksyjnego żydowskiego piekarza, Chaima Gershmanna. Tamtą znałam od urodzenia, chociaż dziś już niezbyt dobrze pamiętam.

Wchodząc do wanny, pytałam samą siebie, co komendant widzi w pospolitej, niebrzydkiej, ale też niepięknej dziewczynie. Ojciec i Jakub nazywali mnie wprawdzie piękną, lecz kochający mężczyźni zawsze prawią miłe głupstwa. Przecież niemal w każdym pokoju na

Wawelu siedziała ponętna, znacznie atrakcyjniejsza ode mnie sekretarka w obcisłej spódniczce i z mocnym makijażem, choć żadna z nich nie dorównywała urodą żonie komendanta. Po długich rozmyślaniach wytłumaczyłam sobie, że szanował mnie za znajomość języka, za nienaganny niemiecki akcent. Jednak ani tęsknota za krajem, ani umiłowanie ojczystego języka nie tłumaczyły głębokich spojrzeń czy wyrazu skupienia na twarzy, gdy mnie słuchał. Nie mogłam uciekać od prawdy, tym bardziej że nie krył fascynacji moją osobą.

Wróciłam myślami do Krysi. Chociaż często rozmawiałyśmy, rzadko mówiła o sobie, lecz tego wieczoru zrzuciła chroniący ją pancierz, odsłoniła wrażliwe miejsca cierpiącej, kochającej duszy. Nazwała Marcina najlepszym przyjacielem. Czy mogłabym w ten sam sposób określić Jakuba? Kochałam go całym sercem i wbrew wszelkim obawom czułam, że z wzajemnością, lecz w ciągu naszej krótkiej znajomości nie zdążyłam go poznać tak dobrze, jak bym chciała. Potrzebowaliśmy jeszcze wielu lat wspólnego życia, żeby osiągnąć takie porozumienie, taki stopień wzajemnej bliskości, jak w wypadku Marcina i Krysi.

W łóżku odtworzyłam w pamięci wydarzenia ostatniego tygodnia. Prawie nie widywałam komendanta. Po powrocie z Berlina uczestniczył w wielu naradach, mnie również wyznaczył mnóstwo zadań. W piątek po południu zwolnił mnie kilka godzin wcześniej, żebym zdążyła się przygotować do wyjścia na koncert. Łukasz obserwował z zaciekawieniem, jak Krysia upina mi włosy w gładki węzeł, potem pomogła mi nałożyć puder i szminkę, wreszcie wybrała blad różową

suknię z krótkimi rękawami.

- Wspaniale - orzekła, gdy stałam przed lustrem w garderobie przy jej sypialni.

- Dziękuję - wyszeptałam, poruszona korzystną przemianą. Ostatni raz stroiłam się na przyjęcie wkrótce po opuszczeniu getta, lecz wtedy byłam jeszcze blada i wychudzona. Po miesiącach dobrego odżywiania nabrałam znowu kolorów, odzyskałam kobiece kształty. Po pierwszym wybuchu radości przypomniałam sobie, dokąd i z kim idę. Radosne podniecenie ustąpiło miejsca smutkowi. Żałowałam, że nie przygotowuję się na bardziej radosne wydarzenie.

Gdy zegar w holu wybił siódmą, zadzwonił dzwonek u drzwi. Krysia wzięła Łukasza na ręce i zeszła po schodach.

- Zaczekaj tutaj - przykazała.

Zostałam przed lustrem. Tylko kilka razy w życiu miałam na sobie ubranie z krótkimi rękawami, więc nie przywykłam do widoku odsłoniętych łokci i bladych ramion. Godzinę wcześniej Krysia pokazała mi, jak pielęgnować paznokcie i po manikiurze moje dłonie radykalnie zmieniły wygląd. Przypominały teraz ręce wytwornej damy z innego, obcego dla mnie świata.

Usłyszałam z dołu kroki Krysi, skrzypienie otwieranych drzwi, wreszcie wymianę uprzejmości pomiędzy nią i komendantem. Choć nie rozróżniałam słów, wywnioskowałam z tonu głosu, że powitała go serdecznie, jak przyjaciela.

Rozpyliłam trochę wody różanej z ozdobnego flakonu Krysi. Chłodna mgiełka pieściła moją szyję, roztaczała wspaniały, kwiatowy

aromat. Odstawiłam buteleczkę na komodę, zerknęłam ostatni raz w lustro, po czym ruszyłam w stronę drzwi.

Komendant czekał na półpiętrze.

- Dobry wieczór, panie komendancie - powitałam go, stojąc kilka stopni wyżej.

Oczy mu rozblęły na mój widok. Podświadomie czekałam na jakieś miłe słowa, lecz on milczał, jakby z wrażenia odebrało mu mowę. Krysia pospieszyła na ratunek:

- Czas na was - przerwała kłopotliwe milczenie i podała mi cienki płaszczyk, którego nigdy wcześniej nie widziałam. - Weź to, wieczorem będzie chłodno.

Podziękowałam jeszcze raz, ucałowałam ją w policzek, następnie wraz z komendantem zeszałam na parter.

Na zewnątrz czekał na nas Stanisław przy otwartych drzwiach auta. Skinął nam głową na powitanie. Pomógł mi wsiąść z tak obojętną miną, jakby co tydzień odwoził szefa wraz z pracownicą do filharmonii. Komendant wsiadł z drugiej strony. Dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów. Siedzieliśmy sztywno, obserwując drogę przez przednią szybę.

- Jak poszło panu w Berlinie? - spytałam w nadziei, że zdradzi jakieś ważne szczegóły.

- Bardzo dobrze. - Pochylił ku mnie głowę. - Będę z tobą szczery, Anno. Nie wyjechałem wyłącznie w sprawach służbowych.

- Naprawdę? - spytałam pozornie obojętnym tonem, starannie ukrywając zaciekawienie. Dyskretnie, kątem oka, obserwowałam

jego twarz.

- Miesiąc temu przypadała druga rocznica śmierci mojej żony, Margot. - Głos mu się załamał. Spuścił głowę, strzepnął pyłek z munduru. - Należało wreszcie uregulować sprawy majątkowe.

- Współczuję panu. - Nie rozumiałam, dlaczego powierza mi osobiste sprawy, ale bardzo chciałam usłyszeć więcej. - Musiało być panu bardzo ciężko.

- Było. - W jego głosie brzmiał szczyry smutek. - Dlatego właśnie tak długo zwlekałem. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że ją straciłem, aż do momentu... - Popatrzył przez okno na mijane pola.

Nagle samochód podskoczył na wybojach. Zupełnie nieprzygotowana, straciłam równowagę i poleciałam na komendanta. Przytrzymał mnie, nasze twarze znalazły się zaledwie kilka centymetrów od siebie. Czułam na policzku ciepły oddech. Trwaliśmy tak bez ruchu, przytuleni, przez kilka nieskończenie długich sekund.

- Czy wszystko w porządku? - spytał miękko.

- Tak, dziękuję. - Wróciłam do poprzedniej pozycji. - Skończył pan...

- Na tym, że musiałem załatwić sprawy majątkowe - wpadł mi w słowo. - Najwyższa pora pogodzić się z rzeczywistością. - Wziął głęboki oddech.

- Oczywiście uczestniczyłem również w oficjalnych spotkaniach, zakończonych pełnym sukcesem.

- Miło mi to słyszeć. - Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że nic więcej o Margot już nie powie.

Przez następnych kilka minut patrzyliśmy w milczeniu przed siebie. W okolicach centrum komendant wyciągnął kieszonkowy zegarek.

- Przyjechaliśmy trochę za wcześnie. Dopiero w ostatniej chwili sprawdziłem na biletach, że koncert rozpoczyna się o ósmej. Proponuję wstąpić na kieliszek koktajlu do kawiarni na rynku. Możemy też pochodzić po Plantach.

Zaskoczył mnie. Myślałam, że pójdziemy wprost do filharmonii, bo koncert miał rozpocząć się o wpół do ósmej. Nie wiedziałam, co robić. Przerazała mnie perspektywa siedzenia naprzeciwko niego przy stoliku. Uznałam, że lepiej unikać zbyt długiego patrzenia w błękitne oczy, a przede wszystkim picia alkoholu w jego towarzystwie. Zdecydowanie potrzebowałam trzeźwego umysłu.

- Z przyjemnością trochę pospaceruję - powiedziałam.

Komendant przekazał polecenia Stanisławowi, który po chwili zaparkował przy Plantach. Komendant obszedł samochód dookoła, żeby pomóc mi wysiąść. Gdy mnie podtrzymawał, gorąca dłoń niemalże parzyła mnie w plecy.

- Którędy pójdziemy? - zapytał.

Wskazałam ruchem głowy alejkę po lewej stronie. Prawdę mówiąc, bardziej lubiłam tę po prawej, lecz nie wybrałam jej, ponieważ skręcała w kierunku uniwersytetu i wolałam nie ryzykować spotkania z którymś z dawnych znajomych. Poza tym często spacerowaliśmy nią z Jakubem. Nie chciałam kłaść najpiękniejszych wspomnień, przemierzając naszą ulubioną trasę w towarzystwie innego mężczyzny.

Wciągnęłam ciepłe, wieczorne powietrze, przesycone zapachem

kapryfolium. Poprzez gęste sklepienie koron klonów przenikały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Zerknęłam kątem oka na komendanta. On także w zamyśleniu podziwiał urodę drzew. Dawno nie widziałam go tak odprężonego. Odwrócił ku mnie twarz.

- Pięknie tu, prawda?

- Tak - odrzekłam pospiesznie, z rumieńcem na policzkach. Miałam nadzieję, że nie spostrzegł, że go obserwowałam.

- Brakuje mi kontaktu z przyrodą - ciągnął rozmarzonym tonem, przeciągając się z lubością. - Po ślubie często wyjeżdżaliśmy z Margot na długie wycieczki do Bawarii. Wędrowaliśmy po całych dniach, spaliśmy pod gołym niebem. Ale to było, zanim... - Urwał nagle. Rysy mu stężyły, jakby nagle dopadły go straszliwe wspomnienia.

Poruszył we mnie delikatną strunę. Zdjęta współczuciem, zapra-
gnęłam skierować jego myśli na przyjemniejsze tematy.

- Też uwielbiam wędrowki.

- Naprawdę?

- Tak. Jeździliśmy z rodzicami nad jeziora podczas wakacji. Co-
dziennie chodziliśmy na długie spacerunki - skłamałam. W rzeczywi-
stości rzadko opuszczałam miasto.

- Może... - Nagle zwrócił wzrok ku małżeństwu, które siedziało na
ławce. Obok nich na chodniku warował duży pies. Komendant ruszył
w ich kierunku.

Zbita z tropu, podążyłam za nim. Mężczyzna objął kobietę i coś jej
szepnął do ucha. Odwróciła głowę i zeszywniała z przerażenia na
widok hitlerowskiego munduru. Komendant przystanął przy nich.

- Piękne zwierzę - pochwalił z uśmiechem. - Można pogłaskać?

Gdy właściciel skinął głową, komendant opadł na kolana. Patrzyliśmy wszyscy troje, jak pieścił owczarka z kołnierzem z czarno-brązowej sierści wokół szyi.

- Kiedyś miałem takiego samego. Nazwałem go Max - opowiadał z entuzjazmem, drapiąc zwierzaka pomiędzy spiczastymi uszami. - Uwielbiałem go.

Z oddali dobiegło pojedyncze bicie dzwonu.

- Już za piętnaście ósma, panie komendancie, czas na nas - przypomniałam.

- A, rzeczywiście. - Poglądził psa jeszcze raz, wstał, otrzepał kurz z kolan.

Pożegnaliśmy osłupiałą parę i ruszyliśmy w stronę filharmonii. Przed okazałym budynkiem stały dziesiątki ludzi. Palili papierosy, gawędzili. Wielu hitlerowskim oficerom towarzyszyły młode dziewczęta. Polskie kochanki okupantów, pomyślałam z niesmakiem. Mdliło mnie na myśl, że postronny obserwator mnie również zaliczyłby do tej plugawej kategorii.

Komendant wziął mnie pod rękę i zaprowadził po schodach na górę. Niżsi rangą oficerowie salutowali, gdy ich mijał.

Wewnątrz budynku, gdy oczy przywykły do zmiany oświetlenia, aż zamrugałam z zachwytem. Nie wierzyłam własnym oczom. Do tej pory widywałam filharmonię tylko z zewnątrz. Nigdy wcześniej nie oglądałam takiego przepychu. Ogromny hol z marmurowymi posadzkami i kolumnami oświetlał kryształowy żyrandol wielkości niedużego

samochodu. Niestety doskonale piękno zabytkowego wnętrza psuły dwie czerwone flagi ze swastyką, zawieszone na krokwiach. Weszliśmy do sali koncertowej po dzwonku. Krysia wcześniej wyjaśniła mi, że to sygnał do zajęcia miejsc. Bileterka zaprowadziła nas po schodach do loży po prawej stronie sceny. Po drodze przeprosiła, że nie wydrukowano programów, ponieważ wskutek wojennych ograniczeń zabrakło papieru. Poinformowała nas, że orkiestra zagra utwory Wagnera i Mozarta. W loży zastaliśmy wysokiej rangi oficera z nieznaną mi postawną kobietą. Pozdrowili nas skinieniem głowy.

Gdy orkiestra zaczęła stroić instrumenty, stwierdziłam, że liczy mniej członków, niż sobie wyobrażałam. Zajmowali tylko niewielką część sceny. Wszedł dyrygent i orkiestra zaczęła grać. Wtedy przypomniałam sobie, jak Krysia opowiadała mi, że wielu żydowskich muzyków uciekło lub zostało uwięzionych. Ze łzami w oczach wspominała wiolonczelistę, Wiktora Lisznowa, którego znała od lat. Został wywieziony do obozu w Płaszowie na obrzeżach Krakowa. W dzień zmuszano go do niewolniczej pracy ponad siły, a później, wraz z innymi uwięzionymi artystami, musiał umilać oprawcom wieczory grą na instrumencie.

Muzyka klasyczna poruszyła mnie do głębi, wywołała rodzaj romantycznego transu. Z całego serca żałowałam, że mój ojciec nigdy nie był na koncercie symfonicznym. Na pewno byłby szczęśliwy, słuchając na żywo utworów, które wciąż odtwarzał na swym starym gramofonie. To on powinien tu siedzieć zamiast mnie. Jakub obiecał kiedyś, że zabierze go do filharmonii. Właśnie, Jakub... Przemocą

odpędziłam wspomnienie o mężu. Popełniłabym świętokradztwo, gdybym myślała o nim, siedząc u boku innego mężczyzny.

Zerknęłam kątem oka na komendanta. Tysiące razy powtarzałam sobie, że powinnam nienawidzić całym sercem i duszą tego faszystę, który wyrządził nam wszystkim tyle zła. Niestety nie potrafiłam. Spróbowałam spojrzeć prawdzie w oczy, ustalić, co naprawdę do niego czuję. Wdzięczność, fascynację, podziw, pociąg? Żadnego ze słów, które przychodziły mi do głowy, nie uznałam za odpowiednie. Obojętność, orzekłam w końcu. Nic mnie nie obchodzi, nic do niego nie czuję, robię po prostu to, o co mnie poproszono, powiedziałam sobie twardo, jednak wbrew moim najlepszym intencjom nie zabrzmiało to szczerze.

Przerwę spędziliśmy w westybulu. Komendant zostawił mnie na chwilę, wrócił z dwoma lampkami szampana. Popijaliśmy chłodny, musujący trunek pod kryształowym żyrandolem. Podniosły nastrój, widok pięknych wnętrz, wytwornych kreacji i eleganckiej biżuterii sprawiły, że niemalże zapomniałam o okrucieństwach wojny.

- Podoba ci się koncert? - wyrwał mnie z zadumy głos komendanta.

- Tak - potwierdziłam szczerze. Choć wyrosłam w kulcie dla muzyki poważnej, słuchając jej w sali koncertowej, na nowo odkrywałam niezwykle piękno Wagnera i Mozarta.

- Wybrali doskonały repertuar, chociaż, moim zdaniem, w drugiej części grali trochę za wolno

- podsumował komendant.

Nie słuchałam dalszych wywodów, napotkałam bowiem badawcze spojrzenie młodej kobiety o długich, ciemnych lokach. Zmarszczyła brwi, jakby usiłowała skojarzyć, skąd mnie zna. Nie przypominałam sobie jej twarzy. Nikt z moich znajomych, z wyjątkiem Krysi i rodziców Jakuba, nie bywał w filharmonii, lecz ona nie spuszczała ze mnie oczu. Dopiero gdy uniosła rękę ku twarzy, rozpoznałam charakterystyczny gest Eliany Szef, studentki uniwersytetu z bogatej, chrześcijańskiej rodziny. Czułam, że zaledwie ułamki sekund dzielą ją od ustalenia mojej tożsamości. Niemalże słyszałam jej myśli: „Jeśli to rzeczywiście Emma Gersmann, to co ta Żydówka robi w operze?”.

Eliana ruszyła w moim kierunku.

- Przepraszam, muszę się trochę odświeżyć - przeprosiłam komendanta.

W tym momencie kolejny dzwonek obwieścił koniec przerwy.

- Zaczekam.

- Nie, dziękuję, proszę iść do sali. - Uświadomiłam sobie, że ze zdenerwowania przybrałam rozkazujący ton. - Zaraz wrócę. Nie chcę, żeby z mojego powodu przegapił pan początek drugiej części - dodałam znacznie uprzejmiej, dotykając jego ramienia.

Pchnęłam go leciutko ku drzwiom, a sama przedarłam się przez tłum pod prąd, mijając Elianę z obojętną miną. Dzieliły mnie od niej zaledwie centymetry. Tak szybko, jak pozwalała długa suknia, zesłam po marmurowych schodach i w łazience od razu podbiegłam do lustra. Chociaż od czasu ostatniego spotkania z Elianą wydoroślałam, a włosy spłwiały mi od częstego przebywania w ogrodzie, w moim

wyglądzie nie zaszły zbyt radykalne zmiany, istniało więc niebezpieczeństwo, że mnie rozpozna. Na dźwięk otwieranych drzwi umknęłam pędem do kabiny. Przez szparę w drzwiach dostrzegłam ciemne loki. Po drugiej stronie stała Eliana. Nie ulegało wątpliwości, że przyszła tu moim tropem. Odczekałam kilka minut, aż sobie pójdzie. Na próżno. Nie pozostało mi nic innego jak wrócić na salę, zanim komendant zacznie się niepokoić. Wzięłam głęboki oddech i wyszłam. Eliana odwróciła się do mnie z ciepłym uśmiechem.

- Emmo!

Zrobiłam zdziwioną minę. Eliana zastygła w bezruchu.

- Czy to ty...? Nie, chyba nie. Musiałam panią pomylić ze znajomą. Skinęłam tylko głową, żeby nie rozpoznała mnie po głosie. Minęłam ją sztywno, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

Po wyjściu z łazienki popędziłam na górę. Przed wejściem do łoży przystanąłam, żeby wyrównać oddech, obetrzeć chusteczką pot z czoła. Usiadłam obok komendanta, usiłując opanować drżenie rąk. Nie przyszło mi to łatwo. W ciągu ostatnich miesięcy skutecznie unikałam znajomych sprzed wojny tylko po to, żeby stanąć oko w oko z Elianą Szef. Czy wiedziała, że wyrzucono mnie z pracy za pochodzenie, że spędziłam całe miesiące za murami getta? Jeśli tak, czy w ogóle obchodził ją mój los? Nagle poczułam żal do wszystkich Polaków za to, że żyli, pracowali, uczestniczyli w życiu kulturalnym, podczas gdy Żydzi, których znali do lat, zmuszeni byli ukrywać się jak ścigane zwierzęta albo umierali od głodu i epidemii za murami getta. Zacisnęłam pięści. W tamtej chwili nienawidziłam ich bardziej

niż hitlerowców. Gdybym dorwała Elianę, wytargałabym ją za piękne loki. Tylko spokój może mnie uratować, powtarzałam sobie w kółko. Wbiłam paznokcie w poręcz fotela, dyskretnie odetchnęłam kilka razy. Nagle moją rękę przykryła inna, ciężka i gorąca - znak, że komendant zauważył moje wzburzenie. Zastygłam w bezruchu, serce łomotało w piersiach. Pozostaliśmy w tej samej pozycji, ze wzrokiem utkwionym w scenę, przez dobrych kilka minut. Co to ma znaczyć? - zadawałam sobie retoryczne pytanie. Przecież doskonale wiedziałam. Nie ja go interesuję, tylko tamta, nieistniejąca, zmyślona Anna, tłumaczyłam sobie w duchu.

Godzinę później, po zakończeniu koncertu, dołączyliśmy do tłumu w holu. Komendant pomógł mi włożyć płaszcz.

- Może pójdziemy gdzieś na kolację? - zaproponował.

Nie od razu podjęłam decyzję, przez chwilę rozważałam jego propozycję. Ze względów praktycznych dobrze byłoby ją przyjąć, bo być może po kilku lampkach wina wyciągnęłabym od niego jakieś istotne dla ruchu oporu informacje. Po namyśle jednak zrezygnowałam z tego pomysłu. Wyczerpana nadmiarem emocji, nie potrafiłabym dyplomatycznie skierować rozmowy na interesujące mnie tematy lub też przez nieuwagę ściągnęłabym na siebie podejrzenia.

- Bardzo miło z pana strony, ale obiecałam Łukaszowi, że wrócę, zanim pójdzie spać. Pewnie już czeka na mnie z niecierpliwością.

Komendant wyraźnie posmutniał.

- Rozumiem.

Wyszliśmy z budynku. W drodze powrotnej zamieniliśmy w sa-

mochodzie za ledwie parę słów. Ze wstydem stwierdziłam, że słuchanie koncertu w towarzystwie komendanta sprawiło mi przyjemność. Co gorsza, skrycie żałowałam, że wieczór dobiega końca.

Gdy Stanisław zaparkował przed domem, ujrzałam światło w oknie Krysi. Oczywiście czekała na mnie. Pospiesznie podziękowałam za miły wieczór, chciałam jak najprędzej umknąć.

- Zaczekaj, Anno - powstrzymał mnie komendant. - Byłbym zapomniiał.

Z ociąganiem odwróciłam ku niemu głowę. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął płócienny woreczek, wyjął z niego małe pudełeczko, które położył pomiędzy nami na siedzeniu.

- Przywiozłem ci coś z Berlina.

- Ależ panie komendancie... - usiłowałam protestować, zaskoczona i zażenowana.

- Zajrzyj do środka. - Popchnął pudełeczko w moim kierunku.

Gdy je otworzyłam, zaparło mi dech. W środku znalazłam jasno-błękitny kamień na srebrnym łańcuszku. Nigdy w życiu nawet nie dotknęłam tak pięknego klejnotu. Delikatnie wyjęłam naszyjnik.

- Ciężko pracowałaś podczas mojego pobytu w Berlinie. Zasłużyłaś na drobny dowód wdzięczności - wyjaśnił, unikając mojego wzroku, co wskazywało, że nie mówi prawdy. Małgorzata i pułkownik Diedrichson także nie próżnowali, a jednak nie przywiózł im prezentów. - Pozwól, proszę. - Wyjął mi naszyjnik z ręki.

Zgięłam lekko szyję, uniosłam kok. Poczułam na karku gorący oddech, później delikatny dotyk palców, wreszcie zapiął zameczek.

Odwróciłam ku niemu głowę. Ostrożnie dotknęłam kamienia na dekolcie poniżej krzyżyka. Dwie sztuki subtelnej biżuterii ciążyły mi na szyi niczym stryczek.

- Bardzo dziękuję, ale to zbyt hojny dar - wykrztusiłam.
- Skądże, dopiero twoja uroda dodaje mu blasku.
- Zamilkł, zażenowany zbyt szczerym wyznaniem.

Mnie również odjęło mowę. Straszliwie zakłopotana chwyciłam kławkę.

- Zaczekaj. - Wsiadł, obszedł auto dookoła, otworzył drzwi i podał mi ramię.

Kolejny raz postawił mnie w sytuacji bez wyjścia. Pozwoliłam sobie pomóc przy wysiadaniu. Stałam obok samochodu tak blisko niego, że niemal dotykałam nosem szorstkiej wełny płaszcza na jego piersi. Pospiesznie cofnęłam się odrobinę.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję - wyjąkałam, płonąć rumieńcem.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł z powagą.

Nie był to zwrot grzecznościowy, wiedziałam, że mówi szczerze. Wyciągnął ku mnie rękę. Czego chce? - myślałam w panice. Czyżby całusa na dobranoc? Zanim zdążyłam zebrać myśli, zobaczyłam rozpiętą patkę na jego rękawie. Owinął ją ponownie wokół nadgarstka, następnie zapiał guzik, lecz kiedy skończył, nie puścił mojej ręki. Długo, w milczeniu trzymał ją w swojej. Czułam na czole ciepło jego oddechu. Dopiero gdy trochę ochłonęłam, dyskretnie wyswobodziłam dłoń.

- Dobranoc, do zobaczenia w biurze - pożegnałam go pospiesznie.

Ruszyłam szybkim krokiem ku domowi, zanim zdążył zaproponować, że mnie odprowadzi.

Zamknawszy za sobą drzwi, oparłam się bezwładnie o futrynę. Serce biło jak szalone. Z piętra, z salonu, dochodziły dźwięki muzyki Chopina. Wchodząc na górę, usiłowałam zapanować nad sobą. Zastałam Krysie nad książką. Czytała, słuchając gramofonu. Na stoliku obok stała lampka czerwonego wina.

- Jak było?

- Wspaniale.

Kryś, wychwyciwszy ironiczną nutę w moim głosie, popatrzyła na mnie z niepokojem.

- Co z tobą? Masz zarumienione policzki.

Nie odpowiedziałam. Zatrzymała wzrok na naszyjniku.

- A to co?

- Kłopot! - wykrzyknęłam, niezdolna opanować wzburzenie.

- Dał ci prezent?

- Właśnie. Z podróży do Berlina.

Kryś zrobiła wielkie oczy.

- A więc to poważna sprawa...

- To jeszcze nie wszystko. - Opadłam na sofę obok niej i opowiedziałam o spotkaniu z Elianą.

- Przeżyłaś chwilę grozy, ale, prawdę mówiąc, ten upominek też mnie martwi. To akwamaryn, bardzo drogi kamień. Czy w jakiś sposób wyjaśnił, dlaczego ci go daje?

- Nazwał go dowodem wdzięczności za moje starania.

- Wyciągnęłaś z niego jakieś istotne informacje?

- Nie. Tylko tyle, że jego żona zmarła dwa lata temu. Wyjechał do Berlina, żeby uregulować sprawy majątkowe... - Przerwałam na widok zmienionej twarzy Krysi. - O co chodzi?

- O nic.

Nie przekonała mnie. Dałabym głowę, że coś przede mną ukrywa, ale nie chciałam wywierać nacisku.

- A jak ty odbierasz jego zainteresowanie swoją osobą?

- Przeraza mnie - odparłam nieco zbyt szybko.

- Jestem przecież mężatką.

Krysią nie skomentowała mojej wypowiedzi. Wyczułam, że wątpi w jej szczerość.

- Oczywiście każdej kobiecie pochlebia zainteresowanie mężczyzny - dodałam pospiesznie.

- Zwłaszcza przystojnego, na stanowisku. - Ujęła moją rękę. - Wiem, że jest hitlerowskim dygnitarzem, powinnaś go nienawidzić, lecz... Kochanie, nie posądzaj mnie o wścibstwo, ale obserwowałam was na przyjęciu. Od razu zauważyłam, że iskrzy między wami.

- Ależ... - Zrezygnowałam z dalszej dyskusji. Uprzytomniłam sobie, ile razy w zatłoczonym pomieszczeniu widziałam tylko jedną osobę, zapominając o istnieniu pozostałych.

Krysią cofnęła dłoń.

- Nie zrozum mnie źle, nie mam do ciebie pretensji. Wiem, jak bardzo kochasz mojego siostrzeńca... ale nieodgadnione są ścieżki naszych skrytych pragnień. Właśnie dlatego warto w porę postawić

diagnozę, żeby uniknąć większego niebezpieczeństwa.

Kiwałam tylko głową bez słowa, oszołomiona trafnością jej osądu.

- Dzisiaj otrzymałam wiadomość od Alka - dodała nagle.

- Jaka?

Natychmiast zapomniałam o koncercie i swoich kłopotach.

- Chce cię znowu zobaczyć, w stałym miejscu, o zwykłej porze.

Skinęłam głową na znak zgody. Byłam ciekawa, po co mnie wezwał, skoro już nie potrzebował przepustek. Przeczynałam, że czeka mnie znacznie trudniejsze zadanie. Dotknęłam klejnotu na szyi. Wymieniłyśmy z Krysią niespokojne spojrzenia. Byłam pewna, że wkroczyłam na krętą ścieżkę, nie potrafiłam tylko odgadnąć, dokąd prowadzi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Był początek sierpnia, pierwszy wtorek po koncercie. Po wyjściu z biura obrałam kierunek na rynek Starego Miasta. W Krakowie panował nieznośny upał. Przechodząc obok cuchnących śmietników, wokół których brzęczały roje much, wstrzymywałam oddech. Po sprawdzeniu, czy nikt mnie nie śledzi, wkroczyłam na plac. Z daleka dostrzegłam Alka pod żółtym parasolem kawiarni. Zaskoczyło mnie, że był sam.

- Marek załatwia ważną sprawę - wyjaśnił, kiedy zajęłam miejsce.

Kiwnęłam głową, chociaż nie bardzo mu wierzyłam. Rzadko widywałam ich osobno. Przypuszczałam, że rozdzielili się ze względów bezpieczeństwa. Widocznie przychodząc tu, zbyt wiele ryzykowali, woleli, by nie widywano ich razem. Mocno opalona, złuszczonego skóra Alka świadczyła o częstym przebywaniu na dworze.

- Co u ciebie? - zapytał.

Nie potrafiłam udzielić odpowiedzi na to z pozoru proste pytanie. Jako Emma tęskniłam za mężem, drżałam ze strachu o życie jego i rodziców. Jako Anna, asystentka faszysty, usiłowałam ignorować stale rosnącą siłę przyciągania pomiędzy mną a hitlerowskim oficerem. Każda z tych osób wyznałaby z całą pewnością, że napięta sytuacja przeraża ją i wyczerpuje, lecz w porównaniu z innymi Żydami moje życie wyglądało wprost rajsco. Grzechem byłoby narzekać.

- Doskonale - odrzekłam.

Alek uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Podobno twoja mama lepiej się czuje.

Lecz nie dzięki tobie, Alku, odrzekłam, choć tylko w myślach. Krysia poinformowała mnie kilka dni wcześniej, że gorączka spadła i mama zaczęła wstawać z łóżka. Pokiwałam głową bez słowa.

- Niewykluczone, że za jakiś czas będziemy mogli pomóc twoim rodzicom.

- Niewykluczone - powtórzyłam bez entuzjazmu. Kilka miesięcy temu taka deklaracja wprawiłaby mnie w stan radosnej euforii, lecz teraz nie śmiałam rozbudzać w swym sercu nadziei. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak będzie wyglądała sytuacja w getcie za kilka tygodni ani czy cokolwiek będzie można zrobić.

- Co słyhać w pracy?

- Całkiem nieźle. Dobrze, że mnie wezwałeś.

Opowiedziałam Alkowi o wizycie komendanta w Berlinie, przedstawiłam także terminarz spotkań. Wszystko, co mu przekazałam, uznał za istotne.

- Dziękuję za informacje. Większość z nich otrzymaliśmy już wcześniej z innych źródeł, ale mimo wszystko bardzo nam pomogłaś.

- To dobrze - mruknęłam, zadowolona, że jednak do czegoś się przydaję.

- Nie mogę długo zostać, Emmo, przejdźmy więc od razu do rzeczy. Zaprosiłem cię tutaj, żeby przedstawić ci pewną prośbę.

- Zrobię, co zechcesz - zadeklarowałam bez zastanowienia, chociaż nie potrafiłam odgadnąć, czego ode mnie oczekuje. Musiało chodzić o

coś bardzo ważnego, skoro z zaaferowania zamiast pseudonimu użył mojego prawdziwego imienia.

Alek powstrzymał mnie ruchem ręki.

- Nie obiecuj pochopnie, najpierw wysłuchaj. Wiemy z pewnych źródeł, że hitlerowcy opracowują jakieś nowe plany dotyczące Żydów z krakowskiego getta. Usiłowaliśmy ustalić, co konkretnie zamierzają, ale nawet najlepsi z naszych wywiadowców nic nie wykryli. Jeżeli poznamy zamiary wroga, może uda nam się udaremnić lub choćby opóźnić ich realizację. Pilnie potrzebujemy informacji.

Pokiwałam głową bez słowa komentarza. Czego oczekiwał, skoro lepsi ode mnie nic nie uzyskali?

- Jeżeli rzeczywiście Niemcy planują jakąś akcję, Richwalder musi o niej wiedzieć.

- Ale on nie... - Zamilkłam w połowie zdania. Chciałam powiedzieć, że nie zajmuje się Żydami, ale w ostatniej chwili przypomniałam sobie naniesione na mapę znaki.

- Wiem, twój szlachetny szef nie brudzi sobie rączek takimi brzydkimi sprawami - stwierdził z gorzką ironią.

W pełni przyznawałam mu rację. Ja również dostrzeżałam hipokryzję komendanta. Wydawał rozkazy z bezpiecznej odległości, zza grubych murów, gdzie nie dochodziły jęki konających po drugiej stronie Wisły Żydów. Z Wawelu nie było widać cierpienia mieszkańców getta.

- Ale jeśli zostanie opracowany jakiś plan, będzie musiał go ocenić, może nawet wyrazić zgodę, więc z pewnością dokumentacja trafi na

jego biurko. Ty jedna możesz zdobyć dla nas bezcenne informacje. W tobie cała nadzieja.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Znalazłaś coś ważnego w jego biurze?

Pokręciłam głową. Przeglądałam niemalże wszystkie papiery w jego gabinecie. Nie miał nawet służbowego sejfu.

- Nie. Jedynie do tajnej korespondencji nie mam dostępu, ale ostatnio nie przychodzi jej zbyt wiele.

- Tak właśnie przypuszczałem. Musi trzymać ważniejsze papiery w domu.

- Domowego sejfu też nie ma.

Alek popatrzył na mnie dziwnie, jakby zastanawiał się, skąd wiem takie rzeczy.

- Czasami prosi, żebym po pracy zawiozła mu do mieszkania teczkę, którą chce przejrzeć wieczorem

- wyjaśniłam pospiesznie.

Alek milczał kilka sekund.

- Mogłabyś zrobić jedną rzecz, Emmo - powiedział po długim namyśle.

Jeszcze jedną, sprostowałam w myślach.

- Niełatwo mi o to prosić...

- Zrobię, co zechcesz - zadeklarowałam ponownie bez zastanowienia. Już w trakcie wypowiedzania tych słów ogarnął mnie lęk.

- Wierzę ci, ale to zupełnie coś innego niż do tej pory. - Zajrzał mi głęboko w oczy. - Musisz znaleźć sposób dotarcia do gabinetu w

mieszkańcu komendanta.

- Alku, wiem, jak tego dokonać - zapewniłam pospiesznie.

- Nie tak szybko. Najpierw mnie wysłuchaj. To nie takie proste jak kradzież kilku blankietów z biura na Wawelu - tłumaczył, jakby nie zdawał sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo mnie wtedy narażał. Gdyby umierał ze strachu w głównej kwaterze faszystów, nie nazwałby włamania do sejfu hitlerowskiego oficera tak lekceważąco. - Nie wiemy, czego szukać. Musisz dotrzeć do gabinetu w domu Richwaldera, poznać zawartość jego biurka, przejrzeć korespondencję, notatki, zarządzenia. Trudno powiedzieć, gdzie znajdziesz dokumenty dotyczące Żydów. To naprawdę niełatwe zadanie - przypomniał jeszcze raz, jakbym sama nie wiedziała. - Richwalder jest bardzo ostrożny. Z pewnością nie zostawia takich dokumentów na wierzchu. Trzeba będzie przeszukać szuflady, regały, segregatory i nie wiadomo co jeszcze. No i oczywiście zachować maksymalną ostrożność - ostrzegł na koniec.

Sama wiedziałam, co czeka mnie i innych, gdybym wpadła podczas szpiegowskiego zadania.

- Poradzę sobie - odparłam, nie wiedząc czemu, z pełnym przekonaniem. - On mi ufa.

- Wiemy. Dlatego właśnie cię poprosiliśmy.

Sporo wiedział. Podejrzewałam, że prócz mnie dla ruchu oporu pracuje wielu innych szpiegów na Wawelu. Dałabym głowę, że ktoś mnie obserwował, donosił Alkowi o każdym moim posunięciu. Nic dziwnego, roześmiałam się w duchu. Podczas wojny nikomu nie

można ufać. Poczulałam ogromne zmęczenie. Oszołomiona przebiegiem spotkania, zapragnęłam wrócić do domu, żeby przemyśleć w spokoju wszystko, co usłyszałam. Wstałam.

Alek, który pozostał na miejscu, ujął moją dłoń.

- Jestem w pełni świadomy, że nie powierzamy ci łatwego zadania - powtórzył jeszcze raz.

- W porządku - mruknęłam wbrew własnym odczuciom, ale zdałam sobie sprawę, że nie żyjemy w łatwych czasach. Popatrzyłam mu w oczy.

- Jeszcze jedno: czy Jakub o tym wie?

- Tylko tyle, że pracujesz u komendanta, ale to i tak za dużo. W ogóle sobie nie życzył, żebym cię w cokolwiek angażował. Szaleje ze strachu o ciebie, dlatego nie zdradziłem, że powierzam ci jeszcze jedno zadanie.

- Całe szczęście. Obiecasz, że mu nie powiesz?

- Przenigdy. Przysięgam. I bez tego troska o ciebie spędza mu sen z powiek.

Zarówno szczere, poważne spojrzenie, jak i uroczysty ton upewniły mnie, że na pewno nie zawiedzie zaufania.

- Dziękuję. - Cofnęłam dłoń, gotowa do odejścia.

- Jeszcze jedno, Emmo - zatrzymał mnie w ostatniej chwili. - Pamiętaj, że czas nagli. Jeśli znajdziesz coś istotnego, nie czekaj do wtorku, tylko przekaz wiadomość Krysi. Ona będzie wiedziała, jak nas poinformować.

- Rozumiem.

Odchodząc, czułam na plecach spojrzenie Alka. Pod sklepieniem Sukiennic usłyszałam za sobą nosowy kobiecy głos:

- Anno!

Zamarłam z przerażenia, że ktoś mnie rozpoznał, dopiero później uświadomiłam sobie, że owa osoba użyła mojego przybranego imienia. Odwróciłam głowę. Ujrzałam Małgorzatę. Nadludzkim wysiłkiem przywołałam na twarz uśmiech.

- Witaj! Robisz zakupy po pracy? - spytałam, żeby uprzedzić ewentualne pytanie na temat powodów mojego spaceru po rynku.

Nic nie wskórałam. Małgorzata ruchem głowy wskazała kawiarnię. Musiała mnie widzieć z Alkiem. Ogarnął mnie lęk.

- Kto to taki?

- Nie wiem, o czym...

- Nie udawaj - przerwała. - Przed chwilą piłaś kawę z przystojnym, młodym mężczyzną.

- Ach, o to chodzi - rzuciłam od niechcienia.

- Nie bój się. - Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Nie wspomnę ani słowem komendantowi.

Wbrew jej zapewnieniom dałabym głowę, że zrobi to przy pierwszej okazji.

- Ach, to Stefan, stary znajomy mojej cioci Krysi

- wyjaśniłam tak niedbałym tonem, na jaki było mnie stać.

- Rozumiem - mruknęła wyraźnie rozczarowana, że nie wytropiła bardziej sensacyjnej historii. Zawiedziona mina świadczyła o tym, że mimo wszystko mi uwierzyła.

- Już późno, a do domu daleko. Czas na mnie, Małgorzato. Dobranoc.

- Dobranoc.

Wiedząc, że mnie obserwuje, ruszyłam swobodnym krokiem w kierunku ulicy Świętej Anny, lecz zaraz za rogiem oparłam się o ścianę. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Byłam chora z przerażenia. Małgorzata nakryła mnie z Alkiem. Na szczęście wzięła moje kłamstwo za dobrą monetę. Równie dobrze mógł mnie zobaczyć któryś z niemieckich oficerów i zainteresować się znajomym asystentki komendanta, a więc Polki, która pracuje dla Rzeszy. Wykazaliśmy karygodną brawurę, wybierając na miejsce spotkań centrum miasta. Stwierdziłam, że w przyszłości należałoby postępować bardziej rozsądnie. To, z kim się spotykam, nie było już moją prywatną sprawą. Zbyt wiele mieliśmy do stracenia.

Chociaż zamierzałam zaraz po spotkaniu z Alkiem wrócić do domu, nogi same poniosły mnie nad Wisłę. Tego ciepłego sierpniowego wieczoru nadrzecznym bulwarem spacerowało wiele młodych par. Ja również niegdyś wędrowałam tędy z Jakubem. Dzieci biegały wokół matek lub ganiały za ptakami. Mijałam ich wszystkich obojętnie, pogrążona w rozmyślaniach na temat czekającego mnie zadania, bez wątplenia znacznie bardziej skomplikowanego niż poprzednie. Powinnam poznać rozkład mieszkania komendanta, spenetrować gabinet, ustalić, gdzie trzyma najważniejsze dokumenty. Tym razem nie otrzymałam klucza czy kodu do sejfów ani też wskazówek, kiedy komendant przebywa poza domem. Włamanie z oczywistych względów

nie wchodziło w grę. Nie, musiałam odwiedzić go oficjalnie, co więcej, znaleźć pretekst, żeby zostać dłużej. Nie wątpiłam, że chętnie by mnie zaprosił, gdybym go jakoś zachęciła. Przyszło mi do głowy, że najlepiej byłoby zjeść z nim suto zakrapianą kolację, odczekać, aż zaśnie po wypiciu sporej ilości wina... Przystanęłam na środku ścieżki, porażona nagłym skojarzeniem: czyżby Alek oczekiwał, że zostanę na noc? Czy dlatego ostrzegał, żebym nie składała pochopnych obietnic? Jego zatroskana mina świadczyła o tym, że nie widział innej możliwości prócz nawiązania romansu. Nagle zabrakło mi powietrza. Ujrzałam przed sobą dobrą, kochaną twarz Jakuba. Pojęłam, czemu Alek przyrzekł, że Jakub nigdy się nie dowie. To moja zdrada, oszustwo, wiarołomstwo miały pozostać na wieki naszą tajemnicą. Nie, wykluczone, za nic w świecie nie mogłabym zdradzić męża. Zadrzałam ze zgrozy na samą myśl, że Jakub mógłby w jakiś sposób poznać prawdę.

- Nie! - krzyknęłam głośno.

Kilku przechodniów odwróciło głowy w moją stronę.

- Nie - powtórzyłam już po cichu, lecz równie zdecydowanie i opadłam bez sił na najbliższą ławkę. Spróbowałam sobie wyobrazić, jak Jakub postąpiłby na moim miejscu. Chociaż zabronił kolegom angażowania mnie w działalność konspiracyjną, wierzył w sens antyhitlerowskiego oporu bardziej niż ktokolwiek z nas, bo inaczej nie poświęciłby naszego szczęścia dla sprawy. Zamiast zejść do podziemia, zostałby ze mną, co oszczędziłoby mi konieczności rozwiązywania trudnych dylematów.

Dość tego! - powiedziałam sobie twardo. Próżne rozważania nie zmieniają rzeczywistości. Jakub już dokonał wyboru, teraz kolej na mnie. Właściwie już podjęłam decyzję. Alek zostawił mi wolność wyboru, ale nie potrafiłam mu odmówić. Nazwał mnie jedyną nadzieją, widziałam w jego oczach szczerą rozpacz płynącą z bezsilności. Wynikało z tego, że tylko ja mogłam nawiązać na tyle bliską więź z komendantem, żeby wykraść niezbędne informacje. Intymną więź z hitlerowcem... Natychmiast stanął mi przed oczami obraz rozstrzelanej przez gestapo ciężarnej żony rabina z głową w kałuży krwi. Ujrzałam przerażone oczy Łukasza. Podczas gdy faszyci mordowali bez skrępowań moich rodaków, żądano ode mnie, żebym zabiegała

o względy jednego z nich. Żołądek podszedł mi do gardła.

Mimo wewnętrznych zahamowań przeczuwałam, że wykonanie zadania nie sprawiłoby mi technicznych trudności. Odkąd szef wrócił z Berlina, otwarcie okazywał mi zainteresowanie. Trudno mi było określić, czy tylko pociągam go fizycznie, czy też żywi wobec mnie jakieś głębsze uczucia mimo mojej niskiej pozycji i, według jego poglądów, podrzędnej, polskiej narodowości. Do tej pory bez trudu utrzymywałam dystans. Chociaż komendant reprezentował zbrodniczy reżim, nie łamał zasad dobrego wychowania ani nie wywierał nacisku. Teraz musiałabym go przekonać, że odwzajemniam jego sympatię. Nie wyobrażałam sobie, w jaki sposób mogłabym go zachęcić.

Stop! To szaleństwo! - podpowiedział wewnętrzny głos. Uświa-

domiłam sobie, że na serio rozważam możliwość nawiązania tego koszmarnego romansu. Przystanąłam nad brzegiem Wisły. Kim jestem, do czego doszłam? - zapytałam swojego odbicia.

Odpowiedziało pytaniem: Co dla ciebie jest najważniejsze w życiu? Odpowiedź brzmiała tak samo jak zawsze: rodzice, mąż, rodzina.

Wycie syreny na drugim brzegu wyrwało mnie z zadumy. Podniosłam wzrok. Stałam dokładnie naprzeciwko getta. Za Wisłą, za kilkoma szeregami kamienic, wznosiły się jego mury. Szanse moich rodziców na przeżycie spadały z każdym dniem. Tych, których nie zabiły choroby, mordowali Niemcy. Właśnie dlatego Alkowi tak bardzo zależało, żeby w jak najkrótszym czasie uratować jak najwięcej osób, zanim oprawcy zrealizują kolejny zbrodniczy plan. Należało to zrobić za wszelką cenę. Przyznałam Alkowi rację. W tym wypadku cel naprawdę uświęcał środki. Uznałam, że warto poświęcić honor, zabiegać o sympatię zbrodniarza, byle tylko wyrwać od niechybnej zagłady rodaków i bliskich. Po długiej wewnętrznej walce doszłam do wniosku, że powinnam przynajmniej spróbować. Mimo wszystko nadal dręczyły mnie wątpliwości, czy stać mnie na tak wielkie poświęcenie, a także czy potrafię przekonać komendanta, że mi na nim zależy. Pocieszałam się, że może nie dojdzie do najgorszego, że znajdę inny, nie tak poniżający sposób zdobycia informacji. Bardzo chciałam wierzyć w to kłamstwo, lecz gotowa byłam zapłacić każdą cenę za ocalenie najbliższych. Poza tym wiedziałam, że Jakub nigdy się nie dowie. Żeby przełamać resztki wewnętrznego oporu, wytłumaczyłam sobie, że zrobię coś, co pozwoli mi szybciej odzy-

skać męża. Z tą myślą wyruszyłam w drogę powrotną do domu.

TLR

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego ranka z determinacją wkroczyłam na Wawel. Miałam przed sobą nowy cel i zamierzałam niezwłocznie przystąpić do jego realizacji. Powiedziałam sobie, że należy jak najszybciej przez to przejść jak przez bolesny zabieg oczyszczenia ropiejącej rany dla ratowania życia. Pozostało tylko ustalić strategię.

Ledwie usiadłam za biurkiem, przestudiowałam terminarz komendanta. Od rana do późnych godzin popołudniowych uczestniczyłam w zebraniach w budynku administracji na Pomorskiej. Zwykle w takich wypadkach nie wracałam już do biura, a korespondencję dostarczano mi do domu.

Przechodząc później przez recepcję, zastałam tam pułkownika Diedrichsona. Właśnie prosił Małgorzatę, żeby poleciła posłańcowi, by odniósł po południu pocztę do mieszkania komendanta.

- Mogłabym ją wziąć po drodze do domu. Zamierzał omówić ze mną parę spraw, ale nie zdążył przed wyjściem - dodałam na widok jego nieufnego, badawczego spojrzenia. Gdy wciąż milczał, dodałam:

- Bardzo mu na tym zależało.

- Sam nie wiem... - mruknął niepewnie.

Celowo zbiłam go z tropu. Jako typowy nazistowski biurokrata źle znosił wszelkie odstępstwa od regulaminu.

- To dla mnie żaden kłopot. Dzisiaj i tak tamtędy wracam, mam coś do załatwienia w tamtej okolicy - nalegałam.

Nadal nie wyglądał na przekonanego. W tym momencie na biurku Małgorzaty zadzwonił telefon.

- ***Jawohl!*** - wykrzyknęła do słuchawki. - To do pana, pułkownika.

Diedrichson po wysłuchaniu rozmówcy zwrócił ku mnie wzrok.

- Dobrze, niech będzie, zajmij się tym, ale te papiery są ciężkie, więc załatw ze Stanisławem, żeby cię podrzucił.

Mimo woli wydałam westchnienie ulgi, bo bez większego trudu znalazłam drogę do mieszkania komendanta. Zaraz potem serce znów zaciążyło mi jak głaz. Właśnie rozpoczęłam realizację najtrudniejszego zadania w życiu.

O piątej wyniosłam z biura plik dokumentów. Stanisław zawiózł mnie pod dom i pozostał na zewnątrz. Wchodziłam po schodach z niezwykłą ostrożnością, żeby nie upuścić przesyłki. Na korytarzu wpadłam w popłoch, po prostu nie byłam w stanie wejść do środka. Postanowiłam zostawić papiery na progu. Gdy układałam je na podłodze, bezwiednie oparłam się o drzwi. Zaskrzypiały głośno.

- Kto tam? - krzyknął z głębi mieszkania komendant, a zaraz potem usłyszałam odgłos ciężkich kroków.

Serce we mnie zamarło. Za późno na ucieczkę, pomyślałam w panice. Wzięłam głęboki oddech i z powrotem podniosłam papiery. Ledwie zdążyłam się wyprostować, komendant otworzył drzwi. Na mój widok szczeka mu opadła. Patrzył na mnie rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Anna! - wykrzyknął wreszcie.

- Pułkownik mówił, że pilnie potrzebuje pan tych dokumentów -

skłamałam gładko. Byłam przekonana, że nie sprawdzi, czy to prawda.

- Wejdz, proszę. - Zrobił krok do tyłu na chwiejnych nogach. Nie miał na sobie munduru, tylko koszulę z podwiniętymi rękawami i kilkoma rozpiętymi guzikami, tak że dostrzegłam siwiejące włoski na piersi. Nigdy wcześniej nie oglądałam go w tak niedbałym stroju.

Wskazał ręką biurko, na którym ułożyłam stos papierów, po czym bezradnie stanęłam na środku słabo oświetlonego pokoju, przesyconego odorem potu i brandy. W kącie leżała nierozpakowana jeszcze po powrocie z Berlina walizka.

- Proszę dalej. - Zatoczył szerokie półkole ręką, w której trzymał szklankę. Omal nie rozlał trunku.

A więc znowu pił, tak jak poprzednio, po wizytacji w Auschwitz. Wiele bym dała, żeby wykryć, co tym razem wyprowadziło go z równowagi. Z ociąganiem usiadłam na brzegu sofy.

- Napijesz się czegoś?

- Bardzo proszę.

Z trudem zwalczyłam pokusę, żeby wstać i umknąć jak najszybciej, jednak powstrzymała mnie nadzieja, że upije się do reszty po kilku kolejnych kieliszkach, co umożliwi mi przeszukanie mieszkania bez konieczności nawiązania bliższych stosunków. Komendant wlał mi trochę bursztynowego płynu do kieliszka, mocniejszego niż wszystko, czego próbowałam do tej pory. Palił w gardle żywym ogniem. Sam wypił swój alkohol duszkiem. Odsunął ciężkie zasłony, odsłaniając szare od brudu okna.

- Tęsknisz za morzem, Anno?

- Ja nigdy... - Zamilkłam. Omal nie wpadłam w pułapkę. Już chciałam wyznać, że nigdy nie widziałam morza, a przecież Anna spędziła całe życie w Gdańsku.

- Co nigdy...? - Popatrzył na mnie badawczo.

- Nigdy nie przeżyłam takiego gorącego lata jak w tym roku - za-improwizowałam w popłochu.

- Taaak... Na wybrzeżu łatwiej znosi się taki żar.

Upiłam łyk palącego trunku. Uświadomiłam sobie, że moje życie wisi na włosku. Pierwszy lepszy błąd mógł mnie zgubić. Gdyby szef tyle nie wypił, bez wątpienia zauważyłby, że kręcę.

Wyjrzał przez okno. Przypomniałam sobie, po co tu przyszłam. Jakżeż ja miałam go uwieść? Nikogo dotychczas nie kokietowałam. Znajomość z Jakubem rozwinęła się w sposób naturalny, bez żadnych zabiegów z mojej strony, jedynie dzięki nagle zrodzonemu obopólnemu uczuciu.

Stop! - surowo zakazałam sobie wszelkich wspomnień o mężu. Wiedziałam, że jeśli zacznę o nim myśleć, nigdy nie przełamie zahamowań. Lecz było już za późno. Wciąż widziałam przed sobą jego twarz.

Pojęłam, że nie wykonam zadania, że muszę odejść. Wstałam pośpiesznie.

- Czas na mnie, już późno. - Ruszyłam w kierunku drzwi z ociąganiem, chociaż ponad wszystko pragnęłam wrócić do bezpiecznego domu Krysi. Z drugiej strony gdzieś w głębi duszy chowałam skrytą

nadzieję, że komendant mnie zatrzyma. Gdyby postawił mnie przed faktem dokonanym, zyskałabym możliwość wypełnienia swojej misji.

- Dziękuję za poczęstunek - dodałam.

Odprowadził mnie do drzwi, lecz nagle zasłonił je sobą i powoli wyciągnął ku mnie rękę.

- Anno!

Zastygłam bez ruchu, gotowa w każdej chwili odskoczyć w tył. Komendant dotknął mojej skroni, odsunął za ucho niesforny lok, wreszcie musnął policzek opuszkami palców.

- Dobranoc - szepnął, lecz wciąż blokował drzwi.

- Dobranoc. - Odwróciłam wzrok. Policzki mi płonęły. Sięgnęłam do klamki za jego plecami, pociągnęłam i wydostałam się na zewnątrz przez wąską szczelinę.

- Anno! - zawołał za mną ponownie.

Przystanęłam na korytarzu. Słyszałam szum pulsującej w żyłach krwi. Do dziś nie wiem, dlaczego odwróciłam się ku komendantowi. Poczułam na ustach żar rozpalonych warg. Nie pamiętam, jak wróciliśmy do mieszkania ani kiedy zdjęłam płaszcz. Straciłam poczucie rzeczywistości. Słyszałam tylko własny przyspieszony oddech, w oczach migotały tysiące spadających gwiazd. W pamięci został jedynie zapach, dotyk, słonawy smak jego ucha na języku, drapanie zarostu w policzek. Zapomniałam nawet o swojej roli. Jakiś głos szeptał z oddali, że Anna powinna być nie-doświadczoną, płochliwą dziewczicą. Nie słuchałam. Chwytałam jego ramiona pełnymi garściami, ciągnęłam go do siebie, krzyczałam z

rozkoszy. Lecz nie byłam również Emmą. Gdy komendant niósł mnie półnągą do sypialni, nie przerywając pocałunku, oddawałam pieśczętę równie bezwstydnie, jak szczerze. Kiedy kładł mnie na łóżku, czekałam, odurzona zapachem piżma i jego bliskością, aż weźmie mnie w posiadanie. Dopiero później wmawiałam sobie, że jedynie odgrywałam wyznaczoną rolę.

Gdy tylko wyrównał oddech, pogładził mnie po twarzy i przeprosił. Niewątpliwie dręczyły go wyrzuty sumienia, że w tak gwałtowny sposób posiadał niewinną dziewczynę, zamiast subtelnie wprowadzić ją w nieznany świat erotyki. Na wszelki wypadek tylko skinęłam głową, żeby nie powiedzieć za dużo. Widocznie uznał mój gest za znak przebaczenia, bo prawie natychmiast zapadł w sen. Zaczął chrapać, z jedną ręką nad głową, a drugą na mojej talii.

Leżałam jeszcze kilka godzin z otwartymi oczami w przepoconej pościeli, wyczerpana, obolała, pewna, że po miłosnej gorączce znajdę rano zadrapania na ciele. Powoli wracała mi świadomość. Zdradziłam męża z faszystą. Próbowałam się rozgrzeszyć, że chciałam odejść, lecz mnie zatrzymał. W rzeczywistości doskonale zdawałam sobie sprawę, że wychodząc na klatkę schodową, zastosowałam taktykę pozornej ucieczki. Dość tego! - powiedziałam sobie. Nie wolno mi tutaj o tym myśleć. Ostrożnie, żeby nie obudzić komendanta, wymknęłam się z łóżka, ubrałam i wybiegłam z mieszkania.

Przystanęłam na dole przed drzwiami wyjściowymi. Gdyby Stanisław na mnie czekał, nie śmiałabym spojrzeć mu w oczy, na szczęście oszczędził mi tej hańby, bo odjechał. Na podstawie położenia księ-

życa ustaliłam, że dawno minęła północ. Ulice były puste, jak zwykle po godzinie policyjnej. W innej sytuacji pewnie umierałabym ze strachu, że zostanę zatrzymana, lecz w tym momencie nic mnie nie obchodziły zakazy. Podczas drogi powrotnej do domu przez moją głowę galopowały całe tabuny niespokojnych myśli. Ten romans nawiązał się zbyt szybko. Planowałam, że zrealizuję swój zamysł etapami, co zajmie mi wiele dni, może nawet tygodni.

Tymczasem...

Dość tych spóźnionych rozważań, nakazałam sobie twardo. Nie pora żałować tego, czego nie można zmienić. Przyspieszyłam kroku.

...tymczasem najgorsze mam już za sobą, dokończyłam wbrew własnym odczuciom. Z niewiadomych powodów po tym ostatnim stwierdzeniu odzyskałam spokój.

Jednak wspomnienia ostatnich wydarzeń powróciły mimo woli. Nagle znów ujrzałam nad sobą twarz komendanta, poczułam na sobie ciężar jego ciała. Mój mózg odtwarzał jak ze zwolnionej taśmy filmowej skoordynowane ruchy dwóch ciał. Dostałam mdłości. Tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, wyrzuciłam w krzaki całą zawartość żołądka. Nawet w takiej chwili pamiętałam, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Otarłam usta, wzięłam głęboki oddech, sprawdziłam, że nikt nie nadchodzi. Jedyne samotny szczur rzucił mi pogardliwe spojrzenie znad rynsztoka.

- Musiałam tak postąpić, musiałam udawać, że go pragnę - szepnęłam.

Zwierzak odwrócił się do mnie tyłem. Nie przekonałam go.

Przygładziłam włosy i ruszyłam w dalszą drogę. Kilkaset metrów dalej stanęłam jak wryta, porażona nagłą myślą. Opuszczałam mieszkanie komendanta w takim pośpiechu, że zapomniałam, po co przyszłam. Nawet nie zajrzałam do dokumentów. Wmawiałam sobie, że słusznie postąpiłam, że najpierw powinnam poznać jego nawyki, by zyskać pewność, że nie obudzi się nagle i nie przyłapie mnie na szpiegowaniu. Zadrżałam. Uświadomiłam sobie bowiem, że czekają mnie kolejne wizyty. Znowu dostałam skurczów żołądka.

Powrót do domu zajął mi sporo czasu. W żadnym z okien nie zastałam światła. Na szczęście domownicy spali. Uprzedziłam wprawdzie Krysię, że wrócę późno, lecz nie przeszło mi przez usta wyjaśnienie z jakiego powodu. Mimo wszystko nie wykluczałam, że się domyślała. Posiadała wiele informacji o planowanych posunięciach działaczy ruchu oporu, które nie pochodziły ode mnie. Grunt, że na razie uniknęłam kłopotliwych pytań.

Zaraz po wejściu do sypialni padłam wyczerpana na łóżko. Ponad wszystko pragnęłam wejść do wanny, zmyć z siebie cały brud i hańbę, ale nie chciałam budzić Krysi i Łukasza. Wpełzłam pod kołdrę. Mimo zmęczenia sen nie przychodził. Przerazała mnie perspektywa powrotu do pracy. Nie wiedziałam, jak po tym wszystkim spojrzę komendantowi w oczy. Najgorsze, że musiałam udawać, że pragnę powtórki. Odtworzyłam w pamięci jego rozkład zajęć na następny dzień, czyli dwunastego sierpnia. Na szczęście znowu uczestniczył w naradach na Pomorskiej od samego rana aż do zakończenia pracy. Odetchnęłam z ulgą, że go nie zobaczę.

Nagle uprzytomniłam sobie, że dwunastego sierpnia przypada rocznica mojego ślubu. Zaparło mi dech, poczułam się okropnie. Jak mogłam zapomnieć, że właśnie w tym dniu przysięgałam Jakubowi wierność pod baldachimem w salonie jego rodziców? Po ceremonii i skromnym obiedzie wyjechaliśmy pociągiem w podróż poślubną do Zakopanego. Przez trzy dni nocowaliśmy w małym pensjonacie u stóp gór, wędrowaliśmy po mieście

i okolicy. Kupiłam Jakubowi góralski sweter, pachnący owczą wełną. On podarował mi naszyjnik z okrągłych bursztynów.

Nie miałam żadnego doświadczenia w sprawach erotycznych, lecz Jakub za pomocą delikatnych pieszczot uczył mnie rozkoszy z taką ciepłością

i wprawą, że cała płonęłam. Chwilami zastanawiałam się nawet, czy jestem jego pierwszą partnerką. Ostatniego dnia wyjechaliśmy na wycieczkę wynajętym samochodem. Stojąc na granicy z Czechosłowacją, z zapartym tchem podziwiałam piękno ośnieżonych szczytów, jakie wcześniej widywałam tylko na obrazach. Jakub ujął moją dłoń.

- Wrócimy tu zimą. Nauczę cię jeździć na nartach - obiecał.

Odnosiłam wrażenie, jakbym odbyła tę podróż przed wiekami, w innym życiu. Jak obchodzilibyśmy naszą rocznicę, gdyby ze mną został? Znowu w Tatrach czy na pikniku nad rzeką? Westchnęłam ciężko. Spędziliśmy po ślubie więcej czasu osobno niż razem. Kochałam go tak samo mocno jak wtedy, lecz czasami jego obraz bladł w pamięci. A teraz go zdradziłam... Tłumaczenie, że zламаłam przy-

sieęgę małżeńską dla sprawy, w którą wierzył mocniej niż ktokolwiek z nas, nie uciszyło wyrzutów sumienia. Płakałam w poduszkę, póki nie zmorzył mnie sen.

Następnego ranka wyszłam wcześniej do pracy. Zostawiłam Krysi kartkę, żeby się nie martwiła. Nie potrafiłabym jeszcze stanąć z nią twarzą w twarz. Poprzedniej nocy, gdy wracałam od komendanta upokorzona i głęboko nieszczęśliwa, nie wyobrażałam sobie powrotu do biura, jednakże rano musiałam spojrzeć prawdzie w oczy. Po prostu nie miałam innego wyjścia. Zależało mi na tym, żeby zdążyć przed Małgorzatą, bo jej sokole oczy z pewnością dostrzegłyby mój wstyd, nawet najgłębiej skrywany na dnie duszy. Na szczęście mój plan nie zawiódł. Przybyłam pierwsza. Sprawdziłam jeszcze raz w kalendarzu, że rzeczywiście komendant nie wróci przez cały dzień. Ponieważ brakowało mi energii, przesiedziałam do piątej beczynnie, przekładając tylko dla pozorów papiery na biurku.

Po powrocie do domu nie zastałam nikogo w ogrodzie, co mnie bardzo zdziwiło. Zwykle w ciepłe, letnie wieczory Krysia wyprawiała Łukasza, żeby się pobawił na dworze. Przyszło mi do głowy, że ich nieobecność ma jakiś związek z moim późnym powrotem poprzedniego dnia i wcześniejszym wyjściem do pracy. Otworzyłam drzwi.

- Dobry wieczór! - zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza. W popłochu wbiegłam po schodach na górę. Krysia krążyła po salonie z zawiniętym w kocyk dzieckiem na rękach.

- Zachorował - szepnęła z rozszerzonymi z przerażenia oczami.
- Daj mi go. - Wyciągnęłam po niego ręce. Krysia odskoczyła do tyłu.

- Tylko tego brakowało, żebyś się zaraziła i przestała chodzić do pracy - odburknęła.

- Bardzo cię proszę, Kysiu. - Odebrałam jej małego.

Łukasz pobladł, czoło miał rozpalone, włosy wilgotne od potu. Zamglone oczy błyszczały w gorączce. Czerwone, napuchnięte powieki świadczyły o tym, że to zwykle spokojne, pogodne dziecko przepłakało cały dzień.

- Zwraca wszystko, co zje - bezradnie poinformowała Krysia.

Przeraziło mnie, jak bardzo zmienił się jej wygląd. Po raz pierwszy widziałam strach w jej oczach. Zwykle starannie ułożone włosy tego wieczoru zwisały w nieładzie, dostrzegłam też plamy na sukience.

- Może zrobimy mu chłodną kąpiel?
- Wziął już dwie.
- To i trzecia nie powinna zaszkodzić.

Lepszego pomysłu nie miałam. Zaczęłam rozwijać Łukasza z kocyka. Krysia wyszła bez słowa. Kilka sekund później usłyszałam szum wody z łazienki na piętrze. Ruszyłam w stronę schodów. W kuchni stanęłam jak wryta na widok jaskrawej plamy czerwieni. Na stole leżał bukiet szkarłatnych róż, jeszcze w celofanie. Nie musiałam pytać, od kogo pochodzą.

- Wypróbowałam wszystkie domowe sposoby, ale nic nie pomaga - powiedziała Krysia kilka minut później, gdy polewałam małemu

główkę chłodną wodą. - Przestał płakać, ale gorączka nie spadła.

- To normalne, wszystkie dzieci od czasu do czasu chorują - pocieszałam bez przekonania. Łukaszowi nigdy wcześniej nic nie dolegało. W poczuciu winy odbierałam jego chorobę jako karę za moje wiarołomstwo.

Najgorsze, że nie mogliśmy wezwać lekarza, bo podczas badania wyszłoby na jaw, że to nie polskie dziecko, że został obrzezany. Żydowskich lekarzy nie było już w mieście, a polski, gdyby okazał się tchórzem lub łajdakiem, mógłby nas wydać. To straszne, ale Krysia, przy wszystkich swoich znajomościach i powiązaniach, nie potrafiła wskazać nikogo, komu można by zaufać ponad wszelką wątpliwość. Nawet szlachetny farmaceuta z getta, pan Pankiewicz, nie mógł już pomóc, bo kilka miesięcy wcześniej wywieziono go do jednego z obozów za karę, że wspierał Żydów.

Gdy woda wystygła, wyjęłam Łukasza z wanny i zawinęłam go w ręcznik. Podczas wycierania zapadł w głęboki, niespokojny sen. Poruszał gałkami ocznymi pod spuszczoneymi powiekami. Przytuliłam go do piersi. O czym mogło śnić takie maleństwo? W czasie pokoju byłyby to pewnie radosne, słoneczne wizje, lecz teraz być może znów przeżywał śmierć matki, uwięzienie ojca, paniczny strach w jakiejś ciemnej kryjówce albo nocną wędrówkę przez czarny las do obcych ludzi. Chociaż dawałyśmy mu wiele ciepła, dokładałyśmy wszelkich starań, żeby zapewnić poczucie bezpieczeństwa, nie byłyśmy w stanie wymazać z jego pamięci koszmarnych wspomnień.

Włożyliśmy mu świeżą piżamę i zaniósłszy do łóżka.

- Będziemy czuwać przy nim na zmianę - zaproponowała Krysia.

Skinęłam głową na znak zgody, lecz żadna z nas nie chciała go opuścić. W rezultacie Krysia została na krzeselku przy łóżeczku, ja zaś usiadłam na poduszce na podłodze. Co kilka minut dotykałam jego czoła, nie spuszczać z niego oczu. Wkrótce przestał poruszać oczami, zaczął spokojnie oddychać.

- Kwiaty są od komendanta - oznajmiła Krysia.

- Wiem - mruknęłam z niechęcią.

- Co z tobą?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Krysia zasnęła na siedząco z głową opartą o ścianę i lekko uchylonymi ustami. Nigdy bym nie przypuszczała, że ta dystyngowana dama chrapie, ale ostatnio przestało mnie cokolwiek dziwić. W tych niepewnych czasach nic nie wyglądało tak jak powinno.

Siedziałam na poduszce, obserwując swoją przybraną rodzinę. Chyba dopiero w momencie zagrożenia zdałyśmy sobie sprawę, jak wiele Łukasz dla nas znaczy. Z początku traktowałyśmy opiekę nad osieroconym malcem jak zadanie do wykonania, jako formę pomocy rodakom i oporu przeciw faszystom, jednak z czasem Łukasz zastąpił mi własne, wymarzone dziecko, a Krysi wnuka. Po raz pierwszy spróbowałam sobie wyobrazić koniec wojny. Czy rabin jakimś cudem przeżyje? A jeżeli nie, z kim zostanie Łukasz? Z Krysią czy ze mną?

W moich marzeniach Jakub zawsze do mnie wracał, aby stworzyć pełną, szczęśliwą rodzinę. Innej ewentualności nie brałam pod uwagę, lecz rzeczywistość nie dawała wielkich nadziei na szczęście. Dzielnica żydowska została zburzona i nic nie wskazywało na to, że zostanie odbudowana. Krakowianie żyli tak, jakby Żydzi nigdy nie mieszkali w ich mieście. Ze strzępów zasłyszanych na ulicach rozmów wywnioskowałam, że wcale ich nie żałują. Choć trudno mi było w to uwierzyć, czasami odnosiłam nawet wrażenie, że z ulgą przyjęli ich zniknięcie. W każdym razie nie miałam nadziei, że po wojnie wrócimy do mieszkania w centrum, do dawnej pracy i na uniwersytet. A jeśli wyruszymy w daleki świat, czy zostaniemy lepiej przyjęci? Próbując sobie wyobrazić przyszłe życie w jednym z dalekich miast, których nigdy wcześniej nie widziałam, Nowym Jorku, Jerozolimie, Londynie, zapadałam w płytki sen.

Obudziłam się o świcie obolała i zdrętwiała. Krysia nadal spała na swoim krześle. Zarzuciłam jej koc na ramiona, następnie zajrzałam do łóżeczka. Łukasz nie spał, tylko bawił się własną stopką, mówiąc coś cicho do siebie. Pochyliłam się nad nim.

- Łukaszku - szepnęłam.

Wyciągnął do mnie ręce, jak zwykle, jak każdego dnia. Oplótł mi szyję ramionami. Dotknęłam wargami jego czoła. Było chłodne. Łzy szczęścia napłynęły mi do oczu. Dziękowałam Bogu, że nie ukarał mnie jego chorobą za grzech cudzołóstwa. Łukasz uśmiechnął się do mnie, po raz pierwszy od dnia, w którym do nas przybył.

- Nia! - zawołał. - Nia!

- Ania? - zapytałam z akcentem na drugiej sylabie, uśmiechnęłam się.

- Nia! - Złapał mnie za nos. Odwzajemniłam uśmiech, zadowolona, że spróbował wymówić moje imię, nieważne, że zmyślone. Grunt, że wyzdrowiał i dopisywał mu humor. Doświadczenia minionej nocy uświadomiły mi, jak wiele dla mnie znaczy i jak mało trzeba, żeby stracić nawet te drobne okruszki szczęścia, które zostały nam dane.

Na palcach, żeby nie obudzić Krysi, zaniiosłam go do kuchni na śniadanie.

TLR

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tego ranka nie mogłam się zdobyć na opuszczenie Łukasza.

- Nie idę dzisiaj do pracy - oświadczyłam chyba już po raz setny. - Łukaszowi byłoby przykro, gdybym go zostawiła.

- Musisz iść. - Krysia pokręciła głową, zerkając znacząco na bukiet róż, które wstawiła do białego wazonu. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że moja nieobecność zaniepokoiłaby komendanta.

- No dobrze - mruknęłam wreszcie bez przekonania, lecz nadal zwlekałam z wyjściem. Przystanąłam jeszcze w progu z koszykiem w ręku i płaszczem na ramieniu.

Krysia zmierzwiła Łukaszowi włosy.

- Nic mu nie jest - zapewniła.

Bystre spojrzenie i rumiane policzki malca rzeczywiście świadczyły o dobrym stanie zdrowia. Aż trudno było uwierzyć, że poprzedniego dnia tak wiele wycierpiał, lecz ja wciąż widziałam przed sobą jego szkliste oczy. Nadal nie opuszczał mnie lęk, że go stracę. Miałam ochotę wziąć go na ręce i ucałować na pożegnanie, jednak zwalczyłam pokusę. Lepiej, żeby nie widział, jak wychodzę. Wreszcie zmusiłam się do opuszczenia domu.

- Dziś wrócę o zwykłej porze - oznajmiłam na odchodnym.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - zawołała za mną Krysia.

Pełna obaw, czy zdążę do pracy, pospieszyłam na przystanek. Chociaż autobus przyjechał prawie natychmiast, dotarłam na Wawel z

opóźnieniem. Małgorzata powitała mnie chmurnym spojrzeniem. Ledwie rozłożyłam przybory na biurku, z gabinetu komendanta wyszedł pułkownik Diedrichson.

- Komendant pytał o ciebie - oznajmił.

Odniosłam wrażenie, że jakoś dziwnie na mnie patrzy. Na szczęście nie miałam czasu na rozmyślania, tylko chwyciłam notatnik, szybko przygładziłam włosy, zebrałam się na odwagę i wkroczyłam do gabinetu szefa po raz pierwszy po wspólnie spędzonej nocy. Zastałam go przy czytaniu raportu. Wzięłam głęboki oddech, wytarłam ręce o spódnicę.

- Dzień dobry, panie komendancie - wykrztusiłam drżącym ze zdenerwowania głosem.

Znieruchomiał, następnie uniósł głowę. Nie potrafiłam nic odczytać z wyrazu twarzy.

- Spóźniłaś się - wypomnił bez gniewu.

- Przepraszam. - Podeszłam bliżej. - Ja...

- Nic nie szkodzi - przerwał. - Tylko że to do ciebie niepodobne. Już myślałem... - Znowu zamilkł, odwrócił wzrok.

Nie musiał kończyć. Zarówno niepewna mina, jak i urywane, niedokończone zdania powiedziały mi wszystko. Obawiał się, że po tym, co między nami zaszło, nie wrócę do pracy. Był równie zażenowany jak ja.

- To nie dlatego, panie komendancie - zapewniłam pospiesznie, choć nie wyraził głośno swych obaw. Podeszłam bliżej. On również wstał. Widziałam jego twarz tuż nad swoją. Znajomy zapach wody

kolońskiej przywołał wspomnienia sprzed dwóch dni.

- Łukasz zachorował - wyjaśniłam i zaraz pożałowałam tych słów.

Komendant odłożył na bok dokumenty i ujął mnie za rękę.

- Czy to coś poważnego? - spytał z niekłamaną troską.

- Nie. Wczoraj dostał, jak się okazało, dziecięcej gorączki. Wyglądało to groźnie, ale do rana wyzdrowiał.

- Szkoda, że mnie nie zawiadomiłaś. Przysłałbym ci swojego lekarza.

Tego właśnie chciałam uniknąć.

- Bardzo miło z pana strony, ale nie potrzeba. Już wszystko w porządku. Ot, zwykła dziecięca przypadłość - zapewniłam niefrasobliwym tonem, pólżywa ze strachu. Modliłam się w duchu, aby uwierzył, że problem przestał istnieć. Uwolniłam dłoń, następnie wskazałam podręczny stolik. - Chciałby pan omówić plan dnia? - zaproponowałam, żeby odwrócić jego uwagę od dziecka.

Skinął głową. Usiadłam na sofie, on na fotelu obok. Przeczytałam terminarz spotkań, streściłam zawartość listów z poprzedniego dnia. Gdy skończyłam, uniosłam głowę. Nie odrywał ode mnie oczu. Odwróciłam wzrok.

- Czy to wszystko?

- Tak, dziękuję.

Wstałam i ruszyłam ku drzwiom.

- Zaczekaj, Anno.

Odwróciłam się. Komendant milczał kilka sekund z takim wyrazem twarzy, jakby gorączkowo szukał odpowiednich słów. Przeczuałam,

że zaraz zaproponuje mi kolejne spotkanie.

- Jeśli jesteś wolna dziś wieczór, chętnie zjadłbym z tobą kolację - zaproponował po chwili wahania.

Gdybym była wolna, nigdy bym tu nie podjęła pracy, pomyślałam z goryczą. Szukałam taktownej wymówki, żeby nie przyłapał mnie na kłamstwie. Chciałam mu dyplomatycznie dać do zrozumienia, że nie przybiegnę na każde skinienie.

- Chętnie skorzystałabym z zaproszenia, ale wolałabym wcześniej wrócić do domu. U Łukasza dopiero dzisiaj rano nastąpiła poprawa.

- Rozumiem. Może w takim razie w sobotę?

- podsunął. Jeżeli go rozczarowałam, doskonale ukrył swoje uczucia.

Gdybym odmówiła, w jakimś sensie unieważniłabym tamtą wspólną noc, łatwiej przeszłabym nad nią do porządku dziennego, aż z czasem pewnie zaczęłabym ją traktować jako jednorazową pomyłkę. Uciszyłabym w ten sposób wyrzuty sumienia, ale nie uratowałabym bliskich. Po długiej wewnętrznej walce zdecydowałam, że warto poświęcić spokój własnego sumienia dla ważniejszej sprawy. Na sobotę wzięłam urlop, by dłużej posiedzieć z Łukaszem, ale wieczór miałam wolny...

- Chętnie, jeśli tylko mały będzie zdrowy.

- Zgoda. W sobotę rano przyślę do Krysi posłańca. Przekażesz mi przez niego wiadomość.

Wróciłam do siebie roztrzęsiona, rozdarta wewnątrz. Dotąd, mimo kwiatów i przeciągłych spojrzeń komendanta, wmawiałam sobie, że traktuje tamtą noc jako jednorazową przygodę. Chociaż pro-

pozycja ponownego spotkania powinna mnie zmartwić, poczułam ulgę, że chce mnie ponownie zobaczyć po pracy. Okłamywałam samą siebie, że nie na jego uczuciach mi zależy, tylko na wykonaniu zadania.

Prócz emocjonalnego zamętu dodatkowy problem stanowiła konieczność uprzedzenia Krysi o moich planach. Zamierzałam to zrobić zaraz po powrocie, ale gdy zastałam ją z Łukaszem w ogrodzie, odłożyłam to na później, bo nie chciałam im psuć radosnego nastroju. Oczekałam, aż mały znalazł się w łóżku, i podążyłam do salonu za Krysią, która wzięła do rąk robótkę.

- O, prawie skończyłaś sweterek dla Łukasza
- zauważyłam.
- Chyba dorobię jeszcze kapturek - stwierdziła po dokładnym obejrzeniu efektów swej pracy.
- Komendant znowu zaprosił mnie na kolację, na jutro - oświadczyłam, nadal stojąc z niepewną miną obok jej fotela.
- Rozumiem - odrzekła, jakby informacja nie wywarła na niej żadnego wrażenia.
- Uważałam, że powinnam cię uprzedzić - wymamrotałam straszliwie zawstydzona, patrząc na czubki własnych butów.
- Nie musisz się tłumaczyć.
- Dziękuję, ale zależy mi, żebyś poznała moje motywy. Alek uważa, że to konieczne.
- A ty?
- Chyba nie mam wyjścia - odpowiedziałam po chwili wahania i

opadłam obok niej na sofę.

- Zawsze istnieje możliwość wyboru, Emmo. Człowiek musi wziąć pełną odpowiedzialność za swoje czyny, żeby zachować godność, nie zostać ofiarą losu.

Słowo „godność” poraziło mnie jak grom. Straciłam ją dwie noce wcześniej. Przygryzłam wargę. Choć nie przyszło mi to łatwo, po namyśle przyznałam Krysi rację. Powinnam uratować przynajmniej resztki honoru, nie zaś obarczać kogoś winą za własne decyzje.

- Postanowiłam spotkać się z nim ponownie, by ratować rodziców i pomóc konspiracji - oświadczyłam.

Kryśia położyła mi rękę na ramieniu.

- Podjęłaś bardzo trudną decyzję.

- Uważasz, że właściwą?

- Na to pytanie tylko ty sama możesz odpowiedzieć. - Gdy z ciężkim westchnieniem pocałowałam ją w policzek, pożegnała mnie ciepło: - Dobranoc, kochanie.

Przed pójściem do łazienki zajrzałam jeszcze do Łukasza. Później, myjąc twarz, ponownie rozważałam słowa Krysi. Zmusiła mnie do spojrzenia prawdzie w oczy. Zdradziłam Jakuba z własnej woli, nie tylko dla wyższych celów, nawet nie z powodu fizycznego pociągu czy poczucia osamotnienia po długiej rozłące z mężem. Najgorsze, że wbrew sobie polubiłam komendanta. Chętnie przebywałam w jego towarzystwie, podświadomie czekałam na kolejne zaproszenie, i właśnie dlatego czułam do siebie wstręt. Patrząc w lustro, nie widziałam ideowej bojowniczkę, lecz wiarołomną żonę.

Następnego ranka posłaniec przyniósł mi ręcznie wypisane zaproszenie na kolację do Wierzyńka. W pierwszym odruchu chciałam odmówić, nie znalazłam jednak żadnej sensownej wymówki. Łukasz był zdrowy, a mnie zależało na jak najszybszym zdobyciu informacji. Po namyśle wyraziłam zgodę.

Za piętnaście siódma przyjechał po mnie Stanisław. Wyjaśnił, że komendanta zatrzymały ważne sprawy. Będzie na mnie czekał w restauracji. Patrząc przez okno z tylnego siedzenia olbrzymiego samochodu, usiłowałam przewidzieć dalszy przebieg wieczoru. Po tamtej pamiętnej nocy tylko raz widziałam komendanta. Bałam się, że skrzepowanie uniemożliwi mi prowadzenie błyskotliwej konwersacji.

Wkrótce Stanisław zaparkował przed okazałym budynkiem nieopodal rynku. Komendant powitał mnie w drzwiach, przeprosił, że sam nie przyjechał, potem wprowadził do środka. Portier odebrał ode mnie płaszcz, następnie zaprowadził nas do osobnej łoży z widokiem na całą salę.

- Pozwoliłem sobie sam wybrać dania - oznajmił komendant, gdy usiedliśmy. Skinęłam głową, zadowolona, że uwolnił mnie od myślenia. - Co z Łukaszem? - zapytał.

- Dziękuję, już nic mu nie dolega - zapewniłam radośnie.

Kiedy kelner nalał nam czerwonego wina, komendant uniósł kieliszek.

- Za zdrowie.

- Za zdrowie. - Upiłam łyk trunku. - Wspaniale.

- Włoskie. - Wypił duszkiem. - Byłaś kiedyś we Włoszech?

- Nie.

- Cudowny kraj.

Dwóch kelnerów postawiło przed nami półmiski ze srebrnymi pokrywami; odsłoniли ich zawartość, czyli wędzonego łososia. Gdy odeszli, komendant opowiedział o narciarskiej wyprawie we włoskie Alpy z lat studenckich. Mówił szybko, robił tylko krótkie przerwy, żeby upić łyk z kieliszka, który kelner ponownie napełnił przed odejściem. Kilka minut później puste półmiski zastąpiono nowymi, większymi. Zawierały porcje pieczonego ptaka, sądząc po zapachu, dzikiego. Nie smakował mi. Dłubałam tylko widelcem w potrawie, zadowolona, że przed wyjściem coś zjadłam. Komendant pochłonał swoją porcję ze smakiem. Albo nie zauważył, że apetyt mi nie dopisuje, albo udawał, że nie widzi.

- Czy wrócił pan tam kiedyś później? - spytałam, gdy kelnerzy znów nalali nam wina.

- W same Alpy nie, ale zwiedziłem Rzym, Florencję, Wenecję, później również Francję i Alpy Szwajcarskie. Ale w Turynie już nie byłem od czasów studenckich.

Słuchałam jego opowieści jak baśni o zaczarowanym królestwie, zdumiona, że wypowiada obce, egzotyczne dla mnie nazwy z pełną swobodą.

Przechyliłam głowę.

- Usiłuję sobie wyobrazić pana jako studenta.

- Od tego czasu minęło wiele lat - przyznał ze śmiechem.

- Co pan studiował?

- Historię. Chciałem zostać profesorem. Oczywiście to było, zanim... - Urwał nagle, otarł usta serwetką, po czym upił łyk wina.

- Zanim?

- Zanim życie dokonało za mnie wyboru. - Przerwał. - Było nas troje rodzeństwa, ja urodziłem się drugi. Mój starszy brat, Peter, miał dziedziczyć rodzinne przedsiębiorstwo okrętowe. Kiedy wybuchła wojna, razem wstąpiliśmy do marynarki. Zginął w bitwie o Jutlandię.

Zrozumiałam, że mówi o poprzedniej wojnie. Położyłam mu rękę na przedramieniu.

- Bardzo mi przykro.

- Dziękuję. Podziwiałem go. Był bardzo dzielny. Po jego śmierci musiałem nauczyć się prowadzić interesy, żeby w przyszłości odziedziczyć firmę po ojcu, musiałem więc zrezygnować ze studiów.

Nie wiedziałam co powiedzieć. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu.

- Jak ci smakowała kuropatwa? - zapytał komendant, gdy kelner zabrał talerze.

- Przepyszna - skłamałam. Miałam nadzieję, że nie zauważył, że prawie nie tknęłam jedzenia.

Poprosił o czarną kawę dla siebie, a dla mnie z mlekiem i cukrem. Zdziwiłam się, że zna moje nawyki. Nigdy nie piłam przy nim kawy w pracy. Pewnie obserwował mnie podczas przyjęcia u Krysi, choć wiele czasu minęło od tamtej pory. Dla mnie były to całe wieki.

Przyniesiono kartę deserów. Na widok przebogatej oferty łakoci pociekła mi ślinka. Wybrałam niemiecki torcik czekoladowy, a ko-

mendant kawałek szarlotki.

- Jak smakuje? - spytałam, gdy spróbował.

- Nie najgorzej, ale moja siostra piecze lepszą. Wyszła za Austriaka.

Mieszkają niedaleko Salzburga.

- Utrzymujecie stały kontakt?

- Staramy się, choć nie widziałem jej od początku wojny.

- Może niedługo... - Zamilkłam w połowie zdania. Zbyt późno zorientowałam się, że przy niemieckim oficerze nie wypada mówić o zakończeniu wojny. Przecież III Rzesza zamierzała zawojować cały świat... Nie wiedziałam, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

Komendant zamieszał kawę. Dostrzegłam na jego podbródku okruszynę ciasta i z trudem zwalczyłam pokusę, żeby ją zetrzeć koniuszkami palców.

- Wiem, co masz na myśli, Anno. To nic złego, że czekasz zakończenia wojny, jak my wszyscy. Tyle że trudno powiedzieć, jak później będzie wyglądała sytuacja, nawet jeśli rzeczywiście wygramy.

Nie wierzyłam własnym uszom. Po raz pierwszy słyszałam, żeby Niemiec podawał w wątpliwość przyszłe zwycięstwo Rzeszy.

- Tak, rozumiem...

- Plany fuhrera są w założeniu słuszne, ale czy możemy w nie skończoność okupować Polskę i resztę Europy?

- Trudno powiedzieć - wymamrotałam. Kiedy przed wojną dyskutowaliśmy z Jakubem na tematy polityczne, każde z nas otwarcie wyrażało swoje poglądy. Nie istniały właściwe i niewłaściwe odpowiedzi. Teraz każda mogła mnie zgubić. Zarazem coraz bardziej

byłam zdumiona. Oto hitlerowski dygnitarz zakładał, że Niemcy kiedyś opuszczą podbite tereny, a przecież propaganda niemiecka głosiła teorię „przestrzeni życiowej” dla Niemców. Nie po to zajęli tyle terytoriów, by się z nich wycofywać, lecz by je zasiedlać i germanizować.

- Nie żądam od ciebie odpowiedzi, Anno. Nie jestem głupcem. Doskonale wiem, że Polacy widzą w nas okupantów.

Morderców, sprostowałam w myślach.

- Uważają nas za potwory bez sumienia. Potrafię to zrozumieć.
- Niekoniecznie. Chociaż jestem Polką...
- Nie czujesz do mnie nienawiści - dokończył.
- Wiem, chociaż nie rozumiem dlaczego. - Przerwał, odkroił kawałek ciastka. - Podczas wojny nic nie jest pewne.
- A co z Żydami? - spytałam bez zastanowienia.

Jego ręka z widelczykiem znieruchomiała w drodze do ust.

- O co ci chodzi?

Żałowałam, że nie mogę zapaść się pod ziemię. Musiałam jakoś wybrnąć.

- Wspomniał pan o planach fuhrera. Co zamierza zrobić z mieszkańcami getta?

- Wielu ich znasz, Anno? - spytał ostrym tonem.
- Tylko z widzenia, żadnego osobiście. Widywałam ich przed wojną na ulicach.

Nabrał powietrza w płuca.

- To nie twój kłopot, Anno. Kwestia żydowska zostanie rozwiązana.

- Dał znak kelnerowi, żeby przyniósł rachunek.

Moje serce przyspieszyło rytm. Niepotrzebnie poruszyłam śliski temat. Czyżby komendant zaczął coś podejrzewać? Obserwowałam go uważnie, lecz jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Chwilę później portier przyniósł mi płaszcz i zeszliśmy do samochodu.

- Pewnie chciałabyś już zobaczyć Łukasza? - zagadnął komendant.

Zawahałam się. Dał mi wolny wybór, ale gdybym w tym momencie zakończyła spotkanie, zaprzepściłabym wszystko, co osiągnęłam do tej pory. Pokręciłam głową.

- Aż tak bardzo mi się nie spieszy. Łukasz już wyzdrowiał, wystarczy, że Krysia z nim została.

Uśmiechnął się nieznacznie i półgłosem coś polecił Stanisławowi. W drodze powrotnej nie zamieniliśmy ani słowa, dopiero w domu komendant zaproponował coś do picia.

- Nie, dziękuję - mruknęłam zakłopotana. Staliśmy bezradnie na środku salonu, patrząc na siebie nawzajem. Tym razem nie było mowy o spontanicznym wybuchu namiętności. Musiałam jakoś zachęcić komendanta. Wzięłam głęboki oddech. Postąpiłam krok do przodu.

- Anno... - Wyciągnął ku mnie rękę.

Gdy zrobiłam jeszcze jeden krok w jego kierunku, pochwycił mnie w objęcia i bez słowa poprowadził do sypialni. Z początku przytulał mnie do siebie nieśmiało i dopiero gdy dotknęłam jego ust, znikły wszelkie zahamowania. Namiętność powróciła, jakbyśmy żyli z sobą od lat. Tym razem nie szaleliśmy jak poprzednio. Uprawialiśmy seks

(bo przecież nie miłość) spokojniej, delikatniej, bez takiej gwałtowności, jak za pierwszym razem. W pewnym momencie odzyskałam świadomość. Niemalże widziałam rytmiczne ruchy naszych ciał okiem bezstronnego obserwatora, jakbym patrzyła z daleka na erotyczną scenę z udziałem innych osób. Wkroczyłam na niebezpieczny teren. Zabroniłam sobie myślenia.

Kilka minut później było już po wszystkim. Komendant zasnął. Patrząc na jego zamknięte oczy, słuchając równego oddechu, wspominałam Jakuba. Zwykle po gorących pieścizotach leżeliśmy długo z otwartymi oczami, czule objęci, pograżeni w rozmowie. Błogosławiłam odmienne obyczaje swojego szefa, bo dzięki temu otrzymałam możliwość działania. Uznałam, że najwyższa pora przystąpić do akcji.

Macając w ciemnościach ścianę, dotarłam do drzwi gabinetu i bezszelestnie przekręciłam gałkę w drzwiach. Nic nie widziałam w ciemnym pokoju, a zapalić światła nie miałam odwagi. Cały wysiłek na nic, zrozpaczona pomyślałam w pierwszej chwili, zaraz jednak przyszło mi do głowy, żeby odczekać do świtu i przed przebudzeniem komendanta, przy blasku wschodzącego słońca, przejrzeć zawartość biurka. Jednak to był plan na później, bo teraz musiałam wrócić do domu, zanim Łukasz wstanie, nie chciałam bowiem, by po chorobie denerwował się moją nieobecnością. Przemknęłam po cichu z powrotem do sypialni, ubrałam się i wyszłam na palcach z mieszkania.

Stanisław nadal czekał przed domem. Nie śmiałam spojrzeć mu w oczy. Usiadłam na tylnym siedzeniu, odwracając wzrok, lecz on nie

okazał zdziwienia ani zażenowania. Zamknął za mną drzwi i pojechał do mojego domu.

Począwszy od tego dnia komendant regularnie zapraszał mnie raz lub dwa razy w tygodniu. Odnosiłam wrażenie, że najchętniej widywałby mnie codziennie, gdyby tylko obowiązki pozwoliły. Przyjmowałam większość zaproszeń, najczęściej na kolację, czasami do kina czy teatru. Później zawsze zabierał mnie do mieszkania. Kilka razy zostałam do świtu. Zaglądałam wtedy chyłkiem do gabinetu, lecz nigdy nie ważyłam się wyciągnąć więcej niż kilka dokumentów, z obawy, żeby nie zbudzić komendanta. Przez kilka tygodni nie znalazłam nic znaczącego. Krysia pytała parę razy, czy skontaktować mnie z Alkiem, ale zawsze odmawiałam, uważałam bowiem, że nie powinnam narażać jego ani innych aż do czasu, kiedy wreszcie znajdę coś użytecznego. I bez tego wiele ryzykowali.

Pewnego sobotniego ranka w listopadzie otwierałam w biurze listy. Na dnie sterty znalazłam elegancką kremową kopertę z czerpanego papieru. Nie znałam charakteru pisma, ale bez trudu rozpoznałam, że zaadresowała ją kobieta. Zawierała następującą wiadomość:

Georg!

Czekam z niecierpliwością na niedzielną galę.

Ucałowania.

Agnieszka

Z wrażenia upuściłam kartkę na biurko. Kim ona jest? - myślałam

gorączkowo. I gdzie komendant ją zabiera?

Sprawdziłam w terminarzu, ale nie znalazłam żadnego zapisu. Może to jakaś pomyłka? Jednak mnie nigdzie nie zaprosił, jak zwykle pod koniec tygodnia. Właśnie w tym momencie Małgorzata wpadła do pokoju jak burza ze stertą skoroszytów i położyła je na moim biurku.

- To dla... - Przerwała na widok mojej miny. - Co z tobą, Anno? Pobladaś.

- Nic, wszystko w porządku - wymamrotałam, usiłując wetknąć nieszczęsny liścik pod stos urzędowej korespondencji. Jeszcze tylko tego brakowało, by pomyślała, że obchodzi mnie osobiste życie komendanta. Niestety, nie ubiegłam jej. Dostrzegła kartonik, wyjęła go.

- Ach tak, baronowa Kwiatkowska.

- Agnieszka Kwiatkowska? - spytałam dla pewności. Owa dama należała do znanej krakowskiej rodziny o arystokratycznych korzeniach.

- Tak. Słyszałam, że ma wobec komendanta poważne plany. - Odłożyła kartkę na biurko, machnęła lekceważąco ręką. - Nie przejmuj się. Nic dziwnego, że wysokiej rangi oficera interesuje zaможna kobieta o doskonałych manierach i świetnych koneksjach. Nie sądziłaś chyba, że zwróci uwagę na osobę z niższego personelu, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziałam do jej pleców, ponieważ Małgorzata już ruszyła ku wyjściu.

Zanim wróciła do siebie, roześmiała się jeszcze szyderczo przez

ramię.

Siedziałam kilka minut bez ruchu, wpatrzona w kartonik, w końcu zapakowałam go z powrotem do koperty i dołączyłam do pozostałej korespondencji. Mimo wszystko posepny nastrój nie opuszczał mnie przez cały ranek. Myśl o randce komendanta z inną kobietą prześladowała mnie jeszcze po południu przy porządkowaniu akt. Właściwie czemu nie? - tłumaczyłam sobie. To naturalne, że atrakcyjny mężczyzna na stanowisku szuka odpowiedniejszej partnerki niż skromna asystentka. Byłam nieskończenie naiwna, sądząc, że przywiązuje jakąkolwiek wagę do biurowego romansu. Jednym słowem, wyszłam na idiotkę.

Jadąc autobusem, powtarzałam sobie w kółko, że nic mnie nie obchodzi jego flirty, że nie zależy mi na nim, tylko na wypełnieniu swojej misji. Przecież to nie mąż mnie zdradził, tylko ja jego, a kochanek mnie. Żałosna farsa! Gdy wysiadłam, zaczęło padać. Grube, lodowate krople przemoczyły mi płaszcz i pończochy. Paskudna aura w pełni oddawała mój posepny nastrój.

Nagle przystanąłam przed furką z ręką na klamce. Coś się nie zgadzało. We wszystkich oknach willi płonęły światła, za to na piętrze zaciągnięto zasłony, inaczej niż zwykle. Niepokojna o zdrowie Łukasza, wbiegłam pędem do domu i pognałam na piętro.

- Jest tam kto? - zawołałam raz i drugi.

- Niespodzianka! -powitał mnie chóralny okrzyk. Z kuchni wychynęli Kryśka, Łukasz i komendant. Za nimi Elżbieta niosła tort z zapalonymi świecami. - Dużo szczęścia z okazji urodzin! - zawołali.

Aż zamrugałam z zaskoczenia. Dopiero oni przypomnieli mi, że następnego dnia przypadają moje urodziny. Anny również, bo w fałszywe dokumenty wpisano mi prawdziwą datę urodzenia, żeby zminimalizować ryzyko pomyłki. Zupełnie zapomniałam o tej dacie, ale Krysia nie, tylko dobór gości zakrawał na ironię: żydowskie dziecko udające Polaka, ciocia mojego męża, która chroniła nas przed hitlerowcami, i nazista, mój kochanek. Doprawdy, zbyt wiele szczęścia naraz! Z trudem wykrztusiłam podziękowanie. Nagle uprzytomniłam sobie, że jak na jubilatkę nie wyglądam najlepiej w ubłoconych pończochach i z rozczochranymi włosami. Elżbieta wyszła na środek z tortem.

- Zaskoczyliśmy cię? - spytała.

- I to bardzo - przyznałam szczerze i zdmuchnęłam świece.

Komendant zrobił pół kroku w moją stronę.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Anno.

Odwróciłam wzrok bez słowa. W pierwszej chwili na jego widok poczułam mile ciepło w okolicy serca, dopiero później przypomniałam sobie o planowanej randce z baronową. Komendant przyszedł złożyć mi życzenia wcześniej, żeby spędzić dzień moich urodzin z inną kobietą. Mierziła mnie jego hipokryzja. Zapadło kłopotliwe milczenie. Przerwał je dopiero Łukaszek. Wyciągnął ręce w kierunku tortu.

- Cia! - zawołał.

- Nie, kochanie, najpierw kolacja, potem ciasto

- pouczyła go łagodnie Krysia, ujmując małe rączki.

- Już wszystko gotowe, można zasiadać do stołu
- obwieściła Elżbieta.
- Chodź, Łukasz. - Komendant szeroko otworzył ramiona.

Chłopczyk popatrzył niepewnie na potężnego mężczyznę w mundurze, jednak po chwili wahania podał mu rękę. Dreszcz przeszedł mi po plecach. Powinnam być zadowolona, że komendant go polubił, że niczego nie podejrzewa, a jednak widok synka rabina u boku hitlerowca napawał mnie zgrozą.

- Przepraszam - szepnęła Krysia w drodze do jadalni. - Odszukał twoją datę urodzenia w dokumentach pracowniczych. Spytał, czy może ci złożyć życzenia. Nie miałam wyboru, musiałam go do nas zaprosić.

Skinęłam głową. Nie zdradziłam, co mnie naprawdę trapi. Po co stwarzał pozory, skoro następnego dnia planował spotkanie z baronową?

- Wszystkiego najlepszego, Anno - powtórzył, gdy usiedliśmy przy stole.

Nie podziękowałam. Odwróciłam twarz. Kątem oka dostrzegłam jego zdziwioną minę. Nie wiedział, że przeczytałam liścik od Agnieszki Kwiatkowskiej. Milczałam podczas całego posiłku, jedynie Krysia podtrzymywała rozmowę. Po kolacji Elżbieta podała kawę i złocisty tort z kremem cytrynowym. W pełni doceniałam starania Krysi. Musiała bardzo się natrudzić, by na czarnym rynku znaleźć te wszystkie delikatesy.

- Rarytas! - pochwaliłam.

Kryśia odeszła od stołu i wkrótce powróciła z dwiema paczuszkami.

- Dziękuję - wyszeptałam poruszona, bo nie oczekiwałam prezentów. Rozwinęłam papier. Jedna z paczek zawierała jasny szalik, który Kryśia wydziergała dla mnie po kryjomu. W drugiej znalazłam bliżej nieokreśloną budowlę, skonstruowaną przez Łukasza z patyczków.

- Jakie to śliczne! - Okrążyłam stół, żeby go uściskać i ucałować.

Łukasz z chichotem usiłował uniknąć mojego wybuchu czułości.

- Już późno. Pora, żeby najmłodszy poszli spać

- zauważyła Kryśia i wzięła malca na ręce. - Powiedz wszystkim dobranoc, kochanie.

Łukasz pokiwał rączką

- Salom!

- Co to znaczy? - spytał komendant.

- Sabat salom! - powtórzył mały.

Zamarłam z przerażenia. Usiłował wypowiedzieć po hebrajsku tradycyjne szabasowe pozdrowienie: *Szabbat szalom*.

- Co on chce powiedzieć? - zwrócił się do mnie komendant.

- Nic. - Posłałam Kryśi znaczące spojrzenie. - Jeszcze niezbyt wyraźnie mówi. Zwłaszcza gdy jest śpiący, trudno go zrozumieć.

Pospiesznie wyniosła dziecko z pokoju i zostałam sama z komendantem. Usiłowałam wyczytać z jego twarzy, czy nabrał jakichś podejrzeń. Nigdy nie używałam przy Łukaszu hebrajskich słów, jednak zapamiętał je z rodzinnego domu. Wyglądało na to, że komendant przyjął moje wyjaśnienia. Wstałam.

- Potrzebuję świeżego powietrza. - Wysłałam na balkon.

Podążył za mną. Deszcz ustał, na jesiennym niebie błyszczały tysiące gwiazd. Komendant stanął obok mnie i wyjął z kieszeni małeńkie pudełeczko, podobne do tego, które podarował mi po koncercie.

- To dla ciebie, Anno.

- Nie mogę przyjąć - odrzekłam chłodno. - Nie powinien pan dawać prezentów nic nieznaczącej podwładnej.

- Dlaczego? Gniewasz się za niezapowiedzianą wizytę? - stwierdził ze zbolalym wyrazem twarzy.

- Osoba o wyższej pozycji społecznej stanowiłaby dla pana odpowiedniejsze towarzystwo - odburknęłam.

- O co ci chodzi? - spytał, całkowicie zbity z tropu.

- Proszę to dać baronowej Kwiatkowskiej.

- Wskazałam paczuszkę. - Z pewnością upominek bardzo ją ucieszy. - Gdy patrzył na mnie rozszerzonymi ze zdumienia oczami, dodałam: - Przecież jutro spędzi pan z nią wieczór.

- Ach, to cię trapi! - wykrzyknął. - Posłuchaj, Anno. Baronowa jest kuzynką żony gubernatora Franka. Osobiście mnie prosił, żebym wyświadczył jej tę przysługę i dotrzymał towarzystwa podczas niedzielnej gali. Gdybym wiedział, że przywiązujesz do tego wagę, sam bym cię o tym poinformował. Przyszedłem przecież dzisiaj, a ty nigdy nie wyrażałaś zgody na więcej niż jedno spotkanie w końcu tygodnia.

Nie uspokoił mnie. Chociaż nie mogłam mu odmówić racji, nadal było mi przykro. Wyraźnie niepokieszony z ociąganiem wetknął pu-

dełeczko z powrotem do kieszeni.

- Dobranoc, Anno. Wszystkiego najlepszego.

Nawet nie odprowadziłam go wzrokiem, gdy wychodził, słuchałam tylko ciężkich kroków na schodach, trzaśnięcia zamykanych drzwi, wreszcie warkotu silnika. Gdy zostałam całkiem sama, zadrżałam z przerażenia. Najpewniej właśnie zaprzepąciłam szansę na doprowadzenie swej misji do końca.

TLR

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kilka minut po wyjściu komendanta dołączyła do mnie Krysia.

- Słyszałam, jak Richwalder wychodził. Co się stało? - spytała z niepokojem.

Wzięłam głęboki oddech.

- Odprawiłam go.

- Dlaczego?

- Nie przyjął prezentu. - Opowiedziałam jej całą historię, począwszy od listu baronowej, a na jego wyjaśnieniach kończąc. - Właściwie nie powinny mnie interesować jego znajomości, przecież tylko odgrywam przedstawienie - dodałam na koniec przyciszonym głosem.

- A jednak cię obchodzą - raczej stwierdziła, niż spytała.

- Tak...

- Zranił twoją dumę, poczułaś się zlekceważona - podsunęła.

- Właśnie! - wykrzyknęłam z ulgą. Łatwiej mi było przyznać się nawet przed sobą do urażonej dumy niż do prawdziwych uczuć. - Najgorsze, że go rozgniewałam. Już nigdy nigdzie mnie nie zaprosi, więc nie zdobędę informacji dla Alka.

Krysia pokręciła głową, podeszła o krok bliżej, owinęła ciasniej szal wokół ramion.

- Nie sędzę. Mogę przysiąc, że zapadłaś mu w serce. Widzę, jak na

ciebie patrzy. Nie da tak łatwo za wygraną.

- Jeżeli rzeczywiście czuje do mnie sympatię, łatwiej mi będzie wykonać zadanie - mruknęłam niepewnie.

- Sądzę, że tak - odparła z obojętną miną. - A teraz pójde już spać. Mam nadzieję, że mimo wszystko miło wspominasz dzisiejszy wieczór.

Zawstydziła mnie. Dołożyła wielu starań, żeby sprawić mi przyjemność, a ja odpłacałam jej narzekaniem. Uścisnęłam ją z całego serca.

- Sprawiałaś mi wspaniałą niespodziankę - zapewniłam. - Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Krysia wyszła, zostałam sama na balkonie. Popatrzyłam w rozgwieżdżone niebo. Podczas podróży poślubnej Jakub nauczył mnie rozpoznawać najważniejsze konstelacje. Spróbowałam odnaleźć Oriona. Jakub mówił, że gdy coś go trapi, widok trzech gwiazd w jednym szeregu podtrzymuje go na duchu. Ale ja ich nie odnalazłam. Być może o tej porze roku nie było ich widać. Zrezygnowałam z dalszych poszukiwań. Przypomniałam sobie, że jako dziecko wypowiadałam swoje życzenia, patrząc w gwiazdy. Pomodliłam się za zdrowie Jakuba i żeby on także omnie myślał.

Tej nocy spałam twardo, bez marzeń. Rano wstałam wcześnie. Odtworzyłam w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru. Gorzko żałowałam, że zraziłam do siebie komendanta. Naciągnęłam koc po uszy. Na szczęście była niedziela, nie musiałam go oglądać w pracy.

Postanowiłam jeszcze trochę pospać, ledwie jednak zamknęłam oczy, usłyszałam skrzypienie otwieranych drzwi, a potem szept Krysi:

- Powiedz: „Wszystkiego najlepszego”.

- Lepszego! - Łukasz podbiegł do mojego łóżka, spróbował się na nie wspiąć, ale nie dał rady.

Usiadłam i posadziłam go sobie na kolanach.

- Dziękuję, kochanie. - Ucałowałam go w policzek, później zerknęłam na Krysię.

- Przepraszam za to nagłe wtargnięcie, ale czekał od godziny, by złożyć ci życzenia.

- I tak pora wstawać. Czeka nas przecież pranie. Poza tym...

Krysię powstrzymała mnie ruchem ręki.

- Dzisiaj są twoje urodziny, żadnej pracy - zarządziła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Znając jej upór, nawet nie próbowałam oponować. Gdy już się ubraliśmy i umyliśmy, zapakowaliśmy prowiant i poszliśmy do parku. Ziemię pokrywała gruba warstwa opadłych liści. Ułożyłam z nich stos i nauczyłam Łukasza po nim skakać. Wróciliśmy późnym popołudniem, o zmroku. Kiedy wykapałam Łukasza, ponownie posmutniałam. O siódmej zaczynała się gala i komendant pewnie właśnie jechał po baronową. To mnie powinien prowadzić pod ramię do sali koncertowej. Byłam zazdrosna i nic nie mogłam na to poradzić.

- Zagrałabyś w karty? - zaproponowała Krysię, gdy położyłam Łukasza spać. Postawiła na stole dwa talerze odgrzewanego jedzenia z mojego urodzinowego przyjęcia.

- Wybacz, ale nie mam ochoty. Głodna też nie jestem. Poczytam trochę w swoim pokoju.

Krysia popatrzyła na mnie z troską.

- Wiem, że ci smutno, kochanie. Żyjemy w trudnych czasach, niekiedy niełatwo się odnaleźć.

- Przepraszam, ale nie chcę o tym rozmawiać.

- W takim razie śpij dobrze. Dobranoc. - Pożegnała mnie ciepłym uśmiechem.

Wróciłam do siebie. Ponieważ było jeszcze za wcześnie na spanie, umyłam głowę, później położyłam się z książką do łóżka. Wybrałam „Dumę i uprzedzenie”, jedną z pierwszych powieści, którą dostałam od Jakuba. Egzemplarz, który mi podarował, został w mieszkaniu państwa Bau. Powąchałam pożółkłe kartki. Zapach zwietrzałego papieru przypomniał mi okres pracy w bibliotece i pierwsze spotkania z Jakubem. To za nim tęsknię, wyłącznie za nim, powiedziałam sobie. Zbyt długa rozłąka wywołała cały ten uczuciowy zamęt. Zaczęłam czytać. Po kilku minutach opadły mi powieki. Zasnęłam.

Obudził mnie jakiś hałas za oknem. Usiadłam na łóżku, odłożyłam książkę na nocny stolik. Nie potrafiłam określić, jak długo spałam. Ponownie coś załomotało w szklane drzwi na dole.

- Co się dzieje?! - Wypelzłam z łóżka, wyszłam na balkon i popatrzyłam w dół. Nic nie zobaczyłam, w ogrodzie panowały egipskie ciemności.

- Anno! - dobiegł moich uszu donośny szept komendanta. - To ja, Georg. Zejdź do mnie.

Zaparło mi dech z wrażenia.

- Za chwilę - odrzekłam, gdy nieco ochłonęłam. Wróciłam do pokoju, pospiesznie włożyłam ubranie, po czym zeszałam po nieoświetlonych schodach.

- Co pan tu robi?

- Odwiozłem baronową do domu. Skłamałem, że źle się czuję. I nie mów do mnie tak oficjalnie, proszę.

Kompletnie zbił mnie z tropu. Nie wiedziałam, jak powinnam zareagować.

- Która godzina? - zapytałam w końcu.

- Wpół do jedenastej.

- Myślałam, że znacznie później. Zasnęłam nad książką. - Przetarłam oczy.

- Wybacz, że cię zraniłem. Nie pragnę żadnej innej, prócz ciebie. - Ujął moją rękę. - Chodź do mnie, spędź ze mną noc. Bardzo cię proszę.

Nie cofnęłam ręki. Zaskoczył mnie. Przez głowę mknęły mi całe tabuny sprzecznych myśli. Chociaż wzdragałam się przed tą propozycją, kusilo mnie, żeby ją przyjąć, zwłaszcza że stwarzała szansę na znalezienie dokumentów.

- Dobrze, tylko włożę płaszcz - zgodziłam się w końcu.

Wróciłam na górę, zostawiłam Krysi wiadomość, ubrałam się i wyszałam na dwór. Podczas wsiadania do auta dostrzegłam na kamiennej zwykle twarzy Stanisława cień rozbawienia.

Ledwie przekroczyliśmy próg, komendant wziął mnie w ramiona.

Zdzieraliśmy z siebie ubranie z jeszcze większą namiętnością niż pierwszego wieczoru. Tym razem nie starczyło nam nawet cierpliwości, by dotrzeć do sypialni. Położyliśmy się na sofie w salonie. Dopiero później, gdy wyrównaliśmy oddech, komendant zaniósł mnie do łóżka. Za drugim razem ułożył mnie na sobie. Nigdy wcześniej nie próbowałam takiej pozycji. Z początku odczuwałam skrepowanie, lecz gdy złapałam rytm, doznałam ukojenia, jakbym znowu objęła przywództwo w tym związku, wraz z częścią utraconej godności.

- Zostaniesz do rana? - spytał później zaspanym głosem.

Spróbował objąć mnie od tyłu, ale przewróciłam się na plecy. Nie chciałam zasypiać z nim tak samo jak z Jakubem. Tę czułą pozycję zarezerwowałam wyłącznie dla męża.

- Bardzo bym chciał, żebyś została do rana - powtórzył.

Po krótkim namyśle skinęłam głową. Do tej pory zawsze wychodziłam nocą albo nad ranem, zanim się zbudził, lecz uznałam, że lepiej zostawić sobie więcej czasu na poszukiwania. Komendant wydał pomruk zadowolenia i zaraz potem zapadł w sen, ja natomiast walczyłam z sennością, żeby nie zaprzepaścić okazji. Musiałam szybko rozszyfrować zamiary hitlerowców wobec Żydów. Od dawna bezskutecznie próbowałam czegoś się dowiedzieć i w tym czasie faszyci z całą pewnością zdążyli opracować konkretny plan, a ja niczego nie wykryłam. Leżąc obok komendanta, starałam się wykryć miejsce przechowywania dokumentów drogą dedukcji. Odtworzyłam w pamięci wystrój gabinetu. Musiałam coś przeoczyć. Nigdy nie znalazłam żadnych papierów na wierzchu, sejfu też nie widziałam. Do-

szłam do wniosku, że gdzieś w biurku niewątpliwie istnieje skrytka. W tym momencie dopadło mnie zmęczenie, opuściłam powieki.

W marzeniach sennych bawiłam się w parku z Łukaszem w chowanego. Gdy mały zniknął za krzakiem, niewysoki mężczyzna w czarnym płaszczu przystanął obok mnie. Rozpoznałam rabina.

- Gdzie mój syn?

- Uciekł - skłamałam.

- Uciekł, uciekł, uciekł - powtarzało moje słowa echo wśród drzew.

Otworzyłam oczy. Obok mnie chrapał odwrócony na drugi bok komendant. Mimo ciemności dostrzegłam, że zegar na drugim stoliku wskazuje piętnaście po piątej, nie zostało mi zbyt wiele czasu. Mój szef wcześniej wstawał. Podeszłam na palcach pod drzwi gabinetu. Podczas otwierania głośno zaskrzypiały. Zastygłam w bezruchu, lecz z sypialni nie dochodził żaden dźwięk, a więc nie obudziłam komendanta. Wśliznęłam się do pokoju, zamknęłam za sobą drzwi i nieco odsunęłam zasłony, żeby wpuścić trochę światła. Obejrzałam biurko z zewnątrz, ale nie znalazłam żadnego nietypowego elementu. Ostrożnie otworzyłam górną szufladę i wsunęłam rękę pod stertę papierów, lecz nie wymacałam niczego prócz gładkiej deski. Później opadłam na kolana i zbadałam następną. Szczelina na końcu wskazywała na istnienie podwójnego dna. Wsunęłam tam palce, próbując je unieść.

- Anno! - usłyszałam wołanie.

Odkoczyłam w tył. Usiłowałam zasunąć szufladę.

Ani drgnęła. W popłochu pchnęłam nieco mocniej. Tym razem za-

skoczyła, niestety z łoskotem. Chyłkiem przemknęłam ku drzwiom, pólżywa ze strachu. Po drodze próbowałam ustalić, skąd dobiegał głos komendanta. Uchyliłam drzwi, ale nic nie widziałam w ciemnościach. Zebrałam całą odwagę, żeby wrócić do sypialni. Nagle usłyszałam kroki w salonie. Wpadłam w pułapkę. Stał tuż za drzwiami. Z duszą na ramieniu rozejrzałam się po gabinecie w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Na przeciwległej ścianie dostrzegłam drugie drzwi. Podeszłam do nich na palcach. Tak jak przypuszczałam, prowadziły do kuchni. Gdy tylko tam dotarłam, wyjęłam szklanę z szafki nad zlewem.

- Anno! - zawołał komendant jeszcze raz, tym razem z bliższej odległości.

Z drżeniem serca wkroczyłam do salonu ze szklanką w rękę. Było jeszcze ciemno, jedynie pierwsze promienie brzasku wpadały przez okno po drugiej stronie.

- Słucham? - odpowiedziałam, z trudem opanowując drżenie głosu.

- Ach, tutaj jesteś. Myślałem, że już poszłaś

- powiedział schrypniętym, zaspanym głosem.

Pojęłam, że mnie nie śledził, tylko sprawdzał, czy nie uciekłam. Niemalże wzruszyła mnie jego troska.

- Oczywiście, że nie. Przecież obiecałam, że zostanę do rana. Wzięłam sobie tylko wody. Wróć do łóżka. Jeśli chcesz, tobie też przyniosę.

Pokiwał głową jak dziecko wyrwane nagle ze snu.

Gdy poszedł do sypialni, jeszcze raz zerknęłam w kierunku gabi-

netu. Dalsze poszukiwania nie wchodziły w grę, byłyby zbyt ryzykowne. Musiałam poczekać do następnej wizyty. Nie mogłam wykluczyć, że skrytka jest pusta lub też zawiera dokumenty, które nie dotyczą Żydów, jednak coś mi mówiło, że znajdę to, czego potrzebował Alek. Gdy napełniałam wodą dwie szklanki, serce biło mi mocno. Nadal czułam pod palcami szczelinę pomiędzy fałszywym a prawdziwym dnem szuflady. Nakazałam sobie zachować spokój. Dopiero gdy wyrównałam oddech, wróciłam do salonu.

Komendant leżał bez ruchu z ręką w poprzek mojej poduszki. Gdy położyłam się obok niego, wydał pomruk zadowolenia, obejmując mnie przez sen. Jego spokojna, odprężona twarz w niczym nie przypominała kamiennej maski, jaką przybierał za dnia, a pod którą wyczuwałam bolesne napięcie.

Gdy ponownie zapadłam w sen, powróciła wizja spotkania w parku z rabinem. Tym razem trzymał na rękach niemowlę. Z początku przypuszczałam, że to Łukasz sprzed paru lat, ale gdy spytał, gdzie jego syn, zrozumiałam, że to inne dziecko, to, które zmarło w łonie zastrzelonej matki.

- Gdzie on jest? - naciskał rabin.

W tym momencie zaszeleściły liście. Łukasz z chichotem wybiegł zza krzaka w kierunku ojca.

- Tata! - wykrzyknął na jego widok.

Rabin wziął go na ręce. Tuląc do piersi dzieci, spojrzał na mnie z wyrzutem, następnie odszedł bez słowa pożegnania z dwojgiem maluchów na rękach.

- Nie, nie! - krzyczałam w rozpaczy, lecz oni już znikli we mgle. -
Nie, nie! - Otworzyłam oczy. Komendant patrzył na mnie z troską.

- Co ci jest?

- Nic, to tylko nocne koszmary. - Miałam nadzieję, że nie powie-
działam przez sen nic, co mogłoby mnie zgubić.

- Co ci się śniło? - Odgarnął lok, który opadł mi na czoło.

- Łukasz - odrzekłam, poniekąd zgodnie z prawdą. - Martwię się o
niego. Przeżył wiele złego, stracił rodziców, przeniósł się do innego
miasta.

- Jesteś do niego bardzo przywiązana.

- To prawda. Traktuję go bardziej jak synka niż brata, pewnie z
powodu różnicy wieku.

Odwrócił się na plecy, założył ręce za głowę. Bezwiednie skiero-
wałam wzrok na jego wspaniale umięśniony tors. Komendant musiał
dobiegać pięćdziesiątki, ale zachował figurę młodzieńca: doskonałą
muskulaturę, ani śladu tłuszczu na brzuchu.

- Zawsze żałowałam, że nie mam dzieci - wyznał cicho.

- Jeszcze wszystko przed tobą.

- Być może. A ty, Anno? Czy marzysz o własnych dzieciach?

- Oczywiście - przytaknęłam skwapliwie. Ale nie z tobą, tylko z
mężem, dodałam w myślach.

Objął mnie ponownie. Ułożyłam głowę na jego piersi.

- Dziękuję, że zostałam na całą noc. Tak dobrze się budzić przy to-
bie.

- Jasne. Muszę trochę o ciebie zadbać, tym bardziej że wyrosła mi

konkurencja. Baronowa na pewno by została. - Chociaż zamierzałam wypowiedzieć te słowa w formie żartu, zabrzmiały cierpko, prawie gorzko. Przebijała z nich autentyczna zazdrość.

- Bardzo cię przepraszam, nie chciałem cię zranić. - Odwrócił ku mnie twarz, zajrzał głęboko w oczy. - Nikt prócz ciebie mnie nie interesuje - zapewnił uroczystym tonem. - Po śmierci Margot nie sądziłem, że jeszcze kogokolwiek obdarzę uczuciem. I rzeczywiście żadna kobieta nie poruszyła mego serca, póki nie spotkałem ciebie. Dzięki tobie po raz pierwszy od dwóch lat z radością witam kolejny dzień. Tobie jednej mogę zaufać. Kocham cię, Anno.

Zaskoczył mnie tym wyznaniem. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Z wzajemnością - szepnęłam w końcu.

- Och, Anno... - Przytulił mnie mocniej i pocałował. Kilka minut później wstał z łóżka. - Zrobię kawę. Zostało mi trochę sera i chleba na śniadanie, ale jeśli chcesz, każę przywieźć coś lepszego.

- Wybacz, ale muszę wracać. Obiecałam pomóc Krysi. Łukasz pewnie już wstał i marudzi, że mnie nie ma. Poza tym muszę się przebrać i jechać do pracy.

- Rozumiem. - Posłał mi ciepłe spojrzenie. - Stanisław cię odwiezie. A dzisiaj daję ci wolny dzień.

Ubrałam się szybko i pocałowałam go na pożegnanie.

Z ulgą zajęłam miejsce na tylnym siedzeniu samochodu.

Autobusy wprawdzie już kursowały, ale wstydziłabym się pokazać między ludźmi we wczorajszym ubraniu, ze zmierzwionymi włosami. Kilka minut później weszłam do domu Krysi. Zastałam ją w kuchni.

Usadziła Łukasza na wysokim stołku i zabawiała, karmiąc owsianką. Przywitała mnie pogodnie, bez żadnych wyrzutów.

- Przepraszam, że cię wczoraj nie uprzedziłam. To było... niezaplanowane wyjście - tłumaczyłam niezręcznie.

- Nic nie szkodzi. Przeczytałam kartkę. Domyśliłam się, że doszłaś do porozumienia z komendantem.

- Tak. - Niemalże słyszałam, jak dodaje w myślach: „A nie mówiłam?”.

- To dobrze. Zjesz śniadanie?

- Nie, dziękuję. Powinnam się przebrać.

Kryśka zmierzyła mnie badawczym spojrzeniem.

- Jak poszło?

- Całkiem nieźle - odrzekłam wymijająco, żeby zyskać na czasie. Rozważałam, ile mogę jej zdradzić.

- Kiedy zasnął, znalazłam szufladę z podwójnym dnem. Niestety, obudził się, zanim zdążyłam sprawdzić, co zawiera. Niewykluczone, że nic - dodałam pospiesznie, żeby nie robić jej fałszywych nadziei.

- Całe szczęście, że cię nie przyłapał. Tak się boję o ciebie... Ale spróbujesz jeszcze raz?

- Tak.-Opadłam obok niej na krzesło.-Najszybciej, jak to możliwe.

- Świetnie. - Przerwała karmienie Łukasza, żeby nalać mi soku do szklanki. - Alek będzie zadowolony, cokolwiek wykryjesz.

- Rozmawiałaś z nim?

- Nie bezpośrednio. - Popatrzyła mi w oczy. - Nie chcę cię martwić, ale musisz teraz sama dbać o swoje bezpieczeństwo. Organizacja ma

poważne kłopoty.

Zamarłam w bezruchu. Ręka ze szklanką zastygła w powietrzu.

- Jakiego rodzaju? Co z Jakubem? - zapytałam jednym tchem.

- Jest cały i zdrowy, podobnie jak Alek i inni znajomi.

- Och... - Kamień spadł mi z serca. Dopiero teraz przełknęłam łyk napoju.

- Ale hitlerowcy złapali kilka dni temu nocą inną grupę na stacji niedaleko Krakowa. Alek podejrzewa, że ktoś sypie.

- Zdrada?

- Tak. Tylko ktoś wtajemniczony mógł podać dokładne miejsce i czas spotkania. Prawdopodobnie zdrajca posiada i inne tajne informacje.

- Wszystkie?! - A jeśli zna także prawdziwą tożsamość moją i Łukasza, a nawet moje konspiracyjne zadania? Wszystkim nam, łącznie z Jakubem, Krysią i moimi rodzicami, zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Musisz zachować jeszcze większą ostrożność niż do tej pory. Miej oczy szeroko otwarte.

Zdjęła Łukasza z wysokiego krzeselka. Ledwie postawiła go na podłodze, natychmiast do mnie podbiegł. Posadziłam go sobie na kolanach, pogładziłam złote loczki, przetrawiając informacje. Przywołałam w pamięci wszystkie znajome twarze i usiłowałam wytypować niemiecką wtykę, ale bez skutku. Nikogo konkretnego nie podejrzewałam o zdradę. Krysia zaczęła sprzątać naczynia.

- Może powinnaś odłożyć dalsze poszukiwania na bardziej sto-

sowny moment? - zasugerowała.

- Może - mruknęłam, żeby nie przysparzać jej dodatkowych zmartwień, podjęłam bowiem odmienną decyzję. Uznałam, że najwyższa pora dokończyć misję, zanim komendant odkryje moją prawdziwą tożsamość oraz rzeczywisty powód, dla którego nawiązałam z nim romans. Później zaś ucieknę tak prędko i tak daleko, jak to tylko będzie możliwe. Jeśli będzie możliwe.

TLR

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gdy następnego ranka szłam do biura, ostrzeżenia Krysi wciąż brzmiały mi w uszach, co w niczym nie zmieniło moich postanowień. Czas naglił, ruch oporu pilnie potrzebował informacji, dlatego niecierpliwie czekałam na ponowne zaproszenie do mieszkania komendanta. Poprzedniej nocy nie zaproponował następnego spotkania. Podczas pracy gorączkowo szukałam pretekstu, żeby jak najszybciej odwiedzić mojego szefa.

Nie widziałam go przez cały dzień, dopiero tuż przed piątą zostałam do niego wezwana. Nie patrząc na mnie, wręczył mi z urzędową powagą wielki stos teczek, jak pierwszej lepszej podwładnej. Przemknęło mi przez głowę, że coś podejrzewa albo nawet wie, jednak po namyśle doszłam do wniosku, że to niemożliwe. Raczej zaabsorbowała go praca. Nie zubożętniałby tak nagle kilkanaście godzin po miłosnych wyznaniach. Postąpiłam jeszcze trochę przy biurku w nadziei, że wspomni moją ostatnią wizytę albo zaproponuje następną. Spotkał mnie zawód.

- To wszystko - mruknął raczej do siebie niż do mnie, jakby całkiem zapomniał o moim istnieniu.

Załamalam się do reszty. Nie zamierzał mnie zaprosić. Ruszyłam z ociąganiem ku drzwiom, lecz zaraz przystanęłam. Musiałam działać natychmiast. Zawróciłam. Wzięłam głęboki oddech.

- Panie komendancie? - zagadnęłam miękko.

- Słucham, Anno?

Mimo że odpowiedział równie łagodnie, wychwyciłam w jego głosie nutę zniecierpliwienia. Podeszłam bliżej.

- Ta ostatnia noc... - zaczęłam.

- Tak?

Jego twarz zdradzała zaskoczenie. Rzadko poruszaliśmy w biurze osobiste tematy, a jeśli już, to nie z mojej inicjatywy. Gorączkowo szukałam sposobu, żeby rozpalić na nowo jego wyobraźnię, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. Mimo że paraliżował mnie lęk, nie dałam za wygraną.

- Bardzo miło ją wspominam - dokończyłam.

- Ja też. Cieszę się, że zostałeś do rana. - Dotknął mojej ręki.

Przez całe moje ciało przebiegł cudowny dreszcz.

- Może to nadmiar śmiałości z mojej strony, ale dziś grają koncert Bacha. Czy nie moglibyśmy posłuchać? - dokończyłam prawie szeptem.

- Pochlebiłaś mi tą propozycją, Anno. Chętnie bym cię zaprosił, ale niestety muszę wziąć udział w oficjalnej kolacji, a jutro wczesnym rano wyjeżdżam na naradę do Warszawy. Może pójdziemy gdzieś razem pod koniec tygodnia.

- Z przyjemnością - odrzekłam tak spokojnie, jak potrafiłam. Nie wątpiłam w jego szczerść. Żałowałam tylko, że wcześniej nie przejrzałam terminarza. Przeklinałam w duchu własną głupotę.

- Będę o tobie myślał przez cały czas - przyrzekł, unosząc moją rękę do ust.

Skinęłam głowę, zabrałam powierzone dokumenty i wróciłam do siebie.

W drodze powrotnej do domu usiłowałam zrozumieć, czemu moje wysiłki nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Czy dlatego odrzucił moją propozycję, że zbyt śmiało sobie poczynałam? Czy zaczął mnie podejrzewać? Zdecydowanie nie. Wyglądał na zadowolonego, że przejęłam inicjatywę. Najbardziej martwiło mnie, że jego odmowa, choć w pełni uzasadniona, sprawiła mi przykrość, nie tylko z powodu braku możliwości dokończenia misji. Chociaż przez cały czas wma- wiałam sobie, że uwodziłam go na zimno, z premedytacją, uczucie zawodu nie mijało. Widmo baronowej wciąż krążyło nad moją głową. Jednym słowem, zżerała mnie zazdrość. Przeklinając własną słabość, po raz setny nakazałam sobie zachowanie dystansu.

Nagle doznałam olśnienia. Komendant wyjeżdżał, więc należało poszukać sposobu, żeby dostać się do jego mieszkania w ciągu dnia. Potrzebowałam tylko mocnego pretekstu, tak jak za pierwszym razem. Lecz teraz, przeciwnie niż wtedy, podczas jego całodniowej nieobecności nie istniała potrzeba dostarczenia poczty do domu. Musiałam wejść tam niepostrzeżenie. Przypomniałam sobie, że pewnego dnia Diedrichson wydawał zapasowy klucz posłańcowi, żeby mu coś zawiózł. Z tego wniosek, że ten klucz powinien być gdzieś w biurze. Pozostało jeszcze go odnaleźć.

Idąc z przystanku do domu Krysi, dopracowywałam szczegóły swojego planu. Należało przyjść do biura przed Małgorzatą, wykraść klucz, następnie przeszukać mieszkanie podczas przerwy obiadowej.

Ponieważ Diedrichson wyjeżdżał wraz z komendantem do Warszawy, nie istniało niebezpieczeństwo, że wykryje kradzież. Gdy doszłam do furtki, nogi odmówiły mi posłuszeństwa, bo uświadomiłam sobie, jak wiele ryzykuję. Włamanie do mieszkania to jednak nie to samo, co szperanie w rzeczach kochanka po miłosnej gorączce. Gdyby mnie przyłapano, lub choćby dostrzeżono w pobliżu, nie znajdę żadnego usprawiedliwienia. Nie miałam jednak wyboru. Wyliczyłam sobie, że jeśli przybędę do biura piętnaście minut przed czasem, nie zastanę jeszcze Małgorzaty, ale też nie wzbudzę podejrzeń wartowników przy bramie.

Następnego dnia dotarłam do pracy zgodnie z planem. W prawie pustych jeszcze korytarzach minęłam zaledwie kilku urzędników, lecz nie zwrócili na mnie uwagi. Po otwarciu swojego pokoju zabrałam dla pozorów kilka pism z biurka, na wypadek gdyby Małgorzata zastała mnie w gabinecie szefa podczas jego nieobecności. Kiedy tylko tam weszłam, natychmiast rozpoczęłam poszukiwania od górnej szuflady, nie znalazłam jednak klucza w przegródce z przyborami do pisania. Gdy sięgnęłam głębiej, poczułam pod palcami chłodny metal. W tym momencie usłyszałam odgłos otwieranych drzwi, a potem ciężkie kroki Małgorzaty, już z mojego pokoju. W mgnieniu oka zasunęłam szufladę. Ledwie zdążyłam wepchnąć klucz pomiędzy dokumenty, Małgorzata otworzyła drzwi gabinetu.

- Ach, to ty - stwierdziła, nie próbując nawet ukryć rozczarowania.

- A kogo się spodziewałaś? - odpowiedziałam pytaniem, a następnie obojętnym tonem wyrecytowałam przygotowane wcześniej alibi: -

Przyszedłam kilka minut wcześniej, żeby przejrzeć korespondencję, bo chciałam w czasie przerwy obiadowej wyjść na troszkę dłużej na zakupy.

- Chętnie ci pomogę - zaproponowała sekretarka. Zrobiła krok w moim kierunku, wyciągnęła ręce po papiery.

- Nie, dziękuję - wykrztusiłam, przyciskając dokumenty do piersi. Już sobie wyobraziłam, jak wyjmuję mi je z ręki, a klucz upada z brzękiem na podłogę, oraz wszystkie dalsze następstwa. - Komendant prosił, żebym sama to wszystko przeczytała.

Małgorzata posmutniała. Nagle ogarnęło mnie poczucie winy, bo i bez tej ostatniej uwagi cierpiała z powodu niższej pozycji w biurowej hierarchii. Komendant nie jej, lecz mnie powierzał wszystkie ważniejsze sprawy. Było mi przykro, że potraktowałam ją trochę z góry, ale nie miałam wyboru. Postanowiłam jednak jakoś załagodzić złe wrażenie.

- Będę ci bardzo wdzięczna, jeżeli później pomożesz mi przy segregowaniu akt - dodałam pospiesznie, żeby poczuła się potrzebna.

- Z przyjemnością. - Uśmiechnęła się, wyprostowała. Chyba rzeczywiście podniosłam ją trochę na duchu.

W południe weszłam do recepcji.

- Idę na zakupy - oznajmiłam.

- Ja zostanę na wypadek, gdyby komendant lub pułkownik Diedrichson zadzwonili z Warszawy. Zjem obiad później.

- Doskonale - ucieszyłam się.

Znając obyczaje Małgorzaty, oczekiwałam tej propozycji, bo nawet

gdy nikt jej nie prosił, podczas nieobecności przełożonego stale wariowała przy telefonie. Pewnie czekała na swój wielki dzień. Marzyła, że szef zadzwoni akurat wtedy, kiedy wyjdę, i zrozumie, która z nas poważniej traktuje obowiązki, doceni jej sumiennosc i być może awansuje. Nie ulegało wątpliwości, że pragnie zająć moje miejsce. Akurat w tym momencie bardzo mnie cieszyła jej nadgorliwość, bo unieruchomiona przy biurku, nie mogła mnie śledzić.

- Niedługo wrócę - zapewniłam.

Po wyjściu z Wawelu podążałam w kierunku rynku starannie odmierzoną, w miarę szybkim, lecz jednak normalnym krokiem, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Po drodze kupiłam dla pozorów pomarańcze. Upewniwszy się, że nikt mnie nie obserwuje, skręciłam w kierunku mieszkania komendanta. Na klatce schodowej nie spotkałam nikogo. Ręce drżały mi tak bardzo, że z trudem włożyłam klucz do zamka. Miałam cichą nadzieję, że wzięłam niewłaściwy, że los mi oszczędzi tej niebezpiecznej próby. Po raz pierwszy w życiu podejmowałam tak ryzykowne przedsięwzięcie, przecież włamywałam się do domu hitlerowskiego oficera, Ale klucz pasował. Przekręciłam go bez trudu, nacisnęłam klamkę i weszłam do środka.

Z duszą na ramieniu zamknęłam za sobą drzwi i popatrzyłam z przerażeniem na drzwi sypialni. Wyobraziłam sobie, że zaraz stanie w nich komendant i zażąda wyjaśnienia, co tu robię. Lecz wokół panowała cisza. Na podręcznym stoliku, zavalonym starymi gazetami, stało kilka brudnych szklanek. Nie po raz pierwszy pomyślałam, że komendant powinien zatrudnić gospozię. Przypuszczałam jednak, że

nie wpuściłby tu obcej osoby. Mogłabym mu pomóc... Natychmiast odrzuciłam niedorzeczną myśl, złożyłam ją na karb zdenerwowania, i pospiesznie wkroczyłam do gabinetu. Szarpnęłam uchwyt szuflady. Ani drgnęła. Zamknął ją na klucz. Dlaczego? Czyżby zastawił na mnie pułapkę? Czy zaraz tu wkroczy gestapo? Uciekaj, póki czas, szeptał natrętnie wewnętrzny głos. Nie posłuchałam go. Uwięzieni w getcie na drugim brzegu Wisły rodzice czekali na ratunek, ich życie zależało ode mnie. Nie po to pozwoliłam zdeptać swoją godność, nie po to sprofanowałam małżeńską przysięgę, żeby zawrócić w pół drogi. Tylko jak otworzyć szufladę, nie zostawiając śladów? Wyłamanie zamka nie wchodziło w grę. Przebiegłam wzrokiem wszystkie przedmioty na biurku w poszukiwaniu odpowiedniego narzędzia i moją uwagę przyciągnął drobny, metalowy przedmiot: spinacz do papieru. Rozprostowałam końcówkę, włożyłam do zamka, przekręciłam. Bez efektu. Spróbowałam jeszcze raz. Również na próżno. Ciężko dyszałam, pot spływał mi po plecach. Walczyłam z sobą, żeby nie umknąć. Niespodziewanie drucik zahaczył o jakiś występ wewnątrz dziurki od klucza. Przekręciłam jeszcze raz. Tym razem zaskoczyło. Wstrzymałam oddech. Ponownie szarpnęłam za uchwyt i wyciągnęłam szufladę.

Niepewna, czy skrytka rzeczywiście istnieje, czy tylko ją sobie wymarzyłam, wsunęłam rękę pod stos papierów i wyczułam pod palcami znajomą szczelinę. Tylko spokojnie - powtarzałam sobie, usiłując opanować przyspieszony oddech. Odłożyłam na bok plik, wsunęłam palce w szczelinę, następnie odchyliłam fałszywe dno

szuflady. W przegródce pod spodem znalazłam dokument z nagłówkiem, którego nigdy wcześniej nie widziałam: RASSE UND SIEDLUNG-SHAUPTAMT*¹³.

Pod spodem widniała data sprzed kilku dni: drugi listopada.

Wyciągnęłam pismo z szuflady, przebiegłam wzrokiem tekst. Nie rozumiałam wszystkich technicznych zwrotów, ale słowo „Juden” powtarzało się wielokrotnie. Zaparło mi dech. Nie ulegało wątpliwości, że trafiłam na to, czego szukał Alek. Lekceważąc ryzyko wpadki, zaczęłam czytać z wypiekami na twarzy. Dokument zapowiadał zmiany w polityce wobec Żydów. Getto miało zostać zlikwidowane, mieszkańcy przewiezieni już nie do obozu pracy w Płaszowie, jak do tej pory, lecz bezpośrednio do Auschwitz i Bełżca. Serce we mnie zamarło. Raport zawierał informację, że przygotowano już miejsce na nowe baraki w obydwu obozach. Ich budowę planowano ukończyć na początku stycznia.

Przerwałam czytanie. Ręce mi drżały. Moich rodziców czekało zesłanie do obozu. Zabroniłam sobie na razie o nich myśleć, inaczej nie byłabym w stanie wykonać zadania do końca. Musiałam zapamiętać jak najwięcej danych dla Alka. Szybko stwierdziłam, że nie jestem w stanie nauczyć się w ciągu paru minut na pamięć niezliczonych dat, nazw i liczb. Nic mi nie mówiły, lecz dla niego mogły mieć podstawowe znaczenie. W trakcie czytania spostrzegłam, że tekst sporządzono w dwóch egzemplarzach przez kalkę. Chociaż Alek prosił tylko

¹³ *Główny Urząd do spraw Rasowych i Osiedleńczych - jeden z organów, zajmujących się „rozwiązaniem kwestii żydowskiej”, którego przedstawiciel uczestniczył w konferencji w Wannsee w styczniu 1942 roku, gdzie zapadły najważniejsze decyzje, dotyczące Żydów (przyp. tłum.).

o przeczytanie dokumentu, postanowiłam wykraść kopię. Oddzieliłam od pierwszej strony napisany na cienkim jak bibułka papierze odpis. Nagle ogarnął mnie strach. Istniało wprawdzie niewielkie prawdopodobieństwo, że komendant zauważy jego zniknięcie, ale gdyby mnie złapano, wydałabym wyrok śmierci na siebie i najbliższych. Z drugiej strony, szkoda mi było zmarnować tak wspaniałą okazję. Było oczywiste, że dokument ma dla Alka o wiele większą wartość niż zapamiętane przeze mnie fragmenty. Błyskawicznie oddzieliłam kopie od wszystkich czterech stron, umieściłam oryginały z powrotem w skrytce, po czym zamknęłam szufladę.

Popatrzyłam na zegar. Od wyjścia z biura minęła prawie godzina. Wiedziałam, że jeśli zaraz nie wrócę, Małgorzata nabierze podejrzeń. Sprawdziłam jeszcze raz, czy wszystko jest na swoim miejscu, ustawiłam krzesło w takiej pozycji, w jakiej je zastałam, następnie wsunęłam złożony we czworo dokument za dekolt i pospiesznie opuściłam mieszkanie.

- Zrobiłam to! - westchnęłam z ulgą na klatce schodowej, gdy wreszcie zamknęłam za sobą drzwi.

- Dzień dobry, pani Anno - usłyszałam za plecami męski głos.

Struchlałam z przerażenia. Złapali mnie.

Powoli odwróciłam głowę. Za mną stał kierowca komendanta, Stanisław. Trzymał w ręku torbę z zakupami. Nabrałam powietrza w płuca.

- Dzień dobry - wykrztusiłam. - To pan nie w Warszawie?

- Ponieważ zapowiedzieli opady śniegu, szef zdecydował w ostat-

niej chwili, że pojedzie pociągiem.

- Ach tak...

Zapadło kłopotliwe milczenie. Nie przygotowałam żadnego sensownego wyjaśnienia powodu swojej wizyty podczas nieobecności komendanta. Nie przewidziałam, że spotkam Stanisława. Robił wprawdzie czasami szefowi zakupy, ale nie przyszło mi do głowy, że zostanie w Krakowie. Usiłowałam coś wymyślić na poczekaniu, lecz miałam kompletną pustkę w głowie.

- Przyniosłam komendantowi parę dokumentów. Może ich potrzebować wieczorem - powiedziałam w końcu.

- Bardzo słusznie - odparł bezbarwnym głosem. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Nie potrafiłam odgadnąć, czy mi uwierzył. Kiwnął głową... i pozostał w tej pozycji ze wzrokiem wbitym w mój dekolt.

Zerknęłam i ja. Z wycięcia bluzki wystawał róg kradzionej kopii. Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie ten skrawek papieru przyciągnął jego uwagę. Zasłoniłam go ręką, gorączkowo szukając jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia. Gdyby chociaż padało, wytłumaczyłabym, że wetknęłam dokument za bluzkę, żeby nie zamókł, ale przy ładnej pogodzie żadna sensowna wymówka nie przyszła mi do głowy.

- Potrzebowałam tego - wymamrotałam.

Stanisław mierzył mnie wzrokiem przez kilka sekund, jakby zastanawiał się, co zrobić. Nieoczekiwanie rozciągnął usta w nieznacznym uśmiechu.

- Jasne. - Wyciągnął ku mnie rękę, wepchnął kartki głębiej za dekolt

bluzki, potem bez słowa wszedł z zakupami do mieszkania.

Długo jeszcze stałam jak skamieniała, niezdolna wykonać żadnego ruchu. Nigdy wcześniej nie posądzałam tego służbisty w hitlerowskiej służbie o sprzyjanie ruchowi oporu. Otoczona w pracy samymi kolaborantami, musiałam jednak uznać, że Polak Polakowi nierówny. Nabrałam dla niego szacunku.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że tracę bezcenny czas. Sprawdziłam jeszcze raz, czy nie widać mojej zdobyczy, po czym pospiesznie wróciłam do biura.

TLR

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tego wieczoru po pracy gnałam do domu jak na skrzydłach. Zastałam Krysię w salonie, z drutami w ręku. Łukasz spał z głową na jej kolanach.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z Alkiem

- oznajmiłam półgłosem. Nie pokazałam Krysi dokumentów, bo zgodnie z zasadami konspiracji im mniej wiedziała, tym lepiej.

Nie pytała, co odkryłam, tylko skinęła głową.

- Spróbuję jutro z rana nawiązać z nim kontakt.

Następnego dnia po śniadaniu poprosiła, żebym popilnowała Łukasza. Kilka minut później wróciła ze swego pokoju w niedzielnej sukience.

- Idziesz do kościoła? - spytałam zdziwiona.

- Tak, to bardzo dobre miejsce.

Po jej wyjściu pomyślałam, co czują żydowscy bojownicy, zmuszeni używać katolickiej świątyni w charakterze skrzynki kontaktowej. Po namyśle doszłam do wniosku, że dokonali rozsądnego wyboru. Kościoły należały do tych nielicznych miejsc, do których hitlerowcy wchodzili tylko w wyjątkowych sytuacjach. Kilka godzin później Krysię weszła do domu z posepną miną i ciężko dysząc, opadła na krzesło w kuchni.

- Nie zastałam nikogo - oznajmiła.

- Dlaczego?

- Łącznik nie przyszedł o umówionej godzinie. Czekałam, póki mogłam, ale ani on, ani nikt inny się nie pojawił. Poszłam do rezerwowego punktu kontaktowego, gdzie zastałam jednego z naszych przyjaciół. Poinformował mnie, że gestapo zrobiło nalot na główną kwaterę ruchu oporu. Nikogo nie złapali

- dodała na widok mojej przerażonej miny.

Dopiero teraz dostrzegłam zabłocone buty. Z pewnością wędrowała gdzieś po przedmieściach.

- Gestapo nie odnalazło ani ludzi, ani obciążających materiałów, lecz Alek przeniósł kwaterę w inne miejsce i na jakiś czas zawiesił wszelkie kontakty.

Skinęłam głową. Podziwiałam przezorność Alka. Doskonale pamiętałam, jak zmusił mnie do spalenia listu Jakuba. Teraz straciłam kontakt z nim, Martą oraz wszelkimi osobami, które mogłyby mi przekazać wiadomość o mężu.

- Musi istnieć jakiś sposób - nalegałam. - Mam dla nich ważne informacje.

- Na razie to niemożliwe. Próbowałam wszystkiego - odrzekła Krysia. - Trzeba poczekać, aż największe zagrożenie minie. - Ruszyła do wyjścia, nagle przystanęła w pół kroku i odwróciła się do mnie z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby coś rozważała.

- Wymyśliłaś coś?

- Nie, to jednak zbyt ryzykowne.

- Bardzo cię proszę. - Schwyciłam jej rękę. - Jeżeli przyszedł ci do głowy jakikolwiek pomysł, zdradź mi go.

- Sama nie wiem... - odrzekła z wahaniem.

- Przed wojną i na samym jej początku Alek i jego koledzy korzystali z baru Czarny Koń na Mikołajskiej. Właściciel, Franciszek Koch, sympatyzował z ruchem oporu. Może coś wie, ale nie mogę tam iść, bo wzbudziłabym podejrzenia.

- Racja. - Wielokrotnie przechodziłam koło tego pełnego młodzieży lokalu. Starsza kobieta nie rzucała się w oczy w kościele, ale w tłumie młodych ludzi zwracałaby na siebie uwagę. Jednak ja nie. Już otwierałam usta, by uświadomić Krysi, że nie będę tam wyglądała podejrzanie, ale znowu je zamknęłam. Gdybym zdradziła swój plan, nie puściłaby mnie.

Jednak dostrzegła moje wahanie.

- O co chodzi?

- O nic. Wiem, że nie wolno nam ryzykować.

Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- A jednak mi się zdaje, że dziś wieczorem wpadniesz do Czarnego Konia.

- Ależ... - zaczęłam.

- Nie kłam. - Powstrzymała mnie ruchem ręki.

- Wolę znać prawdę, nawet najtrudniejszą do przyjęcia. To bardzo niebezpieczne, ale masz prawo sama podejmować decyzje - dokończyła z uznaniem, po czym opuściła pokój.

Kiedy położyłyśmy Łukasza spać, zeszłam do przedpokoju. Krysia za mną. Obserwowała w milczeniu, jak chowam wykradziony dokument pod płaszc.

- Nie zabawię długo - obiecałam.

- Weź to. - Krysia wcisnęła mi w rękę kilka monet i banknotów. - Łatwiej nakłonisz pana Kocha do rozmowy, jeśli zostawisz hojny napiwek.

Przyjęłam pieniądze z ociąganiem, podziękowałam i wyszłam. Na dworze panował przenikliwy, listopadowy chłód, zaczął padać śnieg. Gdy dochodziłam do przystanku, akurat podjechał autobus. Wolałabym wprawdzie uniknąć spotkania z sąsiadami o tak nietypowej porze, ale czas naglił. Uznałam, że jednak warto zaoszczędzić godzinę drogi. Podbiegłam kilka ostatnich kroków, wskoczyłam do środka. Autobus był prawie pusty. Zająłam miejsce z tyłu, przygarbiłam się, podniosłam wysoko kołnierz. Piętnaście minut później wysiadłam dwa przystanki przed rynkiem. Śnieg sypał teraz gęsto, chodniki były śliskie. Ruszyłam w stronę krętej uliczki Mikołajskiej nieopodal rynku. Czarny Koń, podobnie jak wiele krakowskich lokali, mieścił się w piwnicy o ceglanych sklepieniach. Przystanąłam z wahaniem u szczytu schodów. Z dołu dobiegała muzyka i gwar rozmów. Nigdy wcześniej nie odwiedziłam żadnego baru w centrum miasta, czasami tylko zachodziłam po ojca do małej kawiarenki na Kazimierzu, gdzie gawędził z sąsiadami. Wzięłam głęboki oddech, zebrałam się na odwagę i ruszyłam po schodach ku piwnicy. Kiedy otworzyłam ciężkie drzwi, uderzył mnie odór piwa i gęstego dymu z papierosów. Kilku mężczyzn przy stoliku w kącie zmierzyło mnie wzrokiem. Odwróciłam głowę, ruszyłam szybko w stronę baru i usiadłam na wysokim stołku. Za ladą stał barczysty barman z brodą.

Oceńłam, że ma około trzydziestu lat. Moim zdaniem wyglądał zbyt młodo jak na właściciela. Poprosiłam o kawę. Gdy ją przede mną postawił, wzięłam głęboki oddech.

- Czym jeszcze mogę służyć? - zagadnął.

- Czy zastałam pana Kocha?

Mężczyzna posłał mi podejrzliwe spojrzenie.

- Kto chce z nim rozmawiać?

- Anna Lipowska, siostrzenica pani Krystyny Smok - powiedziałam po chwili wahania.

Rysy barmana złagodniały, pochylił ku mnie głowę.

- Ja jestem Koch. O co chodzi?

- Szukam Alka lub kogoś z... naszych.

- Nie znam nikogo takiego - odburknął. Twarz mu znowu stężała.

- Bardzo mi zależy, to ważna sprawa. Jeżeli trzeba, zapłacę za informację. - Sięgnęłam do kieszeni.

- Przestań! - warknął. - Ci w kącie to szpicle. Jeśli coś zobaczą albo usłyszą, wylądujemy na gestapo.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

- Krysia nie wspomniała mi o nich - stwierdziłam naiwnie.

- Nigdy nie słyszałaś o kapusiach? - zdumiał się.

- Och, głupio gadam...

- No dobra. Ci dranie próbują coś wywęszyć. Łatwo dali się namierzyć, ale i tak są groźni. - Oczy mu pociemniały.

- A więc znasz Alka?

- Domyślam się, że chodzi o wysokiego, bladego faceta z kozią

bródką, prawda? - Gdy skinęłam głową, mówił dalej: - Czasami przychodził wraz z innymi do sutereny obok, ale już dawno ich nie widziałem. Nie wiem, czy to prawda, ale podobno po ostatnich aresztowaniach uciekli do lasu albo za granicę.

- Dziękuję. - Wstałam. Serce ciążyło mi niczym stukilowy głaz.

- Zaczekaj - szepnął. - Spokojnie skończ kawę. Zachowuj się jak normalny gość, inaczej wzbudzisz podejrzenia.

Znów zajęłam miejsce. Koch wrócił na drugi koniec baru. Zaczął wycierać szklanki, odwrócony plecami do mnie. Popijając kawę, rozważałam jego słowa. Alek i inni znikli, ale nie podejrzewałam, żeby Jakub wyjechał za granicę, nie dając znaku życia. Zaraz jednak powróciły wątpliwości. Nie mogłam wykluczyć, że los rzucił go gdzieś daleko albo że inna dziewczyna skradła mu serce. Przemocą odpędziłam czarne myśli. Musiałam zachować trzeźwość umysłu, żeby bez przeszkód dotrzeć do domu. Dopiliśmy kawę, położyłam na ladzie kilka monet i ruszyłam do wyjścia. Koch pożegnał mnie skinieniem głowy. Owinęłam szyję szalikiem, otuliłam się ciaśniej płaszczem i wyszłam na ulicę. Śnieg nadal padał, wiatr przybrał na sile. Idąc wśród pierwszej tego roku zamieci w stronę rynku, usłyszałam za plecami odgłosy ciężkich kroków. Serce podeszło mi do gardła. Byłam pewna, że któryś z konfidentów podsłuchał moją rozmowę z właścicielem baru, a teraz mnie śledzi. Ponieważ nie dałabym rady uciec, odwróciłam się twarzą do prześladowcy, półżywa ze strachu. Ujrzałam starszego, łysiego mężczyznę w okularach.

- Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć - zagadnął.

- Czego w takim razie pan sobie życzy?

- Przypadkiem słyszałem pani rozmowę z Frankiem Kochem.

Nie przypomiinałam go sobie z Czarnego Konia, co tylko potwierdziło moje podejrzenia, że obserwował nas z ukrycia.

- Ja tylko... - zaczęłam.

Powstrzymał mnie ruchem ręki.

- Proszę sobie oszczędzić wyjaśnień, szkoda czasu. Wiem więcej niż Koch. Zaprowadzę panią. Proszę za mną. Tylko szybko. - Zawrócił w kierunku Mikołajskiej.

Podążyłam za nim z ociąganiem, niepewna, czy nie wciąga mnie w zasadzkę, prosto w ręce gestapo. Kilka minut później stwierdziłam, że prowadzi mnie na południe, ku Wiśle. Minęliśmy zniszczone zabudowania przemysłowe, później zeszliśmy z chodnika na wyboistą, ośnieżoną ścieżkę. Wiodła w dół skarpy, do Wisły.

- Ostrożnie - ostrzegł, schodząc w stronę niewidocznego z ulicy baraku tuż przy brzegu rzeki.

- Proszę tutaj zaczekać - polecił, gdy byliśmy już przed drzwiami, i wszedł do środka.

Zostałam sama na mrozie, w całkowitych ciemnościach. Chwilę później mój przewodnik otworzył drzwi, złapał mnie za ramię i wciągnął do środka. Gdy oczy przywykły do półmroku, ujrzałam, że jedyne umeblowanie zimnego, małego pomieszczenia stanowiły krzesło i stół. Leżała na nim rękawiczka z brązowej skóry.

- Co ty tu robisz? - spytał znajomy głos.

Odwróciłam głowę.

- Marek! - Ledwie go rozpoznałam w ciężkim płaszczu i nasuniętej prawie na oczy ciemnej czapce narciarskiej.

- Nie powinnaś tu przychodzić. - Rzucił mi gniewne spojrzenie. - To bardzo niebezpieczne.

- Ale konieczne. Mam do ciebie ważną sprawę

- powiedziałam z ociąganiem, niepewna, jak wiele mogę powiedzieć przy obcym.

- Dziękuję, Awi - zwrócił się Marek do mojego przewodnika.

Ja również podziękowałam za przyprowadzenie. Kiedy Avi wyszedł, skinąwszy głową na pożegnanie, Marek podszedł do okna, uchylił zniszczoną zasłonę i wyjrzał.

- Podejrzewasz, że ktoś nas śledził? - zapytałam.

Marek pokręcił głową i zaciągnął zasłonę.

- Wykluczone. Awi jest na to za dobry. A teraz mów, o co chodzi.

- Gdzie jest Alek? - odpowiedziałam pytaniem, szcękając z zimna zębami. Rozejrzałam się po ciasnym, wilgotnym pomieszczeniu w poszukiwaniu innych konspiratorów.

- Poza miastem. Tutaj nie był bezpieczny. Z czym przyszłaś?

Zwlekałam chwilę z odpowiedzią. Zamierzałam przekazać dokumenty bezpośrednio Alkowi, lecz ponieważ Marek należał do jego najbliższych współpracowników, po namyśle zdecydowałam, że można mu zaufać. Wręczyłam mu kopię.

- Z tym.

Wziął ją ode mnie, rzucił okiem na pierwszą stronę.

- Słabo znam niemiecki. Przetłumacz.

Zaczerpnęłam powietrza w płuca.

- Napisano tam, że hitlerowcy zamierzają zlikwidować getto. Wyślą Żydów do Auschwitz albo do Bełżca zamiast, jak do tej pory, do obozu pracy w Płaszowie.

Informacja najwyraźniej nie zrobiła na Marku większego wrażenia.

- To dla nas nic nowego. Słyszeliśmy o tym już wcześniej.

Doznałam srogiego rozczarowania. Dopiero teraz uprzytomniłam sobie, jak niewiele wiem o działalności ludzi, dla których narażałam życie.

- Pytanie tylko kiedy?

- W styczniu.

- Co takiego? - wyjąkał przerażony.

- Rozpoczęli budowę nowych baraków w Birkenau, mają być gotowe na początku stycznia.

- Już w styczniu! - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak napisali. Raport nosi datę sprzed tygodnia

- oznajmiłam z mimowolną nutą satysfakcji w głosie, że moje starania nie poszły na marne.

- Właśnie tej informacji potrzebowaliśmy. To znacznie wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Muszę jak najszybciej zawiadomić Alka. - Mark zwinął dokument, wsunął go za pazuchę, po czym otworzył drzwi.

Wyszłam za nim na zewnątrz. Liczyłam na to, że zaprowadzi mnie

do kolegów, w końcu zapracowałam sobie na zaufanie, lecz Marek wskazał mi ścieżkę, którą przyprowadził mnie Awi.

- Tędy dojdiesz do głównej drogi, a stamtąd bez trudu trafisz do Krysi - oświadczył.

Otworzyłam usta, żeby zapytać o Jakuba, a także oto, gdzie mam szukać ludzi z podziemia, Alka lub innych, gdy będę potrzebowała kontaktu, ale Marek nie dał mi dojść do słowa.

- Nigdy więcej tu nie przychodź - zakazał surowo, jakby czytał w moich myślach, po czym odszedł.

Odprowadziłam go wzrokiem, póki nie zniknął w ciemnościach. Uświadomiłam sobie, że nawet mi nie podziękował. Popatrzyłam jeszcze raz na nędzny barak, który prawdopodobnie przez jakiś czas pełnił funkcję kwatery ruchu oporu. Nagle przypomniałam sobie brązową rękawicę na stole i w moim sercu rozbłysła iskierka nadziei. Jakub miał takie same. Niewykluczone, że przebywał tam ostatnio. Gdy wyobraziłam sobie, jak musiał marznąć w zimnej, nieopalanej ruderze, poczułam wielki smutek. Po namyśle doszłam do wniosku, że uległam złudzeniu. Gdyby rzeczywiście mój mąż przebywał tak blisko mnie, z całą pewnością znalazłby sposób, żeby się ze mną spotkać.

Dość tego, powiedziałam sobie wreszcie. Próżne rozważania nie zaprowadzą mnie do niego. Niedługo wybije dziesiąta, więc trzeba gnać do domu przed godziną policyjną, inaczej Krysią będzie się martwić, a ja narażę się na poważne kłopoty.

Ostrożnie, żeby nie stracić równowagi na oblodzonych kamieniach,

ruszyłam wyboistą ścieżką pod górę. Wróciłam myślami do Marka. Uderzyło mnie jego nietypowe zachowanie. Niemal się ucieszył, gdy przekazałam mu informację o planowanej likwidacji getta. Z podsłuchanej rozmowy podczas szabasowej kolacji w getcie wywnioskowałam, że marzy o bezpośrednim ataku na wroga. Wieść o rychłym przesiedleniu Żydów do obozów z pewnością przeważy szalę na stronę najbardziej radykalnych bojowników. Dałabym głowę, że niebawem przygotowują jakąś akcję zbrojną przeciwko okupantom. Wpadłam w popłoch. Miotają mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony - odczuwałam satysfakcję, że pomogłam w słusznej sprawie, z drugiej - żałowałam, że według wszelkiego prawdopodobieństwa właśnie naraziłam Jakuba na śmierć w nierównej walce z uzbrojonymi po zęby Niemcami.

Na skarpie przystanąłam na chwilę, sprawdziłam, czy nikt mnie nie śledzi, po czym ruszyłam w dalszą drogę. W oddali ryk syreny obwieścił godzinę policyjną. Przyspieszyłam kroku. Obcasy rytmicznie stuknęły o mokry, śliski chodnik. Ponieważ zaczęłam się niebezpiecznie ślizgać, zwolniłam i przygarbiłam się dla lepszej równowagi. Lodowaty wiatr smagał mi twarz. Na rogu Starowiślniej wparowałam na jakąś ścianę i wylądowałam w błocie. Spojrzałam w górę. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że nie uderzyłam o mur, tylko wpadłam na jakiegoś mężczyznę. Zanim zdążyłam się pozbierać, podźwignął mnie za ramię. Oszołomiona, nie stawiałam oporu, tylko zamrugałam, żeby strząsnąć z rzes płatki śniegu. Nieznajomy dotknął mego czoła jak matka, gdy

sprawdza temperaturę chorego dziecka. Jego odzież wydzielala dziwnie znajomy zapach. Zwróciłam ku niemu twarz, lecz ujrzałam jedynie plecy. Postać w ciemnym płaszczu już znikala na końcu ulicy. Wykrzyknęłam za nim słowa podziękowania, ale pewnie mnie nie słyszał, bo nawet nie odwrócił głowy. Nie od razu doszłam do siebie po tej dziwacznej przygodzie. Gdy trochę ochłonęłam, wyjrzałam za róg. Ulica była pusta. Nie pora na rozważania, pomyślałam. Otrzeptałam ubranie i pospieszyłam dalej.

Nagle nocną ciszę zakłóciło wycie syreny. Na skrzyżowaniu, do którego dochodziłam, zahamował samochód gestapo. Skoczyłam z powrotem za róg, wtuliłam się w ścianę z cegieł. Pot oblewał mi czoło, serce waliło jak młotem.

Hitlerowcy stali w milczeniu, obserwując i nadśluchując. Dla mnie trwało to całą wieczność. Wreszcie jeden z nich wyszczekał półgłosem jakiś rozkaz i gestapowcy wrócili do auta. Czekałam skulona, aż reflektory oświetlą moją żalosaną, oblepioną śniegiem postać widoczną na tle ceglanego muru. Wstrzymałam oddech. Zaczęłam odliczać sekundy: tysiąc jeden, tysiąc dwa...

Zapisały opony i samochód skręcił w inną stronę. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, przykucnęłam. Gdyby nie zderzenie z nieznanym, wpadłabym prosto w ręce gestapo. Zostałabym aresztowana za chodzenie po mieście po godzinie policyjnej i nawet fakt, że pracowałam na Wawelu, mógłby mnie nie wybronić przed groźnymi

konsekwencjami. A gdyby ustalono, kim jestem naprawdę... Z westchnieniem ulgi podziękowałam losowi, że postawił tego człowieka na mojej drodze.

Ubranie przemokło mi na wylot po upadku w kałużę. Zdjęłam mokre rękawiczki i wsadziłam ręce do kieszeni. Na dnie jednej z nich znalazłam obcy, twardy przedmiot. Kiedy go wyjęłam, ponownie zaparło mi dech ze zdumienia. Trzymałam w ręku gładki, brązowy kamień, którego jeszcze przed godziną nie miałam. Nie powstrzymałam okrzyku radości. Bursztyn! Do zderzenia nie doszło przypadkowo, ten mężczyzna nie był nieznajomym. Wzruszenie ścisnęło mi serce. To Jakub wpadł na mnie, zostawił mi kamyk jako znak rozpoznawczy. Nie walczył o zbawienie świata u boku nowej ukochanej, tylko przebywał w pobliżu, czuwał nade mną. Powodując, że upadłam na ziemię, ocalił mnie przed aresztowaniem. Obdarzał mnie uczuciem z ukrycia w taki sposób, na jaki pozwalały okoliczności. Mimo chłodu zrobiło mi się ciepło. Wokół mnie wszystko zawirowało w cudownym tańcu miłości. Jakub żył, kochał mnie, nic innego się nie liczyło. Z palcami zaciśniętymi na kawałku bursztynu pobiegłam do domu jak na skrzydłach.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Chociaż drugi raz wyszorowałam miseczkę Łukasza w ciepłych mydlinach, brązowy nalot nie schodził. Każde inne naczynie zostawiłabym na noc, żeby odmokło, ale nie to. Tylko nadzieja na ujrzenie wymalowanych na dnie króliczków skłaniała malca do zjedzenia zupy mlecznej do końca. Miseczka musiała być czysta i sucha na rano. Zanurzyłam ją ponownie w wodzie, wyszorowałam, potem położyłam na blacie, żeby wyschła.

Była sobota, dochodziła dziesiąta wieczór, Łukasz od dawna już spał. Również Krysia z powodu bólu głowy wcześniej się położyła. Zwykle mi pomagała, lecz tym razem na mnie spadło całe zmywanie. Oczywiście nie miałam nic przeciwko temu, bo następnego dnia nie wstawałam o świcie. Poza tym samotny wieczór stwarzał doskonałą okazję do przemyśleń. Nagle przygniótł mnie ciężar wszystkich wydarzeń ostatniego tygodnia, życia w nieustannym strachu, ciągłego udawania kogoś innego.

Minęły dwa tygodnie, odkąd oddałam Markowi wykradziony dokument i od tamtej pory nie otrzymałam żadnej wiadomości od działaczy ruchu oporu. Dotknęłam bursztynu w kieszeni. Od dnia, kiedy go dostałam, wielokrotnie odnosiłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje na ulicy. Za każdym razem odwracałam się błyskawicznie w nadziei na spotkanie z Jakubem lub na jakikolwiek znak od niego, lecz zawsze czekało mnie rozczarowanie. Ani razu nikogo nie dostrze-

głam. W końcu doszłam do wniosku, że ponosi mnie wyobraźnia.

Żałowałam, że nie zdobyłam żadnej nowej informacji, która dałaby mi powód do odwiedzenia rudery nad Wisłą. Przyjmowałam każde zaproszenie komendanta, przeszukiwałam szuflady, gdy spał, ale na nic ważnego nie natrafiłam. Ostatnio widywałam go rzadziej. Miało to związek z coraz gorszą sytuacją Niemców na froncie wschodnim. Wiedziałam o tym całkiem sporo z telegramów, które trafiały na moje biurko, poza tym hitlerowscy oficerowie z ponurymi minami szeptali między sobą o porażkach na korytarzach Wawelu. W rezultacie komendant pracował po godzinach, uczestniczył też w wielu trwających do późna w nocy naradach. Kilka razy, gdy zostałam u niego na noc, wstawał przed świtem, nerwowo przemierzał pokój albo przerzucał papiery na biurku, kiedy jeszcze leżałam w łóżku. Ponieważ sypiał teraz niespokojnie i często się budził, nie miałam odwagi wtargnąć do gabinetu, żeby nie przyłapał mnie na gorącym uczynku. Coraz bardziej mnie drażniło, że niepotrzebnie tracę czas.

Stojąc nad kuchennym zlewem, doszłam do wniosku, że najwyższa pora poprosić Alka, żeby mnie zwolnił z obowiązku dalszego odwiedzania komendanta. Prawdę mówiąc, do tej pory nie zrobiłam żadnego kroku w tym kierunku. Wmawiałam sobie, że nie wolno mi marnować szansy, że być może pewnego dnia dokonam epokowego odkrycia, które zmieni bieg wydarzeń, jednak tak naprawdę czekałam na wizyty w mieszkaniu kochanka nie z poczucia obowiązku ani nawet fizycznego pociągu. Odkąd zaczęłam go rzadziej widywać, uświadomiłam sobie, że brak mi jego ciepła, że polubiłam jego to-

warzystwo. Poza tym nie potrafiłam przewidzieć, jakie konsekwencje pociągnęłyby za sobą zerwanie z wysokiej rangi hitlerowskim oficerem. Kogoś takiego nie można przecież ot tak, porzucić z dnia na dzień, tym bardziej że jego czułe spojrzenie wyraźnie mówiło, że pragnie kontynuować związek. Wspólnie ustaliliśmy, że na razie zachowamy nasz romans w tajemnicy, żeby nie dawać niechętnym mu nazistom broni do ręki, lecz gdy byliśmy sami, często roztaczał wizje wspólnej przyszłości.

- Po wojnie weźmiemy ślub. Zabiorę cię wraz z Krysią i braciszkiem do Niemiec. Zamieszkacie w mojej rodzinnej posiadłości w Hamburgu - obiecywał wielokrotnie.

Pewnie każdą inną kochankę komendanta ucieszyłyby takie oświadczenia, lecz mnie przerażały. Milczałam, gorączkowo szukając wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Jeśli Niemcy przegrają, po prostu wrócę do Jakuba, lecz nie potrafiłam sobie wyobrazić dalszego scenariusza w wypadku zwycięstwa Rzeszy.

W pierwszych dniach grudnia na dworze panował przenikliwy ziąb. Szyby w oknach drżały w porywach lodowatego wiatru. W domu nie dokuczał nam chłód, ponieważ jesienią zgromadziłyśmy z Krysią spory zapas drewna i węgla, ale rodzice i Jakub z całą pewnością marzli. Tęskniłam za nimi bardziej niż kiedykolwiek. Następnego dnia przypadało żydowskie święto Chanuka. Bolało mnie serce, że nie mogę świętować w gronie moich bliskich. Zanim Łukasz poszedł spać, obserwowałam ze smutkiem, jak stawia na podłodze jakąś budowlę z klocków. Dla niego ten dzień nie różnił się od innych. Ma-

rzyłam o tym, żeby wziąć go na kolana, opowiedzieć o bohaterskich obrońcach Świątyni, o cudownym ogniu, który płonął nieprzerwanie przez osiem nocy. Jego ojciec z pewnością przybliżyłby mi tę historię, lecz ja musiałam zataić przed nim nasze najpiękniejsze tradycje. Skończył, według naszej oceny, trzy i pół roku i z dnia na dzień coraz więcej mówił, i gdyby powtórzył tę opowieść któremuś z sąsiadów, naraziłby nas na wielkie niebezpieczeństwo. Z tego samego powodu nie kupiłam mu prezentu. Sama jako dziecko otrzymywałam z okazji Chanuki monety lub inne drobne upominki. Nie zrobiłam mu też tradycyjnego bączka, zwanego drejdem*¹⁴, nie nauczyłam chanukowej gry, nie zagraliśmy w loteryjkę, szykowałyśmy za to z Krysią podarunki na Gwiazdkę. Planowałyśmy obchodzić uroczyste Boże Narodzenie, jak przystało na porządną polską, chrześcijańską rodzinę. Jednak w wigilię Chanuki Krysia z szacunku dla naszej tradycji usmażyła latkes, żydowskie placki ziemniaczane z musem jabłkowym i kwaśną śmietaną. Zapamiętany z dzieciństwa smak przywołał wspomnienie o mamie. Łzy napłynęły mi do oczu. Przysięgam sobie, że pewnego dnia zapoznam Łukasza ze wszystkimi naszymi zwyczajami, wytłumaczę, czemu jedliśmy latkes, przybliżę postacie naszych nieustraszonych wojowników.

Zaskrzypiała podłoga w holu. Pomyślałam, że Krysia wyszła do łazienki. Wylałam pomyje, wytarłam czystą już miseczkę Łukasza i osuszyłam ręce. Nagle usłyszałam tuż za plecami odgłos cięższych

¹⁴ *Tradycyjny czworoboczny bączek, używany podczas święta Chanuka do gry w dziecięcą loteryjkę. Na każdej z czterech ścianek znajduje się jedna hebrajska litera, oznaczająca początek słowa. Razem tworzą skrót hebrajskiego zdania: „Wielki cud zdarzył się tam”, upamiętniającego obronę Świątyni Jerozolimskiej przez Machabeusza (przyp. tłum.).

niż kobiece kroków. Zamarłam z przerażenia. Zacisnęłam palce na uchwycie patelni i uniosłam ją, lecz zanim zdążyłam uderzyć intruza, chwycił mnie z tyłu za nadgarstki.

- *Szabbat szalom, Emmo.*

Serce podskoczyło mi z radości. Cisnęłam patelnię do zlewu.

- Jakub! - wykrzyknęłam.

Za mną stał mój mąż. Z początku myślałam, że śnię. Zarzuciłam mu ramiona na szyję, prawie pewna, że obejmę powietrze, ale dotknęłam najprawdziwszego Jakuba, całego i zdrowego. Przytulii mnie do siebie. Przyłgnęłam do niego całym ciałem, bez końca całowałam czoło i policzki, powtarzając jego imię. Kilka minut później odsunął mnie odrobinę od siebie. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Marzyłam otej chwili tak często, że wprost nie mogłam uwierzyć w jej spełnienie. Jakub do mnie wrócił!

- Emmo... - Ujął moją twarz, przycisnął usta do moich ust.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś - powiedziałam, gdy wreszcie oderwaliśmy się od siebie. Zauważyłam, że choć wyglądał dość mizernie, to zarazem bardzo zmężniał. Nie był już tym nieledwie chłopcem, którego brałam za męża. - Tak dawno cię nie widziałam.

- Wybacz, ale...

- Wiem, kochany. - Położyłam mu palec na ustach. - Najważniejsze, że jesteś cały i zdrowy.

- Przyszedłem do ciebie - odrzekł poważnym tonem - ale...

- Ciii. - Zamknęłam mu usta pocałunkiem i bez słowa zaprowadziłam go do sypialni. Gdy tylko zamknęłam drzwi, znów zaczęłam go

całować. Nie przestałam ani wtedy, gdy ściągałam mu zdarty płaszcz i koszulę, ani gdy prowadziłam go do łóżka. Nasze ciała znów rozumiały się tak doskonale, jakby nie dzielił nas koszmarny czas rozłąki.

- Nawet nie zaproponowałam ci nic do picia

- zauważyłam znacznie później, gdy wyczerpani miłosnym szalem leżeliśmy w pościeli.

- Nie chce mi się pić. - Ponownie przyciągnął mnie do siebie.

Powróciły wyrzuty sumienia. W pierwszej chwili na jego widok zapomniałam o komendancie, zdradzie, moim podwójnym życiu, lecz teraz znów palił mnie wstyd. Kiedy ponownie ujrzałam nad sobą szczupły, wychudzony tors Jakuba, oczami wyobraźni widziałam inny, opalony, silny, atletyczny. Przemocą odpędziłam zdradziecką wizję. Czułam do siebie odrazę, że profanuję najcenniejsze chwile z ukochanym mężem wspomnieniem o nazistowskim kochanku. Zamknęłam oczy. Usiłowałam skupić uwagę wyłącznie na Jakubie, na jego pieściznach, lecz gdy namiętność powróciła, wyobraźnia znów podsunęła zakazany obraz. Wpadłam w popłoch. Podczas długiego współżycia z Georgiem nabrałam doświadczenia i śmiałości, dostosowałam się do jego skrytych pragnień i ujawniłam swoje. Stworzyliśmy nasz intymny erotyczny świat, w którym czuliśmy się wspólnie. Czy Jakub zauważy zmianę w moim zachowaniu? Gorączkowo usiłowałam sobie przypomnieć pierwsze małżeńskie noce, odtworzyć dawne nawyki. Krzyk rozkoszy wyrwał mnie z zamyślenia. Otworzyłam oczy. Jakub opadł na mnie bez sił, oszołomiony moją namiętnością, bezgranicznie szczęśliwy. Kamień spadł mi z serca. Nie

spozstrzegł, że trzymał w ramionach inną kobietę niż ta, którą żegnał, odchodząc w nieznane. Objął mnie mocno, nie otwierając oczu, mrucał z rozkoszy. Wkrótce zaczął oddychać wolniej, spokojniej, wreszcie zasnął. Ja nie. Leżałam na boku z szeroko otwartymi oczami. Chłonełam wzrokiem ukochaną twarz. Tak wiele zdążyłam zapamiętać: jego oddech, spojrzenie, cudowną harmonię dwojga zakochanych ciał. Każde z nas pokonało długą drogę. Ja przeszłam przez getto

i Wawel, natomiast wojenne ścieżki Jakuba znał chyba tylko Bóg.

Kilka godzin później obudził się i pozostałą część nocy spędziliśmy wtuleni w siebie, rozmawiając bez końca, jak za najlepszych czasów, tuż po ślubie. Opowiedział mi, że przebywał w lesie, kursował pomiędzy Warszawą, Łodzią, Lublinem i innymi polskimi miastami, koordynując działania i łagodząc spory pomiędzy różnymi frakcjami ruchu oporu.

- Jest oczywiście polskie podziemie, ale próby zjednoczenia Polaków i Żydów jak dotąd nie przyniosły efektu*¹⁵ - zakończył i pogładził mnie po policzku. - Na razie tyle o mnie, kolej na ciebie. Opowiedz mi, jak żyłaś, od kiedy cię opuściłem.

- Wkrótce po twoim odejściu poszłam do rodziców, ale ich nie zastałam - zaczęłam, niepewna, jak wiele mogę zdradzić ze swej wojennej przeszłości.

- I podążyłaś za nimi do getta - dokończył za mnie. Widać było, że

¹⁵ Uczestnictwo Żydów w konspiracji liczbowo przedstawia się skromnie, ogromna bowiem większość Żydów została zamknięta w gettach, natomiast ci, którzy się ukrywali, po zdemaskowaniu przez Niemców byli natychmiast mordowani, nie mogli więc opuścić swych kryjówek. Tylko ci, którzy mieli „niesemicki” wygląd, mogli zaryzykować działalność na zewnątrz, mając oczywiście fałszywe papiery, w tym metrykę chrztu, które polscy księża produkowali dla Żydów (przyp. red.).

cierpi na samo wspomnienie mojego pobytu za murami.

- Nie było tak źle - skłamałam. - Alek i inni szybko otoczyli mnie opieką.

- Poznałaś też Martę.

- Tak - mruknęłam z niechęcią. Niemalże widziałam w ciemnościach uśmiech Jakuba, gdy wymawiał jej imię. Ogarnęła mnie złość. Chociaż darzyłam moją przyjaciółkę wielką sympatią, aż skręcałam się z zazdrości, oczami wyobraźni widząc ją z Jakubem w łóżku.

- To jeszcze dziecko - uspokoił mnie, jakby czytał w moich myślach.

Uspokoiliam się w jednej chwili.

- Nawiązałam w getcie bardzo wiele przyjaźni - odparłam wymijająco.

- Mimo wszystko wiem, że nie było ci łatwo. - Dotknął wargami mojego czoła.

- A co z moimi rodzicami?

- O ile wiem, nadal przebywają w getcie. Próbowaliśmy wszelkich sposobów, ale starszych ludzi bardzo trudno stamtąd wydostać.

Chciałam go zapytać, jak można im pomóc, ale po namyśle zrezygnowałam. Nic bym nie wskórała, bo Jakub przemawiał w tym samym tonie, co Alek, używał tych samych argumentów. Spróbowałam więc okrężnej drogi.

- Słyszałam, że niektórzy uciekają przez granicę do Czechosłowacji - zasugerowałam.

- To bardzo ryzykowne. Trzeba mieć zaufanego przewodnika i

przejsć przez góry, a po drugiej stronie Słowacy bywają tak okrutni wobec Żydów, że Polaków w porównaniu z nimi można określić jako życzliwych.

- Ależ Polacy są nam życzliwi - zapewniłam żarliwie. - Popatrz tylko na Krysię.

- Są różni. Jedni dobrzy, jak ciocia Krysia, inni obojętni, jeszcze inni równie bezwzględni jak faszyci. Większość po prostu robi, co może, żeby przetrwać.

- Chyba tak... - Nigdy nie pogodziłam się z faktem, że nieżydowska część społeczeństwa tak szybko zapomniała o przedwojennych przyjaźniach z żydowskimi sąsiadami.

Usnęliśmy ponownie. Spaliśmy długo, rano znów się kochaliśmy. Krysia zostawiła nam kartkę, że idzie z Łukaszem na zakupy do miasta. Zauważyłam, że przygotowała śniadanie dla dwóch osób. Rozłożyłam chleb, ser i owoce na talerze.

- A więc Krysia wiedziała, że nas odwiedzisz?

- Tylko tyle, że istnieje taka możliwość.

Jakub wyciągnął z kredensu dwie szklanki i napełnił je wodą. Zanieśliśmy wszystko do salonu i usiedliśmy na podłodze przy kominku.

- Ile czasu ci zostało? - zapytałam.

- Muszę stąd wyjść o zachodzie słońca - odrzekł pomiędzy dwoma kęsami.

Z całego serca żałowałam, że dni są obecnie tak krótkie. Zmrok zapadał już po południu. Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu. W

głowie kotłowały mi się niezliczone pytania. Po długim wahaniu zadałam jedno z nich:

- Jak tu dotarłeś?

Jakub zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

- Co masz na myśli?

- Dlaczego właśnie teraz? - Upiłam łyk wody. - Tak długo cię nie widziałam, ani w getcie, ani później.

- Dopiero ostatnio wróciłem do Krakowa. Wcześniej kursowałem pomiędzy różnymi miastami.

- Ale to ty wrzuciłeś mi do kieszeni bursztyn przed paroma tygodniami na Starowiślniej, prawda?

- Tak. Byłem razem z Markiem w baraku nad Wisłą tuż przed twoim przyjściem. Nie odważyłem się pokazać Awiemu, ale później poszedłem w ślad za tobą. Pilnowałem, żebyś bez przeszkód dotarła do domu.

- A kiedy zobaczyłeś samochód gestapo, przewróciłeś mnie na ziemię, żebym nie wyszła za róg i nie wpadła im w ręce?

Skinął głową.

- Dziękuję. Ale nawet wtedy, gdy dałeś mi kamień, nie pokazałeś twarzy.

- Nie mogłem ryzykować.

- A teraz przyszedłeś wprost do domu. Co się zmieniło?

- Nic. Zagrożenie nie minęło, ale zdecydowałem popełnić to szaleństwo, ponieważ... - Urwał, odwrócił wzrok. - Wkrótce mogą zajść poważne zmiany.

- Co masz na myśli? Chyba nie... - Nie dokończyłam. Sama musiałam sobie odpowiedzieć na nurtujące mnie od dłuższego czasu pytania. Już wtedy, gdy przekazywałam hitlerowskie plany Markowi, podejrzewałam, że Alek i inni działacze ruchu oporu planują atak na Niemców. Chociaż nie potrafiłam przewidzieć, kiedy i w jaki sposób zrealizują swój zamysł, przeczucie mówiło mi, że sprawy przybrały poważny obrót. Wizyta Jakuba potwierdziła moje przypuszczenia. Odwiedził mnie, ponieważ nie był pewien, czy jeszcze kiedykolwiek mnie zobaczy.

- Nie! - krzyknęłam, odsunęłam talerz i porwałam go w objęcia.

- Ciii - próbował mnie uspokoić. Tulił mnie do siebie, głaskał po głowie, aż doznałam ukojenia. Wtedy posadził mnie na kolanach i ukołysał jak dziecko. - Pamiętasz historię Machabeusza?

Skinęłam głową.

- Co oznaczają cztery litery na drejdlu?

- *Nes gadol vaya sham* - wyrecytowałam hebrajską sentencję.

- Przetłumacz.

- Wydarzył się tu wielki cud.

- Właśnie. Gdy Machabeusz uratował Świątynię, kropla oliwy płonęła przez osiem nocy. Prawdziwy cud. My także żyjemy w epoce cudów. Wkrótce nastąpią niezwykle wydarzenia. Muszą. - Oczy mu błyszczały, płonął w nich ten sam ogień jak wtedy, gdy go poznałam, tylko jeszcze żywszy, jaśniejszy. Pojęłam, że to światło, które tak mnie w nim zachwyciło, to płomień wiary. Wierzył w słuszność swej sprawy, w Alka, w sens walki o wyzwolenie nie tylko Żydów, lecz i

całej Polski spod hitlerowskiej okupacji. Partyzantka uczyniła z niego prawdziwego bojownika.

- Jesteś taki dzielny - powiedziałam, ocierając łzy.

- Idziemy w ślady Machabeusza, Emmo. Ja, ty, Alek, Marta i pozostali.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować. Nie zasługiwałam na umieszczenie mnie w jednym szeregu z prawdziwymi bojownikami.

- Tak, Emmo, należysz do naszego grona. Wiem, jak wiele dla nas zrobiłaś, pracując w biurze Richwal-dera - przekonywał żarliwie.

Zamarłam z przerażenia. Czy znał całą prawdę o swojej żonie? Nie, chyba jednak nie.

- Uratowałaś i ochraniasz dziecko rabina - ciągnął. - Ty również jesteś prawdziwą bojowniczką.

- Krysia też - dodałam.

- Zwłaszcza ona.

Jak na zawołanie usłyszałam skrzypienie drzwi wejściowych. Wchodząc po schodach, Łukasz przez cały czas przemawiał do Krysi. Z jego wesołej paplaniny wywnioskowałam, że w drodze powrotnej zajrzeli nad staw z kaczkami. Krysia zastygła w bezruchu na ostatnim stopniu schodów. Na widok Jakuba zwilgotniały jej oczy. Przeniosła wzrok na Łukasza.

- Łukaszku, to mój kuzyn, Michał. - Podeszła do Jakuba, pocałowała go trzykrotnie w policzek, jak zwykła witać zaprzyjaźnione osoby.

Obydwoje bardzo się pilnowali, żeby nie okazać emocji przy dziecku. Łukasz obserwował ich powitanie z zaczerwienioną od

mrozu buzią i rozszerzonymi z zaciekawienia oczami.

- Cześć, Łukasz. - Jakub ukląkł i delikatnie uszczypnął go w rumiany policzek. Chociaż przemawiał do niego wesoło, dostrzegłam na dnie jego źrenic głęboki smutek. Najwyraźniej znał historię chłopca i tragiczny koniec jego rodziców.

- Wiedziałaś, że nas odwiedzi? - spytałam Krysię ponad ich głowami.

- Tak. Nie uprzedziłam cię, żeby oszczędzić ci rozczarowania, gdyby się nie udało.

- Rozumiem.

Nagle z ust Jakuba padły hebrajskie słowa.

- Przestań! - wrzasnęłam w popłochu. Musiałam go ostrzec, żeby nie przypominał dziecku tego języka. Taka lekkomyślność mogła nas drogo kosztować. Łukasz już raz pozdrowił po hebrajsku hitlerowskiego oficera. Cała trójka zwróciła ku mnie zdumione spojrzenia. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że niepotrzebnie podniosłam głos.

- Przepraszam, Jaku... Michale. Widzisz... - Zamilkłam. Nie wiedziałam, jak uświadomić mu niebezpieczeństwo, nie zdradzając, że mój przełożony odwiedził nas w domu. Żadne wiarygodne wyjaśnienie nie przyszło mi do skołataney głowy. Tak długo ukrywałam przed komendantem swoją prawdziwą tożsamość. Kiedy marzyłam o spotkaniu z Jakubem, nawet mi przez myśl nie przeszło, że i jego będę musiała okłamywać.

- Rozumiem. - Jakub wstał, podszedł do mnie, przytulił.

Choć doskonale pamiętałam, że nie wolno nam okazywać uczuć przy dziecku, tym razem zlekceważyłam środki ostrożności. Za bardzo potrzebowałam wsparcia. Dotyk Jakuba na chwilę przywrócił mi poczucie bezpieczeństwa. Poczułam przemożną potrzebę wyznania mu całej prawdy, łącznie z moją zdradą. Krysia powiedziała mi kiedyś, że na pewno zrozumiałby i wybaczył, lecz teraz posłała mi ostrzegawcze spojrzenie. Wyraźnie mówiło: „Milcz! Nie załamuj go teraz, gdy odchodzi w nieznane, w ciemność i chłód walczyć na śmierć i życie. Nie zrzucaj mu na barki ciężaru, który cię przygniata, tylko po to by ulżyć własnemu sumieniu”. Jak zwykle odgadła moje myśli, jak zwykle, choć bez słów, udzieliła mi bezcennej rady. Pojęłam, że bolesne zwierzenia wraz z prośbą o wybaczenie należy odłożyć na inne, bardziej sprzyjające czasy. Wyprostowałam plecy, odstąpiłam od Jakuba.

- Chodź, Łukaszku - powiedziałam. - Jesteś cały ubłocony, pora na kąpiel.

Z trudem oderwałam chłopca od fascynującego gościa. Mnie też szkoda było opuszczać Jakuba, ale byłam to winna Krysi. Również pragnęła porozmawiać z nim na osobności. Dała nam dużo czasu, byśmy mogli побыć z sobą we dwoje, choć tęskniła równie mocno jak ja. Zasługiwała na taką samą uprzejmość z mojej strony.

Kiedy prowadziłam Łukasza po schodach na górę, Jakub pokiwał mi ręką na pożegnanie zza pleców cioci.

Podczas wlewania wody do wanny zakreśliło mi się w głowie od nadmiaru wrażeń. Dopiero teraz w pełni dotarły do mojej świadomości.

mości wydarzenia ostatnich godzin. Jakub jeszcze tu był, lecz zaraz odejdzie w nieznane. Kiedy myłam Łukaszowi głowę, z dołu dotarły przyciszone odgłosy sprzeczki. Nie ulegało wątpliwości, że tych dwoje miało odmienne zdanie na temat planowanych posunięć ruchu oporu. Bez większych wyrzutów sumienia nastawiłam uszu. Chodziło przecież o przyszłość, być może nawet o życie mojego męża. Jednak nic więcej nie usłyszałam.

Wytarłam Łukasza, położyłam go do łóżka na popołudniową drzemkę, następnie wróciłam do salonu. Na mój widok Krysia i Jakub zamilkli w pół słowa. Wiele bym dała, żeby odkryć, jaką to straszną tajemnicę chowają w swych dzielnych sercach. Było mi trochę przykro, że po wielu miesiącach współpracy, po tym, jak zdobyłam dla nich bezcenne informacje, bez żadnych skrupułów odsunęli mnie na boczny tor.

Na widok ciemności za oknem zapomniałam o wszelkich urazach. Minęło dopiero wpół do piątej, lecz zmrok już zapadał. Nadeszła pora rozstania. Krysia podążyła za moim spojrzeniem.

- Ja też powinnam wziąć kąpiel - powiedziała pośpiesznie. - Zapakowałam ci do koszyka trochę jedzenia i ciepłe ubrania, Jakubie. Stoi na stole. Życzę ci szczęścia, kochany. Niech Bóg ma cię w opiece. - Teraz, gdy Łukasz nie mógł ich zobaczyć, nie ukrywała już uczuć i zarzuciła mu ręce na szyję. Później opuściła pokój z mokrymi od łez policzkami.

Zostaliśmy sami. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, zakłopotani jak na pierwszej randce.

- Całe szczęście dla niej, że tu zamieszkałaś
- stwierdził w końcu Jakub.
- Miło mi to słyszeć. Myślałam, że jestem dla niej ciężarem.
- Absolutnie nie.

Znów zapadła kłopotliwa cisza. Zamrugałam kilkakrotnie, żeby się przy nim nie rozplakać. Potrzebował silnej, odważnej żony. Otoczył mnie ramionami, wtulił twarz we włosy.

- Wrócę do ciebie, Emmo. Cokolwiek się stanie, wkrótce będziemy razem.

- Ja jestem zawsze przy tobie - odrzekłam. Skinął głową, pocałował mnie namiętnie. Gdy skończył, nadal zaciskałam powieki, żeby na zawsze zachować tę chwilę w pamięci. Kiedy otworzyłam oczy, był już w połowie schodów. Zaraz potem usłyszałam tupot ciężkich butów w przedpokoju, następnie odgłos otwierania i zamykania drzwi. Podbiegłam do okna, lecz mój mąż zniknął bez śladu.

Wróciłam w to miejsce, gdzie mnie tulił. Wciągnęłam powietrze w nadziei, że pochwycę ślad jego zapachu. Nagle poczułam chłód. Przez kilka godzin byłam sobą, Emmą, teraz wracałam do fałszywej postaci Anny, dziewczyny komendanta.

Kilka minut później Krysia zeszła na dół w szlafroku, z mokrymi włosami. Przystanęła przy mnie.

- Poszedł.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ktoś zastukał do drzwi.

- Jakub! - wykrzyknęłam. Popędziłam na łeb, na szyję po schodach,

pewna, że coś zostawił albo postanowił zostać na noc.

- Zaczekaj, Emmo! - krzyknęła za mną Krysia. - On nie...

Za późno. Zdążyłam już dopaść do drzwi, szarpnąć za klamkę.

- Myślałam, że... - Zamilkłam w połowie zdania. Stałam twarzą w twarz z dwoma gestapowcami.

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Patrzyłam na nich bez słowa. Strach odebrał mi mowę. Czy przyszli po Jakuba? Czy go widzieli? Nie mógł jeszcze odejść daleko.

- Dobry wieczór - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło, gdy wreszcie odzyskałam głos.

- Oczekiwała pani kogoś? - zapytał jeden z nich.

Gorączkowo szukałam wiarygodnego kłamstwa.

- Nasz ogrodnik, Ryszard, obiecał podrzucić parę rzeczy - powiedziała Krysia za moimi plecami. Zeszła ze schodów, nadal w nocnej koszuli i szlafroku. Minęła mnie, otworzyła szerzej drzwi i wyciągnęła rękę. - Nazywam się Krystyna Smok.

- Porucznik Hoffman - odrzekł starszy, wysoki oficer w okularach, ściskając jej rękę. Później wskazał niższego, krępego towarzysza. - A to sierżant Braun.

- Zechcą panowie wejść do środka? - zapytała Krysia tak miło, jakby zapraszała przyjaciół na herbatę.

Zamknawszy za nimi drzwi, posłałam Krysi pytające spojrzenie.

- Proszę na górę, tam jest cieplej.

Dopiero wtedy pojęłam, że gra na zwłokę, aby umożliwić Jakubowi ucieczkę. Podziwiałam jej talent aktorski. To ona, nie ja, powinna zostać szpiegiem w głównej kwaterze hitlerowców. Podążyłam za nimi. Krysia zaprosiła przybyszów do salonu.

- Zaparzysz herbaty, kochanie? - poprosiła mnie słodkim jak miód, lecz stanowczym tonem.

Nie miałam ochoty zostawiać jej samej z gestapowcami, ale nie dała mi wyboru. Czemu przyszli właśnie teraz, czego chcą? - myślałam gorączkowo, czekając, aż woda się zagotuje.

Kilka minut później wniosłam tacę do salonu, postawiłam ją na niskim stoliku przy sofie i nalałam wrzątku do szklanek. Z wielkim trudem opanowałam przy tym drżenie rąk. Ukradkiem obserwowałam oficerów. Porucznik Hoffman oglądał przy kominku fotografię Marcina. Doskonale pamiętałam, jak bardzo żałowałam, że Krysia wyniosła gdzieś zdjęcie mojego męża, lecz teraz doceniłam jej przezorność. Ukradkiem rozejrzałam się po pokoju, czy Jakub nie zostawił jakichś śladów, ale niczego nie wykryłam.

Sierżant Braun wyjrzał przez okno na Las Wolski. Rzuciłam Krysi niespokojne spojrzenie. Czy możliwe, żeby dostrzegł w ciemności uciekającego Jakuba?

- Panowie, herbata gotowa - zachęcała Krysia.

Gestapowcy niechętnie, z ociąganiem usiedli naprzeciwko nas. Krysia podsunęła im filiżanki.

- Proszę wybaczyć mój nieodpowiedni strój. Przykro mi też, że używamy codziennej zastawy, ale nie przywykliśmy do niezapowiedzianych wizyt, zwłaszcza tak ważnych gości - przeprosiła, z wyraźnym akcentem na słowie „niezapowiedzianych”.

- Przepraszamy za to nagle najście, ale właśnie...

- zaczął tłumaczyć Hoffman, niczym skarcony uczeń.

- Nonsens! - ryknął Braun. - Gestapo nie czeka na zaproszenie, nie anonsuje wizyt!

Jego oburzona mina i wściekły ton przypominały mi zachowanie generała Ludwiga podczas pamiętnego przyjęcia.

- Oczywiście - zgodziła się Krysia uprzejmie.

- Nasz dom zawsze stoi dla panów otworem. Co was tu sprowadza w ten chłodny wieczór? - spytała niespiesznie, żeby zyskać na czasie.

- Otrzymaliśmy informacje, że w tym rejonie, na wzgórzach za lasem, przebywają zbiegowie - oświadczył Hoffman. Chodziło oczywiście o działaczy ruchu oporu, lecz celowo użył pogardliwego określenia.

- Tutaj? W Lesie Wolskim? - zdumiała się Krysia tak szczerze, że i mnie prawie przekonała o swej niewiedzy.

- Nikogo pani nie widziała?

- Na pewno nie. O tej porze roku nie chodzimy na wycieczki do lasu.

- Oczywiście - powtórzył z sarkazmem Braun. - Nie miała pani ostatnio wiadomości od siostrzeńca?

Zapadło kłopotliwe milczenie. Słyszałam w tej ciszy swój przyspieszony oddech. Miałam tylko nadzieję, że gestapowcy nie zauważyli mojego zdenerwowania.

- Mam kilku siostrzeńców - odparła Krysia. - O którego panom chodzi?

- Ze strony męża ma pani tylko jednego, Jakuba Baua.

Krew zastygła mi w żyłach. Wiedzieli o Jakubie.

- Ach tak, ten Jakub, siostrzeniec Marcina - powtórzyła Krysia, jakby z trudem go sobie przypominała.

- Tak! - Braun wyraźnie zaczynał tracić cierpliwość.

- Czy zrobił coś niestosownego?

Braun milczał przez chwilę, coraz bardziej wściekły z powodu jej nonszalanckiego stosunku do sprawy.

- Już przed wojną publikował kłamliwe artykuły na temat Rzeszy, a po wybuchu wojny gdzieś zniknął. Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

- Ten chłopak zawsze szukał guza - stwierdziła Krysia lekkim tonem, jakby rozmawiali o małym urwisie.

- To nie są szczeniackie figle! - Braun groźnie zmarszczył brwi. - Mówimy o zdradzie stanu.

- Ach, oczywiście. - Krysia nagle spoważniała, jak gdyby dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. - Rozumiem, ale nie widziałam Jakuba od lat. Przed wojną parę razy spotkałam go w mieście - kłamała jak z nut. - Widzicie, panowie, po śmierci męża prawie straciłam kontakt z jego rodziną, a odkąd się tu przeprowadziłam, rzadko ktoś mnie odwiedza. - Ostatnią uwagę skierowała do Hoffmana.

- Dziwne. Znana jest pani z gościnności, mieszka w pięknym domu - zauważył porucznik.

- Jaki pan miły! - Krysia kokieteryjnie przekrzywiła głowę, odgarnęła włosy z twarzy.

Jej taktyka odnosiła doskonały skutek tylko w wypadku porucznika, sierżant Braun bowiem pozostał niewzruszony.

- Co to za szopa na podwórzu? Co pani w niej trzyma? - zapytał.

- Nic - odrzekła pośpiesznie Krysia. - Odkąd pamiętam, nikt jej nie używał.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy do niej zajrzeli? - Braun zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

Krysia nie od razu odpowiedziała. Dostrzegłam strach w jej oczach. Pewnie zastanawiała się, czy Jakub uciekł, czy się tam ukrywa.

- Zamek jest bardzo stary, nie wiem, czy znajdę klucz - odparła w końcu, patrząc sierżantowi prosto w oczy.

- Zardzewiały zamek można bez trudu wyłamać
- nie dawał za wygraną Braun.

- Dobrze, pójdę tam z panami, tylko proszę dać mi chwilę na przebranie. - Powoli ruszyła ku schodom. Kątem oka dostrzegłam nad jej górną wargą kropelki potu.

Siedziałam bez ruchu. Truchlałam ze strachu w przewidywaniu kolejnych, trudnych pytań, lecz oni nie zadali żadnego. Okrążyli pokój jeszcze raz, obejrzeliby fotografie i inne przedmioty. Braun uderzył w klawisze fortepianu wyjątkowo niezgrabnie. Od razu widać było, że nigdy wcześniej nie grał. Tkwiłam tam bezradna i przerażona, podczas gdy oni szperali w naszych rzeczach, wtykali nos w prywatne sprawy. Czulałam się bardziej sponiewierana niż w najbardziej upokarzających momentach z komendantem. Przemknęło mi przez głowę, czy nie warto byłoby wspomnieć, że dla niego pracuję. Może zostawiliby nas w spokoju. Po krótkim namyśle odrzuciłam ten pomysł. Gdyby doszło do konfrontacji, mogłyby wyjść na jaw moje

powiązania z Jakubem i wtedy naraziłabym wszystkich.

Kilka minut później Krysia zeszła na dół w tej samej sukience, którą miała na sobie podczas odwiedzin mojego męża. Gdy mnie mijała, wyczułam na niej nikły ślad jego zapachu.

Uciekaj, uciekaj, Jakubie, jak najdalej, w bezpieczne miejsce - błagałam w myślach.

- Gotowi? - spytała Krysia beztrąsko, jakby zabierała przyjaciół na piknik.

Zeszliśmy wszyscy na dół. Krysia otworzyła drzwi wejściowe, lecz zanim zdążyliśmy przekroczyć próg, naprzeciwko nas stanął kolejny gestapowiec.

- Miałeś siedzieć w samochodzie! - ofuknął go Braun.

- Wszystko w porządku - przerwał mu Hoffman.

- O co chodzi, Klopp?

- Zostaliśmy wezwani do głównej kwatery w bardzo pilnej sprawie.

Braun zerknął na szopę na podwórzu.

- To nam zajmie najwyżej minutę.

- Przykro mi, ale otrzymałem wyraźny rozkaz, żeby natychmiast wracać.

- Wygląda na to, że dzisiaj pani drzwi nie ucierpią

- zwrócił się Hoffman do Krysi. - Dziękujemy za współpracę.

Trzej mężczyźni znikli w ciemności, Krysia zamknęła za nimi drzwi. Chwilę później usłyszałyśmy warkot silnika. Kiedy ucichł w oddali, odetchnęłam głęboko.

- Niewiele brakowało - westchnęłam.

Kryścia nie odpowiedziała. Z poszarzałą twarzą opadła na najniższy stopień schodów, przyciskając rękę do piersi. Uklękałam przy niej. Zawsze była silna i dzielna, niemalże zapomniałam, że dobiega siedemdziesiątki. Nagłe wtargnięcie gestapo odebrało jej siły.

- Co z tobą, Kryściu?

- Wszystko w porządku - wyszeptała prawie bezgłośnie.

- Chodźmy na górę. - Objęłam ją ramieniem, pomogłam wstać. Powoli weszliśmy po schodach do kuchni. Ledwie posadziłam ją na krześle, z piętra dobiegi płacz Łukasza.

- Zaczekaj tutaj - powiedziałam.

Łukasz stał w łóżeczku z mokrą od łez, czerwoną od płaczu buzią. Wzięłam go na ręce i przytuliłam do piersi, wdzięczna, że nie zapłakał kilka minut wcześniej, i zaniiosłam go do kuchni. Kryścia siedziała bez ruchu w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłam. Posadziłam jej Łukasza na kolanach.

- Chcesz herbaty? - zapytałam.

- Nie. - Energicznie potrząsnęła głową. - Wódki!

Przypomniałam sobie pełną butelkę na najniższej półce lodówki. Wlałam po trochu do dwóch kieliszków, dorzuciłam po kostce lodu. Nappełniłam jeszcze małą filiżankę mlekiem dla Łukasza. Gdy wróciłam, chłopiec zszedł z kolan Kryści, żeby napić się na podłodze. Kryścia zaczęła oddychać spokojniej, na jej twarz powrócił rumieniec.

- Już lepiej? - spytałam.

- Tak. Przepraszam, ale zdarza się, że w chwilach zdenerwowania czuję dławienie w piersiach.

- To na pewno serce, Krysiu. Powinnaś wezwać lekarza.

- Nawet jeśli jakiegoś znajdę, w niczym mi nie pomoże. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Już otwierałam usta, ale zaraz je zamknęłam. Chociaż bałam się o jej życie, wiedziałam, że nie ulegnie moim namowom.

- Dobrze chociaż, że sobie poszli - mruknęłam.

- Na razie. Coś mi mówi, że wkrótce wrócą.

- Całe szczęście, że ich odwołali.

Krysią posłała mi rozbawione spojrzenie. Kąciki jej ust rozciągnął nieznaczny uśmiezek.

- Naprawdę sądzisz, że pomógł nam przypadek?

Dopiero w tym momencie uprzytomniłam sobie, że przebieranie zajęło jej sporo czasu. Nagle skojarzyłam, że kiedyś na dnie szafy widziałam ukrytą radiostację.

- Coś ty zrobiła?

- Powiedzmy, że zostali omyłkowo wezwani do jednostki.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jakich kontaktów i sposobów użyła, żeby sfabrykować na oczekaniu tego rodzaju „pomyłkę”.

- Podejrzewałaś, że Jakub ukrył się w szopie?

- Skądże. Zdażył uciec przed nadejściem gestapo. Muszę jednak jak najszybciej poprosić działaczy ruchu oporu, żeby... zabrali swoje rzeczy, zanim dojdzie do rewizji.

- Myślisz, że znów przyjdą?

- Omotałam wprawdzie Hoffmana...

- O tak, uwodziłaś go z wielkim talentem - wtrąciłam.

- Sądziłam, że już całkiem zardzewiała, ale niektórych umiejętności człowiek nie zapomina do końca życia - stwierdziła ze śmiechem. - Jednak nie rozproszyłam podejrzeń Brauna. To uparty drań, zawzięty jak bulterier.

Skinęłam głową. Byłam tego samego zdania. Poznałam już ten typ.

- Grunt, że Łukasz siedział cicho. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

Chłopczyk uśmiechnął się na dźwięk swego imienia, natomiast mnie jej słowa załamały. Kompletnie zdruzgotana, oparłam się bezwładnie o poręcz krzesła. Gestapo przyszło po Jakuba. Niewiele brakowało, a wszyscy zostalibyśmy aresztowani. Największym wysiłkiem woli zmobilizowałam resztki sił. Nie stać mnie było na rozpacz. Tym razem to Krysia potrzebowała mojego wsparcia. Upiłam łyk wódki, z trudem powstrzymując grymas niesmaku.

- Przez chwilę rozważałam, czy gdybym wspomniała o swojej pracy dla komendanta, zostawiliby nas w spokoju.

- Dobrze, że tego nie zrobiłaś. Lepiej, żeby nie znał twoich powiązań z Jakubem, nawet w złagodzonej wersji, to znaczy że oboje jesteście ze mną spokrewnieni. - Zamilkła, dopiła wódkę. - Pozostaje jeszcze problem, co zrobić z dzieckiem.

- Co masz na myśli?

- Jeżeli zobaczą go następnym razem, zaczną zadawać pytania.

- Dzisiaj był spokojny.

- To nie takie proste, Aniu. Myślisz, że gestapo przypadkiem wtargnęło do domu akurat po wizycie Jakuba? Nie, na pewno nie. Ktoś dostarczył im informacji.

- Kto?

- Niektórzy sąsiedzi kolaborują z Niemcami. Mógł też donieść na nas ten nieznany zdrajca, który wszedł w struktury podziemia. Nie wykluczone, że zna też waszą prawdziwą tożsamość. Odkąd dowiedziałam się o przeciekach, dręczy mnie niepokój

o ciebie i o Łukasza. Nie jest już u nas bezpieczny.

- Tylko nie to! - Porwałam dziecko na ręce. - Nie po to z takim trudem go do siebie przyzwyczaiłyśmy, żeby znów oddać obcym ludziom.

- Prawdopodobnie nie będziemy miały innego wyjścia. Trzeba zrobić wszystko, żeby utrzymać go przy życiu.

- Ale... - Wstałam, nadal tuląc Łukasza do siebie.

- Wiem, jak bardzo jesteś do niego przywiązana. Ja też, ale to nie nasze dziecko. Nikt nam nie obiecywał, że zostanie z nami na zawsze.

Nie odpowiedziałam, tylko wtuliłam twarz w jasne loczki chłopca.

- Dokąd pójdzie? - szepnęłam w końcu.

- Trudno powiedzieć. Niełatwo będzie znaleźć dla niego bardziej bezpieczne miejsce niż mój dom. Na razie nie powiem o tym nikomu z organizacji, ale musisz brać taką możliwość, że kiedyś go utracisz.

- Może mogłabym... - Chciałam poprosić komendanta, żeby rozkazał gestapowcom zostawić nas w spokoju, ale zrezygnowałam. Uświadomiłam sobie, że przecież nie jest naszym przyjacielem.

Zwróciłabym tylko jego uwagę na powiązania Krysi z ruchem oporu.

- Nie, to bez sensu - mruknęłam.

- Daj mi Łukasza, położę go do łóżka- Odstawiła kieliszek, wstała, wyciągnęła ku mnie ramiona. Jeszcze nie ochłonęła po wtargnięciu gestapo. Nie stała pewnie na nogach. W krótkim czasie przeżyła tak wiele, że zupełnie opadła z sił.

- Nie. - Odwróciłam się do niej plecami. Ogarnął mnie irracjonalny lęk, że jeśli pozwolę jej zabrać chłopca, więcej go nie zobaczę.

- Proszę cię, Aniu. - Podeszła bliżej, ale odstałam o krok. Ona za mną. W zdenerwowaniu nie zauważyła filiżanki, którą Łukasz zostawił na podłodze. Stanęła na nią, wylała mleko i straciła równowagę. Widziałam niczym na filmie w zwolnionym tempie, jak upadła do tyłu na twarde deski. Podbiegłam do niej z dzieckiem na ręku.

- Nic ci nie jest?

- Nie - wykrztusiła po dość długim milczeniu, kompletnie roztrzęsiona.

Czułam, że nawet jeśli nie doznała obrażeń, jej duma mocno ucierpiała. Pochyliłam się, żeby pomóc jej wstać, ale zignorowała wyciągniętą rękę. Podniosła się powoli o własnych siłach. Było mi wstyd, że potraktowałam najbliższą przyjaciółkę i opiekunkę jak przeciwnika. Krysia odebrała ode mnie Łukasza.

- Cóż, w czasie wojny nikt naprawdę nie jest sobą
- zauważyła.

Nagle przypomniałam sobie wszystko, co powiedział Jakub. Ogarnął mnie potworny lęk, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

- Muszę się spotkać z Alkiem - oświadczyłam twardo jakby cudzym głosem. Słowa popłynęły z moich ust bezwiednie, wbrew mojej woli.

- To niemożliwe. Nie zapominaj, że zaostrzyli rygory, działają teraz w jeszcze większej konspiracji.

- Bardzo mi na tym zależy. Z pewnością istnieje jakiś sposób. Jeśli mi nie pomożesz, sama go znajdę

- odparłam zdecydowanie.

- No dobrze - odpowiedziała Krysia po chwili wahania. - Przekażę mu, że chcesz go zobaczyć w najbliższy wtorek.

Wolałabym szybciej wprowadzić swój zamiar w czyn, nie nalegałam jednak. Nawet Krysia nie miała nieograniczonych możliwości.

- Dziękuję. Tylko koniecznie załatw mi spotkanie z samym Alkiem - poprosiłam na koniec.

- Wiem, Aniu, jak bardzo się martwisz, ale ich nie powstrzymasz. Zrobią to, co uznają za konieczne

- ostrzegła.

Zrezygnowałam z dalszej dyskusji. Ufała przywódcom bezgranicznie, podobnie jak Marta. Rok wcześniej pewnie myślałabym tak samo jak one, lecz zbyt wiele widziałam w tym czasie, by teraz czekać beczynnienie na rozwój wypadków. Uważałam zbrojny atak na wroga za czyn samobójczy. Postanowiłam zrobić wszystko, żeby zapobiec katastrofie.

Przez następnych kilka dni czas płynął nieskończenie wolno. We wtorek po pracy popędziłam do kawiarni, w której wcześniej spotykałam się z Alkiem

i innymi kolegami. W środku nie zastałam nikogo prócz jakiejś pary, palącej papierosy przy stoliku w kącie. Pełna obaw, że przyszłam za wcześnie lub że Alek zrezygnował, usiadłam przy jednym z wolnych stolików i tak spokojnie, jak potrafiłam, zamówiłam szklanę herbaty. Kilka minut później nadszedł Alek. Pocałowałam go na powitanie w zziębnięty policzek.

- Dawno cię nie widziałem. - Usiadł, skinął na kelnerkę i zamówił kawę.

- To prawda. Czy Marek przekazał ci moją przesyłkę?

- Bardzo nam pomogłaś. Tego właśnie szukaliśmy. Masz coś nowego? - spytał niecierpliwie, gdy tylko kelnerka wróciła na zaplecze.

- Przykro mi, ale nie. - Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że go oszukałam. Z pewnością odczytał moje pilne wezwanie jako znak, że zdobyłam jakieś ważne informacje. Było mi wstyd, że świadomie wprowadziłam go w błąd, ale inaczej nie zgodziłby się na spotkanie.

- Więc po co zawracasz mi głowę? A może coś ci grozi? Ktoś cię rozszyfrował?

- Nie, ale... chciałabym cię ostrzec, żebyście nie popełnili jakiegoś szaleństwa.

Uderzył ręką w stół, aż podskoczyły naczynia. Para przy stoliku po drugiej stronie sali odwróciła ku nam głowy.

- Żałuję, że pozwoliłem Jakubowi na odwiedzinę

- wycedził przez zaciśnięte zęby, wściekły jak nigdy dotąd.

Jego gwałtowna reakcja zupełnie zbiła mnie z tropu.

- Nic mi nie powiedział. Sama odgadłam.

- Co takiego? - nalegał.

- Że planujecie coś bardzo niebezpiecznego.

- Na wojnie nie istnieją gwarancje bezpieczeństwa, Emmo. Każde działanie niesie z sobą ryzyko, tak samo jak umieszczenie cię w biurze komendanta, ukrywanie Łukasza czy wysyłanie partyzantów do lasu. Nasi bojownicy cierpią i giną, nie bacząc na zagrożenie czy niewygodę.

Podczas całego przemówienia oczy Alka płonęły gniewem. Nie na mnie, lecz na zło, z którym przyszło mu walczyć. Rozpoznałam ten sam płomień, który widziałam trzy dni wcześniej w oczach Jakuba: płomień wiary. Łączyła ich ta sama namiętność, ta sama determinacja. Pojęłam, że żadne argumenty nie zmienią ich decyzji, choć nadal nie dawałam za wygraną.

- Ale...

Alek powstrzymał mnie ruchem ręki. ;

- To nie twoja sprawa.

Tym razem ja wpadłam w gniew.

- Co znaczy nie moja?! - Ze zdenerwowania podniosłam głos, aż kobieta z naprzeciwka obróciła ku nam głowę. - Ryzykowałam dla was życie, opuściłam rodziców, sprofanowałam przysięgę małżeńską. To nie tylko moja sprawa, to moje prawo, by wiedzieć i móc wyrazić swoją opinię - dokończyłam ciszej.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu przez dość długi czas.

- Zmieniłaś się, stwardniałaś - zauważył Alek z nutą uznania w głosie. - A więc co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego właśnie teraz.
- Naszym ludziom zagraża wielkie niebezpieczeństwo.
- Wiem, getto...
- Nie, obóz! Słyszałaś o Auschwitz, prawda? - dodał na widok mojej zdumionej miny.
- Tak, to obóz pracy - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło. Nie zapomniałam przerażonego spojrzenia komendanta po wizytacji w Auschwitz.
- Wierutne kłamstwo. Faszyci rozpowszechniają taką wersję, ale naprawdę wywożą tam ludzi na śmierć. Każdego dnia trują gazem tysiące Żydów, a zwłoki palą w piecach. Wkrótce przestanie istnieć zarówno getto, jak i obozy pracy. Pozostanie tylko Auschwitz, Bełżec i inne obozy zagłady. Niemcy nie zaprzestaną tych zbrodni, póki nie zamienią ostatniego Żyda w popiół i dym.
- Nie, to niemożliwe... - Odwróciłam głowę. Zrobiło mi się słabo, poczułam mdłości. Trudno mi było przyjąć do wiadomości tak potworną prawdę, chociaż nie miałam powodu, by wątpić w szczerść Alka. Do tej pory uważałam, że Niemcy zamierzają zniewolić nasz naród, lecz teraz wreszcie pojęłam, że chcą go wymordować do ostatniego człowieka.
- Naszym zdaniem nadszedł krytyczny moment - tłumaczył dalej Alek. - Niemcom odwraca się karta, zaczynają przegrywać na froncie, dlatego zaostrzyli represje. Z dostarczonego przez ciebie raportu wynika, że wkrótce zlikwidują krakowskie getto, a wszystkich jego mieszkańców wyślą do obozów zagłady. Sama więc widzisz, że na-

leży zacząć działać jak najszybciej.

- Tak - potwierdziłam słabym głosem. Nie śmiałam prowadzić dalszej dyskusji. Mimo niepokoju o Jakuba, przyznałam Alkowi rację.

- W porządku, Emmo. Jeszcze jedno. Chodzi o Richwaldera - dodał na widok mojej zdziwionej miny. - Interesowała cię jego przeszłość, historia jego żony.

Skinęłam głową. Przypuszczałam, że słyszał o tym od Krysi.

- Do tej pory uważałem, że im mniej będziesz wiedzieć, tym łatwiej ci będzie dla niego pracować...

- Przerwał. - Ale ponieważ trudno powiedzieć, jak długo będziemy mogli się jeszcze widywać, zależy mi na tym, żebyś poznała całą prawdę. Jego żona miała na imię Margot.

- Wiem.

- Ale nie znasz jej panieńskiego nazwiska, Rosenthal. Jej ojciec był Żydem.

Moje zdumienie nie znało granic.

- Kiedy wybuchła wojna, Richwalder sądził, że uda mu się utrzymać ten fakt w tajemnicy, lecz wkrótce po tym, jak otrzymał wysokie stanowisko w Ministerstwie Obrony, jego teścia, aktywistę Partii Komunistycznej, aresztowano i zesłano do obozu w Bergen-Belsen. Margot błagała męża, żeby go ratował, ale odmówił, bo nie chciał narażać żony... czy też swojej bezcennej kariery, bowiem jego interwencja zwróciłaby uwagę faszystowskich władz na jej pochodzenie. Friedrich Rosenthal został rozstrzelany. Kiedy następnego dnia Ri-

chwalder wrócił do domu, zastał żonę martwą w małżeńskim łóżu. Strzeliła sobie w głowę z jego rewolweru. Była w szóstym miesiącu ciąży.

- O nie! - jęknęłam. Żołądek podszedł mi do gardła. Dalsze słowa Alka niemalże zagłuszył szum pulsującej szybko w moich żyłach krwi.

- Teraz rozumiesz, dlaczego zatailiśmy przed tobą jego życiorys, Emmo, lecz niezależnie od tego, co czujesz, musisz dalej grać swoją rolę. Życie wielu ludzi zależy wyłącznie od ciebie.

Siedziałam jak skamieniała, niezdolna do żadnego ruchu, oniemiała ze zgrozy. Alek wstał.

- Przepraszam, muszę już iść - oświadczył, rzucając kilka monet na stół.

- Kiedy znów zobaczę któregoś z was?

- Nie trać wiary, Emmo. - Położył mi rękę na ramieniu. - Wielki prezydent Stanów Zjednoczonych, Abraham Lincoln, powiedział: „I to kiedyś przeminie”. Wierzę, że nastanie taki dzień, gdy otwarcie usiądę z tobą i pozostałymi przyjaciółmi na tarasie kawiarni i przy piwie będziemy wspominać dawne czasy.

Kiedy wypowiadał słowa otuchy, widziałam w jego oczach powątpiewanie, czy ta wymarzona chwila kiedykolwiek nadejdzie. Ale nie lęk. Był gotów na wszystko. Przeraziła mnie ta jego odwaga. Uścisnęłam mu rękę.

- Niech cię Bóg błogosławi, Alku. Dziękuję.

Odwrócił się i odszedł bez słowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Stanisław przywiózł mnie pod dom komendanta. Gdy odjechał,ostałam jeszcze trochę na ośnieżonym chodniku. Był koniec grudnia, szósta wieczorem. Śnieg przestał padać. Biały puch pokrywał grubą warstwą ziemię. Nabrałam pełną garść, przyłożyłam do twarzy, żeby ochłodzić policzek. Wciągnęłam głęboko wilgotne powietrze. W mieście panowała cisza. Minęły trzy tygodnie od spotkania z Alkiem. Z początku nie wyobrażałam sobie, że potrafię dalej odgrywać swoją rolę przy komendancie po tym, co usłyszałam o jego przeszłości, o planach wobec Żydów i przewidywanej akcji powstańczej.

Jako młoda dziewczyna czytałam powieść, której bohater potrafił przewidzieć przyszłość. Gdy wspomniałam ojcu, że zazdroszczę mu tego daru, zdecydowanie pokręcił głową.

- Najlepsze w życiu jest to, co nieprzewidywalne
- odrzekł. - Póki nie wiemy, co nas czeka, kto wyjdzie nam naprzeciw z za najbliższego rogu, nie tracimy nadziei. Wiedza o przyszłości bez wpływu na bieg wydarzeń to przekleństwo.

Prawdziwe przekleństwo, powtórzyłam w myślach, strzepując z rękawiczki resztkę śniegu i podążyłam ku wejściu do kamienicy. Po rozmowie z Alkiem z wielkim trudem przełamalam wewnętrzne opory, żeby powrócić do pracy na Wawelu, lecz nie miałam innego wyjścia. Nadal zachowywałam pozory, zmienił się tylko mój stosunek

do szefa. Przestałam chować głowę w piasek, spojrzałam prawdzie w oczy, choć oczywiście w biurze starannie ukrywałam prawdziwe uczucia. Na szczęście rozliczne obowiązki nie zostawiały mu czasu na życie prywatne, dzięki czemu uniknęłam kolejnych zaproszeń, lecz tego dnia szef przerwał dyktowanie jakiegoś pisma w połowie zdania i wyjął mi z ręki notes.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- Słucham, panie komendancie?

- Coś nie tak, Anno?

Wszystko! - miałam ochotę wykrzyczeć mu w twarz. Zakładasz obozy zagłady dla Żydów, więzisz moich rodziców w getcie, pozwoliłeś zamordować swojego teścia, a przy pierwszej okazji kazałbyś zabić Jakuba, gdybyś tylko dostał go w swoje ręce. Potwory z twojego gestapo prześladują nas w domu i przez nich będziemy musiały oddać Łukasza w obce ręce.

Ze zrozumiałych względów nie wypowiedziałam żadnej z tych myśli.

- Nie, wszystko w porządku, panie komendancie.

Przykrył moją dłoń swoją. Patrzyłam na nią z odrazą. Wyrządziła tak wiele zła.

- Odnoszę wrażenie, że jesteś ostatnio trochę roztargniona. To do ciebie niepodobne.

- Nie, wszystko dobrze - zapewniłam pospiesznie jeszcze raz.

- Na pewno? - Popatrzył mi natrętnie w oczy, jakby szukał prawdy na dnie źrenic.

- Tak. - Zamilkłam, szukając jakiegoś sensownego usprawiedliwienia. - Może trochę rozpraszają mnie przygotowania do świąt.

- Pewnie tak - zgodził się bez przekonania. Przytrzymał moją dłoń jeszcze przez chwilę, potem ją puścił. - To na razie wszystko.

Odetchnęłam z ulgą, że zaraz umknę z zasięgu jego wzroku, lecz zanim zdążyłam odejść, delikatnie ujął moje ramię.

- Czy możemy się spotkać dziś wieczorem?

Zaskoczył mnie. Miałam nadzieję, że nawał zajęć każe mu zapomnieć o romansach. Kiedy podniosłam wzrok, dostrzegłam w jego oczach bezmiar czułości. W pierwszej chwili poczułam ciepło w okolicy serca. Pożałowałam, że nie spotkałam go w innym miejscu i czasie. Gdybym nie była mężatką, a on hitlerowcem, stworzylibyśmy szczęśliwy związek. „A gdyby marzenia były końmi, każdy żebrak jeździłby wierzchem”, przypomniałam sobie ulubione porzekadło mamy. Święta prawda! Próżne rozważania nie zmieniają rzeczywistości.

Długo szukałam sensownej wymówki. Nie miałam ochoty spędzić z nim nocy. Całodzienne udawanie już dostatecznie wyczerpało moje siły. Ukrywanie odrazy przez następnych kilka godzin, w dodatku podczas intymnych chwil, przekraczało moje możliwości, ale nie miałam wyboru. Wizyta w jego mieszkaniu stwarzała szansę znalezienia informacji dla działaczy ruchu oporu. Pragnęłam odkryć coś, co skłoniłoby Alka do odwołania planowanej akcji, chociaż nie znałam jej celu ani charakteru.

Komendant zawiesił na mnie wyczekujące spojrzenie.

- Przyjdę z przyjemnością - odpowiedziałam.

- Wspaniale. - Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - Zjemy razem kolację, tylko we dwoje. Weź to. - Wyciągnął z kieszeni klucz i pieniądze.

- Zostanę trochę dłużej w pracy, ponieważ muszę zakończyć pewną bardzo pilną sprawę, ale nie wrócę zbyt późno. Wyjdź wcześniej, kup trochę jedzenia, zanieś do mieszkania, a potem odpocznij, prześpij się, jeśli jesteś zmęczona. Przyjdę do ciebie tak szybko, jak to możliwe.

Skinęłam głową i wyszłam. Ponieważ padał gęsty śnieg, poprosiłam Stanisława, żeby podrzucił mnie do sklepu, a następnie do mieszkania szefa. Gdy już tam dotarłam, przestało padać. Zanim weszłam do środka, popatrzyłam na skąpane w bieli ulice. Jakub kochał śnieg. Jeszcze przed ślubem, w czasach pokoju, zabierał mnie do lasu, żeby lepić bałwana albo bić się śnieżkami. Kiedy pokazywał mi, jak odcisnąć kształt aniołka na śniegu, pomyślałam, że zwariował. Jako wychowana w mieście jedynaczka, posiadająca niewielki krąg przyjaciół, nie znałam takich zabaw z dzieciństwa, czasami tylko łąpałam w usta lecące z góry białe płatki.

Lecz gdy Jakub już mnie namówił, położyłam się obok niego ze śmiechem, machałam rękami i nogami, tak jak mnie nauczył. Gdy czułam pod plecami lodowatą miękkość białego puchu, patrzyłam w jasne niebo, wdychałam pełną piersią mroźne powietrze, chichotałam jak mała dziewczynka. Po raz pierwszy czułam, że żyję pełnią życia.

Od momentu kiedy Stanisław wysadził mnie przed domem ko-

mendanta, nie zrobiłam ani kroku, pogrążona we wspomnieniach. Nabrałam jeszcze jedną garść śniegu, zbliżyłam do ust. Wdychając świeży, wilgotny aromat, wyraźnie widziałam twarz męża. Zima nie oznaczała już dla niego beztroskiej zabawy. Nie wiedziałam nawet, czy ma dach nad głową. Tuląc mroźną grudkę do policzka, obiecałam sobie, że kiedyś znów urządzimy wesołą zimową wyprawę. Strzepnęłam resztkę śniegu z rękawiczki i patrzyłam, jak wiatr unosi w dal chmurę srebrzystych iskier. Wytarłam buty, po czym wniosłam mały koszyk z zakupami na klatkę schodową. Po wejściu do mieszkania rozejrzałam się dookoła. Nie byłam tu prawie miesiąc. Zastałam jeszcze większy bałagan niż wcześniej. Stare gazety i brudne szklanki wały się wszędzie. Nie rozumiałam, jak skądinąd precyzyjny, zorganizowany człowiek może żyć w takim rozgardiaszu. W końcu doszłam do wniosku, że nadmiar zajęć nie zostawiał mu czasu na dbanie o porządek. Postawiłam koszyk na niskim stoliku i zaczęłam sprzątać, żeby zrobić miejsce na podanie kolacji.

Niosąc brudne naczynia do kuchni, pochwyciłam spojrzenie Margot z fotografii na kominku. Wiedziałam, że zrobiono ją jeszcze przed śmiercią jej ojca, a jednak dostrzegłam w jej oczach smutek. Chyba przeczuwała, jaki mamy koniec ją czeka. Czy już wtedy zrozumiała, jakiego człowieka poślubiła lub też jakim się stał? Na wcześniejszej fotografii w biurze komendanta wyglądała na szczęśliwą i zakochaną. Studiowałam jej twarz w poszukiwaniu odpowiedzi, jaki był w owym czasie jej mąż. Lecz nieszczęsna Margot zabrała swą tajemnicę do grobu, mimo to jednak odnajdywałam między nami wielkie podo-

bieństwo. Łączyły nas i pochodzenie, i wojenne fatum. Bo to właśnie wojna zniszczyła i moją, i Margot miłość, obróciła wniwecz nadzieje na szczęście. Poczucie obowiązku wobec społeczeństwa, choć różnie rozumiane, oderwało od nas ukochanych mężczyzn, bo obaj przedkładali sprawy narodu nad dobro rodziny. Pozostało mi tylko mieć nadzieję, że nie czeka mnie podobnie tragiczny koniec.

Zerknęłam na drzwi gabinetu. Z trudem zwalczyłam pokusę, żeby tam wejść i sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłam albo czy nie przybyło coś nowego. Po namyśle doszłam do wniosku, że nie wolno mi ryzykować. Nie wiadomo przecież, kiedy komendant wróci. Postanowiłam odczekać, aż uśnie. Na samą myśl o seksie dostałam dreszczy. Nie spałam z nim od dnia, w którym poznałam jego przeszłość. Ostatni raz odwiedziłam go przed wizytą Jakuba. Po miłosnej nocy z mężem przerażała mnie perspektywa ponownego złamania małżeńskiej przysięgi. Postrzegałam to jako podwójną zdradę. Jednocześnie jakaś część mojej duszy pragnęła czułości kochanka. Na próżno usiłowałam stłumić tę podświadomą, wyuzdaną tęsknotę. Rozdarta wewnętrznie, wyniosłam brudne szklanki do kuchni, żeby odwrócić swoją uwagę od wewnętrznych rozterek.

Wkrótce wrócił komendant. Szykowałam właśnie kolację, złożoną z chleba, sera i delikatesowych mięs.

Pocałował mnie zdawkowo na powitanie, jakby myślami przebywał gdzie indziej. Jego chmurna mina świadczyła, że po moim wyjściu zaszło coś niedobrego, lecz nie śmiałam zapytać, co go trapi. Bez słowa postawił wypchaną teczkę na podłodze. Pomyślałam, że jeśli

spędzi bezsenną noc na przeglądaniu papierów, nie zdołam zakraść się do gabinetu. Kiedy wyszedł do łazienki, nalałam brandy do większej szklaneczki dla niego i mniejszej dla siebie, postawiłam je na podręcznym stoliku i usiadłam. Kilka minut później wrócił do pokoju już bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli. Poklepałam zachęcająco obicie kanapy i poprosiłam, żeby do mnie dołączył. Skinął głową, ale nie usiadł, tylko podszedł do kominka. W pierwszej chwili przypuszczałam, że wspomina Margot, ale on nawet nie spojrzał na fotografię. Patrzył w ogień nieobecny wzrokiem.

- Niedługo Boże Narodzenie - stwierdził w końcu po długim milczeniu, jakby nie pamiętał, że rozmawialiśmy już w biurze o świętach.

- Tak, za kilka dni - potwierdziłam.

Sama pewnie zapomniałabym o chrześcijańskim święcie, gdyby Krysia nie rozwiesiła w mieszkaniu gałązek jodły z czerwonymi wstążkami w zastępstwie choinki. Miasto, zwykle o tej porze bajecznie kolorowe, pozostało w tym roku nieprzystrojone.

- W domu obchodziliśmy Boże Narodzenie bardzo uroczyście - zaczął komendant.

Z początku myślałam, że wspomina lata małżeństwa, ale wrócił myślami do lat chłopięcych. Usiadł przy mnie na sofie i dalej ciągnął swą opowieść:

- W Wigilię o północy ojciec zabierał nas saniami do lasu w poszukiwaniu Weihnachtsmanna*¹⁶. Nigdy go oczywiście nie spotka-

¹⁶ *Ponieważ wyznawcy religii protestanckich nie uznają świętych, gwiazdkowe prezenty w Niemczech zamiast Mikołaja przynosi dzieciom Weihnachtsmann („Świąteczny Człowiek”) (przyp. tłum.).

liśmy, lecz gdy wracaliśmy do domu, zawsze okazało się, że ukradkiem zostawił nam piękne upominki podczas naszej nieobecności, a następnego dnia przy śniadaniu zastawaliśmy na stole całe góry ciastek. - Uśmiechnął się do wspomnień.

- Jaka piękna opowieść - westchnęłam z udawanym rozmarzeniem. Jednocześnie usiłowałam naprędce ułożyć jakąś własną wiarygodną historyjkę, na wypadek gdyby zapytał, jak moja rodzina obchodziła Boże Narodzenie.

- Powinniśmy razem uczcić ten dzień, wyjechać gdzieś tylko we dwoje na kilka dni - zaproponował, jakby całkiem zapomniał o wojnie i służbowych obowiązkach.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe.

- Nie, raczej nie... - Uśmiech zgasł na jego ustach, spochmurniał. Najwyraźniej żałował, że nie przystałam na jego propozycję. Pogładził mnie po policzku. - Przykro mi, Anno. Wszystko przez tę przeklętą wojnę. Zaslługujesz na szczęście.

O tak, pomyślałam z goryczą, ale nie z tobą, tylko z mężem.

- Nie narzekam - odrzekłam z pozorną bez troską.

- Kiedyś, po wojnie, wynagrodzę ci wszystkie wyrzeczenia. Przyrzekam.

Otworzyłam usta, lecz zanim zdążyłam wypowiedzieć choćby słowo, zamknął mi je zachłannym pocałunkiem. Objął mnie mocno, gwałtownie przyciągnął do siebie. W pierwszej chwili zeszywniałam. Po kilku tygodniach przerwy czułam taką niechęć, jakby obcy czło-

wiek wbrew mej woli skradł mi pocałunek, lecz stopniowo wewnętrzny opór słabł. Z każdą sekundą miękłam w jego ramionach, w końcu zaczęłam instynktownie oddawać pieśczoty. Mimo tego, co o nim wiedziałam, odczuwałam nie tylko chłód, ale i żar, nie tylko odrazę, ale i pragnienie. Jednak odrazę czułam nie do niego, lecz do siebie za to, że go pożądam.

Komendant położył mi ręce na piersiach. Napierał całym ciężarem, bym się położyła, i to tak gwałtownie, jak nigdy dotąd, jakby w moich objęciach szukał ucieczki przed rzeczywistością. Oderwałam usta od jego ust, ujęłam jego twarz, zajrzałam mu w oczy.

- Coś nie w porządku? Co się dzieje?

Zamiast odpowiedzieć, zaczął mnie znów gwałtownie całować.

Nagle ktoś zastukał mocno do drzwi. Komendant znieruchomiał na ułamek sekundy. Widać było, że nikogo nie oczekiwał, że nie wie, kto śmie nachodzić go bez zapowiedzi. Po chwili wahania zignorował intruza i wznowił pieśczoty, ponownie przytknął usta do moich. Lecz pukanie się powtórzyło, tym razem głośniejsze, bardziej natarczywe. Komendant puścił mnie, usiadł na sofie.

- Kto tam? - warknął z wściekłością.

- Pilna wiadomość, panie komendancie - odrzekł zza drzwi słaby, męski głos.

Wstał, poprawił kołnierzyk i otworzył drzwi, za którymi stał młody, zaspany i spocony żołnierz.

- Przepraszam, że przeszkodziłem - wydyszał.

- O co chodzi?

Posłaniec obrzucił mnie znaczącym spojrzeniem.

- Anna jest moją osobistą asystentką - wyjaśnił komendant. - Możesz przy niej mówić otwarcie.

Młody człowiek wręczył mu kartkę. Komendant zaczął czytać.

- W kawiarni Warszawa nastąpił wybuch - wyjaśnił posłaniec.

Serce we mnie zamarło. Ten prestiżowy lokal naprzeciwko opery stanowił przed wojną ulubione miejsce spotkań krakowskiej elity. Odkąd miejsce dotychczasowych gości zajęli hitlerowcy, zaczęliśmy omijać je z daleka, żeby uniknąć spotkania z podpitymi wojskowymi. Natychmiast odgadłam, że podziemie dokonało zamachu na hitlerowskich oficerów.

- Co wywołało eksplozję?

- Materiał wybuchowy.

- Bomba? - Komendant wypuścił pismo z ręki. Przeżył wstrząs. Najwyraźniej nie dopuszczał myśli, że ktokolwiek waży się podnieść rękę na niemieckiego oficera. Wraz z posłańcem czekaliśmy na jego reakcję, lecz on bez słowa wyszedł do sypialni. Posłałam żołnierzowi pytające spojrzenie w nadziei, że zdradzi jakieś szczegóły, nie uzyskałam jednak odpowiedzi. Stał niepewnie w progu, przestępując z nogi na nogę. Gdzieś w oddali zawyły syreny. Po paru minutach komendant wrócił w mundurze. Gdy zapinał pas, w kaburze błysnął pistolet. Ruszył w kierunku wyjścia.

- Muszę iść. Stanisław odwiezie cię do domu - rzucił przez ramię już w połowie klatki schodowej.

Posłaniec zatrzasnął za nim drzwi. Podeszłam do okna, wycho-

dzącego na północ. W odległej części śródmieścia ujrzałam łunę pożaru. Płomienie strzelały w niebo. Bojownicy zrealizowali swój plan. Przycisnęłam twarz do szyby i ujrzałam oczami wyobraźni twarz Jakuba, potem Alka.

- Kochani, naiwni chłopcy, co wyście narobili? -jęknęłam zrozpaczona.

Odwróciłam się. Zostałam sama w mieszkaniu komendanta, najprawdopodobniej na kilka godzin. Nic nie zapowiadało jego rychłego powrotu, a Stanisław w tym zamieszaniu mógł w ogóle się nie zjawić, wykonując inne zadania. Mogłam bez przeszkód przeszukać mieszkanie, a przecież czekałam na taką okazję przez długie miesiące. Ale przyszła zbyt późno.

- Co za ironia losu - mruknęłam do siebie i roześmiałam się niewesoło.

Echo powtórzyło mój gorzki śmiech, chichotało szyderczo w pustych pomieszczeniach. Nagle zamarłam z przerażenia. Wybuch zniszczył nie tylko jedną kawiarnię, lecz także cały mój świat. Ci, których kochałam, przebywali w strefie największego zagrożenia. Chwyciłam płaszcz i wybiegłam na dwór.

Przystanęłam na chodniku, kilka metrów od kamienicy. Dokąd tak pędzę? - pytałam samą siebie. Prosto w pułapkę? Gdybym wpadła w ręce wroga, oddałabym kolegom niedźwiedzią przysługę. Choć jednak wiedziałam, że popełniam niewybaczalne szaleństwo, nogi same niosły mnie w kierunku ognia.

Z początku odprowadzały mnie zdumione spojrzenia przechodniów,

lecz w miarę zbliżania się do centrum dołączało do mnie coraz więcej osób. Syreny wyły, oficerowie gestapo wyszczekiwali rozkazy, Polacy zaś, których wojna nauczyła unikać kłopotów, nie bacząc na zagrożenie, pędzili niczym ćmy do światła. Podążyłam za tłumem na zachód ulicą Stolarską. Słyszałam podniecone szepty:

- Bomba!
- Zabiło paru Niemców!

Nie podzielałam tej radości. Serce ciążyło mi jak stukilowy głaz. Nie cieszyła mnie nawet śmierć wrogów, tak bardzo bałam się o życie Jakuba i dzielnego, silnego Alka. Tuż za placem policja ustawiła zapory.

- Wstęp wzbroniony, panienko - zatrzymał mnie wartownik.
- Ale ja tam mieszkam - skłamałam, wskazując palcem przed siebie.
- Nie robimy wyjątków. Proszę wrócić do domu okreśną drogą.

Skreśliłam w lewo, w ulicę Świętego Tomasza, później w prawo, na Floriańską, równoległą do ulicy, na którą chciałam trafić. Chyba zapomnieli ją w zamieszaniu zamknąć. Nie spotkałam tam ani patroli, ani przechodniów. Posuwałam się naprzód w cieniu, przy ścianach budynków. W miarę zbliżania się do miejsca eksplozji coraz gęstszy dym wypełniał powietrze, palił w gardle, wyciskał łzy z oczu. Pod stopami chrzęściły odłamki szkła. Dotarłam do końca ulicy. To tutaj podczas pierwszego spaceru poza murami getta widok hitlerowskich żołnierzy wystraszył Łukasza.

Skreśliłam za róg, żeby dojść wzdłuż muru do miejsca wybuchu, nagle jakaś ręka wciągnęła mnie do klatki schodowej. Krzyknęłam.

Ktoś chwycił mnie od tyłu, zatkał ręką usta. W pierwszej chwili byłam pewna, że złapało mnie gestapo, zaraz jednak uświadomiłam sobie, że akurat oni nie muszą atakować z ukrycia. Gdy ugryzłam zakrywającą moje usta dłoń, napastnik mnie puścił. Za plecami usłyszałam kobiecy jęk.

- Co to ma znaczyć? - wydyszałam.

- Cicho!

Odwróciłam głowę ku osobie, która na mnie napadła. Nie rozpoznałam jej, bo nie pozwalał na to narzucony na głowę szal. Dopiero gdy go zrzuciła, odsłoniła burzę ciemnych loków i podrapaną, pokrytą pyłem twarz.

- Marto! - wykrzyknęłam. - Skąd...

- Nie powinnaś tu przychodzić - ofuknęła mnie jak dzieciaka. - Gestapo wyłapuje wszystkich mieszkańców innych dzielnic. Mogłaś zostać aresztowana albo jeszcze gorzej.

- Wybacz, nogi same mnie tu przyniosły. Szaleję z niepokoju o Jakuba i Alka.

- Obaj żyją - szepnęła.

Zaniepokoiło mnie, że odwróciła wzrok. Chwyciłam ją za ramię.

- Co się stało? - niemalże wykrzyczałam.

- Ciszej! - Wyrzwała na ulicę.

- Mów prawdę. - Ściszyłam głos, ale nie zwolniłam uścisku.

- Jakub został ranny podczas wybuchu.

- Ciężko? W jaki sposób?

- Dość poważnie, ale przeżył. Nie znam szczegółów. - Oczy jej

pociemniały.

Pełne bólu spojrzenie Marty potwierdziło moje podejrzenia. Była zakochana w moim mężu.

- Gdzie on jest? Muszę go zobaczyć - nalegałam.

- To niemożliwe, Emmo. - Marta energicznie pokręciła głową. - Wywieziono go z miasta. Alek zabronił nam wszelkich kontaktów. Nie możemy teraz ryzykować.

- Ale ja jestem jego żoną. Mam do niego prawo!

- krzyknęłam ze złością.

- Żoną? - wycodziła z sarkazmem przez zaciśnięte zęby.

Wzdrygnęłam się.

- Co sugerujesz?

- Wiem, co robiłaś przez ostatnich kilka miesięcy, jaką rolę odgrywasz w życiu komendanta.

- Ale... - Zamilkłam, przerażona. Czyżby Alek zdradził moją tajemnicę? Czy Marta przekazała ją Jakubowi, żeby go do mnie zrazić?

- Jakub o niczym nie wie - zapewniła Marta, jakby czytała w moich myślach. - Rozwazałam, czy nie powinnam go uświadomić, jaką kobietę poślubił, bo zasługuje na to, żeby znać prawdę, lecz Alek mi zabronił. Wytłumaczył, że nie wolno go załamywać, zwłaszcza teraz, w dniach najcięższej próby, kiedy musi być silny.

Jej słowa ugodziły mnie prosto w serce, niczym rozżarzony sztylet.

- Nie myśl o mnie źle, Marto. Zrobiłam to, co konieczne, o co mnie poproszono.

- Być może - odparła chłodno. - Niemniej jednak nie jestem pewna,

na kim ci naprawdę zależy, czy rzeczywiście kochasz Jakuba.

- Jak możesz? Oczywiście, że go kocham, jego jednego. Odgrywam tylko rolę, której wymagają okoliczności - zapewniłam żarliwie, usiłując przekonać w równym stopniu ją, jak i samą siebie.

- Już nic nie rozumiem - mruknęła, odwracając wzrok.

Zapadło milczenie. Ja także czułam pustkę w głowie. Dopiero po kilku sekundach Marta znów na mnie popatrzyła. Chwyła mnie za ramię i potrząsnęła z całej siły.

- Słuchaj, nie wolno ci pod żadnym pozorem szukać kontaktu z Jakubem. Hitlerowcy przeczesują miasto, chcą znaleźć sprawców i wcale nie działają na ślepo. Doskonale wiedzą, kto dokonał zamachu, a podejmując jakieś działania, mogłabyś naprowadzić ich na jego trop. Należy liczyć się z konsekwencjami. Alek wiele ryzykował, wysyłając mnie, żebym cię odnalazła i przekazała wiadomość. Uspokój się, idź do domu i nic nikomu nie mów, nawet Krysi. Jutro pójdziesz jak zwykle do pracy. Zrozumiałaś? - Gdy kiwnęłam głową, dodała już łagodnie: - My też się o niego martwimy. - Choć użyła liczby mnogiej, nie ulegało wątpliwości, że mówi przede wszystkim o swoich uczuciach. - Skontaktuję się z tobą, kiedy to będzie możliwe. Zaufaj mi. - Objęła mnie pospiesznie, po czym odeszła.

Po sprawdzeniu, czy nikt mnie nie śledzi, ruszyłam dalej Floriańską. Tłum ludzi podążał w przeciwnym kierunku, tam, skąd przyszłam. Na drugim końcu rynku przystanąłam, niepewna, co dalej robić. Zostałam u komendanta swój koszyk, nie uprzątnęłam ze stołu. Właściwie powinnam do niego wrócić, ale po tym, co usłyszałam od

Marty, nie mogłabym na niego spojrzeć. Po namyśle zdecydowałam, że lepiej pójść do domu. Liczyłam na to, że pośród natłoku dramatycznych zdarzeń komendanta nie zmartwi moja nieobecność. W razie gdyby spytał, czemu nie wróciłam, zamierzałam wyjaśnić, że rozboleła mnie głowa wskutek wstrząsu spowodowanego informacją o wybuchu w kawiarni, co akurat nie było dalekie od prawdy.

W drodze powrotnej do Krysi myślałam o Marcie. W niczym nie przypominała serdecznej, roześmianej dziewczyny z szabasowych spotkań na Józefińskiej. Rysy jej stwardniały, przemawiała do mnie oskarżycielskim tonem. Łatwo odgadnąć dlaczego: z zazdrości, z miłości do mojego męża. Jej słowa: „Nie jestem pewna, na kim ci naprawdę zależy”, wciąż brzmiały mi w uszach. Pytanie, które przemocą odpychałam od siebie, nieustannie powracało do mnie w ciągu ostatnich miesięcy, jeszcze zanim wypowiedziała je głośno. Kochałam Jakuba, to pewne, ale poza naszym krótkim spotkaniem nie widziałam go od dawna, natomiast komendanta oglądałam codziennie. Spędziłam z nim więcej nocy niż z mężem, chociaż go nienawidziłam, a przynajmniej powinnam. Czasami nim gardziłam, tak jak wtedy, gdy poznałam historię Margot, jednak gdy odwiesił mundur do szafy, kiedy trzymał mnie w ramionach, widziałam w nim jedynie mężczyznę, który obdarza mnie czułością i rozkoszą. W takich chwilach niemalże zapominałam, kim jest. Niemalże. Nie potrafiłam określić, którego z dwóch mężczyzn wybrałabym, gdybym ich poznała jednocześnie w czasie pokoju, kiedy nie istniały swastyki, faszystowska ideologia ani zbrodnie.

Dość! - nakazałam sobie twardo. Już dokonałam wyboru. Wyszłam za Jakuba, który teraz walczy o życie. Chociaż nie możemy być razem, moje serce należy do niego, natomiast kochanką komendanta zostałam jedynie z obowiązku, dla wyższych celów, dla słusznej sprawy. Nic więcej mnie z nim nie łączy. Przecież tak prosta prawda nie wymaga żadnych głębokich przemyśleń, stwierdziłam na koniec ze zdumieniem i roześmiałam się niewesoło.

Następnie ruszyłam pustymi ulicami w dalszą drogę. Kiedy dotarłam do domu, Krysia wyszła mi naprzeciw.

- Nic ci nie jest? - spytała niespokojnie.

- Wszystko w porządku - odparłam, zdejmując płaszcz i buty.

- Radio podało, że coś się dzieje w Warszawie. Jakieś zamieszki, bomby...

Nie odpowiedziałam i bez słowa podążyłam za Krysią do kuchni. Nie zamierzałam słuchać Marty. Krysia zasługiwała na to, żeby poznać prawdę. Pamiętając jednak, że zasłała po wtargnięciu gestapo, musiałam ostrożnie dawkować wstrząsające informacje. Oczekałam, aż nastawi wodę na herbatę i usiądzie przy stole.

- W Krakowie dokonano zamachu bombowego.

- Partyzanci?

Skinęłam głową.

- Tego się właśnie obawiałam po rozmowie z Jakubem. - Pokręciła głową. - Co za lekkomyślne dzieciaki! Wielu drogo zapłaci za ich brawurę.

- Uważasz, że popełnili błąd? - spytałam zaskoczona. Po raz pierwszy usłyszałam z jej ust krytykę ruchu oporu.

- Rozumiem ich motyw, ale nie popieram strategii. - Nalała wrzółku do dwóch filiżanek.

- Ja określiłabym ten szczeniacki wybryk jako najzwyczajszą głupotę! - wybuchłam. Gdy Krysia w milczeniu odstawiła czajnik, dodałam: - Jeszcze jedno. Jakub został ranny w wyniku eksplozji.

Zacisnęła palce na krawędzi stołu. W obawie, żeby znów nie zaśląbla, podprowadziłam ją do krzesła.

- W jaki sposób?

- Marta nie zdradziła żadnych szczegółów.

- Czy to coś poważnego?

- Tak - przyznałam po chwili wahania. Nie potrafiłam jej okłamywać. - Ale żyje - dodałam pośpiesznie.

Krysia oddychała szybko, bladła z każdą sekundą. Pożałowałam, że przekazałam jej w krótkim czasie tak wiele złych wieści. Nie była już młoda, a Jakuba traktowała jak syna, ze szlochaniem powtarzała jego imię. Po raz pierwszy widziałam ją zapłakaną. Chociaż dręczyły mnie te same obawy o jego życie, nie wolno mi było okazać słabości. Jakub z pewnością chciałby, żebym ją wspierała. Stałam obok niej, położyłam jej rękę na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam, ale moje słowa zabrzmiały wyjątkowo fałszywie. Sama połykałam łzy. Trwałam przy niej przez dobrych kilka minut, niezdolna, podobnie jak ona, do jakiegokolwiek działania. - Wszystko będzie dobrze - powtórzyłam.

Nic więcej nie mogłam zrobić.

Gdy łkanie ustało, podniosła głowę, wytarła oczy chusteczką. Usiadłam obok niej.

- Jakie wieści jeszcze przyniosłaś?

- Zabrali go gdzieś za miasto. Marta nie powiedziała nic więcej. Prosiłam, żeby mnie do niego zabrała, ale odmówiła. Alek zabronił.

- Pewnie ma rację. To bardzo niebezpieczne - odrzekła już znacznie spokojniej.

- Nie możemy przecież siedzieć beczynnie. Jakub na pewno nas potrzebuje! - wykrzyknęłam. Wbrew wcześniejszym postanowieniom nie udało mi się ukryć rozpaczy.

- Każda z nas chciałaby pomóc, Emmo, ale nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać i modlić się o jego zdrowie. Spróbuję jutro czegoś się dowiedzieć.

Jadąc następnego ranka do pracy, zastałam miasto całkowicie odmienione. Hitlerowcy po zamachu zastosowali zaostrzony rygor wojenny. Gestapowcy patrolowali ulice, obserwowali przechodniów. Mieszkańcy, którzy dawno opanowali sztukę przetrwania pod hitlerowską okupacją, chodzili w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zanim dotarłam na Wawel, zostałam trzykrotnie zatrzymana i wypyтана, dokąd idę, i w rezultacie dotarłam do biura dopiero dwadzieścia po dziewiątej. Na Wawelu panowała atmosfera podwyższonej gotowości, urzędnicy z kamienną powagą przemierzali korytarze. Małgorzata z zadowoloną miną poinformowała mnie, że komendant przed moim przyjściem wyszedł na pilną

naradę i wróci dopiero pod sam koniec dnia.

W swoim pokoju zastałam olbrzymi stos papierów.

Na wierzchu leżała kartka od komendanta ze szczegółową instrukcją postępowania. U dołu sterty znalazłam kopertę, oznaczoną nadrukiem „Tajne”. Kiedy indziej odłożyłabym ją na bok, jak mi przykazano, lecz tego dnia nie zważałam na zakazy. Przeczucie mówiło mi, że zawiera raport z poprzedniej nocy. Musiałam poznać jego treść. Otworzyłam kopertę

i wyczytałam, że hitlerowscy oficerowie urządzili poprzedniego dnia Wigilię w kawiarni Warszawa. Siedmiu zginęło, wielu odniosło rany. Zarządzono natychmiastowe represje wobec Żydów z getta i całej polskiej ludności. Serce na moment przestało mi bić, gdy pomyślałam, co czeka rodziców.

Ostatni z telegramów zawierał jedno zdanie:

Przywódcą rebeliantów, Alek Landesberg, został zastrzelony wczoraj o godzinie drugiej w nocy w swoim mieszkaniu za stawianie oporu podczas aresztowania.

Kartka wypadła mi z ręki. Telegram był przeznaczony do wysłania do Berlina. U dołu widniał podpis komendanta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Przygotowałam na obiad czulent, zawieszistą zupę z wołowiny, ziemniaków i fasoli. Przed wojną jadałam ją w każdy szabas, lecz obecnie nie używałyśmy tej nazwy, a Krysia na użytek Łukasza nazywała ją gulaszem. Bolało mnie serce, że synek rabina nie zna tradycyjnych żydowskich dań. Ja również nie próbowałam jej od roku, dlatego z niecierpliwością wyczekiwałam obiadu.

Była połowa lutego. Od zamachu w kawiarni Warszawa minęły prawie dwa miesiące. Pewnego dnia na ulicy jakiś mężczyzna szep-tem wyraził uznanie dla bohaterskiego czynu. Nie podzielałam jego zachwyty, przecież zginęło zaledwie kilku hitlerowców, czyli tyle, co kropla w morzu, natomiast Alek, mózg całej operacji i nieustraszony przywódca zbrojnego podziemia, zapłacił za swój czyn życiem. Wciąż miałam przed oczami jego spokojną twarz, której nigdy nie wykrzywił grymas strachu. Faszystowskie gazety nazywały go kryminalistą, pisały, że został zastrzelony podczas próby ucieczki. Wierutne kłamstwa. Alek nie bał się śmierci, nie uciekał, walczył do końca. Na pewno zginął jak bohater.

Krysia nie przyniosła nic nowego ponad to, co przekazała mi Marta. Jej informator dodał jedynie, że Jakuba raniła nie kula, tylko odłamek. Wywieziono go w góry, żeby tam leczył rany. Nic nie wiedział o jego obecnym stanie zdrowia.

Po śmierci Alka i aresztowaniu licznych działaczy ruchu oporu po-

szedł w rozsypkę, dlatego zdobycie jakichkolwiek informacji granicyło z cudem. Marta nie dała znaku życia od spotkania na Floriańskiej w noc zamachu. Nie wątpiłam, że gdyby mogła, odnalazłaby mnie lub choćby przesłała przez kogoś słówko o Jakubie. Teraz myślałam o nim nieustannie, oczami wyobraźni wciąż widziałam jego twarz, wspominałam szczęśliwe dni w mieszkaniu na Grodzkiej i ostatnią miłosną noc u Krysi. Lecz równie często prześladowały mnie koszmarne wizje poranionego, zakrwawionego ciała w bandażach, leżącego samotnie w obcym domu. Próbowałam je odpędzić, lecz wciąż powracały. Błagałam go w myślach, by przetrwał, wyzdrowiał, wrócił. Modliłam się za niego. Póki żył, znosiłam wszystkie wyrzeczenia: getto, pracę dla wroga, nawet romans z komendantem, bo wciąż miałam nadzieję na ponowne połączenie z ukochanym mężem. Lecz gdyby odszedł na zawsze, nie potrafiłabym dalej żyć.

Nie tylko sprawcy zamachu ponieśli konsekwencje, ucierpieli również pozostali mieszkańcy Krakowa. Stan podwyższonego rygoru wojennego trwał nadal, patrole stały na każdym rogu ulicy, przechodniów poddawano szczegółowym przesłuchaniom i rewizjom. Władze okupacyjne przedłużyły godzinę policyjną: obowiązywała od zmierzchu do świtu. Najbardziej jednak martwiły mnie prześladowania mieszkańców getta. Byłam pewna, że wszyscy, łącznie z moimi rodzicami, ucierpieli znacznie bardziej niż polska część ludności. Na ulicach, a nawet na korytarzach Wawelu opowiadano szeptem potworne historie. Podobno oprawcy wyganiaли z domów losowo wybranych mieszkańców, ustawiali ich pod ścianami i rozstrzeliwali.

Poprzedniego dnia Małgorzata powtórzyła mi pogłoskę o jednym z takich bestialskich mordów. Posmutniała, cała jej pewność siebie nagle znikła. Nie potrafiłam odgadnąć, czy ma w getcie żydowskich krewnych lub przyjaciół sprzed wojny, ale wyglądało na to, że szczerze współczuje ofiarom. Miałam ochotę ją zapytać, czy widziała na ten temat jakieś oficjalne pisma, czy też tylko słyszała biurowe plotki, wyolbrzymiane, jak to zwykle bywa, przy przekazywaniu z ust do ust. Po namyśle przyjęłam bez pytania tę drugą wersję. Zresztą faszyci rzadko wydawali najbardziej okrutne rozkazy na piśmie, jakby przeczuwali, że ich władza nie potrwa wiecznie, że kiedyś przyjdzie im odpowiedzieć za zbrodnie. Uznałam, że lepiej mimo wszystko nie okazywać przy Małgorzacie zbyt wielkiego zainteresowania kwestią żydowską, więc tylko potakiwałam z tak obojętną miną, na jaką mnie było stać. Kiwałam głową, po czym z bólem serca jak najszybciej uciekałam do siebie.

Nie ważyłam się też poprosić Krysi o potwierdzenie pogłosek o rozstrzeliwaniach na ulicach getta lub o ich zaprzeczenie, bo po ostatnich, tragicznych wydarzeniach prawie zupełnie opadła z sił. Nie chciałam przysparzać jej dodatkowych zmartwień. Zresztą nic by to nie dało. Zapewniłaby mnie najwyżej, że przekazano mi wyolbrzymione plotki. Uspokajałaby mnie na siłę, że nawet jeśli tkwi w nich ziarnko prawdy, to istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, by wśród tysięcy mieszkańców getta akurat moich rodziców losowo skazano na śmierć. Jej słowa i tak nie przyniosłyby mi ukojenia.

Czy bojownicy nie pomyśleli, że inni poniosą konsekwencje ich

brawury? Nie, odpowiedziałam sobie sama, oni pragnęli walczyć za wszelką cenę. Mimo zamartwiania się o Jakuba i żałoby po Alku, miałam do nich żal. Płonął we mnie gniew nawet na tych, którzy zginęli, zostali ranni lub aresztowani, za bezsensowny akt szkodliwego heroizmu.

Chociaż mój świat się zawalił, musiałam dalej żyć. Wprawdzie udawanie przychodziło mi z coraz większym trudem, jednak codziennie zasiadałam za biurkiem z obojętną miną, jakbym wykonywała banalną pracę w najzwyklejszym biurze, w normalnych warunkach. Na ogół zachowywanie pozorów nie najgorzej mi wychodziło, czasami tylko Małgorzata czy inna z sekretarek spytała o mój stan zdrowia, gdy zauważyła, że pobladłam albo posmutniałam.

Zdjęłam czulent z ognia, wyłączyłam gaz. Gdy przenosiłam zupę na stół, poczułam uderzenie gorąca, potem chłód. Dostałam mdłości, zimny pot oblał mi czoło. Zasłabłam, straciłam równowagę. Ulubiona waza Krysi, którą dostała w prezencie ślubnym, wypadła mi z rąk, potrawa rozprysła się po całej kuchni. Krzyknęłam z przerażenia, potem zatkałam usta ręką. Krysia, która czekała z Łukaszem przy stole na posiłek, dopadła do mnie jednym skokiem i przytrzymała mnie za ramię, żebym nie upadła.

- Przepraszam - załkałam.

- Nic nie szkodzi - zapewniła szczerze, bez żalu.

- Nieprawda! - zaszlochałam ponownie. Zmarnowałam jedzenie, zniszczyłam ulubioną część ślubnego serwisu. Drobną w gruncie rzeczy wypadek okazał się kroplą, która przepełniła czarę goryczy.

Przypomniał mi się ranek, gdy przeczytałam telegram o śmierci Alka. Wtedy musiałam zapakować go z powrotem do koperty, a potem pracować spokojnie, jakbym o niczym nie wiedziała. Gdy wieczorem przekazywałam Krysi tragiczne wiadomości, również powstrzymałam łzy, żeby jej nie załamywać do reszty. Teraz wylałam z siebie cały żal do losu. Opłakiwałam bohaterskiego Alka, rannego Jakuba, bezimiennie ofiary rozstrzeliwane w getcie, rodziców, Margot, jej ojca, Krysię, Łukasza, wreszcie własny los. Krysia tuliła mnie do piersi jak dziecko, mruzczała słowa pocieszenia. Położyłam głowę na jej ramieniu. Ciepły dotyk przyniósł mi wreszcie ukojenie.

- Wybacz - szlochałam. - Bo widzisz...

- Cicho, wiem, jak bardzo cierpisz. Niech wszystkie łzy wypłyną. - Nagle zamilkła, zeszywniała. Położyła rękę na moim brzuchu, drugą na policzku.

Podniosłam na nią wzrok.

- O co chodzi?

- Emmo, czy ty jesteś w ciąży?

- W ciąży? - powtórzyłam, jakbym nie znała znaczenia tego słowa.

Wyprostowałam plecy, otarłam łzy rękawem. Obraz zastrzelonej mamy Łukasza stanął mi przed oczami. Zastygła z ręką na wzdętym brzuchu. W ostatnim odruchu przed śmiercią chroniła to, co najcenniejsze: nienarodzone maleństwo. Ciąża oznaczała dla mnie błogosławieństwo. Otrzymują je szczęśliwe mężatki, które codziennie zasypiają u boku ukochanego mężczyzny, jak żona rabina, jak Margot. Pośród okupacyjnego terroru nie było w moim mniemaniu miejsca na

wydawanie nowych istot na ten podły świat. - Nie. - Pokręciłam zdecydowanie głową.

- Na pewno? - naciskała Krysia. - Masz cienie pod oczami, zachowujesz się inaczej niż zwykle, słyszałam, jak wymiotujesz w ubikacji...

Następne słowa zagłuszył szum w uszach. Kwestia, którą odsuwałam od siebie w ciągu ostatnich tygodni, powróciła w najmniej oczekiwanym momencie. Póki Krysia nie zadała decydującego pytania, oszukiwałam samą siebie. Wmawiałam sobie, że nie krwawię od trzech miesięcy z powodu nieustannego napięcia, konieczności ciągłego udawania i zmartwień. Dopiero teraz zostałam zmuszona do spojrzenia prawdzie w oczy. Mdłości, zawroty głowy, zaokrąglona mimo skromnego wyżywienia figura nie pozostawiały wątpliwości co do mojego stanu. W tej chwili nie nazwałabym go błogosławionym. Nie mogłam dłużej zaprzeczać oczywistym faktom. Kiwnęłam głową.

- Od kiedy?

- Zaczęłam coś podejrzewać dopiero kilka dni temu - zapewniłam pospiesznie, żeby nie pomyślała, że celowo ją okłamywałam po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła.

- Chodzi mi o to, kiedy, twoim zdaniem, to się stało - sprecyzowała.

- Nie wiem - załkałam.

- Gdybyśmy znalazły jakiegoś godnego zaufania lekarza, dokładnie określiliby datę poczęcia, niestety to niemożliwe. Nikomu nie można ufać. Kiedy miałaś ostatni okres?

- Około trzech miesięcy temu - wymamrotałam z zażenowaniem.

Nie przywykłam do rozmów na intymne tematy.

Skupiona mina Krysi wskazywała, że odlicza w pamięci czas od wizyty Jakuba.

- Nie wiem, czyje będzie - dodałam cicho.

- Nie pytałam o to. Najważniejsze, że twoje
- ucięła.

- O Boże! - westchnęłam ciężko, półprzytomna z przerażenia. Według moich wyliczeń nosiłam w łonie dziecko komendanta. Kolana się pode mną ugięły.

Kryścia spostrzegła, że słabnę, więc podprowadziła mnie pod rękę do krzesła i postawiła przede mną szklanekę wody. Kazała mi wypić i głęboko oddychać. Posłuchałam jej rady.

- Tak mi przykro - zaszlochałam, gdy trochę doszłam do siebie.

- To nie twoja wina.

Wyciągnęła z kredensu szczotkę i śmietniczkę. Patrząc, jak sprząta pobjowisko z podłogi, przeklinałam własną lekkomyślność. Powinam wcześniej przewidzieć konsekwencje. Tylko że samo myślenie nic by mi nie dało. Nikt mnie nie uświadomił przed ślubem, nawet mama. W naszej religijnej społeczności na kobiecie spoczywa obowiązek urodzenia tylu dzieci, iloma Bóg raczy ją obdarzyć. Nikt nie zapobiega zapłodnieniu, przynajmniej oficjalnie. Wprawdzie koleżanki z sąsiedztwa udzielały sobie szeptem porad, w jakich dniach należy powstrzymywać się od współżycia, by uniknąć zbyt licznych potomstwa, ale bez przygotowania niewiele z tego rozumiałam, a nie śmiałam prosić o wyjaśnienia. Żałowałam, że przed rozpoczęciem

romansu z komendantem nie zasięgnęłam rady u Krysi, bo na pewno by mi pomogła. Tylko że wtedy skupiałam całą uwagę na wiarygodnym odegraniu swojej roli oraz na zdobyciu informacji dla Alka. Nie myślałam o innych konsekwencjach niż ewentualne wykrycie mojej tajemnicy. A teraz było już za późno.

Krysia nawet podczas katastrofy zachowała trzeźwy umysł. Nie marnowała bezcennego jedzenia i uratowała pozostałe w największym odłamku rozbitej wazy resztki czulentu, postawiła trzy miseczki na stole

i posadziła Łukasza na krzeselku. Karmiła go, jednocześnie jedząc swoją porcję. Ja jadłam ze spuszczoną głową, bez apetytu. Bez skutku usiłowałam przegnać czarne myśli. Po kolacji Krysia zaczęła opowiadać:

- Ja też zaszłam w ciążę, Emmo, jeszcze zanim poznałam Marcina.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Znałam Marcina tylko z fotografii, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić Krysi w ramionach innego mężczyzny. Nagle pojęłam, dlaczego tak spokojnie przyjęła mój romans z komendantem, czemu uciszała moje wyrzuty sumienia. Sama przeszła krętą, zapewne wyboistą drogę, zanim poznała mężczyznę swego życia.

- Z kim? - spytałam.

- Miał na imię Claude. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Był pisarzem, w każdym razie pragnął nim zostać. Mieszkał w małym pokoiku nad kawiarnią. Ponieważ nie miał pieniędzy, właściciel pozwolił mu odpracować czynsz. Zmywał naczynia i zamiatał.

- Przerwała, popatrzyła na krwawe zadrapanie na rękę od odłamka porcelany. - Nie myślałam o konsekwencjach. Byłam młoda, lekkomyślna, zakochana. Sądziłam, że z wzajemnością... choć tylko do czasu. Chciałam porzucić rodziców, zamieszkać z nim, lecz on nie życzył sobie żadnych zobowiązań. Twierdził, że nie stać go na założenie rodziny, że dziecko zrujnuje mu karierę artystyczną. Urodziłabym i wychowałabym sama moje maleństwo, jednak rodzice nie chcieli o tym słyszeć. Zagrozili, że wypędzą mnie z domu. Dziewiętnastoletnia córka dyplomaty, studentka wydziału sztuki i muzyki na Sorbonie nie miała prawa zostać panną z dzieckiem - zakończyła z goryczą, patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Och, Krysiu - westchnęłam ze współczuciem. Cały jej świat legł w gruzach. Odepchnął ją ukochany, rodzice zawiedli.

- Mogłam odejść, postawić na swoim, ale byłam młoda, niedoświadczona, bez środków do życia. Błagałam, żeby pozwolili mi chociaż urodzić i oddać dziecko do adopcji. Nawet na to nie wyrazili zgody w obawie przed skandalem. W końcu zrobiłam, co kazali. - Podeszła do zlewu, opłukała zranioną rękę zimną wodą, owinęła w czystą ściereczkę, po czym znów odwróciła się do mnie. - Przez całe życie płacę za to, że pozwoliłam im zdecydować za siebie. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Skinęłam głową. Po usunięciu ciąży została bezpłodna.

- Dziecko to dar, błogosławieństwo Boże.

Jakby na potwierdzenie jej słów, Łukasz przy dreptał z drugiego końca pokoju i chwycił Krysię za spódnicę. Podniosła go i stęknęła.

Dźwiganie go przekraczało jej możliwości. Chłopiec szybko rósł, przybywał na wadze z każdym dniem.

- A co z komendantem, co z Jakubem... - Nie dokończyłam pytania, uwięzło mi w gardle.

- Twoje dziecko ma żydowską matkę, a więc będzie Żydem, dzieckiem Jakuba, niezależnie od tego, kto je spłodził - podkreśliła z naciskiem.

- Jakuba - powtórzyłam. Nie wiedziałam, jak zareaguje na wiadomość o ciąży. Podejrzewałam, że wcale nie pragnie zostać ojcem. Jeszcze przed ślubem, podczas jednej z licznych dyskusji o polityce, wyraził pogląd, że liczba ludności zbyt szybko rośnie. Uważał, że nie należy przysparzać tak niesprawiedliwemu światu jak obecny nowych obywateli. Przeżyłam wtedy wstrząs. Marzyłam o licznej rodzinie, nie podjęłam jednak dyskusji. Liczyłam na to, że Jakub zmieni poglądy, gdy skończy studia, zacznie zarabiać, pobierzemy się, lecz wojna rozwiała moje nadzieje. Nigdy więcej nie podjęliśmy tego tematu. Jakub zaangażował się w politykę jeszcze bardziej niż do tej pory, później odszedł, żeby działać w konspiracji. Jeśli wojenny koszmar utwierdził go w przekonaniu, że nie warto rodzić dzieci, moja ciąża zmartwiłaby go, nawet gdyby był przekonany o swoim ojcostwie. Zaraz jednak przypomniałam sobie, jak klęczał przed Łukaszem, przemawiając do niego po hebrajsku.

W moim sercu rozbłysła maleńka iskierka nadziei, że zechce przekazać nowemu pokoleniu Żydów naszą tradycję i wiarę. Jednak nie powierzyłam swoich rozterek Krysi, była bowiem pewna, że Jakub

pragnie potomstwa i będzie wspaniałym ojcem.

- Przyjmij, że to dziecko Jakuba - poradziła na koniec. - W razie czego wyjaśnisz, że urodziło się przed czasem.

- W razie czego? - nie rozumiałam.

- Gdyby data urodzenia nie pasowała do daty wizyty twojego męża - wyjaśniła rzeczowo. - Kobiety, które zaszły w ciążę przed ślubem, stosują ten wybieg od zarania dziejów. Co za ironia losu!

- Uśmiechnęła się nieoczekiwanie. - Oto faszysta powiększył populację Żydów.

- Jeśli komendant się dowie... - Przerwałam, strach odebrał mi mowę.

- Wykluczone! Znajdziemy sposób, żeby wywieźć cię z miasta, zanim ciąża stanie się widoczna.

Natychmiast wyraziłam zgodę. Nawet bez tego codzienne udawanie sprawiało mi coraz więcej trudności.

- Spróbuję nawiązać kontakt z pozostałymi na wolności działaczami ruchu oporu. Zawiadomię Marka albo Martę, że trzeba cię szybko stąd wywieźć.

Zadrżałam z przerażenia. Wpadłam z deszczu pod rynnę. Przewidywałam ich reakcje: Marek wpadnie w gniew, że w obliczu klęski jeszcze przysporzyłam ruchowi oporu dodatkowych kłopotów, Marta zaś z pewnością odgadnie, że noszę w łonie owoc zdrady. Uzna to za kolejny dowód, że nie kocham Jakuba.

- Na szczęście na razie nic nie widać, ale niebawembrzuszek ci urośnie - stwierdziła Krysia. - Trzeba zorganizować obszerniejsze

stroje. Nawet jeśli szybko nawiążę odpowiednie kontakty, przygotowanie ucieczki potrwa tygodnie, jeśli nie miesiące. Wytrzymasz tak długo?

Skinęłam głową bez słowa.

- Wyjazd z Krakowa nie wystarczy. Musisz opuścić kraj, żeby Richwalder cię nie znalazł.

Zadrzałam. Już sobie wyobrażałam, jak umykam przez lasy przed hitlerowską obławą niczym ścigane zwierzę.

- A co z Jakubem?

- Dobre pytanie. Spróbuję go odnaleźć. Jeśli stan jego zdrowia pozwoli, zrobimy co w naszej mocy, żeby przerzucić was razem przez granicę, jednak nie wcześniej niż wiosną, gdy śnieg stopnieje.

- A Łukasz?

Na dźwięk swego imienia mały podniósł na mnie wzrok.

- Trudno powiedzieć. Najpierw muszę sprawdzić, jakie mamy możliwości.

- Moi rodzice...

Kryścia milczała. Było mi okropnie wstyd, że zamęczam ją pytaniami, na które nie zna odpowiedzi, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Płynęły z moich ust mimo woli.

- Na razie nie widzę możliwości wydobycia ich z getta - powiedziała łagodnie.

- Rozumiem, ale zanim wyjadę, chciałabym przynajmniej wiedzieć, czy są zdrowi - westchnęłam z ciężkim sercem.

Kryścia zmarszczyła brwi. Nigdy nie składała obietnic bez pokrycia.

W ostatnich tygodniach nie istniała możliwość nawiązania jakiegokolwiek łączności z mieszkańcami getta.

- Dziękuję za wszystko. - Uścisnęłam jej rękę.

- Idź teraz do łóżka, odpocznij i nie zamartwiaj się na zapas. Przed tobą ciężki dzień - poradziła, klepiąc mnie po ramieniu. - Ja posprzątam.

Ruszyłam po schodach. Słyszałam za sobą brzęk naczyń w zlewie i szum płynącej wody. Odwróciłam się. Krysia pracowała jak automat ze wzrokiem wbitym w ścianę. Z pewnością wspominała Claude'a i Paryż z czasów swej szalonej młodości. Jakże musiała cierpieć, zmuszona do ukrywania przed Marcinem błędu sprzed lat, który pozbawił ją szansy na macierzyństwo.

Czy i ja pewnego dnia będę żałować podjętych decyzji, samotna, z wyrzutami sumienia, bez możliwości zawierzenia komukolwiek swych trosk? Nie umiałabym tak żyć. Dostałam mdłości. Popędziłam na górę do łazienki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Od tamtego pamiętnego wieczoru nie padło ani jedno słowo na temat mojej ciąży, za to w jakiś czas potem znalazłam na łóżku nową spódnicę z możliwością regulacji obwodu w talii oraz dwa swetry, podobne do tych, które dotąd nosiłam, tylko nieco szersze. Ciekawa byłam, gdzie Krysia zdobyła maskujące brzuch stroje. Na szczęście wciąż panował przenikliwy chłód, ziemia nadal przypominała twardą skorupę. Gdy pierwszy raz szłam do pracy w nowych ubraniach, od wzgórz powiał lodowaty wiatr. Błogosławiłam kaprysy aury, bo niktogo nie dziwiło, że noszę ciepłe rzeczy. Otuliłam się szczelnie płaszczem.

W autobusie podejrzliwie obserwowałam pasażerów, z którymi codziennie podróżowałam, czy przypadkiem nie dostrzegli zmiany w moim wyglądzie. Niektórzy pozdrawiali mnie skinieniem głowy, inni tylko spojrzeniem, nikt jednak nie zerkał na brzuch. Każdy myślał tylko o tym, jak przeżyć kolejny dzień. Mój świat się zmienił, ale ich nie.

Następnego ranka po zasadniczej rozmowie z Krysią Łukasz obudził mnie delikatnym poklepywaniem w policzek. Przypominał mi w ten sposób, że najwyższa pora na śniadanie. Na dole nie zastałam Krysi. Chociaż nie zostawiła kartki, wiedziałam, że usiłuje nawiązać kontakt z działaczami ruchu oporu. Przygotowałam Łukaszowi płatki na mleku. Sama zrezygnowałam ze śniadania. Nudności

odebrały mi apetyt.

Ledwie wytarłam naczynia, wróciła Krysia. Odwiesiłam ściereczkę i wyszłam jej naprzeciw.

- Przekazałam wiadomość. Teraz pozostaje już tylko czekać - oznajmiła, otrzepując śnieg z butów, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać.

Kilka tygodni później, jadąc rano autobusem, wspomniałam jej słowa. Ileż można czekać? - myślałam z rosnącym zniecierpliwieniem. Do tej pory musiałam ukrywać ciążę tylko w biurze. Komentanta wprawdzie pochłaniała praca od rana do nocy, ale truchlałam ze strachu na myśl, że znów mnie zaprosi. Gdyby mnie dotknął, od razu spostrzegłby zaokrągloną figurę. Wróciłam myślami do Jakuba. Wzmianka Krysi o możliwości wspólnej ucieczki za granicę rozbudziła nie tylko nadzieje, lecz również obawy, gdzie i z czego będziemy żyć. W czasie wojny nikt nie potrzebował bibliotekarek ani pracowników naukowych. Jak na ironię, jedyne praktyczne umiejętności zdobyłam podczas pracy w sekretariacie faszystowskiego oficera. Uśmiech rozbawienia szybko zgasł na moich ustach. Choć trudno mi się było do tego przyznać, podczas ostatniej wizyty Jakuba odczuwałam pewne onieśmienie, on najwyraźniej też. Długotrwała rozłąka, mimo najlepszych intencji, niepostrzeżenie oddaliła nas od siebie. Wmawiałam sobie, że wspólne życie na nowo połączy nasze dusze, ale sama nie bardzo w to wierzyłam, bo wojenne przeżycia wycisnęły na każdym z nas odmienne piętna. Martwiło mnie także, że Krysia nie dawała mi wielkich nadziei na zatrzymanie Łukasza, a o

swojej ucieczce nawet nie wspomniała. Zawsze marzyłam, że po wyzwoleniu zamieszkamy wszyscy razem. Ponieważ przewidywałam, że poniesie konsekwencje naszego niespodziewanego zniknięcia, postanowiłam za wszelką cenę nakłonić ją do wyjazdu, a gdyby odmówiła, zamierzałam ją zaszantażować, że w takim razie i ja nie opuszczę Krakowa. Nie mogłam jej zostawić na pastwę hitlerowców. Stanowiłyśmy przecież rodzinę.

Prawdziwą rodzinę, mamę i tatę, widziałam tak strasznie dawno. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym wyjechać gdzieś w nieznane, nie wiedząc nawet, jak żyją. Prosiłam Krysę o jakąkolwiek wiadomość na ich temat, lecz po jej niepewnej minie poznałam, że wątpi, czy cokolwiek uzyska.

Nagle hamowanie autobusu wyrwało mnie z zamyślenia. Pasażerowie zaczęli nerwowo szeptać między sobą. Zapanowało w pełni uzasadnione napięcie, bo gestapo ustawiło patrole przy każdym wjeździe do miasta, również przy skrzyżowaniu naszej ulicy z Alejami. Przeprowadzano wyrywkowe kontrole w pojazdach. Wielokrotnie widziałam przeszukiwane samochody i wozy konne, stojących na poboczach ludzi, wypytywanych o dane personalne i cel podróży. Po raz pierwszy zatrzymali autobus. Przemknęło mi przez głowę, że to mnie szukają, że któryś z uwięzionych bojowników wymienił moje nazwisko podczas przesłuchania, szybko jednak uświadomiłam sobie, że gestapo nie musiało przeczesywać miasta z mojego powodu, znaleźliby mnie przecież bez trudu w biurze komendanta albo u Krysi. Dwóch brutalnych policjantów wyrzuciło nas

z autobusu. Dwóch kolejnych, z owczarkami niemieckimi na smyczy, stało na zewnątrz. Trzymali nas na zimnie, póki dokładnie nie przeszukali autobusu. Minęło dziesięć minut, później piętnaście. Już wiedziałam, jak komendant przemierza nerwowo gabinet, usiłując dociec przyczyn mojego spóźnienia. Gdybym poszła dalej pieszo, prędzej dotarłabym na Wawel, ale nie chciałam zwracać na siebie uwagi. Po dwudziestu minutach policjanci wyszli i kazali nam wsiadać. Przy drzwiach wyrywkowo sprawdzali dokumenty. Wstrzymałam oddech, ale mnie nie zatrzymali. Gdy już wszyscy zajęli miejsca, jeden z gestapowców stanął w otwartych drzwiach.

- Kłopowicz Henryk! - ryknął.

Zapadła cisza. Oficer powtórzył nazwisko z czerwoną z wściekłości twarzą. Mężczyzna naprzeciwko mnie podniósł rękę, twarz mu poszarzała. Nie odwracając głowy, obserwowałam go kątem oka.

- *Schnell!**¹⁷ - wrzasnął oficer.

Gdy Kłopowicz z ociąganiem podszedł do przednich drzwi, gestapowiec wywlókł go za ramię na chodnik. Kierowca zamknął za nim drzwi, pojechaliśmy dalej. Znałam aresztowanego z widzenia, bo codziennie podróżował tą trasą. Wyglądał niepozornie, jak zwykły robotnik. Czym zawinił, że wyłowiono go z tłumu, najwyraźniej nieprzypadkowo? Zadrżałam.

Po piętnastu minutach dotarłam na Wawel. Małgorzata już siedziała przy biurku. Przywitała mnie z triumfalną miną, najwyraźniej szalenie dumna ze swej punktualności. Znacząco popatrzyła na zegar, który

¹⁷ Szybko! (przyp. tłum.).

wskazywał ósmą trzydzieści.

- Cześć - mruknęłam zdawkowo. Kątem oka dostrzegłam, że otwiera usta, lecz pospiesznie zamknęłam za sobą drzwi, zanim zdążyła wypowiedzieć słowo.

Po wejściu do swojego pokoju stwierdziłam z zadowoleniem, że w piecu płonie ogień. Widocznie Małgorzata napaliła przed moim przyjściem. Musiałam przyznać, że stara się być dla mnie miła. Doszłam do wniosku, że powinnam odpłacić jej równą uprzejmością.

Gdy po przyjęciu, na którym poznałam komendanta, spytałam Krysie, jakim cudem stać ją na tak miłe zachowanie wobec okupantów, odrzekła:

- Dbaj o przyjaciół, a jeszcze bardziej o wrogów.

Nie zdążyłam zdjąć płaszcza, gdy w progu stanęła Małgorzata. Zerknęłam na nią przez ramię.

- Słucham?

- Komendant pojechał na naradę na Pomorską.

- Kiedy wróci?

- Mówił, że... - Przerwała, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- W czym problem? - spytałam.

Nie odpowiedziała, tylko wbiła wzrok w mój brzuch. Dosłownie ją zatkało. Podążyłam za jej spojrzeniem. Zamarłam z przerażenia. Podczas zdejmowania płaszcza sweter zadarł się do góry, odsłaniając w całej okazałości moje zaokrąglone kształty.

- Małgorzato... - Kompletnie nie wiedziałam, co dalej powiedzieć.

Lecz ona nie słuchała, tylko szybkim krokiem ruszyła ku drzwiom. W pośpiechu zawadziła o róg dywanu i straciła równowagę. Zanim zdążyła ją odzyskać, dopadłam do niej i chwyciłam za ramię.

- Poczekaj, Małgosiu, wszystko ci wyjaśnię - usiłowałam ją zatrzymać, choć niby co miałabym wyjaśniać w tak oczywistej sytuacji.

- Nie mam czasu. Czeka mnie mnóstwo pracy przed powrotem komendanta - odburknęła, patrząc w bok.

Zawołałam ją jeszcze raz, ale zatrzasnęła za sobą drzwi. Zdruzgotana, opadłam na krzesło. Zemdlilo mnie. Jej zachowanie tylko potwierdziło moje wcześniejsze podejrzenia: do tej pory zazdrościła mi uprzywilejowanej pozycji, teraz już nie musiała okazywać mi szacunku. Miała mnie w garści. Dałabym głowę, że tylko czeka na odpowiedni moment, żeby donieść szefowi o mojej ciąży.

Kilka dni później, po położeniu Łukasza do łóżka, sortowałyśmy z Krysią wypraną bieliznę.

- Nawiązałam kontakt z działaczami ruchu oporu
- oświadczyła nieoczekiwanie.

Popatrzyłam na nią znad ręcznika, który właśnie składałam, rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Z wrażenia odebrało mi mowę.

- Z Józefem, tym, który cię do mnie przyprowadził.

Doskonale pamiętałam jego twarz, choć do tej pory nie znałam imienia.

- Czy wspominał...

- Niestety nie. Zaczęłam od pytania o Jakuba, ale nie miał o nim żadnych wiadomości - odpowiedziała na niedokończone pytanie. Jak

zwykle odgadła moje myśli.

- Och - westchnęłam z ciężkim sercem.

- Ale za to sądzi, że do końca miesiąca zorganizuje twój wyjazd.

Wytrzymasz?

Nie byłam tego pewna. Czekały mnie pełne trzy tygodnie udawania przed komendantem, o ile Małgorzata nie doniesie mu wcześniej o ciąży. Od dnia, w którym przez nieuwagę zadarłam sweter, prawie nie rozmawiałyśmy. Przychodziłam do biura przed nią, wychodziłam później, żeby uniknąć kolejnych kłopotliwych sytuacji. Ponieważ od tamtej pory nic szczególnego się nie wydarzyło, zaczęłam wątpić, czy rzeczywiście dostrzegła zmianę w moim wyglądzie. Może tylko strach miał wielkie oczy albo z jakichś tylko sobie znanych powodów' wolała zachować w dyskrecji swoje spostrzeżenia. W końcu przestałam się oszukiwać. Pamiętnego ranka nie kryła zdumienia, a później triumfu, i czekała tylko na odpowiedni moment, żeby zadać decydujący cios. Gdyby komendant nie przesiadywał przez cały tydzień do późna na zebraniach, już by mu pewnie obwieściła sensacyjną nowinę.

- Czy ty mnie słuchasz, Emmo? - upomniała mnie Krysia łagodnie.

- Tak, oczywiście - mruknęłam z ociąganiem. Nie starczyło mi odwagi, by wyznać, że Małgorzata odkryła mój sekret. Palił mnie wstyd nie tylko z powodu mojej karygodnej lekkomyślności, lecz również dlatego że zataiłam przed Krysią prawdę, którą powinnam dawno ujawnić. Nie wyznałam jej więc także podczas tej rozmowy.

- Wytrwasz trzy tygodnie? - powtórzyła Krysia.

- Chyba tak.

- To dobrze. Przez ten czas zdąży się ocieplić, a ty zbyt szybko się nie zaokrąglisz. Józef załatwi ci obstawę.

Serce zaciążyło mi jak głaz. Pojęłam, że Jakub do mnie nie dołączy, inaczej nie organizowaliby mi eskorty. Chciałam zapytać o niego, ale w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że nie zdobyła o nim żadnych informacji.

- A co z tobą i z Łukaszem? Po moim zniknięciu będą cię wypytywać, zwłaszcza komendant.

- Jeśli zostanę, jakoś cię wytłumaczę, na przykład że wyjechałaś do krewnych w odwiedziny.

- Nie, Krysiu. - Nie przekonała mnie. Komendant nigdy by nie uwierzył, że pojechałam w gości bez słowa pożegnania. - Nie zostawię was na pastwę hitlerowców. Jeśli nagle zniknę, grożą ci represje.

- Wspólna podróż niesie jeszcze więcej niebezpieczeństw. We trójkę zwracalibyśmy na siebie uwagę. Trudno wędrować przez lasy ze starą kobietą

i dzieckiem - zaproponowała. - W każdym razie ja nigdzie nie wyjadę. Nie przesadza się starych drzew. Tu jest mój dom - podkreśliła z posępną miną.

Szukałam rozpaczliwie odpowiednio mocnych kontrargumentów, lecz żadnego nie znalazłam. W duchu przyznałam jej rację, lecz tylko jeśli chodzi o ryzyko związane ze zbiorową ucieczką. Natomiast ostatnie zdanie nie zabrzmiało przekonująco. Żaden dom w Polsce nie stanowił już bezpiecznego azylu. Tysiące Żydów wygnano do getta,

gestapo wywlekało ludzi z mieszkań o każdej porze dnia i nocy. Krysia z całą pewnością nie podjęła decyzji o pozostaniu z czystego wygodnictwa, po prostu nie troszczyła się o siebie. Dałabym głowę, że dla naszego dobra przemierzyłaby najgęstsze lasy w swoim kaszmirowym płaszczu i pantofelkach. Nie mogłam pozwolić, żeby nadstawiała za mnie głowę. Uklękałam przed nią. Ujęłam jej rękę.

- Chodź ze mną, Krysiu - błagałam.

Lecz ona tylko bez słowa pokręciła głową. Znałam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jej nie przekonam.

- A co z Łukaszem? Gestapo nie powinno go tu zastać, gdy przyjdzie mnie szukać.

Przez dłuższy czas w milczeniu rozważała moje słowa. Postawiłam ją przed trudnym dylematem: czy narazić chłopca na spotkanie z gestapowcami w willi, czy na schwytanie podczas ucieczki. W obu wypadkach małemu groziła śmierć. Należało wybrać mniejsze zło.

- Łukasz spowolni tempo ucieczki - powiedziała.

- Dam radę.

- Weź pod uwagę, że nie jesteś sama. Narazisz nie tylko siebie, ale i swoje dziecko.

Zanim zdążyłam zaprotestować, że Łukasz też jest mój, powstrzymała mnie uniesieniem ręki.

- Dość tych dyskusji. Mamy czas na podjęcie ostatecznej decyzji.

- Dobrze, niech będzie - mruknęłam, usiadłam ponownie na sofie i zaczęłam składać porzucony wcześniej ręcznik.

Krysia nawet nie tknęła bielizny, tylko patrzyła w ciemność za oknem niewidzącym wzrokiem.

- Co z tobą, Kysiu? - spytałam.

- Po śmierci Marcina nie mogłam znieść samotności. Z czasem niby przywykłam, lecz ból nigdy mnie nie opuścił, aż do tego wieczoru, gdy u mnie zamieszkałaś. Właśnie sobie uświadomiłam, jak bardzo przywiązałam się do ciebie i Łukasza. Będę strasznie tęsknić.

- Och, Kysiu - westchnęłam poruszona do głębi. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że tak ciężko przeżyje rozstanie. Prawdę mówiąc, nawet nie brałam pod uwagę uczuciowej strony problemu. Chciałam zapewnić, że na zawsze pozostaniemy rodziną, lecz nie wyraziłam głośno tej myśli, bo sama nie byłam tego pewna. Połączył nas przecież przypadek, a teraz rozdzielały nowe okoliczności. Nie potrafiłam przewidzieć, co przyniesie przyszłość.

- Pytał o ciebie już dwa razy - obwieściła z satysfakcją Małgorzata, kiedy rano przyszedłam do biura.

Popatrzyłam z niepokojem na zegar. Wskazywał za piętnaście ósmą. Nie spóźniłam się, przyszedłam przed czasem, a komendant jeszcze wcześniej, czego nigdy do tej pory nie robił. Serce podeszło mi do gardła. Wmawiałam sobie, że nie ma powodu do niepokoju, że pewnie chce mnie zapoznać z obowiązkami przed wyjściem na poranne zebranie, ale sama w to nie wierzyłam. Precyzyjny jak szwajcarski zegarek komendant codziennie wychodził z domu punktualnie o ósmej, a droga do pracy zabierała mu mniej więcej piętnaście minut, w zależności od natężenia ruchu. Zawsze ściśle przestrzegał poran-

nego harmonogramu. Z drzeniem serca zdjęłam płaszcz i niepewnie zapukałam do uchylonych drzwi. Odpowiedziała mi cicho. Zastukałam ponownie, tym razem nieco głośniej.

- Panie komendancie?

- Wejść.

Spełniłam polecenie. Komendant stał w drugim końcu gabinetu i wyglądał przez okno.

- Małgorzata przekazała mi, że pan mnie wzywał

- Tak. Siadaj.

Zajęłam miejsce na samym brzeжку sofy, z piórem w pogotowiu. Komendant nawet na mnie nie spojrzał, nadal patrzył przez okno na Wisłę. Z trudem zwalczyłam pokusę, żeby uciec. Wzięłam głęboki oddech. Minęła minuta milczenia, potem druga. W końcu nie wytrzymałam napięcia.

- Coś nie w porządku, panie komendancie?

Odwrócił się, przemierzył pokój z posępną miną, ciężko dysząc przez zęby. Stanął naprzeciwko mnie.

- Wszystko. Partyzanci wysadzają w powietrze kawiarnie, kiedy im się żywnie podoba, zabijają naszych ludzi. Przestaliśmy panować nad sytuacją. Przegrywamy wojnę.

Zaparło mi dech ze zdumienia. Po raz pierwszy usłyszałam z ust Niemca o porażkach. Do tej pory tylko przechodnie na ulicy i polscy urzędnicy z Wawelu powtarzali szeptem pogłoski o możliwej klęsce Niemiec. Komendant podszedł bliżej, przystanął krok przede mną.

- Moi wrogowie obwiniają mnie o wszystkie niepowodzenia. Chcą

mnie pograżyć.

- Nadeszły trudne czasy - odrzekłam enigmatycznie, wbrew własnym odczuciom. W rzeczywistości miałam nadzieję, że problemy polityczne odwrócą jego uwagę od mojej osoby.

- O tak - mruknął. Usiadł obok mnie ze wzrokiem zapatrzonym gdzieś w dal. - No i jeszcze na dodatek ta sprawa z tobą... - dodał.

- Ze mną? - wymamrotałam. Głośne uderzenia serca niemal zagłuszyły moje słowa.

- Tak. - Odwrócił ku mnie twarz. - Masz mi coś do powiedzenia, Anno?

Poczułam, że płoną mi policzki. Odkąd stwierdziłam, że jestem w ciąży, zapomniałam, że ukrywam przed nim znacznie poważniejszy sekret. Ogarnęło mnie przerażenie. Czyżby odkrył moją prawdziwą tożsamość? Spuściłam wzrok.

- Nie, panie komendancie.

- Anno! - Ujął mnie pod brodę, zmusił do spojrzenia w oczy. - Mów mi Georg.

Chociaż już wcześniej w mieszkaniu kazał zwracać się do siebie po imieniu, po raz pierwszy poprosił mnie o to w biurze. W jego oczach nie dostrzegłam gniewu, tylko bezmiar czułości. Gdyby odkrył, kim naprawdę jestem, nie patrzyłby tak łagodnie. Pojęłam, że wie o ciąży i że wcale go ta wiadomość nie rozgniewała. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Georg... - zaczęłam niepewnie. Jego imię z trudem przeszło mi przez usta. - Skąd wiesz? - spytałam w końcu, żeby zyskać na czasie.

- Od Małgorzaty.

- Coś podobnego! - Westchnęłam, udając zaskoczenie.

- Liczyła na to, że wpadnę w złość, wyrzucę cię z pracy, a ona zajmie twoje miejsce. Od dawna miała chrapkę na to stanowisko.

Zrobiłam wielkie oczy, jakbym usłyszała zupełnie nieoczekiwaną i nad wyraz przygnębiającą nowinę.

- Nie martw się. Małgorzata oczywiście nie ma pojęcia, że oczekujesz mojego dziecka. Przykro mi tylko, że sama mi nie powiedziałaś - dokończył z kwaśną miną.

- Przepraszam - mruknęłam zakłopotana.

- Nie, Anno, to ja powinienem prosić o wybaczenie. Nie dałem ci takiej szansy. Rzadko cię ostatnio widywałem. Gdyby sprawy urzędowe tak bardzo mnie nie absorbowały, sam zauważyłbym zmianę. Zresztą nieważne. Grunt, że już wiem. - Znow ujął moją twarz w dłonie i pocałował w czoło.

- Czy to znaczy, że się nie gniewasz? - spytałam, tym razem szczerze zaskoczona.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknął z szerokim uśmiechem. - Nie mogłaś mnie uczynić szczęśliwszym. Zawsze pragnąłem dziecka. Niestety, z Margot... nie dostąpiłem tej radości.

Natychmiast ujrzałam oczami wyobraźni zwłoki jego brzemiennej żony z przestrzeloną głową, w kałuży krwi. Znow dostałam ataku nudności. Przemocą odpędziłam przerażającą wizję.

- Wolałbym oczywiście tradycyjną kolejność: najpierw małżeństwo, później dzieci, ale los zrządził inaczej.

- No właśnie. Co ludzie pomyślą? Czy to nie zaszkodzi twojej karierze?

Spochmurniał. Najwyraźniej uświadomiłam mu, że przeciwnicy celowo rozdmuchają skandal, żeby wszcząć kampanię przeciwko niemu.

- Musisz opuścić Kraków, zanim ktokolwiek zauważy zmianę - oświadczył po namyśle.

Co za ironia losu! - pomyślałam. Wpadł na ten sam pomysł co Krysia.

Komendant przemierzał pokój w tam i z powrotem jak wtedy, gdy dyktował mi raporty.

- Najchętniej wysłałbym cię do swojego domu w Hamburgu, ale na razie to niemożliwe, póki wrogowie bombardują miasta. Już wiem! - Zwrócił ku mnie twarz, jakby nagle doznał olśnienia. - Moja siostra, Hannah, mieszka na wsi, niedaleko Salzburga. Zamieszkasz u niej.

Zaparło mi dech z przerażenia. Austria leżała jeszcze dalej niż Hamburg, w głębi Rzeszy Niemieckiej. Nie wyobrażałam sobie, w jaki sposób odnajdę Jakuba albo rodziców, jeśli mnie tam wyśle.

- Bardzo miło z pana... z twojej strony, ale...

- Przerwałam. Szukałam w miarę wiarygodnego wykrętu. - Ale nie mogę opuścić rodziny - dokończyłam.

- Jasne. Poza tym nie powinnaś podróżować sama. Zabierzesz z sobą Krysię i Łukasza. Pułkownik Diedrichson odwiezie was do Wiednia. Moja siostra przyjedzie tam po was samochodem. Co o tym myślisz?

Przede wszystkim myślałam, jak to możliwe, że jeden człowiek za pomocą kilku zdań potrafi zmienić życie trzech osób. Później uświadomiłam sobie, że to dla niego nie nowina, przecież od lat jego rozkazy decydowały o losach tysięcy Żydów. Dlatego jego propozycja brzmiała jak wyrok śmierci. Nie mogłam dopuścić do jej realizacji.

- Ależ Georg... - próbowałam protestować.

- Co tam znowu? - przerwał, tym razem już z wyraźnym zniecierpliwieniem. Zajął miejsce tuż obok mnie.

Nabrałam powietrza w płuca.

- A co z tobą?

- Chciałaś powiedzieć, z nami - sprostował z szerokim uśmiechem, wyraźnie zadowolony, że przeraża mnie perspektywa rozstania.

- Właśnie. Nie chcę cię opuszczać - skłamałam.

- I wzajemnie. - Dotknął mojego policzka.

- Czy nie mogłabym pozostać w Krakowie, gdzieś w ukryciu?

- Przykro mi, ale to wykluczone, bo prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. W obecnej, tak bardzo niepewnej sytuacji, nie widzę innej możliwości jak wyjazd.

Miałam ochotę zapytać, czy przewiduje oblężenie miasta przez aliantów.

- Poza tym w Austrii można zapewnić tobie i dziecku o wiele lepszą opiekę medyczną. - Ponownie ujął moje dłonie. - Wyjedziesz jutro. To najlepsze rozwiązanie. Dołączę do ciebie zaraz po wojnie. Weźmiemy ślub tak prędko, jak to możliwe.

Już otwierałam usta, żeby wysunąć kolejny kontrargument, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam z dalszej dyskusji. Jeśli coś postanowił, to nieodwołalnie, nigdy nie zwracał z raz obranej drogi. Pod względem uporu przypominał Jakuba.

Uznał moje milczenie za znak zgody.

- A zatem ustalone. Przygotuję wszystko. Wyjedziesz jutro o dziewiątej.

Popatrzyłam na zegar. Zostały mi dwadzieścia cztery godziny. Musiałam jak najprędzej zawiadomić Krysę. Wstałam.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym poszła teraz do domu? Trochę mi słabo.

- Oczywiście. - Również wstał. - Idź, nabierz sił przed podróżą. W twoim stanie powinnaś dużo odpoczywać.

- Bardzo dziękuję. - Ruszyłam ku drzwiom.

- Jeszcze jedno, Anno - zawołał za mną.

- Słucham? - Podeszłam do niego z ociąganiem.

- Czy zechciałabyś mnie odwiedzić dziś wieczorem? - zaproponował, patrząc w bok, wyraźnie onieśmielony. - Dawno u mnie nie byłaś, a nie wiem, kiedy cię znowu zobaczę... No jak, przyjdiesz?

- Sama nie wiem - mruknęłam niepewnie. Zdumiało mnie, że w natłoku dramatycznych wydarzeń jeszcze mu w głowie romanse.

- Proszę, choćby na chwilę - nalegał.

Z początku chciałam odmówić. Gorączkowo szukałam w myślach sensownej wymówki. Spędzenie z nim nocy było ostatnią rzeczą, na jaką miałabym ochotę. Z drugiej strony powinnam przyjąć zapro-

szenie, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Widząc moje wahanie, zerknął na drzwi, czy nikt nie nadchodzi, po czym porwał mnie w objęcia. Gdy zajął mi głęboko w oczy, moje serce przyspieszyło rytm, jak zwykle w jego obecności. Zastanawiałam się, czy czuje, jak mocno bije. Wycisnął na moich ustach krótki, zachłanny pocałunek. Zaraz potem mnie puścił. Odstąpiłam krok do tyłu, poprawiłam sukienkę.

- Co zdecydowałaś? - zapytał, jakby wierzył, że jeden pocałunek daje mu nade mną nieograniczoną władzę.

- Zgoda. - Zrobiłabym wszystko, byle tylko puścił mnie jak najprędzej do domu.

- Wspaniale. Stanisław przyjedzie po ciebie o ósmej wieczorem. Chcesz, żeby cię teraz odwiózł?

- Nie, dziękuję. Zrobię po drodze zakupy.

- W takim razie do zobaczenia wieczorem.

- Wrócił za biurko. - Kiedy będziesz wychodzić, poproś do mnie Małgorzatę - rzucił jeszcze przez ramię od niechcenia.

Mimo lekkiego tonu wychwyciłam w jego głosie gniewną nutę. Dałabym głowę, że to ostatni dzień jej pracy. Nie dość, że próbowała mnie pograżyć, to jeszcze za dużo wiedziała. Szybko włożyłam płaszcz i zabrałam torbę, następnie weszłam do sekretariatu.

- Komendant cię wzywa - oznajmiłam chłodnym tonem.

Małgorzata wstała, unikając mego wzroku, i niezwłocznie popędziła do szefa. Pewnie uznała, że wychodzę tak wcześnie, ponieważ otrzymałam wymówienie, a ją czeka awans. Byłam zbyt zmęczona, by jej współczuć. Z trudem powstrzymałam pokusę, żeby po raz

ostatni opuścić główną kwaterę faszystowskich władz biegiem.

TLR

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Zdyszana wbiegłam do domu i natychmiast poinformowałam Krysię, że komendant odkrył mój sekret i chce nas wszystkich wysłać do Austrii.

- Tego się właśnie obawiałam - jęknęła. - Dopilnuj Łukasza. - Pospiesznie narzuciła płaszcz, włożyła kapelusz, po czym wybiegła na ulicę.

Wróciła po czterech godzinach.

- O świcie opuścisz Kraków - oznajmiła prawie bez tchu.

Nie wyjawiała, gdzie ani co załatwiała, tylko od razu przedstawiła mi plan ucieczki.

- Ktoś po ciebie przyjedzie i zabierze cię do Myślenic. Pozostaniesz tam do jutra w ukryciu. Wieczorem, po ciemku, zostaniesz przewieziona furmanką przez granicę do pewnego domu w górach po czechosłowackiej stronie. To bardziej ryzykowny plan od tego, który opracowaliśmy wcześniej, ale nie mamy wyjścia.

- Tak mi przykro. - Podążyłam za nią do kuchni i opadłam na krzesło.

Krysia machnęła ręką.

- Nie pora teraz rozpaczać nad tym, czego już nie można zmienić. Trzeba cię stąd wydostać za wszelką cenę. - Włożyła dzbanek do zlewu i nalała do niego wody.

- Łukasz śpi?

- Tak. Czy Jakub wyjedzie razem ze mną?

- Nie sądzę. - Krysia popatrzyła na mnie ze smutkiem. - Chciałam was wysłać razem, ale nie da się naprędce zorganizować wspólnej ucieczki, tym bardziej że nie uzyskałam żadnych informacji na temat stanu jego zdrowia. Być może za kilka miesięcy dołączy do ciebie.

Przez chwilę rozważałam, czy nie lepiej mimo wszystko zostać. Krysia odgadła moje rozterki. Postawiła czajnik na ogniu, następnie zwróciła ku mnie twarz.

- Musisz jechać - nalegała. - Znam mojego siostrzeńca na tyle dobrze, by wiedzieć, że w tej sytuacji pragnąłby tylko jednego, to znaczy żebyś znalazła się z dzieckiem w bezpiecznym miejscu.

Akurat w tym momencie nie podzielałam tej pewności. Gdyby mu rzeczywiście tak bardzo na mnie zależało, nie poszedłby do partyzantki, nie dokonałby zamachu na kawiarnię, nie zostałby ranny, a ja nie miałabym wątpliwości, czyje dziecko noszę pod sercem. Z drugiej strony, gdyby nie zaczął działać w konspiracji, nigdy nie opuściłabym getta. Zostalibyśmy oboje wywiezieni do obozu koncentracyjnego albo jeszcze gorzej. Po rozważeniu wszystkich argumentów przyznałam Krysi rację. Działał dla naszego dobra, robił wszystko, żeby mnie ocalić. Należało uszanować jego wolę.

- A co z tobą i Łukaszem? - wróciłam do tematu kilka minut później, gdy siedzieliśmy już przy herbacie.

- Łukasz nie przebrnąłby przez zaspę. W górach leży jeszcze gruba warstwa śniegu. To ryzykowna przeprawa, nawet bez dziecka. Po

twoim wyjeździe zostanie ukryty na wsi.

- Ależ dlaczego? - Nie mogłam się pogodzić z tym, że po tak ciężkich przejściach znowu trafi do obcych ludzi.

- Po twoim zniknięciu z całą pewnością wtargnie tu gestapo. Kłamstwo o twojej wizycie u krewnych w Gdańsku nie brzmiałoby wiarygodnie, gdyby twój przybrany braciszek tu został.

Nie odpowiedziałam. Dopiliśmy herbatę w absolutnej ciszy, zakłócało ją tylko tykanie starego zegara. Kilka minut później ponownie poruszyłam temat rodziców. Krysia umknęła wzrokiem w bok, starannie wygładziła spódnice.

- Spytałam o nich zaraz po ustaleniu planu twojej ucieczki. Żyją tak, jak to możliwe w tamtejszych warunkach. Miałam nadzieję, że uzyskam więcej informacji, ale mi się nie udało - dokończyła niepewnie, jakby coś ukrywała.

- Muszę ich zobaczyć przed wyjazdem.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Bardzo proszę. Chciałabym ich przynajmniej pożegnać - nie dałam za wygraną.

- Bądź rozsądna, Emmo. Po zamieszkach w Warszawie na Podgórzu wzmocniono strażę, wystawiono dodatkowe posterunki, najgęściej wokół getta. Nie wolno ci ryzykować życia. Gdybyś nawet weszła do środka, to co dalej? Chcesz tam zostać?

- Trudno powiedzieć. Raczej nie - przyznałam po chwili wahania. - Nie, na pewno nie... Ale gdybym znalazła szczelinę w murze, jak ta, przez którą uciekłam, porozmawiałabym z nimi albo chociaż prze-

słała przez kogoś wiadomość.

- To zbyt niebezpieczne. Po twoim wyjeździe poproszę przyjaciół z ruchu oporu, żeby otoczyli ich opieką - dodała łagodniej.

Nie rozproszyła moich obaw. Nie wątpiłam wprawdzie w szczerść jej intencji, nie wierzyłam jednak ani przez chwilę, że ktokolwiek kiwnie palcem dla dwojga starych ludzi. Dla ruchu oporu osoby niezaganowane w walkę wyzwoleniczą nie miały żadnego znaczenia. Po raz setny przeklełam własną naiwność, że zaufałam im kilka miesięcy wcześniej. Nie miałam jednak nadziei, że przekonam Krysię i zrezygnowałam z dalszej dyskusji. Zamiast tego zapytałam o komendanta.

- Nie uwierzy, że tak po prostu wyjechałam sobie w gości akurat wtedy, gdy zorganizował mi transport do Austrii - zauważyłam na koniec.

- Już ja się nim zajmę - ucięła krótko ze zwężonymi w szparki oczami.

- Nie wyglądałaś na zaskoczoną jego propozycją.

- Oczywiście że nie. Jest w tobie zakochany.

- Właśnie, Krysiu.... W tym cały problem. - Spuściłam oczy.

- Emmo, ty posmutniałaś - zauważyła z zaskoczeniem. - Dlaczego?

- Trudno powiedzieć - mruknęłam. Sama nie bardzo umiałam zdefiniować swoich uczuć. Obecnie oscylowały pomiędzy litością a żalem.

- Rozumiem. - Poklepała mnie po ręce. - Złamać czyjeś serce, nawet takiego Richwaldera, to żadna przyjemność.

- No właśnie - podchwyciłam skwapliwie. Nabrałam powietrza w płuca. - Prosił mnie, żebym go dzisiaj odwiedziła.

- I co? - Jej dłoń zastygła w bezruchu na mojej.

- Wyraziłam zgodę. Nie znalazłam żadnej sensownej wymówki - dodałam na własną obronę.

- Słusznie postąpiłaś, chociaż to trochę komplikuje sprawę. Rano wyjeżdżasz.

- Wszystko pójdzie jak po maśle. Komendant twardo śpi - zapewniłam zarumieniona ze skrepowania, że zdradzam tak intymne szczegóły. - Wielokrotnie opuszczałam mieszkanie, zanim się zbudził.

- Mimo wszystko lepiej pomóc losowi. - Wyszła z kuchni, po chwili wróciła z fiolką białego proszku.

- Dodaj odrobinę do brandy, żeby nie obudził się w najmniej odpowiednim momencie.

- Skąd to masz?

- Pankiewicz dał mi ten środek, zanim wywieziono go z getta. Służy do usypiania pacjentów przed zabiegami medycznymi. Poprosiłam, żeby odstąpił mi trochę na wszelki wypadek.

- Czemu nie dałaś mi tego wcześniej?! - Doskonale pamiętałam, ile razy wyczekiwałam, aż zaśnie, żeby później z duszą na ramieniu przeszukać jego gabinet.

- Rozważałam taką możliwość, ale po namyśle zrezygnowałam. To bardzo mocny lek. Człowiek pozostaje oszołomiony przez cały następny dzień, jakby za dużo wypił. Gdyby spostrzegł, że po każdej

twojej wizycie jest wyjątkowo ospały, nabrałby podejrzeń, lecz teraz to co innego.

- Masz rację, już nie mam nic do stracenia. Odwiedzam go ostatni raz. - Włożyłam fiolkę do kieszeni i wstałam. - Krysiu, czy to bezpieczne? To znaczy czy nic nie grozi dziecku, jeśli spędzę noc z mężczyzną? - sprecyzowałam na widok jej zdziwionej miny, okropnie zawstydzona.

- Na tym etapie jeszcze nie.

Z góry dobiegło gaworzenie Łukasza.

- Uspokoję go - zaproponowałam skwapliwie. Nagle zapragnęłam zakończyć tę wielce krepującą rozmowę.

- Dobrze. Przygotuję wam ciepłe ubrania. - Krysia ruszyła po schodach na górę.

Przez pozostałą część dnia w milczeniu pakowałyśmy dwie niewielkie torby i szykowałyśmy prowiant na drogę.

Kiedy niosłam Łukasza do łóżka, przyłgnał do mnie mocniej niż zwykle, jakby przeczuwał, że widzi mnie ostatni raz. Kilka minut przed ósmą przed willą zaparkował samochód komendanta. Krysia odprowadziła mnie do wyjścia.

- Nie zapomniałaś proszku? - spytała jeszcze dla pewności.

- Nie. Wrócę przed świtem - obiecałam, zapinając płaszcz.

- Dobrze. Zachowaj wyjątkową czujność. Nie wolno nam niczego zepsuć, gdy ratunek jest tak blisko. Do zobaczenia rano. - Pocałowała mnie na pożegnanie wyschniętymi wargami w policzek.

Ku mojemu zaskoczeniu komendant czekał na mnie w drzwiach

kamienicy. Ujął mnie z galanterią pod ramię.

- Wspaniale wyglądasz - powiedział czule.

W drodze na górę zwróciłam uwagę na świeżo ogolone policzki i przyjemny aromat wody kolońskiej. W mieszkaniu przeżyłam kolejne miłe zaskoczenie. Panował tam wzorowy porządek, delikatnie pachniało cytryną. Komendant pomógł mi zdjąć płaszcz.

- Posprzątałeś?

- Szczerze mówiąc, kazałem posprzątać. Samotny mężczyzna może sobie pozwolić na niechlujstwo, ale dziecka nie wolno wychowywać w bałaganie.

Nie przypomniałam, że nawet tu nie urodzę, dokładał przecież wszelkich starań, aby udowodnić, że będzie dobrym ojcem. Zanim usiadłam na sofie, dostrzegłam jeszcze jedną zmianę. Z gzymsu kominka znikło zdjęcie Margot, zastąpił je bukiet świeżych kwiatów. Gdy wskazałam je palcem, komendant podszedł do mnie i ujął moje dłonie.

- Czas zapomnieć o przeszłości i spojrzeć w przyszłość. Teraz ty jesteś treścią mojego życia.

Szukałam na jego twarzy oznak smutku, ale ich nie znalazłam. Po raz pierwszy od dnia, w którym go poznałam, wyglądał na szczęśliwego. Nagle poczułam wyrzuty sumienia, że go oszukuję. Nie wyobrażałam sobie, co robi, gdy Anna, która go w sobie rozkochała, zniknie bez pożegnania.

- Jesteś głodna? - zapytał.

Już chciałam zaprzeczyć, lecz przypomniałam sobie o fiolce w

kieszeni. Postanowiłam wykorzystać okazję.

- Troszeczkę - skłamałam. - Zrób lekką kolację, a ja przez ten czas przygotuję coś do picia.

Kiedy wyszedł do kuchni, wyjęłam z oszklonego kredensu dwa kieliszki. Zerknęłam przez ramię, czy mnie nie obserwuje, po czym wsypałam do jednego odrobinę proszku. Ponieważ Krysia nie określiła dawki, dodałam jeszcze trochę dla pewności. Ledwie zdążyłam nalać brandy, komendant wniósł do salonu dwa talerze. Nakazałam sobie spokój. Zanim odwróciłam się twarzą do niego, ukradkiem schowałam fiolkę do kieszeni spódnicy.

- Wygląda smakowicie - pochwaliłam posiłek, stawiając pełne kieliszki na niskim stoliku obok sofy.

Podczas kolacji komendant gawędził o wszystkim i o niczym, jak każdego innego wieczoru, jakby za kilka godzin nie czekało nas rozstanie. Gdy wypił brandy, dyskretnie sprawdziłam, czy na dnie nie pozostał zdradziecki osad. Czekałam w napięciu na oznaki senności, lecz przez kilka minut nie dostrzegłam żadnej zmiany. Nie wiedziałam, jak długo trzeba czekać na efekt. Po kolacji i kawie zaczął mnie tulić. Nie chciałam, by usnął w salonie, bo gdyby się ocknął, mógłby mnie nakryć na ucieczce.

- Chodźmy do sypialni - zaproponowałam.

- Dobrze - wymruczał z zadowoleniem.

Dopiero tam środek zaczął działać. Komendant całował powoli, jego ręce niezgrabnie błądziły po moim ciele, miał rozszerzone źrenice. Kilka minut później zapadł w głęboki sen, ciężko

oddychał. Niewątpliwie lekarstwo było bardzo silne. Miałam nadzieję, że nie przedawkowałam.

Zegar na nocnym stoliku wskazywał kilka minut po jedenastej. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak długo gawędziliśmy przy kawie. Bezradnie patrzyłam w sufit, rozważając, co powinnam zrobić. Najchętniej wyszłabym od razu, ale postanowiłam się upewnić, że komendant się nie obudzi i nie zacznie mnie szukać. Mnie również ogarniała senność po kilku łykach brandy, chociaż z uwagi na ciążę starałam się wypić jak najmniej. Walczyłam z sobą, by nie zamknąć oczu. Leżąc w łóżku, myślałam o rodzicach. Dawno ich nie widziałam, a Krysia zabroniła mi iść do getta. Musiałam przyznać jej rację. Nie miałam prawa narażać siebie, swoich bliskich i tych, którzy mi pomagali, zwłaszcza że praktycznie nie istniała szansa nawiązania z nimi kontaktu. Mimo wszystko bardzo tęskniłam. Nagle zapragnęłam ich odwiedzić za wszelką cenę. Nie darowałabym sobie, gdybym wyjechała, nie zobaczywszy ich przedtem. Do tej pory dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że opuściłam getto bez pożegnania.

Zerknęłam jeszcze raz na zegar, następnie na komendanta. Spał spokojnie. Jego kamienica znajdowała się niedaleko mostu na Podgórze. Miałam sporo czasu, Krysia kazała mi wrócić przed czwartą rano.

Decyzja zapadła. Wstałam. Komendant sapnął, przewrócił się na drugi bok. Zastygłam w bezruchu, ale zaraz zaczął znów spokojnie oddychać. Po sprawdzeniu, czy ma zamknięte oczy, włożyłam ubranie i ruszyłam ku drzwiom. Zawróciłam w progu, przystanąłam przy

łóżku, żeby ostatni raz spojrzeć na kochanka. Zwalczyłam pokusę, by przytulić go, pocałować, przeprosić, że go okłamywałam, zawiodłam, że nie jestem osobą, którą pokochał. Chociaż żałowałam, że los nie połączył nas w innych okolicznościach, nie stać mnie było na rozpamiętywanie tego, czego zmienić nie można. Wtuliłam twarz w jego włosy, pocałowałam na pożegnanie. Nie zareagował. Wyszłam do salonu, ściągnęłam płaszcz z oparcia krzesła. Kątem oka dostrzegłam na stoliku talerze z resztkami kolacji. Zostało na nich jeszcze sporo mięsa i sera. Żal mi było marnować bezcenną żywność, postanowiłam zabrać ją dla rodziców. Weszłam na palcach do kuchni, wyjęłam z kredensu papierową torbę, w którą zapakowałam produkty, i wreszcie opuściłam mieszkanie. Na opustoszałej ulicy owionął mnie lodowaty wiatr. W ogromnym napięciu, cały czas pozostając w cieniu budynków, pospieszyłam w kierunku mostu. Niezauważona przez nikogo, doszłam na brzeg Wisły i chyłkiem przemierzyłam most kolejowy.

Na cichych, opustoszałych ulicach Podgórze nie napotkałam patroli gestapo, zapewne jednak obserwowali okolicę z ukrycia. Na szczęście bez przeszkód dotarłam do muru getta. Wciśnięta w ścianę, posuwałam się centymetr po centymetrze, usiłując pozostać niewidoczną w wąskiej smudze cienia. Niestety nie znalazłam w zasięgu wzroku żadnej szczeliny w murze. Przyznałam Krysi rację, niepotrzebnie tu przyszłam. Już miałam odejść, gdy wymacałam ręką dziurę nie większą niż bochenek chleba. Zajrzałam w nią. Rozpoznałam zabudowania przemysłowej części getta, w pobliżu kuchni. Nie istniała nawet najmniejsza szansa, że spotkam tu kogokolwiek w środku nocy.

Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w dalszą drogę. Kilka minut później wykryłam większą wyrwę. Ta z kolei otwierała widok już nie na magazyny, lecz na mieszkalną część, nieopodal kamienicy, w której mieszkali moi rodzice. Nie dostrzegłam jednak ani jednego człowieka. Widok wyludnionego zaułka odebrał mi resztki nadziei. Obejrzałam się przez ramię. Chociaż nikt mnie nie śledził, uznałam, że najwyższa pora odejść, zanim zostanę złapana. Zaszłam jednak zbyt daleko, żeby tak po prostu zawrócić z obranej drogi. Kilka minut później usłyszałam jakiś szmer po drugiej stronie muru. Wsadziłam głowę w szczelinę, popatrzyłam w jedną i drugą stronę, ale nikogo nie dostrzegłam. Doszłam do wniosku, że to tylko szczur hałasował na śmietniku. Wtem szuranie rozległo się ponownie. Jakiś przygarbiony starzec zmierzał w moim kierunku ze spuszczoną głową, powłócząc nogami. Gdy podszedł do mnie bliżej, już zamierzałam go spytać, czy przypadkiem nie zna mojego ojca - i nagle zastygłam z otwartymi ustami. Ten zniszczony, stary człowiek był moim ojcem.

- Tato! - zawołałam głośnym szeptem.

Poznał mnie dopiero po chwili. Powoli zbliżył się do dziury w murze i wyciągnął do mnie kościstą rękę.

- *Shana madela* - powiedział w jidysz. Znaczyło to „śliczna dziewczynka”. Zmienił się nie do poznania. Twarz przypominała obciągniętą skórą trupa czaszkę, broda mu zrzędła, po pięknym, zdrowym uśmiechu pozostało zaledwie kilka zębów.

- Tato, co ty... - Urwałam gwałtownie. Przez moją głowę mknęło tyle pytań, że nie wiedziałam, od którego zacząć.

- Czasami wędruję po nocach - odrzekł, jakby to wyjaśniało wszystko.

I poniekąd wyjaśniało. Doskonale znałam przyczynę jego bezsenności. Mnie również w getcie często głód nie pozwalał zmrużyć oka. Podałam mu torbę z prowiantem, który zabrałam z mieszkania komendanta.

- To dla ciebie, tato. Przyniosłam ci trochę jedzenia, niekosztemo wprowadzie, ale... - Urwałam na widok jego nieobecnego spojrzenia. Machinalnie wziął ode mnie torbę, jakby go nie obchodziło, co zawiera. Zaniepokoił mnie jego zaniedbany wygląd. Mama nawet w najgorszej biedzie nie wypuściłaby go na ulicę rozczochranego, w poplamionej odzieży. W jego oczach dostrzegłam bezbrzeżny smutek.

- Co z mamą? - spytałam, chociaż czułam, że otrzymam odpowiedź, jakiej wolałabym nie usłyszeć.

- Dziesięć dni temu.

- Co? - dociekałam niepotrzebnie, ponieważ nie chciałam dopuścić do świadomości straszliwej prawdy. Mój wzrok padł na rozdartą koszulę, zgodnie z żydowskim żałobnym obyczajem.

- Nie...

- Odeszła - wyszeptał z wysiłkiem. Łzy popłynęły mu z oczu.

- Nie! - krzyknęłam głośno, nie bacząc, że ktoś może usłyszeć. Wróciłam myślami do mieszkania na Kazimierzu. Gdy miałam pięć lat, zachorowałam na gripę. Mama spała ze mną, gotowała mi zupę, smarowała klatkę piersiową, śpiewała dla mnie piosenki.

- Mamusiu...

Ojciec patrzył na mnie z bólem w oczach. Zawsze cierpiał wraz ze mną, nawet gdy płakałam jako dziecko. Moja rozpacz załamała go w równym stopniu jak śmierć mamy.

- Zeszłej jesieni dostała silnej gorączki.

- Wiem - załkałam. - Próbowałam jakoś pomóc, Krysia również.

Nie przeszło mi przez usta, że przyjaciele z ruchu oporu odmówili nam pomocy.

- Krysia przysłała do nas polskiego farmaceutę, pana Pankiewicza. Ten wspaniały człowiek, prawdziwy dar od Boga, próbował wszystkiego. Zużył ostatnie lekarstwa, ale twoja mama zapadła na nieznaną chorobę, niepodobną do żadnej, którą potrafiłby wyleczyć. Wreszcie temperatura spadła. Nastąpiła pewna poprawa, ale w pełni nie odzyskała sił. Nadeszła zima i... Kilka tygodni temu gorączka powróciła. Zabiła ją.

- Czy umierała spokojnie? - spytałam drżącym głosem, połykając łzy.

- O tak - odrzekł ostrożnie po dość długim wahaniu. Czułam, że zataił przede mną ogrom jej cierpień.

- Pozostała dzielna do samego końca. Byłam przy niej przez cały czas.

- Ja też powinnam - zaszlochałam.

- Mama zrozumiała. Pragnęła tylko twojego bezpieczeństwa

Nie pocieszył mnie. Obraz śpiących rodziców podczas pamiętnej nocy, kiedy uciekłam z getta, znów stanął mi przed oczami. W czasie pokoju, nawet gdy mieszkaliśmy razem, często wpadałam do piekarni w drodze do biblioteki tylko po to, żeby ich pozdrowić. A potem nagle

odeszłam bez pożegnania.

Dreńczyły mnie wyrzuty sumienia, że nie zamieniłam z nią nawet słowa przed śmiercią.

- Tak mi przykro, że was porzuciłam...

- My nie żałowaliśmy - oświadczył z całą mocą.

- Oczywiście z początku zmartwiło nas twoje zniknięcie, ale szybko poinformowano nas, że Jakub wraz z przyjaciółmi wydobył cię z getta i że zostałam umieszczona w bezpiecznym miejscu. Ucieszyła nas wiadomość, że nic ci nie grozi. Mamie było trochę przykro, że nie miała okazji się z tobą pożegnać, ale rozumieliśmy, że musiałaś zachować tajemnicę.

Ponownie załkałam, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo. Ojciec patrzył na mnie z rozpaczą, pogrążony w głębokim żalu.

- *Yisgadāl, yiskadash shamay rabah* - rozpoczął hebrajską modlitwę kadisz ku czci zmarłych, która nie wspomina śmierci, lecz chwali Boga w niebiosach. Pewnie odmawiał ją wielokrotnie podczas samotnych nocy.

Dołączyłam do niego. Równocześnie z wielkim trudem walczyłam o odzyskanie równowagi. Kiedy trochę ochłonęłam, wzięłam głęboki oddech.

- Koniecznie trzeba cię stąd wydostać. Załatwię ci dokumenty. Wrócę za godzinę.

Tata zdecydowanie pokręcił głową. Przyznałam mu w duchu rację. W tych dniach przekroczenie bramy getta nie było już możliwe, a on nie mógł uchodzić ani za posłańca, ani za katolika. Poza tym nie

przeżyłby wędrówki przez lasy. Mimo wszystko pragnęłam za wszelką cenę jakoś go pocieszyć.

- Tatusiu, oczekuję dziecka - wyznałam. - Jakub odwiedził mnie jesienią - dodałam na widok jego zdumionej miny. Nie powiedziałam mu oczywiście, kto naprawdę jest ojcem mojego dziecka. Tak czy inaczej, nosiłam w łonie jego wnuka.

- *Mazel tow*^{*18}, kochanie. - Uśmiechnął się słabo, lecz w jego oczach dostrzegłam cień smutku. Moje słowa stanowiły dla niego w równym stopniu pociechę, jak i przyczynę rozpacz. Chociaż świadomość, że jego rodzina przetrwa, przyniosła mu ukojenie, ból rozsadzał mu serce, że nie ujrzy maleństwa, że nie zostanie świadkiem uroczystości *bar micwa*^{*19}.

- Jeżeli urodzę dziewczynkę, dam jej imię po mamie - obiecałam.

- Emmala - szepnęłam.

Zdrobnienie z dzieciństwa rozgrzało na chwilę moje serce, jakby narzucił mi na ramiona ciepły płaszcz, lecz zaraz zadrżałam ponownie na widok jego pustego spojrzenia. Dręczyło go poczucie winy, że nie może nic dać swojemu dziecku, nie potrafi ochronić go przed złem. Nagle jego rysy złagodniały.

- Zaczekaj tutaj.

Zniknął w zaułku, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Przyłgnęłam do zimnego muru, żeby nikt mnie nie dostrzegł. Obraz mamy ponownie stanął mi przed oczami. Czy Kryśka wiedziała o jej śmierci? Czy ce-

¹⁸ Powodzenia - zwrot, którym Żydzi pozdrawiają się przy radosnych okazjach (przyp. tłum.).

¹⁹ Uroczystość inicjacji, odprawiana po ukończeniu przez chłopca trzynastu lat i jednego dnia życia. W tym dniu jubilat po raz pierwszy zostaje wywołany do czytania tory. Od tego dnia uznawany jest za pełnoletniego pod względem religijnym (przyp. tłum.).

lowo mnie okłamywała, żeby nakłonić do ucieczki? Zanim zdążyłam rozstrzygnąć wątpliwości, znów zaszurały kroki na chodniku. Ojciec wyciągnął do mnie rękę przez dziurę w murze i podał mi trzy przedmioty: mój zaręczynowy pierścionek, obrączkę i hebrajskie świadectwo ślubu. Nie od razu je schowałam. Z początku zastygłam bez ruchu z dowodami mojej tożsamości w ręku. Nie wiedziałam, jak postąpić. Niegdyś stanowiły dla mnie bezcenny skarb, lecz teraz, w przypadku rewizji, oznaczałyby wyrok śmierci. Nie miałam jednak wyjścia. Gdy ojciec mi je dawał, widziałam światło w jego oczach i nie mogłam go zawieść. Podziękowałam, zawinęłam pierścionek i obrączkę w pismo, po czym wetknęłam wszystko do kieszeni. Ojciec skinął głową, szczęśliwy, że oddał mi to, co najcenniejsze.

- Jeśli spotkasz Jakuba, powiedz temu nieznośnemu chłopakowi, że tata surowo zabronił mu cię opuszczać.

- Obiecuję.

- Niech przestanie sobie zawracać głowę tą całą polityką. Spoczywa na nim obowiązek wychowania mojego wnuka - dodał z nieznacznym uśmiechem.

- Wnuka? - wypomniałam, rada, że nawet w tak dramatycznych okolicznościach nie stracił poczucia humoru. - Przyłapałam cię, tato! Zawsze pragnąłeś chłopca - zażartowałam, żeby trochę poprawić mu nastrój.

Wbrew moim intencjom natychmiast spoważniał.

- Zawsze chciałem tylko ciebie. Jesteś dla mnie wszystkim - zapewnił uroczyście.

- A ty dla mnie - odrzekłam łagodnie. Łzy znów szczypały mnie w oczy. - Ale posłuchaj, tato, getto...

- Tak. - On również słyszał pogłoski o planowanej likwidacji getta. Sam widział uliczne egzekucje. Chociaż oczekiwał najgorszego, nie dostrzegłam w jego oczach lęku. - Pan jest moim pasterzem -zacytował spokojnie. Jego twarz promieniała niezachwianą wiarą, jak dawniej, gdy spędzał całe dni na modlitwach w małej synagodze na Szerokiej. Pamiętałam płonące świece, błogosławione wino. Nawet w getcie do późna w nocy recytował dwudziesty trzeci psalm. Nie pojmowałam, jak to możliwe, że pośród tak wielu okropności zachował niezachwiany spokój. Albo tak długo podążał wyznaczoną przez Boga ścieżką, że nie ważył się już szukać innych, albo stracił tak wiele, że już nic do stracenia nie zostało. Pogodził się z losem w przekonaniu, że na końcu drogi czeka na niego umiłowana żona.

- Idź już - nalegał.

- Nie, nie chcę cię znowu opuszczać, tato...

- Musisz. - Zdecydowanie pokręcił głową.

Nie odpowiedziałam. Miał rację. Stojąc przed murem i tak nie zwróciłabym mu wolności, naraziłabym tylko nas oboje na rychłą śmierć. Mimo wszystko nadal zwlekałam. Chłonełam ostatnią chwilę z ojcem, jakbym ponownie czytała ostatnią stronę księgi dzieciństwa, zanim zamknę ją na zawsze. Przecisnęłam głowę przez szczelinę. Ostre krawędzie kamiennych ciosów podrapały mi policzki i czoło. Ojciec usiłował mnie wypchnąć w obawie, żebym nie złapała jakiegoś zarazka i nie zaraziła nienarodzonego dziecka. Nie dałam jednak za

wygraną. Przecisnęłam jeszcze rękę, przyciągnęłam go do siebie i pocałowałam w wysuszony policzek.

- Kocham cię, tato.

- Bóg z tobą, moje dziecko.

Przytrzymałam jego dłoń, póki jej nie cofnął.

Z wysiłkiem odwrócił się do mnie plecami. Wiedział, że z własnej woli bym nie odeszła. Z mieszaniną wdzięczności i żalu patrzyłam, jak znika w głębi zaułka. Odprowadziłam go wzrokiem. Stałam jeszcze przez chwilę, wyciągnęłam rękę, lecz objęłam już tylko pustkę.

W końcu odstałam od muru i ruszyłam biegiem przed siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Po opuszczeniu okolic getta usiłowałam wybrać najbezpieczniejszą drogę powrotną. Po namyśle odrzuciłam pomysł powrotu przez las, ponieważ po zamachu w kawiarni faszyci uznali otaczające Podgórze lasy za potencjalną drogę ucieczki z miasta i rozstawili tam liczne patrole, a wyborowi strzelcy strzelali do każdego ruchomego celu. Wybrałam więc drogę przez most kolejowy. Chociaż stapałam ostrożnie, obcasy głośno dudniły na prowadzących do niego stopniach. Oświetlony blaskiem księżyca most wydawał się nieskończenie długi, a ja widoczna jak na dłoni. Jedyłą osłonę stanowiły rzadko rozstawione filary. Już przy pierwszym kroku lodowaty wiatr przewiał mnie na wylot. Narzuciłam szal na głowę, ukryłam w nim twarz. Zgięta w pół, ruszyłam przed siebie z oczami wbitymi w ziemię, żeby nie potknąć się o śliskie, metalowe podkłady.

W połowie mostu usłyszałam za sobą warkot silnika. Ktoś nadjeżdżał. Zaparło mi dech ze strachu. Zaszłam za daleko, by szybko zawrócić. Kilka sekund później ujrzałam wojskową ciężarówkę, która jechała w stronę getta z jedną osobą w środku. Skryłam się w cieniu filara, wstrzymałam oddech. Samochód minął mnie nieskończenie powoli. W moim odczuciu jego przejazd trwał całą wieczność. Nie zatrzymuj się, błagałam w myślach i zostałam wysłuchana, bo po chwili zniknął w oddali.

Odetchnęłam z ulgą. Niebezpieczeństwo minęło, przynajmniej na

razie. Nadal wciśnięta w kolumnę, wymacałam w kieszeni świadectwo ślubu. Wzięłam je w palce. Poczułam ciężar zawiniętych w nie pierścionków. W wypadku rewizji oznaczałyby dla mnie wyrok śmierci. Rozwazałam, czy nie wyrzucić wszystkiego do rzeki. Pierścionki od razu poszłyby na dno. Oczami wyobraźni ujrzałam odpływające na wiślanej fali pismo. Jakub by mi wybaczył, sam prosił, bym zniszczyła wszelkie dowody świadczące o naszym małżeństwie, jednak nie potrafiłam pozbyć się ostatniego łączącego mnie z nim ogniwa. Tylko ta niewielka kartka podtrzymywała w moim sercu nadzieję na ponowne połączenie się z mężem. Zerknęłam przez barierkę. Rzekę wciąż częściowo pokrywał lód, więc jej ciemne wody nie wchłonęłyby mojej tajemnicy, a gdyby podmuch porwał pismo, mogła je odnaleźć niepowołana osoba. Nie miałam odwagi rzucić go na wiatr w obawie, że lecąca kartka zwróci czyjąś uwagę. Nie po to dostałam od ojca dowody mojego małżeństwa, żeby je wyrzucać. Były moje i na mnie spoczywał obowiązek ich przechowania.

Stałam bez ruchu przy filarze przez kilka następnych minut. Brakowało mi odwagi, żeby wyjść na otwartą przestrzeń, strach dosłownie mnie sparaliżował. Przełamalam go z wielkim trudem. Musiałam dotrzeć do Krysi, zanim wstanie i zacznie się o mnie martwić. Nadstawiałam uszu, wyostrzyłam wzrok. Ponieważ nie usłyszałam ani nie zobaczyłam niczego podejrzanego, z ociąganiem opuściłam kryjówkę. Stawiałam na miękkich nogach drobne, szybkie kroczki, uważając, by nie stracić równowagi. Jeszcze tylko kilka metrów. Niebawem

dotrę na drugi brzeg, dodawałam sobie otuchy.

Nagle usłyszałam za sobą z drugiego końca mostu głośny warkot silnika. Aż podskoczyłam z przerażenia. Pomyślałam, że kierowca zawrócił, ponieważ mnie dostrzegł. Chciałam wrócić za filar, ale za daleko odeszłam. Wtem hałas ucichł, trzasnęły drzwi.

- Ręce do góry! - zawołał za mną męski głos.

Rozpoznałam go. Należał do komendanta. Spełniłam polecenie. Przez głowę mknęły mi niezliczone pytania, na które nie potrafiłam odpowiedzieć:

Co on tu robi, skoro powinien spać?

Czyżbym zastosowała zbyt małą dawkę środka nasennego?

Jak mnie znalazł?

Czy mnie śledził?

Przystanął krok za mną.

- Odwróć się - warknął.

Spełniłam polecenie. Pojęłam, że mnie nie rozpoznał. Myślał, że złapał Polkę, która złamała zakaz poruszania się po mieście po godzinie policyjnej. Gorączkowo szukałam jakiegoś w miarę prawdopodobnego kłamstwa, ale nie wymyśliłam żadnego sensownego powodu nocnego spaceru.

- Odwróć się - rozkazał ponownie doskonale mi znanym, zniecierpliwionym tonem.

Stałam twarzą do niego ze spuszczoną, przykrytą szalem głową. Modliłam się, żeby mnie nie rozpoznał. Kątem oka dostrzegłam wycelowany w moją pierś pistolet.

- Co panienka tu robi w środku nocy? - spytał nieco łagodniej, gdy spostrzegł, że zatrzymał kobietę.

- Nie zdaje sobie panienka sprawy, że złamała przepisy?

Pokręciłam głową bez słowa, żeby nie poznał mnie po głosie. Opuścił pistolet wyciągnął w moim kierunku wolną rękę.

- Dokumenty proszę.

Byłam zgubiona.

- Dokumenty! - zażądał ponownie, tym razem ze zniecierpliwieniem.

Powoli, by zyskać na czasie, zaczęłam grzebać w kieszeniach, udając, że szukam dowodu tożsamości. Przez złożone świadectwo ślubu czułam pod palcami chłodny metal obrączki i pierścionka. Wiedziałam, że jeśli nie wykonam polecenia, zostanę aresztowana, zrewidowana i zdemaskowana. Wreszcie dotknęłam kenkarty na nazwisko Anna Lipowska. Przez chwilę rozważałam, czy ujawnienie mojej fałszywej tożsamości nie uchroniłoby mnie przed najgorszym, równocześnie usiłowałam wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, które wraz z uśmiechem i czułym dotknięciem złagodziłoby gniew komendanta.

Uniosłam lekko głowę, próbując wybadać jego nastrój. Przy tym ruchu szal, który przestałam podtrzymywać, odsłonił kawałek szyi. Błękitny kamień, który dostałam od komendanta, błysnął w świetle księżyca. Richwalder zaniemówił z wrażenia. Rozpoznał klejnot.

- Anno! - wykrzyknął, gdy wreszcie doszedł do siebie.

- Tak, panie komendancie, to ja - przyznałam łagodnym tonem, zbyt

zdenerwowana, by mówić do niego po imieniu.

Opuścił całkiem pistolet, odsunął szal z mojego czoła.

- Czemu mi od razu nie powiedziałaś?

- Zaraz wszystko wyjaśnię. Ja... - zdołałam jeszcze wyjąkać.

- Dlaczego uciekłaś? Szalałem z niepokoju, gdy po przebudzeniu nie znalazłem cię w łóżku.

- Przepraszam. Chciałam spędzić przynajmniej część ostatniej nocy z Krysią. Ogromnie tęskniłam za Łukaszem - dodałam pośpiesznie, ponieważ wyglądało na to, że mi nie dowierza.

- Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś. Zrozumiałbym. Stanisław odwiozłby cię do domu. Postąpiłaś bardzo nierozsądnie. Na ulicy, w środku nocy, groziło ci aresztowanie albo jeszcze coś gorszego.

- Wiem, przepraszam - wyjąkałam.

Popatrzył w ciemność po drugiej stronie mostu.

- Ale to nie wszystko, prawda?

- Nie rozumiem - wykrztusiłam, półprzytomna z przerażenia.

- To nie jedyny powód twojej nocnej wędrówki. Chciałaś przede mną uciec.

Serce we mnie zamarło. Jego badawcze spojrzenie wskazywało, że poznał całą prawdę.

- Nie - zapewniłam. - To znaczy...

- Rozumiem.

- Naprawdę? - Popatrzyłam na niego z zaskoczeniem.

- Tak. Nic dziwnego, że wpadłaś w popłoch. Zbyt wiele ostatnio na ciebie spadło: dziecko, nagły wyjazd z Krakowa.

Kamień spadł mi z serca. Jednak nie odkrył rzeczywistych powodów ucieczki.

- To prawda. Wystraszyłam się.

- Tylko dokąd chciałaś pójść?

- Sama nie wiem... - Obserwowałam jego twarz, niepewna, czy mi uwierzy. - Jesteś zły? - spytałam nieśmiało.

- Nie - odparł szybko. - Nie zrobiłaś nic złego. Kiedy po przebudzeniu nie zastałem cię w łóżku, zrozumiałem, że przeżyłaś ostatnio zbyt wiele wstrząsów. Dlatego cię szukałem. Chciałem cię uspokoić, zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

- Och... - westchnęłam tylko. Brakło mi słów.

- Nie bój się, Anno. - Delikatnie ujął mnie pod brodę. - Zrobię dla ciebie wszystko. Jeśli zechcesz, natychmiast zrezygnuję ze stanowiska. Ucieknę razem z tobą.

- Ależ Georg... - wyjąkałam bezgranicznie zdumiona.

- Mówię serio. Twoje szczęście jest dla mnie najważniejsze.

Nie odpowiedziałam, kompletnie oszołomiona niespodziewanym rozwojem wydarzeń. Oczekiwałam najgorszego, tymczasem usłyszałam wyznanie miłosne. Nie spodziewałam się po nim takiej gotowości do poświęceń. Potwór w ludzkim ciele, odpowiedzialny za zagładę wielu niewinnych istnień, oferował mi bezgraniczną miłość. Ale nie bezwarunkową, skorygowałam w myślach. Moja prawdziwa tożsamość stanowi granicę tolerancji. Gdyby poznał moje pochodzenie, przestałby mnie kochać. A może nie? Przecież zmyślona Anna przemawiała do niego moim głosem, pieściła go moimi rękoma, miała

moje rysy. To ja, mój głos, mój dotyk, moja twarz obudziły w nim uczucia, kto wie, czy nie najgłębsze, jakimi obdarzył mnie mężczyzna. Nie wytrzymałam napięcia. Nagle spadł na mnie cały ciężar podwójnego życia, nieustannego udawania, tysięcy pytań bez odpowiedzi. Zaczęłam gorzko płakać.

- Och, Anno. - Objął mnie czule.

- Tak mi przykro - zaszlochałam, tym razem z głębi serca.

- Dość już przeprosin, dość łez. Najwyższa pora pogrzebać przeszłość, spojrzeć w przyszłość, zbudować nasze wspólne życie na nowo - tłumaczył łagodnie, gładząc mnie po włosach. - Zgoda?

- Zgoda. - Skinęłam głową, otarłam ręką łzy, odstąpiłam o krok, sięgnęłam do kieszeni po chusteczkę.

Gdy ją wyciągałam, świadectwo ślubu wypadło na most, pierścionki z brzękiem uderzyły o szyny. Serce we mnie zamarło.

- Wypadło ci coś - zauważył komendant i pochylił się po zgubę.

- Nie! - wrzasnęłam, zapominając o zachowaniu pozorów. Usiłowałam go uprzedzić, ale nie zdążyłam.

Już trzymał w ręku dowody mojej tożsamości. Podniósł je, skierował w stronę światła księżyca.

- Co to takiego? Obrączki ślubne?

Podczas gdy studiował dokument, modliłam się, żeby nie pojął jego treści. Z całą pewnością nie znał hebrajskiego, ale ilustracje na marginesie nie pozostawiały wątpliwości, co zawierał.

- Żydowskie świadectwo ślubu - orzekł raczej zdumiony niż zagniewany, zapewne dlatego, że na razie nie łączył go z moją osobą lub

też nie chciał widzieć związku.

Dostrzegłam w jego konsternacji szansę na ocalenie. Usiłowałam wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę dotyczącą obcych osób. Przyszło mi do głowy najprostsze, choć mało prawdopodobne wyjaśnienie, że Krysia poprosiła mnie o sprzedanie biżuterii, ponieważ brakło jej pieniędzy. Tyle że ta opowiadka nie wyjaśniała pochodzenia hebrajskiego pisma.

- Należały do mojej koleżanki - wykrztusiłam w końcu.

Komendant mlasnął językiem, uniósł pismo do światła.

- No to ładnych masz przyjaciół, Anno! Wiedziałem, że Krysia przed wojną wspierała żydowskich artystów, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że ty... - Zamilkł w połowie zdania. Nagle zrozumiał wszystko. Ręka mu opadła. Zmoczony po upadku dokument zwisał z niej niczym mokra szmata. - Krysia miała męża Żyda. Czy i ty jesteś Żydówką?

- Mogę... - zaczęłam.

- Jesteś czy nie?! - przerwał gwałtownie.

Nabrałam powietrza w płuca.

- Tak - przyznałam w końcu.

Odstąpił na chwiejnych nogach, jakby otrzymał silny cios.

- Panie komendancie... Georg... Pozwól, że wytłumaczę..

- Nie trzeba. Wszystko jasne. Jesteś Żydówką.

- Odwrócił wzrok. Oczy mu płonęły.

Niemalże słyszałam dalszy ciąg niedokończonej myśli: „Znowu, tak jak Margot”.

Zerknęłam na pistolet. Szybko oszacowałam, że jeśli wykorzystam moment zaskoczenia, zdołam umknąć, zanim go wyciągnie. Nie zrobiłam jednak ani kroku. Komendant ponownie zwrócił ku mnie wzrok.

- Nie rozumiem, jak...

- Naprawdę mam na imię Emma. - Ponieważ nie wolno mi było zdradzać szczegółów mojego życiorysu, żeby nie pogrążyć innych, nie wymieniłam ani panińskiego, ani mężowskiego nazwiska. - Wkrótce po rozpoczęciu wojny zamieszkałam u Krysi.

- A więc nie pochodzisz z Gdańska, nie pracowałaś jako nauczycielka, a twoi rodzice nie zginęli w pożarze? Zmyśliłaś to wszystko!

Skinęłam głową.

- A Łukasz?

- Nie jest moim bratem, tylko kuzynem Krysi ze strony jej chrześcijańskich krewnych - zapewniłam skwapliwie, żeby ratować przynajmniej dziecko.

- Oto cała historia - zakończyłam, chociaż z oczywistych względów zataiłam najważniejsze, prawdziwe szczegóły.

Zapadła cisza. Czułam, że go nie przekonałam. Nie wierzył już ani jednemu mojemu słowu. Bacznie obserwowałam jego twarz w nadziei, że odnajdę na niej ślad dawnej tkliwości czy chociażby cień zrozumienia. Na próżno. Kamienna maska nie zdradzała żadnych uczuć. W końcu nie wytrzymałam napięcia.

- I co teraz? - przerwałam milczenie.

- Jesteś Żydówką - oświadczył ponownie. W jego mniemaniu moje

pochodzenie wystarczało za wszystkie wyjaśnienia.

- Jakie to ma znaczenie? Pozostałam tą samą osobą, którą kochałeś pięć minut temu - dowodziłam w rozpacz. Położyłam mu rękę na ramieniu.

Strząsnął ją z odrazą.

- Nie. Pięć minut temu kochałem Annę, ale ona przestała istnieć, jak wszystkie kłamstwa, na których zbudowałaś nasz związek.

- Nieprawda. Moje uczucie do ciebie nie było mistyfikacją. Było... jest prawdziwe.

Rysy komendanta nieco złagodniały. Ponieważ przypuszczałam, że chce mi wierzyć, postanowiłam użyć najmocniejszego atutu i położyłam rękę na zaokrąglonym brzuchu.

- Noszę w łonie nasze dziecko, Georg...

- Będzie Żydem - odparł lodowatym tonem. Oczy mu pociemniały. Odstąpił krok do tyłu. - Okłamałaś mnie, Anno, to znaczy Emmo - sprostował z rozgoryczeniem. - Zdradziłaś. Złamałaś więcej praw Rzeszy, niż potrafię zliczyć. - Wyciągnął pistolet. - Powiniennem cię raczej zastrzelić na miejscu, niż aresztować i wysłać do obozu. Wierz mi, wyświadczyłbym ci tylko przysługę.

- Naprawdę chcesz mnie zabić? - Nabrałam powietrza w płuca. - Jak Margot?

- Nie zabiłem Margot. Popełniła samobójstwo.

- Głos mu się załamał. Patrzył na mnie tak zbolałym wzrokiem, jakbym wymierzyła mu policzek.

- Ponieważ nie uratowałeś jej ojca. Chociaż nie ty nacisnąłeś spust,

to ty zamordowałeś ją, ojca i tych wszystkich ludzi. - Wskazałam ręką w stronę getta. Nie kryłam już, że znam jego przeszłość. Słowa płynęły z moich ust same pod wpływem wzburzenia. Przestałam uważać, by nie powiedzieć za dużo.

- Nie popełniłem zbrodni, o którą mnie oskarżasz. Gdy naparł na mnie całym ciałem, odskoczyłam do tyłu. Wtedy chwycił mnie wolną ręką za oba nadgarstki, pchnął na stalowy filar mostu. Zbliżył do mnie twarz. Potrząsnął mną z całej siły.

- Kto ci powiedział o Margot?

Alek, Alek Landesberg, bohater, którego skazałeś na śmierć! - miałam ochotę wykrzyknąć, ale wolałabym oddać życie, niż zdradzić partyzantów.

- Nieważne - odrzekłam. - Grunt, że to prawda.

- Nie! - wykrzyknął histerycznie. - Nie miałem innego wyjścia. Zachowałem się tak tylko po to, żeby nas ocalić. Zrobiłem to dla nas. Uwierz mi, Margot

- błagał o przebaczenie zmarłą żonę.

Zamiast mojej widział jej twarz. Doprowadziłam go do ostateczności. Przetrwał całą wojnę bez wyrzutów sumienia, starannie unikając oglądania następstw swych zbrodniczych decyzji, dopiero odkrycie mojego sekretu zmusiło go do spojrzenia prawdzie w oczy, obróciło starannie budowany, sztuczny świat w ruinę.

- Rozumiem i przebaczam, ukochany - szepnęłam cicho, żeby nie rozproszyć wizji. Liczyłam na to, że nadal widzi we mnie tragicznie

zmarłą żonę, że nie zechce wyrządzać więcej zła, że pozwoli mi odejść.

Nie odpowiedział. Patrzył przez moje ramię gdzieś w ciemność, w przeszłość. Stałam tak w moim odczuciu całe wieki, przyparta jego ciężarem do metalowej bariery mostu. Nagle komendant oprzytomniał. Odstąpił ode mnie, oparł się o poręcz. Wyprostowałam się, zaczerpnęłam tchu.

- Nie zabiłem żony. Kochałem ją. Nie chciałem jej krzywdy. Żałowałem jej ojca, ale nie mogłem nic zrobić - oświadczył spokojnym, bezbarwnym głosem. W pełni powrócił do rzeczywistości. Już nie szukał zrozumienia u zmarłej, tylko u mnie. Przysięgłabym, że usiłuje przede wszystkim sam siebie przekonać o swojej niewinności.

Lecz do mnie jego argumenty nie trafiały. Słowa Krysi: „Zawsze istnieje możliwość wyboru”, głęboko utkwily w mojej pamięci. Teraz ponownie zabrzmiały mi w uszach: „Człowiek musi wziąć pełną odpowiedzialność za swoje czyny, żeby zachować godność, nie zostać ofiarą losu”. W pierwszej chwili zapragnęłam powtórzyć je komendantowi, ale zrezygnowałam. I bez tego przygniatało go brzemienie winy. Ten złamany człowiek w niczym nie przypominał silnego, potężnego oficera, którego znałam. Padł ofiarą własnego tchórzostwa. Uznałam, że i tak nie zrozumiałby przesłania. Znów skierował wzrok gdzieś w dal, na drugi brzeg Wisły, nie na getto, lecz znacznie dalej, jak zawsze to czynił, gdy wracał pamięcią do przeszłości.

- Kiedyś byłem porządnym człowiekiem, Anno
- powiedział cicho. - Zmiany w mojej psychice, w moim sposobie

myślenia zachodziły powoli, niedostrzegalnie, że nawet nie zauważyłem, kiedy stałem się kimś zupełnie innym.

- Nadal jesteś dobrym człowiekiem. Potrafisz nim być - zapewniłam z całą mocą, ujmując jego dłoń w nadziei, że poruszę jego serce. Dostrzegłam bowiem szansę ratunku w tym, że zrobił rachunek sumienia. To, że żałował swego postępowania, dało mi nadzieję, że nie zechce wyrzucić krzywdy nikomu więcej.

Lecz on pokręcił głową i wyszarpnął dłoń.

- Za późno.

- Nieprawda. - Położyłam mu rękę na ramieniu. Celowo pochyliłam ku niemu głowę, żeby zapach moich włosów obudził wspomnienia najpiękniejszych, wspólnie przeżytych chwil. - Możemy uciec, razem wychować nasze dziecko gdzieś daleko stąd.

- Nasze - powtórzył z gorzką ironią i wyciągnął przed siebie świadectwo ślubu, które trzymał w tej samej ręce co pistolet. - Skąd mam wiedzieć, że to moje, a nie twojego męża? Jesteś mężatką, Anno.

Na wszelki wypadek nie sprostowałam, że nie Anna, tylko Emma jest mężatką.

- Nie widziałam męża od ponad trzech lat. Nawet nie wiem, czy żyje - skłamałam. - Oczekuję twojego potomka, Georg - zapewniłam z naciskiem.

- Być może - mruknął niepewnie. Wyglądało na to, że pragnie mi uwierzyć.

Postanowiłam kuć żelazo, póki gorące.

- Twierdziłeś, że marzysz o rodzinie, o dzieciach. Los podarował

nam taką szansę. Skorzystajmy z niej, zacznijmy wszystko od nowa. Moja przeszłość pozostanie na wieki naszą tajemnicą - przekonywałam tak spokojnie, jak potrafiłam.

W milczeniu rozważał moje słowa, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takiej rozterce.

Nagle rysy mu stężały. Odepchnął mnie, cofnął się, oczy rozbłyły zimnym blaskiem

- Przez cały czas mnie okłamywałaś, Anno.

Wyczułam, że zamknął dla mnie serce, że moje kłamstwa zraziły go bardziej niż pochodzenie czy odmienna wiara. Pojęłam, że mi nie wybaczy, że nie umiałby już ze mną żyć, ponieważ zawiodłam jego zaufanie. Drżącymi ze wzburzenia rękami uniósł broń. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko błagać go o darowanie życia, nie wypowiedziałam jednak ani słowa. Skoro nie przekonały go ani obietnice, ani zapowiedź nowego życia, ani nawet dziecko, nic bym nie zyskała prócz pogardy. Zerknęłam w kierunku końca mostu. Leżał nieskończenie daleko, zbyt daleko, by umknąć. Pozbawiona jakiegokolwiek szansy na ocalenie, czekałam już tylko na śmierć. Położyłam rękę na brzuchu, przeprosiłam moje maleństwo, że nie podaruję mu życia. Zamknęłam oczy. Wspomniałam wszystkie dzielne, godne szacunku osoby, z którymi zetknął mnie los: rodziców, Krysię, Łukasza, Alka, wreszcie Jakuba. Wprost fizycznie odczuwałam jego bliskość, jakby trzymał mnie za rękę, szepcząc do ucha: „Odwagi, Emmo”.

Trzask odbezpieczanej broni wyrwał mnie z zamyślenia. Uniosłam

powieki, żeby spojrzeć w oczy śmierci. Komendant stał przede mną z wycelowanym w moją pierś pistoletem. Łzy płynęły mu strumieniem po policzkach.

Ponownie zamknęłam oczy. Padł jeden strzał, potem drugi. Ponieważ nic nie poczułam, byłam pewna, że już nie żyję. Nagle znajomy głos zawołał:

- Emmo!

Otworzyłam oczy. Uświadomiłam sobie, że przeżyłam. Komendant musiał strzelić w powietrze. Zastygł w nienaturalnej pozycji, z górną częścią tułowia odwróconą bokiem do mnie, ze sztywno wyciągniętą jak u marionetki ręką, z nieprzytomnym, jakby przyklejonym do warg półuśmiechem. Dopiero później spostrzegłam ciemną plamę na przodzie munduru. Zaraz potem padł na ziemię.

- Georg! - Uklękałam przy nim, głęboko poruszona. Zamiast mnie, zastrzelił siebie! Nic nie rozumiałam. Uścisnął moją dłoń.

- Nie ruszaj się, sprowadzę pomoc.

Ledwie wypowiedziałam te słowa, uprzytomniłam sobie, że gdybym wezwała policję, zostałabym aresztowana. Oddałabym za niego życie.

Komendant lekko poruszył głową.

- Za późno. Proszę, zostań przy mnie, Anno
- wyszeptał.

Uderzyło mnie, że użył mego fałszywego imienia, jakby chciał do ostatniej chwili zachować najpiękniejsze złudzenia. Wsunęłam rękę pod jego kark, uniosłam głowę, przycisnęłam do piersi. Twarz mu

pobladła.

- Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Wyzdrowiejesz, trzeba cię tylko zabrać do szpitala.

- Nie chcę żyć, jeśli nie możemy być razem.

- Możemy - upierałam się.

- Tak mi przykro. Kocham cię. Za nic w świecie nie wyrzuciłbym ci krzywdy. - Ostatkiem sił uścisnął moją rękę. Miał białą jak papier twarz. Wyciekająca z rany krew zabarwiła śnieg purpurową plamą.

- Wiem - szepnęłam, chociaż nie do końca wierzyłam jego słowom. Miłość do Margot nie przeszkodziła mu jej skrzywdzić.

- Kocham cię, Anno - powtórzył.

- Ja ciebie też - wyznałam po raz pierwszy, jak ze zdumieniem stwierdziłam, poniekąd zgodnie z prawdą. Odgarnęłam włosy z jego spoconego czoła.

- Anno - wyszeptał prawie bezgłośnie. Powieki mu opadły, po czym zamarł w bezruchu.

- Nie! - krzyknęłam, pochyliłam nad nim głowę i wtuliłam policzek w jego twarz w nadziei, że wyczuję ciepło oddechu. Pocałowałam zamknięte powieki. Spokojna, wolna od cierpień i napięć twarz powiedziała mi, że komendant oszedł na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kłęczałam obok martwego ciała, zbyt oszołomiona, żeby wykonać jakikolwiek ruch.

- Emmo - zawołał za moimi plecami znajomy głos.

Słyszałam go już wcześniej, gdy padły strzały. A więc jednak nie uległam złudzeniu. Prócz nas ktoś jeszcze był na moście. Wstałam, spojrzałam w ciemność w poszukiwaniu kolejnego hitlerowca.

- Emmo! - znów ktoś zawołał. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że żaden Niemiec nie znał mojego prawdziwego imienia. Odwróciłam się gwałtownie. W cieniu filaru stała Marta z jeszcze dymiącym rewolwerem w ręku. Podeszłam do niej.

- Co ty tu robisz? - wykrzyknęłam.

- Szłam za tobą przez cały czas. O świcie miałam cię zaprowadzić do Jakuba. Odgadłam, że nie odejdziesz bez pożegnania z rodzicami. Nie potrafiłam tylko przewidzieć, jak zareagujesz na wiadomość o śmierci mamy. Obawiałam się, że zrezygnujesz z ucieczki. - Głos jej się załamał.

- Wiedziałaś? - spytałam z niedowierzaniem.

- Tak. Zamierzałam cię zawiadomić, ale Marek zabronił. Bardzo mi przykro - dodała.

Przekląłam w duchu ją, Marka, dawnych przyjaciół oraz wszystkie tajemnice i kłamstwa konspiracji.

- Śledziłam cię od samego początku - ciągnęła Marta. - Gdy tu do-

tarłam, on właśnie do ciebie celował. - Wskazała martwe ciało komendanta.

- Więc strzeliłam pierwsza.

- Uratowałaś mi życie. Dziękuję ci z całego serca

- wyszeptałam drżącym ze wzruszenia głosem. Gniew w jednej chwili ustąpił miejsca bezgranicznej wdzięczności. Spróbowałam ją objąć, ale mnie odepchnęła.

- Daj spokój, nie pora teraz na sentymenty. - Ruszyła w kierunku zwłok komendanta. Nagle uprzytomniłam sobie, że musiała widzieć, jak przy nim klęczałam, jak tuliłam jego głowę do piersi. Oczekiwałam wyrzutów, że po nim płakałam, ale nie padło ani jedno słowo na ten temat. Marta uklękła przy komendancie, wyjęła ze sztywniejącej ręki moje świadectwo ślubu, obrączkę i pierścionek. Gdy tylko mi je podała, wsunęłam wszystko do kieszeni. - Trzeba go szybko przerzucić przez barierkę - stwierdziła.

- Policja niebawem tu będzie.

Na widok ciała, które tyle razy pieściłam, żal ścisnął mi serce. Teraz miałam je cisnąć do rzeki jak śmieć. Walcząc z mdłościami, odwróciłam głowę w kierunku poręczy mostu.

- To niemożliwe, Marto. Nie utonie. Na Wiśle wciąż jest lód. Lepiej uciekajmy.

- Ty... Bo ja nie mogę. - Pokręciła głowę, nadal klęcząc przy komendancie, zgięta wpół. Nagle padła na ziemię.

Wtedy dostrzegłam na jej ubraniu w okolicach talii ciemną, moką plamę.

- Jesteś ranna, Marto! - krzyknęłam.

- Tak. Byłam szybsza od niego, ale jednak nie dość szybka. -
Uśmiechnęła się smutno. Twarz jej pobladła, krople potu wystąpiły na
czoło.

Uklękłam obok niej.

- Bardzo boli?

- Nie jest tak źle.

- Zabiorę cię do Krysi. Na pewno znajdę jakiegoś lekarza.

- To niemożliwe, nie dojdę.

- Chodź, pomogę ci. - Objęłam ją w pasie, spróbowałam podźwi-
gnąć, ale mnie odepchnęła i ponownie padła na ziemię.

- Nie doniesiesz mnie - wydyszała. - Idź sama.

- Sprowadzę pomoc.

- Nie. Uciekaj. Podam ci trasę.

- Nie możesz tu zostać, Marto! Policja zaraz cię znajdzie.

- No i dobrze. - Oczy jej rozbłysły. - Jeśli uznają mnie za winną
zabójstwa, nie będą szukać nikogo innego. Unikniesz pościgu.

- Nie zostawię cię tutaj - zaprotestowałam.

- Musisz.

- Nie. - Wypowiadając ostatnie słowo, wiedziałam już, że jej nie
przekonam. Słyszałam w Marty głosie ten sam upór, tę samą deter-
minację, co u Alka czy Jakuba. Mimo wszystko nie dałam za wy-
graną:

- Nie mogę cię opuścić po tym, co dla mnie zrobiłaś.

- Posłuchaj... - Zebrała resztki sił, złapała mnie za rękaw. - Ruch

oporu stworzono po to, żeby uratować jak najwięcej naszych ludzi. Ci, którzy pozostaną, muszą walczyć dalej, nie zważając na jakieś bzdurne sentymenty. W ten sposób postępowali Alek i Jakub. Zrozumiałaś?

- Tak - odparłam z ciężkim westchnieniem.

- To dobrze. - Puściła moją rękę i sięgnęła po pistolet poprzez ciało komendanta. - Weź to.

- Nie mogę. - Wzdrygnęłam się na widok broni, która przed kilkoma minutami celowała w moją pierś. Cofnęłam się.

- Bierz, Emmo. Możesz go potrzebować podczas ucieczki.

Z ociąganiem odebrałam od niej pistolet. Kawał zimnego metalu ciążył mi w dłoni. Zatknęłam go za pasek spódnicy. Marta znów padła na ziemię.

- Gdzie Jakub? - spytałam. Tylko ona mogła mi odpowiedzieć na to pytanie.

- W Czernichowie.

- Jak to? - spytałam z niedowierzaniem. Przez cały czas utrzymywano mnie w przekonaniu, że przechodzi rekonwalescencję daleko, w górach, podczas gdy wioska, którą wymieniła, leżała po drugiej stronie lasu, zaledwie dziesięć kilometrów od willi Krysi.

- Celowo nie ujawnialiśmy nikomu miejsca jego pobytu, Emmo... Po zamordowaniu Alka nastąpiły kolejne przecieki. Nie mogliśmy ryzykować, że zdrajca w naszych szeregach doniesie Niemcom. W razie wpadki nawet ci, którym ufaliśmy, mogli zostać zmuszeni do zeznań podczas przesłuchania.

Pokiwałam głową na znak aprobaty. Do tej pory nie zdawałam sobie w pełni sprawy, jak ważne było w konspiracji zachowanie w tajemnicy nawet zwyczajnych rzeczy.

- Na skraju Czernichowa, za stajnię, stoi opuszczona chałupa. Łątwo rozpoznasz ją po niebieskim dachu. Tam znajdziesz Jakuba. Ukrywa się w piwnicy. Chata należy do pewnego rolnika, który nazywa się Kowalczyk. To człowiek godny zaufania. Pomoże ci w razie potrzeby. Wyjdiesz ścieżką z domu Krysi prosto do lasu - ciągnęła dalej wśród przyspieszonych oddechów.

W oddali zawyły syreny. Marta zwinęła się z bólu.

- A teraz gnaj do Jakuba.

Gdy wstałam, pochwyciła moją rękę.

- Jeszcze jedno. Przepraszam... za Jakuba - dodała po chwili wahania.

Nie musiała niczego więcej wyjaśniać. Wiedziałam, że mówi o swojej słabości do mojego męża.

- Wszystko w porządku, Marto. - Uścisnęłam jej dłoń. Naprawdę nie żywiłam do niej urazy. Nie miałam prawa jej osądzać. Uczucia przychodzą niespodziewanie, czasami wbrew naszej woli, tak jak jej do Jakuba czy moje dla komendanta. Syreny zawyły ponownie.

- Idź już - zażądała.

- Niech cię Bóg błogosławi, Marto. - Pocałowałam ją w policzek, puściłam jej dłoń i popędziłam przez most na drugi brzeg Wisły. Gdy tam dobiegłam, obejrzałam się za siebie. Marta siedziała bez ruchu przy komendancie z rewolwerem w ręku. Patrzyła gdzieś w dal.

Po zejściu ze schodów zamarłam. Na jezdni stał czarny sedan - samochód komendanta. Skąd się tu wziął? Przez przyciemnione szyby rozpoznałam łysą głowę Stanisława. Zanim zdążyłam podjąć decyzję, czy minąć go, czy zawrócić, zdążył wysiąść. Przez dłuższy czas patrzyliśmy na siebie bez słowa.

Pierwszy przerwał milczenie:

- Dobry wieczór - pozdrowił mnie tak lekkim tonem, jakby nie widział nic niezwykłego w spacerowaniu po moście po godzinie policyjnej.

- Dobry wieczór, panie Stanisławie - odpowiedziałam przez ściśnięte gardło, niepewna, czy słyszał strzały. Jeśli tak, z pewnością zastanawiał się, co zaszło. Skrzyżowałam ręce na piersiach, żeby zasłonić plamy krwi na płaszczu. Znow zapadła kłopotliwa cisza, którą przerwało wycie syren, znacznie głośniejsze niż wcześniej. Od przyjazdu policji dzieliły nas minuty, może nawet sekundy. Już chciałam uciekać, gdy przypomniałam sobie dzień, w którym Stanisław przyłapał mnie na kradzieży dokumentów z mieszkania komendanta. Nie wydał mnie, pomógł je nawet ukryć, co świadczyło o antyfaszystowskim nastawieniu. Mimo wszystko w tamtej chwili nie potrafiłam określić, czy przeważa sympatia dla ruchu oporu, czy lojalność wobec szefa. Nie mogłam przecież wykluczyć, że reprezentuje podobną postawę jak Małgorzata.

- Podwieźć panią? - Głos Stanisława wyrwał mnie z zamyślenia.

Podniosłam na niego wzrok. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, lecz dostrzegłam w jego źrenicach błysk zrozumienia. Wie-

dział, co się wydarzyło.

Nadal jednak nie byłam do końca pewna, czy jest moim sojusznikiem, czy wciąga mnie w zasadzkę. Równie dobrze mógł mnie zawieźć wprost na posterunek gestapo, na przesłuchanie. Mimo wszystkich rozterek postanowiłam zaryzykować. Dojście do domu zajęłoby mi ponad godzinę, a ja nie miałam aż tyle czasu, poza tym na ulicy nie byłam bezpieczna. Po długich wahaniach podjęłam w końcu decyzję.

- Bardzo proszę, panie Stanisławie. Chciałabym jak najprędzej wrócić do Krysi.

W mgnieniu oka otworzył tylne drzwi, po czym zamknął je za mną. W tym momencie policyjne auto z ogłuszającym wyciem dojechało w pobliże mostu. Stanisław nacisnął pedał gazu i ruszył pędem przez miasto, nie zwalniając na skrzyżowaniach. Pokonywał zakręty na dwóch kołach, z piskiem opon. Truchlałam ze strachu, że ten brawurowy rajd ściągnie na nas uwagę policji. Kurczowo wczepiłam palce w oparcie przedniego siedzenia. Dopiero później uprzytomniłam sobie, że nikt nie waży się zatrzymać samochodu hitlerowskiego oficera. Wyczerpana ciężkimi przeżyciami, opadłam bez sił i ujrzałam przed sobą zboląłą twarz komendanta, gdy mierzył do mnie z pistoletu. Los ponownie splatał mu okrutnego figla. Gdy odkrył, że po raz drugi pokochał Żydówkę, cierpiał takie męki jak wtedy, gdy stracił Margot. Spotkanie na moście rozdrapało dawne rany. Echo strzałów wciąż brzmiało mi w uszach. Chciałam wierzyć, że za bardzo mnie kochał, by nacisnąć spust. Lecz Margot także kochał. Nie miałam pewności, czy gdyby Marta go nie uprzedziła, nie leżałabym

zamiast niego martwa na moście. Dręczyło mnie poczucie winy, że zostawiłam na pewną śmierć Martę, która uratowała mi życie, lecz po długich rozterkach uznałam jej argumenty. Ruch oporu oznaczał walkę o przetrwanie. Ci, którzy przeżyli, muszą iść dalej, nie oglądając się za siebie. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak tylko opuścić Kraków tak szybko, jak to możliwe. Przewidywałam, że gdy policja odnajdzie zwłoki komendanta, rozpocznie gorączkowe śledztwo, a wtedy prawda wyjdzie na jaw. Rozważałam nawet, czy nie lepiej zamiast do Krysi wyruszyć od razu do Czernichowa, ale musiałam zabrać ubranie, zdać jej relację z ostatnich wydarzeń, wreszcie pożegnać ją i Łukasza. Gdy dojechaliśmy do skrzyżowania z naszą ulicą, poprosiłam Stanisława, by zatrzymał samochód.

- Wolę wysiąść trochę wcześniej. Auto w tym miejscu o tak niezwyczajnej porze za bardzo zwracałoby uwagę - wyjaśniłam.

Stanisław skinął głową, nacisnął na hamulec i chwycił klamkę, żeby wysiąść i otworzyć mi drzwi.

- Dziękuję, sama sobie poradzę - powstrzymałam go.

Wyglądało na to, że zbiłam go z tropu. Najwyraźniej nie przywykł do jakichkolwiek odstępstw od utartych zwyczajów. Otworzył usta, żeby zaprotestować, jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- Jak pani sobie życzy - mruknął.

- Panie Stanisławie, panu również grozi przesłuchanie po dzisiejszych wydarzeniach - ostrzegłam, zanim wysiadłam.

- Proszę się o mnie nie martwić, wszystko będzie w porządku - zapewnił z determinacją. Podziwiałam jego stoicki spokój. Przyszło

mi do głowy, że byłby świetnym bojownikiem ruchu oporu. Nie wykluczałam zresztą, że rzeczywiście nim był. Alek wspominał, że prócz mnie mają innych szpiegów na Wawelu. Nie zdążyłam zapytać, czy działa w konspiracji, bo wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie.

- Wszystkiego najlepszego.

Miał rację. Lepiej, by niektóre sprawy do końca pozostały tajemnicą. Uścisnęłam podaną dłoń, następnie nieśmiało ucałowałam gładki, puciołowaty policzek.

- Niech pana Bóg błogosławi. - Z tymi słowy wysiadłam.

Zamknęłam za sobą drzwi najciszej, jak to możliwe i skręciłam za róg, stawiając szybkie, lecz ostrożne kroki. Na początku naszej ulicy stanęłam jak wryta. We wszystkich oknach willi paliły się światła, co mnie bardzo zaniepokoiło. Gdyby nawet Krysia już wstała, czekałaby na mnie po ciemku. W popłochu pognałam w stronę domu. Kilka metrów dalej znów przystanęłam na widok wojskowego auta, które stało przed furtką. Krew zastygła mi w żyłach. Gestapo wróciło. Nie wiedziałam, jak pomóc Krysi i Łukaszowi. Gdybym weszła do środka w poplamionym krwią płaszczu, byłabym zgubiona. Zgodnie z ostatnią radą Marty, powinnam ratować własne życie, póki nie jest za późno, ale nie potrafiłam zostawić najbliższych na pastwę oprawców. Skoczyłam za żywopłot i zgięta wpół dotarłam do ogrodu na tyłach, w miejsce, gdzie pierwszego dnia przyprowadził mnie Józef. Zajrzałam przez okno do przedpokoju, ale nikogo nie dostrzegłam. Musieli wejść na górę. Cofnęłam się, uniosłam głowę, żeby obserwować piętro. Dostrzegłam przez firanki zarys dwóch męskich głów, nie

słyszałam jednak głosów, nie widziałam, co robią. Ponownie skryłam się w zaroślach. W pierwszej chwili pomyślałam, że po odkryciu zwłok komendanta policja przysła mnie aresztować, lecz zważywszy na zawrotne tempo jazdy Stanisława, nie zdążyliby dotrzeć przede mną. Następnie zaczęłam podejrzewać, że dwaj gestapowcy, którzy już kiedyś do nas wtargnęli, wrócili, jak zapowiadali, by dokończyć śledztwo. Zerknęłam na drzwi szopy, która ich wtedy interesowała, ale pozostały zamknięte. W końcu doszłam do wniosku, że donosiciele w szeregach ruchu oporu zdradzili hitlerowcom plan mojej ucieczki. Wszystko wskazywało na to, że jednak gestapo przyszło po mnie. Chciałam biec po pomoc dla Krysi i Łukasza, ale nie wiedziałam dokąd, przecież straciłam wszelkie kontakty z rozproszonym ruchem oporu, a jedyny człowiek, który mógł odwołać gestapowców, czyli komendant Richwalder, nie żył. Wtem znów stanęła mi przed oczami Marta, która z rewolwerem w dłoni gotowa była walczyć do końca. Ona wiedziałaby, jak postąpić, i przypomniałam sobie, że mnie również uzbroiła. Sięgnęłam za pasek spódnicy po pistolet. Czy umiałabym go użyć? Nigdy w życiu nie strzelałam. Komendant wystrzelił dwie kule, wobec tego w magazynku powinno zostać jeszcze sześć. Zanim zdążyłam podjąć jakąkolwiek decyzję, z piętra dobiegł łoskot. Zerknęłam w okno, odbezpieczyłam pistolet i z ręką na spuście skręciłam za róg domu. Nie zdążyłam dotrzeć do wejścia, kiedy usłyszałam kroki. Ktoś schodził z góry. Skoczyłam z powrotem za róg, żeby mnie nie dostrzeżono.

Ujrzałam przez okno od przedpokojów trzech gestapowców, innych

niż poprzednio. Otworzyli drzwi wejściowe.

- Stara kłamała - stwierdził jeden z nich, wychodząc na ścieżkę.

- Moim zdaniem nic więcej nie wiedziała - odrzekł drugi po chwili znacznie ciszej, już z większej odległości.

Serce podeszło mi do gardła. Nie ulegało wątpliwości, że przeszukiwali Krysie, ale czy widzieli Łukasza?

- To już bez znaczenia - oświadczył pierwszy.

Wpadłam w popłoch. Co zrobili? Walczyłam z sobą, żeby natychmiast nie popędzić na górę, jednak odczekałam, aż trzasnęły drzwi samochodu, zawarczał silnik, wreszcie ucichł w oddali. Dopiero wtedy wpadłam jak burza do domu.

- Krysiu! - zawołałam z dołu.

Odpowiedziała mi cisza.

- Krysiu! - krzyknęłam jeszcze raz.

Wbiegłam po schodach na parter. Kuchnia wyglądała jak pobojo-wisko, resztki potłuczonego szkła i porcelany zalegały całą podłogę. W salonie porozrywano poduszki, wszędzie fruwało pierze. Obok kominka leżała fotografia w potłuczonej ramce. Podniosłam ją. Przedstawiała mnie z Jakubem podczas ślubu. Krysia schowała to zdjęcie w dniu mojego przybycia, lecz gestapo je znalazło. A więc komendant nie zabrał mojej tajemnicy do grobu. Odkryto ją po raz drugi tego samego dnia.

Nagle poczułam gryzący zapach dymu. Dochodził z wnętrza domu, gdzieś z góry. Wybiegłam z salonu.

- Krysiu, Łukaszku! - wrzeszczałam na całe gardło, przeskakując po

dwa stopnie.

Na piętrze, tuż przy schodach, leżała Krysiu. Oczy miała zamknięte, rozrzucone ramiona, nogi w nienaturalnej pozycji, zaplątane w spódnice. Nie ruszała się. Opadłam obok niej na kolana. Uniosłam jej głowę, potrząsnęłam lekko, zawołałam po imieniu.

Nie zareagowała. Na skroni dostrzegłam rozległą, czerwoną ranę, jakby rozbiła głowę podczas upadku albo otrzymała silny cios. Miała zimną skórę, bladą jak woskowa maska. Pochyliłam głowę nad jej twarzą, lecz nie wyczułam oddechu.

Nie opuszczaj mnie, Krysiu, nie teraz, kiedy najbardziej potrzebuję twojej mądrej rady! - błagałam ją w myślach.

Objęłam wargami jej usta, wdmuchnęłam powietrze w płuca. Przerwałam na moment sztuczne oddychanie, żeby sprawdzić puls. Za późno. Nic nie wyczułam. Wielkie serce Krysi przestało bić. Odeszła na zawsze.

- Och, Krysiu! - zaszlochałam. Przytuliłam ją do siebie, kołysałam w tył i w przód tak jak ona, kiedy mnie pocieszała.

Nagle gdzieś z tyłu rozległ się trzask. Przypomniałam sobie o pożarze. Gęsty, gryzący dym dochodził jakby z kilku kierunków równocześnie. Nie potrafiłam określić źródła ognia. Z początku chciałam go gasić, ale nawet gdybym tego dokonała, dym zwróciłby uwagę sąsiadów. Należało jak najszybciej odnaleźć dziecko i wynieść je z płonącego domu. Ułożyłam delikatnie głowę Krysi z powrotem na podłodze i popędziłam do sypialni Łukasza. Nie znalazłam go ani w łóżeczku, ani na podłodze. Prawie nic nie widziałam przez coraz

gęstsza dymną zasłonę.

- Łukasz! - zawołałam raz i drugi. Kaszląc i zakrywając usta, przeszukałam sypialnię Krysi, potem swoją. Ani śladu. Gestapowcy splądrowali wszystkie pomieszczenia, powyciągali ubrania z szuflad, potłukli lustra. Ale co zrobili z Łukaszem? Przemknęło mi przez głowę, że umknął na dwór. Ruszyłam pospiesznie w dół po schodach, lecz zatrzymały mnie jakieś szmery nad głową. Przypomniałam sobie o strychu. Krysia mówiła, że po zamordowaniu matki Łukasza jego krewni przetrzymywali go u siebie na poddaszu. Przyszło mi do głowy, że widok oficerów w mundurach przywołał wspomnienie tamtej tragedii, że może wystraszone dziecko poszukało podobnego schronienia. Wpadłam jak burza do sypialni Krysi, otworzyłam szafę i jednym ruchem odgarnęłam ubrania, odsłaniając drabinę. Weszłam po niej na górę.

- Łukasz! - zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza. Nic nie widziałam w ciemności.

- Łukaszku, to ja, Ania. Chodź do mnie. Niebezpieczeństwo minęło. Usłyszałam szuranie, wreszcie mała, ciepła rączka dotknęła mojej.

- Nia?

- Tak, to ja, Ania. - Przyciągnęłam do siebie drżącego chłopczyka, przytuliłam mocno do piersi i zniosłam go ze schodów. - Już wszystko dobrze, dziecino - uspokajałam. Dym zgęstniał, nie pozostało wiele czasu na ratunek. Pochwyciłam jakąś chustkę z wybebeszonej szuflady, zatkałam chłopcu usta. Opuszczając sypialnię, dostrzegłam kątem oka błękitną plamę. Był to sweterek, który Krysia

wydziergała dla małego. Zabrałam go z sobą. W holu zasłoniłam Łukaszowi oczy, żeby nie zobaczył ciała. Zbyt wielu umarłych już widział.

Przeszłam przez zwłoki Krysi. Przystanęłam jeszcze w połowie schodów. Ból rozsadzał mi serce. Krysia była dla nas wszystkim. Uratowała nas, chroniła, karmiła, dbała jak o własną rodzinę.

Mimo wszystko zostałam matką, kochana, pomyślałam.

Żałowałam, że nie mogę jej z sobą zabrać. Zasługiwała na godny pogrzeb. Setki osób, które ją kochały i podziwiałały, powinny odprowadzić ją na miejsce wiecznego spoczynku. Pożegnałam ją jedynie ostatnim spojrzeniem.

- Dziękuję - szepnęłam, przesłałam jej pocałunek i wybiegłam z Łukaszem na dwór, wprost w lodowate, poranne powietrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wstawał świt. Rolnicy z Chełmskiej rozpoczęli już dzień pracy. Karmili bydło, zamiatali podwórza jak co dzień. Niektórzy na nasz widok podnosili wzrok, kiwali głowami na powitanie, inni nie zwracali na nas uwagi. Nawet jeśli kogoś zdziwiło, że prowadzę dziecko w kierunku lasu, zamiast iść jak zwykle sama w stronę przystanku, nikt nie dał tego po sobie poznać. Idąc pod górę, mijaliśmy coraz rzadziej rozstawione domy. Gęstwina przed nami obiecywała schronienie. Wreszcie zeszliśmy z drogi na wąską ścieżkę. Na brzegu lasu przystanąłam i popatrzyłam z góry na dachy sennej wioski. Dość tego, trzeba wreszcie zostawić za sobą przeszłość, nakazałam sobie twardo. Spojrzałam pod nogi. Ziemię pokrywała cienka warstwa lodu. Uświadomiłam sobie, ile przeciwności mnie jeszcze czeka: mróz, konieczność dźwigania dziecka, daleka droga, brak prowiantu. Czas naglił, należało jak najszybciej dotrzeć do celu. Posadziłam sobie Łukasza na lewym biodrze i ruszyłam dalej. Pod osłoną drzew, poza zasięgiem wzroku sąsiadów, przyspieszyłam kroku, chociaż ciążyło mi zarówno dziecko, jak i wydatny brzuch. Wyboista, rozmokła ścieżka także nie ułatwiała wędrówki. Bolały mnie nogi, buty nasiąkły błotem wiosennych roztopów. Wtem potknęłam się o jakiś kamień i straciłam równowagę. Padając na ziemię, obróciłam się na plecy, żeby ochronić Łukasza. Poczulałam silny ból w ramieniu. Leżałam oszołomiona jakiś czas, wreszcie wyrównałam oddech, usiadłam i wzięłam

Łukasza na kolana. Sprawdziłam, czy nie ucierpiał, lecz prócz ubłoconego czoła nic mu się nie stało.

- Dobrze się czujesz, Łukaszku?

Pokiwał głową, lecz chmurna mina świadczyła o tym, że jest głodny. Żal ścisnął mi serce. Powinien teraz jeść śniadanie w ciepłej kuchni Krysi. Żałowałam, że nie zabrałam choćby odrobiny mleka. Przeklinałam w duchu własne niedbalstwo. Zostawiłam prowiant, który Krysia przygotowała na drogę. Bez jej pomocy już na starcie zawiodłam jako opiekunka. Niemalże widziałam pełne wyrzutu oczy rabina. Czy potrafię wychować własne dziecko? Przeszukałam kieszenie płaszcza i znalazłam kawałek czekolady z tabliczki, którą kiedyś dał mi komendant. Rozwinęłam ją z papierka, zdmuchnęłam kurz i podałam małemu. Natychmiast wsadził cały kawałek do buzi, jakby się bał, że ktoś mu ją odbierze. Później uśmiechnął się szeroko, bardzo zadowolony, że dostał na śniadanie łakocie. Obserwowałam go z zapartym tchem. Niecałą godzinę po wtargnięciu gestapo, pożarze i pospiesznym opuszczeniu domu, w jasnych oczkach nie pozostał nawet cień strachu. Patrzyły na mnie z bezgraniczną ufnością. Mimo wszystko idziesz razem ze mną, maleńki, pomyślałam z bezgraniczną czułością.

- Chodź, kochanie! - zawołałam.

Przypomniałam sobie o błękitnym sweterku i włożyłam mu go przez głowę. Ledwie na niego wszedł, tak bardzo Łukasz urósł w ciągu niecałego roku. Mimo wszelkich napięć i dramatów, rozkwitł, rozwinął się na naszych oczach, nie mogłam jednak wykluczyć, że

pewnego dnia przyjdzie po niego rabin lub inny krewny. Uścisnęłam pulchniutkie paluszki. Pragnęłam go zatrzymać przy sobie na zawsze. Uśmiechnął się do mnie, jakby chciał dodać mi otuchy.

- Nic nam już nie grozi - zapewniłam.

Większego kłamstwa nie mogłam wymyślić. Od jakiegokolwiek bezpiecznego schronienia dzieliło nas wiele kilometrów, nie wiedziałam, jak iść ani dokąd właściwie zmierzam. Nie, bezpieczni z całą pewnością nie byliśmy, ale za to wolni. Nie zamieniłabym obecnej sytuacji na żadną inną.

- Wolni! - wykrzyknęłam.

- Wonni? - spróbował powtórzyć Łukasz.

Spostrzegłam, że ubrudził ręce czekoladą, więc sięgnęłam do kieszeni po chusteczkę. Wymacałam świadectwo ślubu i pierścionki. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że Marta oddała mi je na moście. Przez chwilę rozważałam, czy dla bezpieczeństwa nie byłoby lepiej zakopać je gdzieś pod drzewem, ale za bardzo pragnęłam skończyć z podwójnym życiem. Wkładając pierścione i obrączkę na palce, powiedziałam sobie, że czas udawania minął bezpowrotnie. Znowu byłam sobą. Podczas dalszej wędrówki myślałam o tych, którzy odeszli na zawsze: o Krysi, Alku i mamie. Każdą z tych osób będę opłakiwać w innym czasie i w inny sposób.

Później ponownie ujrzałam oblicze komendanta. Brakło mi tchu. Zabroniłam sobie o nim myśleć, lecz na próżno. Nie widziałam faszystowskiego oficera, który zarządzał miastem z wysokości Wawelu, ani też człowieka, który wycelował pistolet w moją pierś. Nie,

w moim śnie na jawie powrócił do mnie atrakcyjny mężczyzna, od którego nie potrafiłam oderwać oczu na przyjęciu u Krysi, czuły kochanek, który otworzył przede mną świat zupełnie nowych doznań, a potem tulił tkliwie, gdy zasypiałam w jego ramionach. Jego ostatnia przed śmiercią prośba o przebaczenie jeszcze brzmiała mi w uszach. To on powołał do życia Annę Lipowską. Dziewczyna komendanta odeszła wraz z nim. Nie potrafiłam powiedzieć, czy będę za nią tęsknić.

- Dość tego! - powiedziałam sobie głośno.

Echo poniosło moje słowa. Wróciły odbite od drzew otaczających polanę, na której zrobiliśmy sobie postój.

Należało ruszać w dalszą drogę, a rachunek sumienia odłożyć na później. Zmusiłam Łukasza, który ze zmęczenia padł na ziemię, żeby wstał.

Odpędziwszy wspomnienia o komendancie, wróciłam myślami do ludzi, których zostawiłam za sobą.

Ojciec pozostał przy życiu, w każdym razie kilka godzin wcześniej, gdy go zegnałam. Wciąż widziałam światło w jego oczach, gdy patrzył na mnie przez dziurę w murze getta. Miałam nadzieję, że przeżyje wszystko, cokolwiek go jeszcze czeka. Martę również zostawiłam na moście żywą, z bronią w ręku, nieustraszoną jak zwykle, choć ciężko ranną. Uratowała mi życie. Żałowałam, że padło między nami tyle gorzkich słów, że potępiała mnie za romans z komendantem. Najgorsze, że uczucie do mojego męża położyło cień na naszych wzajemnych stosunkach. Nie do końca jednak, bo w ostatecznym

rozrachunku przyjaźń znaczyła dla niej więcej niż miłość. Stała przy mnie z rewolwerem w ręku. Mogła nacisnąć spust, jednym strzałem zwrócić Jakubowi wolność, zatrzymać go dla siebie, a jednak tego nie zrobiła. Życzyłam jej z całego serca, żeby jakimś cudem wyszła z opresji, by zdołała, choć ranna, uciec przed policją. Mimo dramatycznych okoliczności, w jakich pożegnałam najbliższych, w moim sercu nie zgasła nadzieja, że ona i tata przeżyją wojnę. Marzyłam o tym, by kiedyś los znów połączył nas wszystkich: mnie, Jakuba, Łukasza, Martę i tatę. Położyłam rękę na brzuchu. Bardzo chciałam, by moje dziecko dołączyło do licznej, przybranej rodziny uratowanych wojennych rozbitków.

Nagle poczułam chłodny powiew wiatru, a wraz z nim powróciły dawne obawy: jak mogę wydać dziecko na tak niesprawiedliwy, okrutny świat? Jeśli nawet odnajdę Jakuba, jeśli uciekniemy, nie możemy nic dać naszemu maleństwu, nawet dachu nad głową.

W poszukiwaniu otuchy uniosłam głowę. Popatrzyłam na jasne, poranne niebo przez okryte pierwszymi pączkami gałęzie.

Wszystko będzie dobrze, szepnął wewnętrzny głos. Urodzisz silnego i zdrowego chłopca, nazwiesz go Alek na cześć bohaterskiego przyjaciela.

Godzinę później dotarliśmy do skraju lasu. Zarośla ustąpiły miejsca błotnistym polom Czernichowa. Przystanęłam w cieniu ostatnich drzew, żeby ustalić kierunek. Po prawej stronie, w odległości niecałego kilometra, dostrzegłam niebieski dach domu pana Kowalczyka. Zmrużywszy oczy, rozpoznałam za nim maleńką chatkę. Wyobrazi-

łam sobie, że Jakub stoi w drzwiach, że powita nas szerokim uśmiechem. Roześmiałam się głośno z samej siebie. Spędziłam tyle czasu, śniąc na jawie, że weszło mi to w nawyk. Marzenia niemalże zastąpiły mi rzeczywistość. Chociaż nic mnie już nie zatrzymywało, nadal stałam, pogrążona w rozmyślaniach, zamiast biec do męża. Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam naprzód.

Na otwartej przestrzeni słońce mocno grzało. Zima nareszcie ustąpiła. Ptaki krążyły nad naszymi głowami, nawołując się nawzajem, a na mnie czekał Jakub.

- Chodź, kochanie - zachęciłam Łukasza.

Delikatnie pociągnęłam go za ramię i ruszyliśmy w dół wzgórza. Malec szybciotko przebierał nóżkami, by dotrzymać mi kroku.

Z pewnością czeka nas jeszcze daleka droga, ale pierwszy etap mamy już za sobą. Opuściliśmy dom Krysi tak, jak do niego weszliśmy, nie mając nic prócz ubrania na grzbiecie. Lecz teraz idziemy razem. Sami szukamy właściwej ścieżki. Nikt nas już nie prowadzi.